

# Napiętnowana

Dailey Janet



calibre 0.9.43

**Janet Dailey**

**Napiętnowana**

Wysoki przybysz podniósł maskę pikapa. Ze środka buchnęło j jeszcze więcej pary. Jeśli obcy nawet zauważył toczącego się ku niemu Hoague'a, któremu trzęsły się tłuste podbródki, to nie dał tego po sobie poznać. Od niechcienia rozejrzał się dookoła.

Złośliwy wietrzyk powiał z porośniętej bylicą równiny, porwał pustą puszkę po piwie i potoczył ją brzękiem po głównej ulicy miasta. Nieznajomy popatrzył na to i mruknął na tyle głośno, że Hoague zdołał usłyszeć jego słowa:

- A tak, tocząc się, koło fortuny przytoczyło nam zemstę.

Hoague zmarszczył czoło i przekrzywił głowę: nie miał pojęcia, o co chodzi.

- Co takiego?

Nieznajomy odwrócił się i obrzucił Hoague'a leniwym, sennym spojrzeniem, maskującym twarde wyraz stalowoniebieskich oczu.

- Cytowałem tylko Szekspira - wyjaśnił, bagatelizująco wzruszając ramionami.

- Szekspira? - chrząknął Hoague i przyjrzał się uważniej nieznajomemu. - Czy nie należysz przypadkiem do tych kowbojów - wierszokletów?

Obcy przekroczył już zapewne trzydziestkę; miał wąskie biodra i szerokie bary urodzonego jeźdźca. Na grzbiecie nosa widniał ślad złamania, a na prawej skroni bieląca niewielka blizna. Włosy przybysza były płowe jak futro górskiego kota; wyglądał zresztą równie niebezpiecznie jak ten drapieżnik - dopóki nie uśmiechnął się leniwie. Hoague Miller nieco się odprężył.

- Chyba nie - odparł obcy i pochylił się, by zajrzeć pod maskę pikapa.

- Myślałem, żeś jeden z nich... znasz Szekspira i w ogóle. - Hoague wyciągnął z kieszeni chustkę i otarł pot spływający mu po twarzy. - Cała banda tych końskich wierszokletów zbiera się co roku w styczniu w Elko i czytają swoje rymowanki. Ludziska schodzą się z daleka, żeby ich posłuchać.

- Coś o tym słyszałem. - Obcy owinał dłoń zrolowaną chustką i zdjął pokrowiec chłodnicy, a potem skorzystał z brudnego dzbanka z zielonego plastiku, stojącego koło pompy benzynowej, i nalał do chłodnicy wody. Natychmiast rozległ się syk i wzbił się nowy kłęb pary.

Hoague Miller zajrzał pod maskę.

- Wygląda na to, że pękł przewód chłodnicy.

- A jakże - obcy skinął głową. - Jak długo potrwa naprawa?

- No cóż... - Hoague w zadumie podrapał się po brodzie. - Wóz musi ostygnąć jakąś godzinę, aja mam jeszcze dwóch wcześniejszych klientów. Powiedziałbym, że zajmie to ze dwie, trzy godziny.

Czekał, jak zareaguje na tę wieść obcy i czy uda się sprawę jeszcze trochę odwlec. Hoague Miller nie przyjmował do wiadomości, że istnieje coś takiego jak pośpiech.

- Nie pali się - oświadczył nieznajomy i znów rozejrzał się po okolicy. Wzdłuż głównej ulicy zaparkowano może pół tuzina samochodów, ale na bocznych uliczkach nie dostrzegł ani jednego. Nie było żadnego ruchu. Ani na lekarstwo.

Przybysz przeniósł wzrok na pustkowia wokół miasta. To był ów legendarny Dziki Zachód, pełen dostojeństwa, które nie od razu rzucało się w oczy, zatrważający swoim ogromem, kraina rozległych, falistych równin porośniętych bylicą i poprzecinanych licznymi arroyo - wyschłymi korytami strumieni, odgradzona zębatym jak piła pasmem gór.

Wzrok obcego poszybował na południowy zachód nad całymi milami falującej bylicy i splekanej ziemi. Granitowe zbocza, nie zadrzewione i urwiste, majaczyły za zasłoną rozprężonego powietrza, przelewającego się jak płynne szkło. Nad rozciągniętą pośrodku równiną kłębiła się posępna chmura pyłu, jak dym z płonących traw. Był to jedyny ślad życia na przestrzeni wielu mil. Obcy wpatrywał się przez kilka sekund w tuman kurzu, potem spojrzał znów na swojego pikapa.

- Gdzie można tu coś przekąsić?

- W lokalu „Lucky Starr”, to parę kroków stąd, przy tej samej ulicy. - Hoague wskazał piętrowy narożny budynek. - Piwo mają tam zimne, żarcie gorące, a kawę mocną.

- Brzmi całkiem zachęcająco. - Skinąwszy mu głową na pożegnanie obcy odszedł we wskazanym kierunku, przecinając na ukos ulicę.

Nad głową nie było ani jednej chmurki, która złagodziłaby nieco ostry błękit nieba i bezlitosny, rozszarpany do białości blask słońca. Przybysz zmrużył oczy i nasunął niżej na czoło rondo słomkowego kapelusza.

Wyblakły szyld nad narożnym budynkiem głosił, że znajduje się tu hotel i kasyno „Lucky Starr”. Druga, mniejsza tabliczka oznajmiała: „Otwarte całą dobę”. Staroświecka, wykładana drewnem ścieżka otaczała budynek z dwóch stron; ocieniał ją okap dachu.

Najwyżej półtora metra dzieliło przybysza od upragnionego wypoczynku w cieniu. Pot spływał mu po szyi, a wilgotna koszula kleiła się do ciała, gdy dotarł wreszcie do ścieżki. Przystanął i jeszcze raz obrzucił wzrokiem miasto. Gdzieś w pobliżu hałaśliwie działała klimatyzacja; grzechotała i huczała zmagając się z potężnym upałem. Przenikliwa woń spalonej słońcem ziemi i alkalicznego pyłu unosiła siew powietrzu.

Stary, żółty pies rozwalił się na skraju drogi, posapując w słonecznym żarze. Uniósł się na chwilę na przednie łapy, a potem znów opadł - stanie na słońcu było zbyt męczące, a zwierzę zanadto wyczerpane lub zbyt leniwe, by poszukać cienia.

Po przeciwnej stronie ulicy z domu, w którym mieściła się poczta i sklep spożywczy, wyszła kobieta. Przybysz natychmiast zwrócił na nią uwagę.

Zatrzymała się i spojrzała najpierw w jedną, potem w drugą stronę, niecierpliwie wruszając ramionami. Była długonoga i smukła. Miała na sobie męską białą koszulę rozpiętą przy szyi i spłowiałe spodnie z drelichu, mocno opinające krągłe biodra. Kapelusz o płaskim rondzie wbiła głęboko na głowę. Włosy kobiety miały kolor luksusowej szwajcarskiej czekolady; związała je na karku, a lśniący koński ogon opadał do połowy pleców. Kobieta uderzała się po nodze trzymanym w dłoni pejczem.

Gest ten zdradzał niepokój i wzburzenie, i niezłomną dumę. Obserwujący kobietę przybysz poczuł lekkie podniecenie i natychmiast je stłumił. Gdy skierował się w stronę bocznego wejścia do kasyna, nieznajoma skręciła w przeciwną stronę.

W drzwiach „Lucky Starr” nad głową obcego zaszumiało chłodne powietrze. Powitał go kwaśny odór zastarzałego dymu tytoniowego i rozlanego alkoholu. Przybysz zatrzymał się przez chwilę na progu i powiódł wzrokiem po mrocznym wnętrzu.

Z lewej strony zobaczył schody prowadzące na podest, potem zaś ostro skręcające w stronę górnego piętra. Obok nich stał stary, drewniany stół recepcjonisty, poczerniały przez dziesiątki lat od tłuszczu i kurzu. Łukowate wejście po prawej wiodło do sali klubowej i kasyna. Obcy ruszył w tym właśnie kierunku.

Szyby frontowych okien zamalowano zieloną farbą, by powstrzymać ostre słońce. Pod oknami

stał rząd grających szaf, który zapewniał dodatkową osłonę. W najbliższym kącie sali na niewielkim podwyższeniu stłoczono perkusję, aparaturę nagłaśniającą i stojaki do mikrofonów. Część podłogi obok podium pełniła funkcję niedużego parkietu do tańca. W najodleglejszym kącie pokoju stało kilka stołów do gry w blackjacka\*[\*Blackjack - „dwadzieścia jeden” czyli „oczko” (przyp. tłum.)] i w pokera oraz ruletka. Pośrodku sali ustawiono kilka podniszczonych stołów barowych i krzesel.

Niegdyś z pewnością imponujący mahoniowy bar zajmował całą ścianę tej obszernej sali. Kobieta w obcisłych białych legginsach i jedwabnej turkusowej bluzce siedziała na stołku barowym, licząc banknoty w szufladzie kasy. Miała włosy do ramion; ich miękki, złocisty odcień był dziełem sztuki, a nie natury. Gdy nieznajomy wszedł, kobieta odwróciła się ku niemu, a jej migdałowe oczy zmierzyły go bez pośpiechu od stóp do głów.

- Podejdź bliżej i odpręż się, kowboju. Jak widzisz, masz cały lokal dla siebie. - Jej głos, niski i lekko ochrypły, przypominał mruczenie kota. Pasował do egzotycznych, też odrobinę kocich rysów: wydatnych kości policzkowych i lekko spiczastej brody.

- Dzięki. - Przybysz dotknął palcem kapelusza i skierował się w stronę baru. Kobieta skinęła głową i zawołała:

- Uwaga, Roy! Masz klienta od frontu!

Pomiędzy półkami za barem wisiał portret w ozdobnej złotej ramie. Przedstawiał chmurną blondynkę w obcisłej złotej sukni śpiewającą do mikrofonu. Była to kobieta siedząca teraz na barowym stołku, tyle że młodsza i delikatniejsza.

- To ja, Starr Davis - potwierdził zachrypnięty głos. Wzrok obcego powędrował w stronę oryginału. - Sportretowano mnie, gdy byłam jeszcze piosenkarką i występowałam w klubach w Reno i Tahoe.

- To raczej daleko stąd, nie tylko w milach - zauważył przybysz i uśmiechnął się cierpko.

Starr odpowiedziała podobnym uśmiechem.

- Trafiłeś w dziesiątkę, kowboju. - Złożyła plik banknotów i schowała je do koperty. - Ale to już przebrzmiała historia. Zostałam sama z małym dzieckiem. Tatusia ani śladu. W showbiznesie raczej trudno o stabilną pozycję. Rozejrzałam się więc za czymś innym i znalazłam właśnie to. - Złote bransoletki na ramieniu Starr zabrzczały, gdy okrągłym ruchem ręki wskazała swoje królestwo. - Kupiłam to za psie pieniądze.

Wzrok przybysza przesunął się po pustych stolikach i wrócił do właścicielki lokalu.

- Pies był raczej zdechły.

Zaśmiała się gardłowo, bynajmniej nie urażona.

- Kiedyś chodziły słuchy, że tędy ma przebiegać szosa prosto na północ do Oregonu. Ale okazało się, że to zwykłe plotki. - Starr odwróciła się i znów zawołała: - Roy!

Przy wtórce piosenki Waylona Jenningsa, rozczulającego się nad kobietkami o złotym sercu, wszedł przez drzwi na końcu baru wyniszczony, chudy jak szkielet mężczyzna. Wraz z nim przeniknęła do sali woń smażeniny i inne kuchenne zapachy. Drzwi poruszyły się kilkakrotnie wahadłowym ruchem, wreszcie znieruchomiały.

Chudzielec wśliznął się za mahoniowy bar i zagadnął obcego z absolutnym brakiem zainteresowania:

- Podać coś do picia?

- Galon wody i kubek kawy.

Roy postawił na kontuarze dzbanek wody, w którym pływały samotnie trzy kostki lodu, a zaraz po

nim porysowaną zapoconą szklankę i kubek mocnej czarnej kawy. Przyglądał się w milczeniu przybyszowi, który wypił duszkiem szklankę wody i zaraz nalał sobie następną.

- Pewnie chciałbyś także coś zjeść? - mruknął Roy.

- A co macie?

W odpowiedzi barman rzucił z trzaskiem na bar zafoliowane menu.

- Tu pisze, że mamy przez cały dzień pełny zestaw dań, ale to bujda. Wyłączyłem grilla trzy godziny temu i nie mam zamiaru znów go uruchamiać.

Przybysz zdecydował się na stek z kostką, z wszystkimi dodatkami. Roy potwierdził zamówienie chrząknięciem i zniknął w kuchni. Drzwi znów zawachlowały.

- Ten Roy to prawdziwy promyk słońca, nie? - zauważył obcy z lekkim uśmiechem.

- Ściąga mi klientów z całej okolicy. - Pełne wargi Starr Davis rozchylił porozumiewawczy uśmiech, gdy zsunęła się ze stołka, chwyciła szufladę z pieniędzmi i zaniósła ją do kasy po drugiej stronie baru.

Przybysz wypił drugą szklankę wody, jeszcze raz ją napełnił i zaniósł wraz z kawą do stolika. Odsunął nogą krzesło, usiadł na nim, zdjął kapelusz i powiesił na oparciu.

Drzwi od kuchni znów się otworzyły i ukazał się w nich Roy. Ramieniem przytrzymał kolekcję butelek. Podeszedł prosto do stolika nieznanego.

Sztućce zagrzecotały rzucone na poplamiony blat stolika; tuż za nimi wylądowały solniczka i pieprzniczka, butelka tabasco, keczupu i sosu do steków. Uwolniwszy się od swojego brzemienia Roy podeszedł do szaf grających, ustawionych rzędem na tle zamalowanych na zielono frontowych okien. Przystanął obok szyby, z której złuszczyła się rogu farba, i wyjrzał na ulicę.

Starr Davis za barem nalała sobie kawy i zerknęła przez ramię na obcego.

- Jesteś w mieście od niedawna, prawda?

- Dopiero co przyjechałem - przytaknął nieznanemu i potarł oczy swędzące z niewyspania.

- Od razu zgadłam. - Gdy Starr wyszła z baru, obcy podsunął jej drugie krzesło zachęcając, by się do niego przysiadła. - Zawsze miałam dobrą pamięć do twarzy. Zapamiętałabym i twoją, gdybyś tu przedtem zajrzał.

Nie była to twarz, którą kobieta mogłaby zapomnieć. Przybysz nie miał bynajmniej klasycznych rysów, ale był w nim jakiś niespożyty, zawadiacki urok, który zjednywał kobiety i nieraz łamał im serca.

Koło czterdziestki Starr nie miała już żadnych złudzeń co do życia i mężczyzn. Dobrze wbito jej do głowy, że trzeba chwytać co się da - i tak właśnie postępowała. A jednak patrząc na tego mężczyznę nagle pożałowała, że nie spotkali się piętnaście lat wcześniej. Pojęła, że obcy mógłby stanowić dla niej zagrożenie.

- Skąd przybywasz? - rzuciła mu spojrzenie znad kubka kawy. Wzruszył ramionami.

- Z całego świata. Włóczyłem się dosłownie wszędzie. Roy spod okna odwrócił się w ich stronę.

- Jego pikap ma teksańską rejestrację.

Obcy nie zareagował, a Roy wrócił do kuchni. Starr odczekała chwilę, a potem spytała:

- Co cię sprowadza do takiej zakazanej dziury jak Friendly?

- Pękł mi przewód chłodnicy. - Obcy nie bawił się w szczegółowe wyjaśnienia. Roy wychynął z kuchni niosąc ociekające tłuszczem domowe frytki i stek z kością tak wielki, że zwisał z brzegów talerza. - Miasteczko wydaje się raczej sensne.

- I wszystko wskazuje na to, że nic się tu nie zmieni. - Roy energicznie podsunął przybyszowi



jedzenie pod nos. Ze steku kapał krwisty sos. Mięso było niezbyt wysmażone, dokładnie według życzenia klienta.

- Jeśli w Friendly tli się odrobina żyda., to chyba tylko w naszym lokalu - oświadczyła Starr. - W piątkowe i sobotnie wieczory bawią się tu aż miło. Zaangażowaliśmy czteroosobowy zespół muzyczny, który tu występuje. Ludzie mogą u nas potańczyć, popić, pograć w karty - co kto woli. Zostań we Friendly na dzień czy dwa, to sam się przekonasz.

- Śpiewasz razem z zespołem? - spytał między jednym a drugim kęsem.

- Nieraz mi się zdarza wziąć mikrofon do ręki.

- Wobec tego może i zostanę. - Uśmiechnął się, a jego oczy prześliznęły się z aprobatą po postaci rozmówczynie.

Starr bynajmniej to nie uraziło. Według niej każdemu prawdziwemu chłopu, jeśli widzi wszystko, czym babka może się pochwalić, musi przejść przez głowę parę zdrożnych myśli, choćby całkiem przelotnie. Samce po prostu tak reagowały - wszystko jedno, wolne czy zaobrączkowane. Kobięca natura Starr także zareagowała na spojrzenie przybysza, choć nie było to wcale rozsądne.

- Czy w pobliżu mieszka wielu ranczerów? - spytał nieznajomy.

- Największe jest rancho Diamond D, i to chyba w całym stanie. Myślisz o pracy?

- Narazie myślę wyłącznie o steku... no, może jeszcze o gorącym prysznicu. No i pospałbym troszkę, miesiąc chyba by wystarczył. - Usta obcego wygięły się w uśmiechu, w oczach zabłyśły wesołe iskierki.

Gdy kroił mięso, mankiet przy lewym rękawie jego koszuli zadarł się ukazując czerwonawą, świeżą bliznę. Na jej widok Starr zauważyła:

- Całkiem niedawno oberwałeś. Jak to się stało?

Obcy zerknął na rękę i bezwiednie zacisnął mocniej w garści nóż, jakby chciał sprawdzić, czy palce są całkiem sprawne.

- Spadłem z dzikiego konia jakiś miesiąc temu i złamałem sobie nadgarstek. Całe szczęście, że chirurg, który się tym zajął, miał dużą wprawę w układaniu puzzli.

- Pewnie sobie trochę po tym poleżałeś.

- Trochę - przytaknął i jadł dalej.

Gdy przybysz skończył posiłek, Roy zjawił się z kawą i nalał mu jej do kubka. Obcy odchylił się z krzesłem do tyłu i zapalił długie, cienkie cygaro. Kiedy uporał się z nim do połowy, z ulicy dobiegł stłumiony hałas - stukanie i dudnienie, które powoli, lecz nieustannie przybierało na sile. Obcy postawił znów krzesło wszystkimi czterema nogami na ziemi i podniósł głowę, uważnie nadsłuchując.

Starr odnosiła właśnie do kuchni brudny talerz i sztućce.

- Roy, zobacz, co się tam dzieje - rzuciła przez ramię. Roy podszedł do szyby z obłupaną farbą i wyjrzał na ulicę.

- Pędzą bydło z Diamond D - oznajmił. - Teraz całe to cholerne miasto będzie cuchnęło gównem przynajmniej przez tydzień.

Obcy wstał.

- Chyba się temu przyjrzę. - Nie wyjmując cygara z ust sięgnął do kieszeni po zwitek banknotów. Odliczył tyle, ile się należało za posiłek, rzucił pieniądze na stół, chwycił kapelusz i ruszył bez pośpiechu ku drzwiom.

Na zewnątrz zaatakował go najpierw upał, a zaraz potem chmura dławiącego pyłu spod kopyt

ryczącego, niespokojnego bydła. Potok spędzonych z pastwisk krów rwał środkiem miasta. Obcy stanął na skraju wykładanego drewnem przejścia dla pieszych i wsparty ramieniem o słup obserwował ten przemarsz.

Kowboj, jadący przed stadem na dereszku ze strzałką na czole, zajął pozycję na skrzyżowaniu dróg w pobliżu hotelu. Dwaj inni jeźdźcy ustawili się po przeciwnej stronie. Jednym z nich był niezgrabny wyrostek, najwyżej czternastoletni; składał się niemal wyłącznie z chudych, zbyt długich rąk i nóg. Uwagę nieznanego przyciągnął jednak towarzyszący chłopcu wysoki, barczysty mężczyzna na stalowosiwym koniu. Biła od niego jakaś nieuchwytna moc. Widać było, że to on kieruje ranczem - jeśli nie jako właściciel, to przynajmniej nadzorca. W rękę trzymał bat tak długi, że koniec włókł się po ziemi.

Tuman kurzu jeszcze zgęstniał, a stukot kopyt przybrał na sile, gdy główna część stada wtargnęła do miasta popędzana przez następnych jeźdźców; wywijali zwojami powrozów, by utrzymać rytmiczny trucht bydła. Nie tylko obcy przyglądał się tej scenie; spora grupka gapiów zrezygnowała z jakiegoś takiego chłodu panującego we wnętrzu domów, by nacieszyć oczy widowiskiem. Ludzie po przeciwnej stronie ulicy byli prawie niewidoczni poprzez gęstą chmurę kurzu unoszącą się nad stadem; jednak wysoką brunetkę idącą w jego kierunku przybysz widział całkiem wyraźnie. Rozpoznał smukłą, pięknie zbudowaną kobietę, na którą już wcześniej zwrócił uwagę.

Szła zręcznym, tanecznym krokiem, lekko kołysząc się w biodrach w sposób bardzo miły dla oka. Dotarła do przeciwległego rogu i przystanęła tam z odwróconą głową; jej uwagę przyciągnęło coś - a może ktoś? - na drugim końcu stada. Przybysz spojrział również w tamtym kierunku. Wydawało mu się, że kobieta patrzy prosto na jadącego na siwku potężnego mężczyznę, w którym domyślił się właściciela rancza Diamond D.

Przez moment w oczach kobiety i w jej postawie dostrzegł coś wyzywającego, niemal buntowniczego. Teraz zeszła z krawężnika i skręciła w boczną drogę, kierując się w stronę niewielkiego domu oszalowanego drewnem, oddzielonego od kasyna tylko wąską alejką.

Nagły dźwięk, ostry i donośny, rozległ się na tyłach stada. Obcy obejrzał się w tamtym kierunku. Dał się słyszeć następny głośny trzask: ramię mężczyzny jadącego na siwku poruszyło się, a bicz w jego rękę przemówił.

Potok żywej wołowiny wygiął się pośrodku, cofając przed świszczącym biczem. W pełnej napięcia chwili obcy zauważył, że znajdujący się dotąd w pobliżu kowboj opuścił swoje stanowisko. Piaszczysta droga wiodąca na północ stała teraz otworem.

Ponieważ z tyłu napierali jeźdźcy, a z boku ta część bydła, która skręciła po wystrzale z bicza, kilkanaście krów skręciło w otwartą drogę i natychmiast puściło się po niej pędem. Reszta bydła poszła w ich ślady.

Kobieta znajdowała się w odległości najwyżej dziesięciu stóp od stada, mniej więcej w połowie ulicy; szła wolnym krokiem, zwrócona tyłem do miasta. Zupełnie nie zdawała sobie sprawy, że pędzi ku niej rozszalałe bydło.

- Uważaj! - wrzasnął obcy.

Brunetka obejrzała się, a on w tej samej chwili zrobił krok ku niej, ale drogę zablokowały mu brunatne cielska. W żaden sposób nie zdołałby dotrzeć do kobiety na własnych nogach.

Chciała w pierwszej chwili schronić się w narożnym budynku, ale pojęła, że nie zdąży tam dotrzeć. Zatrzymała się więc i zwróciła twarzą do pędzącego na nią bydła - wysoka, smukła i wyprostowana. Uniosła lewą rękę i zręcznie zderzyła nim po nosie najbliższą krowę. Zwierzę



cofnęło się, powstała maleńka wolna przestrzeń. Wywijając pejczem niby tnącym mieczem kobieta sprawiła, że bydło w pędzie rozstępowało się przed nią. Stworzyła sobie w ten sposób mikroskopijną oazę chwilowego bezpieczeństwa. Nieznajomy chętnie nagrodziłby oklaskami jej zimną krew, gdyby miał na to czas.

Czas jednak działał na szkodę dzielnej kobiety. W każdej sekundzie napór bydła mógł ją zmiażdżyć. Obcy doskonale zdawał sobie z tego sprawę, nawet jeśli kobieta nie była tego w pełni świadoma.

Rozejrzał się za jakąś pomocą. Najbliżej niego znajdował się kowboj na deresz; był jednak zwrócony plecami do kobiety i nie uświadamiał sobie jej straszliwego położenia. Obcy błyskawicznie zeskoczył z ganku i pochwycił cugle. Nim kowboj zdążył zaprotestować, nieznajomy złapał go za koszulę i zwałił z konia na ziemię. Uczepił się kuli siodła, wskoczył na nie, zawrócił twardego w pysku deresza i skierował go w stronę kobiety. Wściekły, że nie ma w tej chwili ostróg, wbił obcasy w brzuch konia i zaczął przedzierać się przez żywy potok.

Na sekundę stracił brunetkę z oczu. Potem znów ujrzał ją w tumanach pyłu po swojej prawej ręce; nadal dzielnie broniła swojej malejącej wysepki bezpieczeństwa.

Deresz nie potrzebował specjalnej zachęty, by rzucić się w kierunku wolnej przestrzeni, którą kobieta wyczarowała wokół siebie. Nieznajomy wychylił się z siodła, objął brunetkę ramieniem w pasie i unióś w górę, nie zważając na jej głośnie protesty.

Natychmiast zamierzyła się nań pejczem.

- Puszczaj, bydlaku!

Starając się zapanować nad stającym dęba dereszem nieznajomy rzucił swojej brance tylko jedno spojrzenie; zdążył jednak zobaczyć błysk wściekłości w jej ciemnych oczach, zanim uchylił się od tnącego pejczy.

- Złap się mocno, do cholery! - wrzasnął.

Kobieta na sekundę znieruchomiała, a potem instynktownie usłuchała. Obcy wciągnął ją całkiem na siodło. Deresz opadł z powrotem na cztery nogi i potknął się tak mocno, że o mało nie zwałił się na kolana. Nieznajomy szarpnął z całej siły wodze i skrzywił się, gdy nagły ból przeszył mu lewy nadgarstek i ramię. Nie zważając na to skierował konia na skraj drogi.

Mijało ich coraz mniej rozpedzonych krów. Na skrzyżowaniu stał jeździec i zawracał resztę stada. Dwóch kowbojów przemknęło obok nich; spinając konie ostrogami usiłowali dopędzić uciekające bydło.

Zadowolony, że niebezpieczeństwo minęło, obcy postawił brunetkę na ziemi; sam zsunął się z siodła i ujął konia za cugle. Obejrzał się na kobietę i stwierdził, że nie jest tak wysoka, jak mu się początkowo wydawało. To złudzenie wynikało chyba ze sposobu, w jaki unosiła głowę, przeżyła ramiona i po żołniersku prostowała plecy.

Stała odwrócona do niego; kapelusz spadł jej z głowy i wisiał teraz na plecach, podtrzymywany cienkim rzemykiem wokół szyi. Gruba warstwa kurzu pokrywała ubranie i skórę kobiety, ale wyglądało na to, że nie odniosła żadnych obrażeń.

- Wszystko w porządku? - spytał.

Gwałtownie odwróciła się ku niemu, w jej oczach płonęła furia.

- Jak śmiesz udawać, że cię to obchodzi?! Stado z rozmysłem skierowano na mnie! Ktoś strzelił z bicia, z pewnością nie po to, by je powstrzymać! Jeśli to nowy sposób zastraszenia mnie, to nic z tego! Słyszysz?! Nic z tego!

Cała się trzęsała - czy to z gniewu, czy z przeżytego dopiero co szoku, obcy nie wiedział. Twarz jej jednak nawet w ataku wściekłości była piękna i pełna życia. Kobieta miała w sobie coś szlachetnego; rysy jej cechowała wrodzona godność i jakaś siła, której nieznajomy nie potrafił bliżej określić. Przyglądał się jej bacznie, zdając sobie sprawę, że nagle pożądanie przeniknęło gorącym strumieniem przez jego ciało, jak mocny i wyborny trunk.

- Serce tygrysie pod skórą kobiecą! - wymruczał bardzo odpowiedni do sytuacji cytat z Henryka VI\*[\* Szekspir, Henryk VI, część 3, akt I, sc. 4, przekł. Macieja Słomczyńskiego].

- Co takiego?! - Zmarszczyła brwi i z trudem otrząsnęła się ze zmieszania, w które wprowadziły ją nieoczekiwane słowa. - Wsiądź lepiej na konia i zawiadom DeParda, że mu się nie udało.

Brwi nieznajomego uniosły się ze zdumieniem.

- A któż to taki?

Kobieta osłupiała. Spojrzała niepewnie na deresza z piętrem Diamond D na zadzie, a potem znów na nieznajomego. Spytała ostrożnie:

- Nie pracujesz dla DeParda?

- To on jest właścicielem tego konia? Nie pytałem o szczegóły, gdy go sobie pożyczałem. - Odwracając się owinął cugle wokół szyi deresza i klepnął go po zadzie; koń odbiegł klusem.

- Chyba jesteś tu od niedawna. - Przyjrzała mu się uważnie, mrużąc oczy.

- Wylądowałem w miasteczku jakąś godzinę temu. Zauważył, że głęboko odetchnęła, a potem skinęła głową.

- Teraz już wszystko jasne. - Spojrzała w bok i nagle zeszywniała na widok trzech jeźdźców, którzy zatrzymali się obok. Przewodził im najwidoczniej barczysty mężczyzna na siwym koniu.

Po jego prawej ręce jechał młody chłopak; na dziecinnej twarzy osiadł kurz, w którym pot żłobił białe ścieżki. Chłopak spojrzał spode łba na brunetkę, usiłując przybrać taki sam butny i odpychający wyraz twarzy jak wysoki mężczyzna, który najwyraźniej był dla niego wzorem.

Trzeci jeździec miał na lewym policzku wielkie szkarłatne znamię. Siedział na koniu ze swobodą człowieka, który całe życie spędził w siodle. Nie był tak wysoki jak barczysty olbrzym, ale sprawiał wrażenie zwinnego, silnego i chytrego. Jego uwagę przyciągał przede wszystkim obcy przybysz; jeździec mierzył go wzrokiem, a w jego przymrużonych oczach czaiła się podejrzliwość, ostrożność i niechęć.

Nad całą grupą dominował jednak niewątpliwie człowiek na siwku. Siedział mocno w siodle, szeroko rozparty; jego muskularna pierś i byczy kark sprawiały równie imponujące wrażenie jak szerokie bary. Przekroczył już wiek średni - spod ronda kapelusza widać było siwe włosy. Od razu można było w nim poznać właściciela olbrzymiego stada, człowieka sprawującego władzę, którego rozkazów nikt nie kwestionował. Miał grubo ciosane rysy i gęste siwiejące wąsy.

W jego oczach błysnęła nienawiść, której obiektem była najwyraźniej brunetka.

- Masz cholerne szczęście! - syknął, a każde słowo ociekało jadem.

- Wkurzyło cię to, DePard? - odparowała wyzywająco. - Jeśli chcesz się mnie pozbyć, musisz wymyślić coś lepszego niż poszczucie mnie kilkoma zziajanymi, wymęczonymi krowami!

Drugi jeździec rzucił się ku niej.

- Ty wyszczekana dziwko!...

W chwili gdy obcy postąpił do przodu, zamierzając dać mu nauczkę, DePard uniosł dłoń i prawie szeptem powiedział coś, co uciszyło od razu jego kompana; niechętnie ściągnął wodze i cofnął się o kilka kroków. Jego zielone oczy błysnęły w stronę nieznajomego, jakby chciał lepiej utrwalić go

sobie w pamięci.

- Dobrze robisz, DePard, że trzymasz Sheehana krótko przy pysku - zauważyła brunetka.

- Zamknij się! - warknął DePard, a potem obrzucił gniewnym spojrzeniem obcego. - To ty odebrałeś Jenkinsowi konia?

- W tamtej chwili nie widziałem innego wyjścia. - Nieznajomy zsunął kapelusz na tył głowy i spojrzał na wysokiego jeźdźca z rozmyślną obojętnością.

- Jesteś tu chyba od niedawna.

- Czy to takie ważne? - Kąciki jego ust uniosły się z lekkim rozbawieniem. - Niespecjalnie. Po prostu nie wiesz, w co wtykasz nos.

- Mam wrażenie, że w twoje brudne interesy. - Tym razem obcy nie uśmiechnął się. W jego oczach było jedynie zimne, twarde wyzwanie.

Ta nieoczekiwana riposta zaskoczyła DeParda; na moment zaniemówił z wrażenia. Dzieciak poderwał się w jego obronie:

- Lepiej licz się pan ze słowami! To sam Duke DePard! Należy do niego ranczo Diamond D i połowa tego miasta!

- O, naprawdę? - wycodził obcy, któremu to jakoś nie zaimponowało. - Nie wiem, jak wygląda ranczo, ale miasto z grubsza obejrzałem i chyba nie ma się czym specjalnie chwalić.

- Więc bierz nogi za pas i zmiataj stąd! - zagrmiał ostrzegawczo DePard i spiął siwka ostrogami. Ściągnął tak mocno wodze, że wałach okręcił się wokół własnej osi. Cała trójka ruszyła w kierunku głównej części stada.

Obcy patrzył za nimi przez chwilę. Kiedy się odwrócił, zauważył, że brunetka nie spuszcza z niego oczu. Przyglądała mu się z nowym zainteresowaniem.

- Właśnie zdobyłeś sobie wroga - ostrzegła go. - DePard ci tego nie zapomni. On ma dobrą pamięć, możesz mi wierzyć.

- Ja też.

Lekka zmarszczka pojawiła się na jej gładkim czole.

- Kim ty właściwie jesteś?

- Nazywam się Kincade - powiedział po sekundzie wahania.

- Szukasz może pracy?

Uśmiechnął się szeroko i potrząsnął głową. - Nie całkiem się jeszcze splukałem. Spojrzała na niego z żalem i skinęła głową.

- Jak już będziesz bez grosza, zajrzyj na Spur Ranch. Leży trzydzieści mil na północ od Friendly.

- A o kogo mam pytać? - Kincade nagle zapragnął poznać imię tej kobiety i zachować je w pamięci, podobnie jak jej twarz. Może dlatego, że uratował jej życie, może dlatego, że zaimponowała mu jej odwaga... a może dlatego, że przypomniał sobie właśnie, jak trzymał ją w ramionach. Była taka lekka - równocześnie niezłomna i krucha.

Przyglądając się jej, Kincade odniósł wrażenie, że kobieta czyta w jego myślach. Odrzucił to nieprawdopodobne przypuszczenie. Na pewno wiedziała, że jest piękna; świadczyła o tym jej pewność siebie. Nieraz czuła na sobie zgłodniały męski wzrok - i o tym też świadczyło jej zachowanie - a on był po prostu mężczyzną, jak inni, i ogarniały go te same, stare jak świat żądze.

Na twarzy kobiety pojawił się błysk zniecierpliwienia.

- Możesz pytać o szefa.

- Czyli o twojego męża? - Nie dostrzegł na jej palcu obrączki, ale to nie dowodziło, że jest

wolna.

- Nie mam męża.

Kobiety prowadzące samodzielnie ranczo nie były rzadkością, ale większość z nich obejmowała tę funkcję po śmierci małżonka. Kincade założył więc z góry, że brunetka jest wdową, i powiedział:

- Bardzo mi przykro.

- A mnie nie. - Odpowiedź była zdecydowana i nie budząca wątpliwości. Kobieta nie dodała już ani słowa, odwróciła się i odeszła kierując się znowu w stronę domu stojącego tuż obok kasyna.

Kincade patrzył za nią przez chwilę. Rozbudziła w nim ciekawość, której sobie wcale nie życzył. Odwrócił się i spostrzegł Starr Davis przy bocznym wejściu do „Lucky Starr”. Ich spojrzenia spotkały się. We wzroku Starr było lekkie rozbawienie i wyraźny cynizm. Kincade odniósł wrażenie, że blondynka stała tam już od dłuższego czasu. Bez pośpiechu podszedł do niej.

- To nie było rozsądne posunięcie - zauważyła Starr, ale w spojrzeniu, którym go obrzuciła, krył się błysk podziwu.

- Już się zorientowałem. - Skinął głową i spojrzał w kierunku, w którym oddaliła się brunetka. - Kto to taki?

Starr rozejrzała się po ulicy i zdążyła dostrzec kobietę wchodzącą do sklepu szewca i rymarza.

- Ktoś, kto przynosi pecha, i to potężnego. Przekona się o tym każdy na tyle głupi, by stanąć po jej stronie i zdrzeć z DePardem.

- Dlaczego? Co ona mu zawiniła?

Wargi Starr wykrzywiły się kocim uśmiechem.

- Zabiła mu brata.

- Co takiego? - Przeszył ją spojrzeniem, a czoło przecięła mu zmarszczka. - Jakiś wypadek?

- Żaden wypadek. Zrobiła to świadomie. DePard jest przeświadczony, że zamordowała go z zimną krwią. Ona oczywiście zapewniała, że działała w samoobronie.

- A jak było naprawdę?

Starr roześmiała się niskim, gardłowym śmiechem.

- Nie wyglądasz mi na głupca, więc rozejrzyj się uważnie: to miasto istnieje wyłącznie z łaski DeParda. Znasz starą zasadę „Klient ma zawsze rację”? Wierz mi, kowboju, że kiedy klient jest tak potężny i tak niezbędny, to przytakuje się wszystkiemu, co powie. W każde jego słowo wierzy się jak w Ewangelię. A jeśli ma się rozum, to i przysięga na nianie zawadzi. Cyniczny uśmiech wykrzywił mu usta.

- Coś mi się widzi, że tobie rozumu nie brak.

- Wolę lizać rękę, która mnie karmi, niż ją gryźć.

Spojrzenie Kincade'a padło na wargi Starr, pełne jak dojrzały owoc - ucieleśnienie erotycznych marzeń.

- Pewnie DePard cholernie lubi, jak go liżesz.

- Staram się jak mogę - odparła kapryśnym tonem, który na sekundę rozpałił i jego wyobraźnię.

- Jesteś jego dziewczyną?

Starr znów wybuchnęła śmiechem.

- Jemu się pewnie tak wydaje, ale ja nie należę do nikogo, kowboju.

W ciągu kilku minut już druga kobieta odzęgnywała się od wszelkich więzów. Kincade 'owi znów przyszła na myśl brunetka - urzekające połączenie urody i męstwa, godności i siły. Znał bardzo niewiele kobiet, które miały zarówno klasę, jak i odwagę. Takie połączenie mogło rozplomienić

męską wyobraźnię, a nawet wzbudzić głębsze zainteresowanie. Kincade musiał przyznać, że i on był pod silnym wrażeniem.

Zastanowił się przelotnie: co też kryje się za tajemniczą śmiercią młodszego DeParda. Czy dopuścił się brutalnej napaści? Czy brunetka była osobą „względem której więcej zgrzeszono, niż sama zgrzeszyła”, jak to kiedyś ujął Szekspir?[\* \* Trawestacja fragmentu tragedii Król Lear, akt III, sc. 2. Dokładny cytat brzmi: „Co do mnie, więcej względem mnie zgrzeszono, niż sam zgrzeszyłem” - przekł. Józefa Paszkowskiego] Kincade był skłonny w to uwierzyć.

Na jego opinię wpłynęło bez wątpienia niedawne zajście.

Rozległ się trzask bicia. Kincade był akurat zwrócony w stronę ulicy, gdy przejeżdżał tamtędy na swoim wielkim siwku DePard, przeganiając resztę stada przez skrzyżowanie. Obok właściciela rancza jechał chłopak, który podniósł właśnie rękę i pomachał do Starr z lekkim zażenowaniem. Odpowiedziała mu podobnym gestem, a potem z rękami w kieszeniach spodni patrzyła za chłopcem. Jej oczy pełne były czułości, cały cynizm nagle znikł.

- To mój syn, Rick - wyjaśniła Kincade'owi. - Ostatnio nie istnieje dla niego nic oprócz kurzu, potu i ciężkiej pracy fizycznej. Koniecznie chce być kowbojem. Uważa, że to jest prawdziwe życie dla mężczyzny.

- Mógł wybrać gorzej - Kincade wzruszył ramionami. - Na przykład rodeo: byki, krew i upadki prosto w błoto.

Starr wstrząsnęła się.

- Nie chcę nawet o tym myśleć!

Stado opuściło Friendly i jego ryk nie rozlegał się już tak donośnie, ale kurz nadal wisiał w powietrzu. Wysoki, chudy kowboj przeciął na ukos ulicę i wszedł na drewniany chodnik. Na widok Starr przyłożył palec do kapelusza. Spojrzał na Kincade'a i na jego piegowatej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Wygląda na to, że zdążyłem akurat na przedstawienie. Odwaliłeś, chłopie, kawał dobrej roboty ratując dziewczuszkę przed tym cholernym stadem...

- Dzięki za uznanie. - Kincade przerwał te pochwały i wyciągnął rękę do kowboja. - Nazywam się Kincade.

Ten jakby się zmieszał, ale po sekundzie wahania ucisnął mu dłoń.

- A ja Smith, ale kumple przeważnie wołają mnie Rusty\*[\* Rusty (ang.) - dosł. zardzewiały, pot. rudy, ryży (przyp. tłum.)]

- Trudno im się dziwić - odparł Kincade spozierając na ceglaste kosmyki widoczne spod runda kowbojskiego kapelusza. Ruchem głowy wskazał przybyszowi Starr.

- Poznajcie się. To Starr Davis, właścicielka hotelu i kasyna „Lucky Starr”, które od niej wzięło nazwę.

- Fantastycznie! Klimatyzacja mi wysiadła w samochodzie, kiedy byłem jakieś trzysta mil stąd, więc łatwo się połapać - Rusty Smith spojrział z niesmakiem na swoją przepoconą koszulę - że bardzo mi się przyda gorący prysznic i zimne piwo. Jeśli macie tu jakiś wolny pokój, od razu go biorę.

- Wszystkie są teraz wolne - odparła Starr. - Możesz sobie wybrać, który chcesz, kowboju.

- No to już się melduję - oświadczył.

- Chyba ja też wynajmę pokój - odezwał się Kincade.

- Wobec tego chodźcie obaj ze mną. - Starr wykręciła się na pięcie i pierwsza ruszyła ku

drzwiom.

Kincade rzucił jeszcze jedno spojrzenie w kierunku domu z fasadą oszalowaną deskami, by sprawdzić, czy brunetka akurat stamtąd nie wychodzi. Nikogo jednak nie dostrzegł.

Wirujący wentylator na kontuarze obracał się nieustannie to w prawo, to w lewo, wprawiając w ruch powietrze pachnące świeżo wyprawioną skórą i politurą. Eden Rossiter zwróciła twarz w stronę wiatraczka, radując się powiewem i złudnym wrażeniem chłodu.

Nowiutkie, ręcznie wykonane i tłoczone siodło tkwiło na szczycie drewnianego stojaka obok lady. Inne siodła, przeważnie używane, zwisały na linkach z sufitu. Na jednej ze ścian niewielkiego pomieszczenia widniały całe szeregi wieszadeł. Po przeciwnej stronie sklepu piętrzyło się na półkach oddane do naprawy obuwie, a obok zwisały z haków wyroby ze skóry: spodnie do konnej jazdy, kamizelki, futerały na broń, juki. Barwne derki końskie i grube potniki piętrzyły się na krześle z wysokim drabinkowym oparciem, które stało w odległym kącie.

Pod szkłem na kontuarze leżały naszyjniki, kolczyki i klamry ze skóry. Inne, w niewielkim kartonie, umieszczono na większym pudle, które stało na podłodze; były w nim skórzane paski najrozmaitszych rozmiarów i kolorów.

Drobinki pyłu migotały i tańczyły w świetle słonecznym, wlewającym się do wnętrza sklepu przez okna. Eden przez niedomyte szyby wyjrzała na pełną kurzu ulicę. Przypomniała sobie chwilę, gdy na drodze bydło napierało na nią coraz mocniej, a pas wolnej przestrzeni wokół niej nieustannie się zmniejszał.

Gdyby Kincade nie zdołał przedrzeć się wówczas do niej...

Eden zadrżała na myśl o niebezpieczeństwie, którego uniknęła. Odetchnęła głęboko, by się uspokoić i zdławić mdlący strach, który ją nagle ogarnął. Pomyślała o swoim wybawcy.

Dobrze zapamiętała surową twarz z lekkim cieniem zarostu, spaloną słońcem. Jego stwardniałe dłonie powodowały koniem tak, jakby urodził się w siodle. Na butach widniały czarne ślady po stale noszonych ostrogach.

Ten nieznamy nie mógł być nikim innym jak kowbojem - przedstawicielem niespokojnej rasy włóczęgów, przenoszących się z rancza na ranczo, zmieniających ciągle miejsce pracy, wędrujących szlakiem przelotnych ptaków: od północnej Nevady do wschodniego Oregonu, w różne regiony Arizony, Montany czy Wyoming.

Eden dobrze знаła ludzi tego pokroju. Odniosła jednak wrażenie, że Kincade w jakiś sposób góruje nad pozostałymi. DePardowi nie udało się go zastraszyć. Prawdę mówiąc, wyglądało na to, że Kincade nic sobie z niego nie robił, a wszystkie pogrożki DeParda zbywał lekceważącym uśmiechem, co zraniło dumę lokalnego nadczłowieka znacznie boleśniej niż na przykład wyzwiska.

Eden doszła do wniosku, że Kincade kpi sobie ze wszystkiego i wszystkich. Przypomniała sobie nagle jego spojrzenie; opanowane, bezpośrednie i niepokojąco intensywne. Eden znała pożądliwe męskie spojrzenia. Tym razem jednak poczuła, że całe jej ciało ogarnęła fala gorąca - a była taka pewna, że raz na zawsze uodporniła się na podobne doznania! Odkrycie, że wcale tak nie jest, wprawilo ją w złość.

Z zaplecza dobiegł odgłos zbliżających się kroków. Eden odwróciła się znów w stronę lady, a krępa kobieta w średnim wieku, o rysach zdradzających baskijskie pochodzenie, weszła przez osłonięte kotarą drzwi niosąc parę starych butów, świeżo podzielowanych i wyczyszczonych do połysku.

- Tak jak myślałam, twoje buty zostały na zapleczu, ale były już naprawione. - Rosa Winters



postawiła je na zagraconym kontuarze. - Zaraz podam ci uzdę i będziesz miała już wszystko co trzeba. - Podeszła do półek na ścianie, ale popatrzyła na potoki słońca wlewające się przez frontowe okna i zwróciła się w tamtą stronę. - Ach, to słońce! Po południu czuję się jak w piekarniku.

- Rzeczywiście, gorąco tu - przytaknęła Eden.

- I pełno kurzu. - Rosa Winters zasłoniła szybę ciemnozieloną żaluzją. Potem zrobiła to samo z drugim oknem. - Ten cały DePard nie powinien był pędzić bydła przez miasto. Mógł je ominąć, ale on chce wszystkim pokazać, jaki z niego wielki pan i bogacz. - Rosa opuściła z trzaskiem ostatnią żaluzję. W sklepie zapanował półmrok. Odwróciła się i utkwiała ciemne oczy w Eden. - Widziałam, co ci się przydarzyło. A ten człowiek, który cię wyratował... któż to taki?

- Jakiś obcy, nazywa się Kincade.

- Wiedziałam, że to nie mógł być nikt z ludzi DeParda, bo od razu straciłby pracę. - Rosa podeszła z powrotem do półek na ścianie i zdjęła uzdę z dorobionym nowym podgardlem. - Miałas szczęście, że w mieście był akurat ten obcy.

- Pewnie. - Prawdę mówiąc, wiedziała aż za dobrze.

- Wstyd mi, że nikt z nas nie przyszedł ci z pomocą. - Rosa położyła uzdę na ladzie koło butów i westchnęła głęboko. - Nienawiść to diabelska choroba. Zupełnie jak rak: zaczyna się od głupstwa, a potem rośnie bez opamiętania. Już prawie czternaście lat minęło od śmierci Jeffa, a dobrze widzę, że nienawiść DeParda do ciebie rośnie z roku na rok. Cały jest nią przeżarty. Nie spocznie, póki nie pomści się na tobie za śmierć brata. - Rosa uniosła rękę w błagalnym geście. - Wyjedź stąd, Eden! Sprzedaj rancho i wynieś się, zanim on cię zniszczy!

- Nie sprzedam rancho. - Eden nie chciała o tym nawet słyszeć. Spur Ranch należało do Rossiterów od czterech pokoleń. Dom, w którym mieszkała, został zbudowany przez jej prababkę. Korzenie Eden tkwiły głęboko w tej piaszczystej ziemi. Nigdy z dobrej woli nie wyrzeknie się rancho.

- Jesteś głupia, Eden. - Rosa pokiwała głową. - DePard jest zbyt potężny, ma zbyt długie ręce, zbyt wielu wpływowych przyjaciół. Nikt z nim nie wygra.

- Ludzie od lat przepowiadają mi smutny koniec. Ajednak ciągle tu jestem. Kiedy przed siedmiu laty zmarł jej dziadek, wszyscy byli pewni, że Eden sprzeda rancho i wyniesie się z tej okolicy. Jednak tego nie zrobiła. Ludzie potrzęsali tylko głowami i zapewniali, że dziewczyna nie będzie w stanie prowadzić rancho. To nie jest zajęcie dla kobiety. Zwłaszcza takiej młodej. Ale Eden jakoś sobie radziła - przynajmniej do tej pory.

- Ile ci jestem winna? - Eden wyciągnęła zwitek banknotów z kieszeni spodni.

- Dwanaście pięćdziesiąt. - Rosa oparła obie ręce na ladzie i popatrzyła z dezaprobatą. - Wiesz przecież, że to DePard zadbał o to, żeby odebrali ci zezwolenia na wypas bydła na państwowej ziemi.

- Domyśliłam się tego. - Eden położyła na kontuarze trzynaście dolarów i czekała na resztę.

- Teraz masz na rancho więcej bydła niż zdołasz wykarmić, a w dodatku nie możesz znaleźć nikogo, kto by je przewiózł na rynek.

- Jak dotąd nie.

- I nikogo takiego nie znajdziesz. DePard już się o to postarał. Zapowiedział wszystkim tutejszym przewoźnikom, że tych, co zajmą się twoim bydłem, on sam nigdy już nie zatrudni.

- Podejrzywałam, że wymyśli coś w tym stylu. - Nie osłabiło to jednak wściekłości, nad którą Eden usiłowała w tej chwili zapanować.

- Każdy dba o własne interesy, a zresztą większość z nich jest przekonana, że długo już u nas nie zabawisz.

- Bardzo się mylą.

Rosa włożyła pieniądze do skrzynki pod ladą.

- Teraz znów mówią, że DePard stara się, żebyś nie miała ludzi do pracy. Bez parobków nie utrzymasz rancza. - Wydała Eden dwie ćwierćdolarówki.

- Jeśli nie uda mi się nająć robotników, ograniczę prace na ranczo tak, żeby sama mogła się z nimi uporać. Setki drobnych ranczerów radzą sobie w ten sposób.

- Niedługo DePard rozkaże, by nikt ci niczego nie sprzedawał - ostrzegła Rosa. - Zacisnął wokół ciebie pętlę i będzie cię dławił dopóty, aż wyrwie cię z tej ziemi.

- Niech próbuje. - Eden zabrała uzdę i buty.

- Ludzie gadają, że jeśli ci się nie uda zawieźć bydła na rynek, to za dwa miesiące nie zostanie na ranczu ani źdźbła trawy.

- Zapomnieli widać, że mam sporą nadwyżkę siana. - Uwzględniając paszę dla bydła, które w zwykłych okolicznościach sprzedawały na jesieni, karmy według Eden mogło starczyć na trzy miesiące - może tydzień więcej, tydzień mniej. A potem... Strach i desperacja ścisnęły ją za gardło. Próbowwała nad nimi zapanować, przekonać samą siebie, że na pewno wymyśli jakieś rozwiązanie, nim nadejdzie ów krytyczny termin.

Rosa spojrzała ukradkiem przez ramię. Na zapleczu młody chłopak w fotelu inwalidzkim siedział przy niskim warsztacie. Przepełniona koszulka uwydatniała potężne mięśnie barków i ramion, które rażąco kontrastowały z cienkimi jak patyki nogami. Upewniwszy się, że młodzieniec nie zwraca uwagi na ich rozmowę, Rosa odwróciła się i pochyliła ku Eden.

- Wiem, kto mógłby przewieźć twoje bydło - powiedziała cicho.

- Kogo masz na myśli?

- Moja siostra Anna ma szwagra, który przewozi bydło różnych ranczerów do Oregonu. Zobaczę się z nim jutro, kiedy odwiezę zamówiony towar do sklepów w Winnemucca. - Rosa wskazała kartonowe pudła pełne pasków i ozdób ze skóry. Sama wyrabiała te drobiazgi i sprzedawała je w sklepach z pamiątkami, położonych przy międzystanowej szosie z Winnemucca do Reno. - Ma dostarczyć przyczepę owiec hodowcy mieszkającemu na wschód od miasta. Anna obiecała, że się z nim zabierze i spotkają się ze mną na lunchu. Mogę mu wspomnieć o tobie.

- Myślisz, że zgodzi się zawieźć moje bydło na tereny targowe?

- Wiem, że zależy mu na zarobku.

- DePard dowie się wcześniej czy później, że szukam przewoźnika bydła w dalszej okolicy - na głos zastanawiała się Eden. - Czy on zna szwagra twojej siostry?

- Bardzo wątpię. Jerry właśnie wystartował w tej branży, więc mało kto o nim wie. - Rosa zawahała się, na jej twarzy odbił się niepokój. - Nie mów nikomu, kto skontaktował cię z Jerryem! Gdyby do DeParda doszło, że ci pomogłam... - Oczy Rosy wpiły się w twarz Eden. - Nie może się o tym dowiedzieć! Przysięgnij, że nie zdradzisz nikomu, że miałam z tym coś wspólnego! DePard jest właścicielem tego domu... i większości sprzętu.

- Wszystko zostanie między nami - przyrzekła Eden. - Gdy się jutro spotkasz z tym twoim szwagrem, powiedz, że mu zapłacę według obowiązującej stawki i że im wcześniej się tu zjawi, tym lepiej. Spędzę bydło do zagrody i przygotuję do załadunku w każdym terminie, który mi poda.

- Zadzwoń do ciebie w piątek rano i dam ci znać, co on na to.

Oparł się o drzwi szoferki, druga zwisała z siedzenia. Krew przesiąkła przez koszulę i przez opatrunek, którym Eden usiłowała zakryć straszną ranę postrzałową w piersi Jeffa. Przy każdym oddechu Eden czuła mdłości spowodowane słodkawą wonią krwi.

„Byle nie przegapić bocznej drogi na ranczo!” - Te wymówione szeptem słowa zabrzmiały jak żarliwa modlitwa. Drżąc na całym ciele, półprzytomna ze strachu Eden wpatrywała się w drogę przed sobą i usiłowała przebić wzrokiem mrok poza zasięgiem reflektorów. Nigdy jeszcze noc nie wydawała się jej tak czarna. „Boże miłosierny, żebym tylko nie przegapiła tej ścieżki!”

Wyrwał się jej głośny jęk, łzy zamglily na chwilę wzrok. Otarła je grzbietem dłoni i mocniej nacisnęła pedał gazu. Pikap skoczył do przodu, natrafił na wybój i niebezpiecznie przechylił się w bok - omal nie wyrwało jej kierownicy z rąk.

Bezwładne ciało Jeffa poleciało do przodu. Eden przytrzymała je jedną ręką; wydawała słabe, rozpaczliwe dźwięki, gdy tak zmagala się z pikapem. Jakimś cudem udało jej się wyjechać na prostą drogę i utrzymać Jeffa na siedzeniu wozu.

Spojrzała na rannego. W przyćmionym, niesamowitym świetle płynącym z deski rozdzielczej twarz Jeffa wydawała się szara, oczy miał zamknięte, z ust nie wydobywał się żaden dźwięk. Eden zdławiała rozpaczliwe łkanie i znów rozejrzała się za boczną drogą.

Na ranczo! Musi dotrzeć na ranczo! Tam był telefon. Tam była pomoc. Nie będzie myśleć o tym, jak stanie oko w oko z dziadkiem i wyjawi mu, co się wydarzyło. Uczepiła się tylko jednej myśli: dziadek będzie wiedział, co robić z raną postrzałową.

Łzy znów napłynęły jej do oczu. Spojrzała na Jeffa szepcząc przez zaciśnięte gardło: „Nie umrzesz! Cholera, nie możesz umrzeć!”

A jednak umarł.

Zanim ta straszna noc dobiegła końca, Eden aresztowano pod zarzutem morderstwa pierwszego stopnia. DePard już o to zadbał.

W jego oczach Eden była przyczyną śmierci brata, którego DePard wychował jak własnego syna, i za to powinna zostać ukarana. Jak najsrożej.

Przez trzy lata prawnych utarczek, które poprzedziły jej proces, DePard rozsiewał zjadliwe pogłoski, że Eden zabiła jego brata w ataku zazdrości, ponieważ przyłapała go z inną dziewczyną. Niektórzy DePardowi wierzyli, inni nie, ale któż miałby odwagę otwarcie mu zaprzeczyć?

Gdy sędziowie przysięgli z odległego Tonopah wrócili z werdyktem uniewinniającym Eden, DePard pomstował na oburzającą pomyłkę sprawiedliwości. Eden miała nadzieję, że pogodzi się on wreszcie z wyrokiem sądu, jednak nadal rozpamiętywał sprawę, a jego ból i gorycz przerodziły się z czasem w zapiekłą nienawiść i nieugaszoną żądzę zemsty.

Czym się to wszystko skończy? - zastanawiała się Eden wjeżdżając na dziedziniec Spur Ranch.

Pustynne wzgórza wznosiły się z tyłu, tworząc naturalną osłonę rancza od przenikliwych zimowych wiatrów. Przebiegał tędy kręty górski strumień, zanim wydostał się na porośłą bylicąprerię. W letnie upały malał do rozmiarów niewielkiej strużki, ale żaden z Rossiterów nie był świadkiem zupełnego wyschnięcia rzeczki - niezwykle uśmiech losu w tym pustynnym regionie, gdzie stały dopływ wody był bezcennym skarbem.

Mijając corrale i niskie przybudówki Eden zmierzała prosto ku domowi wzniesionemu w meksykańskim stylu. Piętrowy budynek kryty falistą blachą obecnie zardzewiała i rudawobrunatną stał w cieniu balsamicznych topoli. Na tle zieleni drzew grube ściany adobe\*[\* Adobe (hiszp.) - z wypalanej na słońcu gliny (przyp. tłum.)] przypominały stary pergamin, który z czasem wyblakł i

stracił gładkość. Drewniane werandy ciągnęły się przez całą szerokość budynku na dwóch poziomach: na parterze i piętrze. Brunatna pustynna ziemia docierała aż do frontowych schodów.

Dom nie był wielki ani imponujący - ot, prosta solidna konstrukcja, budowana tak, by służyła mieszkańcom długie, długie lata. Dla Eden tu właśnie biło serce rancza. Czuła, że jej własne korzenie tkwią równie głęboko w ziemi jak fundamenty rodzinnego domu. Nie mogła sobie nawet wyobrazić rozstania z nim. Nigdy nie uczyni tego z własnej woli!

Stary pies pasterski, australijski owczarek imieniem Cassius wyłonił się z cienia werandy i podbiegł truchcikiem do pikapa, gdy Eden zahamowała przed głównym wejściem. Merdając ogonem pies czekał przy drzwiach od strony kierowcy, aż jego pani wysiadzie. Powitał ją szerokim psim uśmiechem. Na jego łaciatej skórze widniały ślady utarczek z kojotami i innymi szkodnikami, które ośmieliły się wdrzeć na jego teren. Pies był raczej niepozorny: ważył najwyżej dwadzieścia pięć kilogramów, a jego barki znajdowały się w odległości niecałych czterdziestu centymetrów od ziemi - miał jednak w sobie ducha Dawida, gotowego zmierzyć się z każdym Goliatem.

- No, Cas, co dziś porabiałeś? - Eden wysiadła z szoferki i sięgnęła do tyłu po buty i uzdę. - Miałaś ciężki dzień strzegąc naszej twierdzy?

Pies odpowiedział podnieconym skomleniem, a potem stanął jak wryty i tylko zastrzygł uszami w stronę zabezpieczonych siatką drzwi wejściowych. Otworzyły się one pod czymś mocnym pchnięciem i z domu wybiegł Vince, starszy brat Eden. Na jego przystojnej twarzy malował się niepokój.

- Cholera, cieszę się, że już jesteś! Nic ci się nie stało? - schwycił siostrę za ramiona i przytrzymał, oglądając ją od stóp do głów pospiesznie i z obawą.

- Wszystko w najlepszym... - zaczęła, ale Vince zdążył już sam dojść do tego wniosku.

- Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, że to było omal cię nie stratowało? - dopytywał się gniewnie. - Boże święty, mogłaś przecież zginąć!

- Jak się o tym dowiedziałeś?

- Ktoś do mnie zadzwonił kilka minut temu i opowiedział o wszystkim. - Vince puścił siostrę, cofnął się, zerwał z głowy kapelusz i przeczesał ręką gęste, ciemne włosy. - Zdenerwowałem się jak jasna cholera! Jak, do diabła, mogłaś narażać się na takie niebezpieczeństwo?!

- Nie miałam tu nic do gadania. DePard wszystko przygotował - rąbnęła Eden prosto z mostu, po czym dodała ugodowo: - Może powinnam była bardziej uważać, ale miałam inne sprawy na głowie. Tej części generatora wciąż brakuje... sama już nie wiem, jak długo może on jeszcze działać w takim stanie. Nawet by mi nie przyszło do głowy, że DePard poważy się na coś takiego w biały dzień!

- Uparł się, że cię wykończy, Eden - mruknął Vince - i nie popuści, póki mu się to nie uda. Kiedy to wreszcie do ciebie dojdzie?

- Więc co twoim zdaniem powinnam zrobić? - spytała zniecierpliwiona Eden. - Trząść się wiecznie ze strachu, czy może czołgać u jego stóp i błagać o litość?!

- Nie, do cholery! Wynosić się stąd, póki jeszcze jesteś w jednym kawałku!

- Nigdy nie wyrzeknę się Spur Ranch!

- Nie warto z tobą gadać. - Vince wykręcił się na pięcie i odmaszerował. Eden dobrze знаła popędliwość brata, więc zbudziło się w niej nagłe podejrzenie.

- Dokąd się wybierasz, Vince?

- Sprawdzić cysterne przy Fiat Rock - rzucił przez ramię.

- Miałaś to zrobić zaraz po lunchu.

Vince szarpnięciem otworzył drzwi swojego pikapa - wóz był nowiutki, niebieski i błyszczący - a potem wyjaśnił siostrze:

- Prasa do belowania nawaliła. Musiałem zabawić się w mechanika. Znowu działa, ale diabli wiedzą, na jak długo.

Eden zerknął na poźółkłą łąkę, z której właśnie zbierali siano. Znajdowała się tuż za zagrodami dla bydła na terenie zwanym Niecką. Ziemię pokrywały zbite sześciany sprasowanego siana, rozrzucone dość bezładnie. Zgrzyty i stuki wiekowej aparatury dochodziły z odległego krańca łąki. Świadczyły o tym, że maszyna jest na chodzie: zbiera przewiane siano i sprasowuje w mocno ubite bele.

Pikap Vince'a zasłonił Eden widok, gdy brat odjeżdżał spod domu. Cysterna dla bydła w części rancza zwanej Fiat Rock znajdowała się na wschodzie, za równiną porośłą bylicą. Vince skręcił w porytą koleinami drogę, która wiodła w tym kierunku.

Mimo to Eden nadal dręczył niepokój.

Spór o to, czy sprzedać ranczo i wyjechać, czy nie, ciągnął się między nimi już od dawna; kłócili się za każdym razem, gdy Vince pojawiał się na ranczu. Eden była pewna, że gdyby po śmierci dziadka Spur Ranch przeszło w ręce Vince'a, brat z miejsca by je sprzedał. Vince nigdy nie czuł się z ranczem związany. Dla niego było ono wyłącznie źródłem dochodów, z których chętnie korzystał.

Powstrzymując westchnienie Eden zawróciła do domu.

Grube ściany z wypalanej na słońcu cegły sprawiały, że temperatura we wnętrzu była o kilka stopni niższa niż na zewnątrz. Eden zostawiła uzdę przy drzwiach frontowych, buty na schodach wiodących na piętro, przecięła na ukos drewnianą podłogę i weszła do pokoju, który stanowił centrum domu.

Nad jej głową śmigła umieszczonego na suficie wentylatora obracały się bez pośpiechu, poruszając powietrze. Wokół łukowato sklepionego kominka nadal unosił się zapach dymu - ślad po często płonącym tam ogniu. Palenisko było ogromne, nadawało się do upieczenia całego wołu. Przed kominkiem stały grubo wyściełane fotele, obite wypłowiałą, trochę przetartą tkaniną. Na twardych deskach podłogi widniały rysy od ostróg, a wzór na dywanie zbladł, zatarty stopami tych wszystkich, którzy po nim chodzili. Od razu było widać, że to centrum rodzinnego życia, bez pretensji do elegancji. Jednak mimo śladów zniszczenia każdy, kto tu wchodził, czuł się swojsko i wygodnie.

Eden bezwiednie poddała się panującej tu atmosferze. Zdjęła kapelusz i kołysała nim trzymając za rzemyk. Czowała, że jej napięcie słabnie. Nie dała się skusić żadnemu z wielkich foteli i podeszła do starego biurka z żaluzjowym zamknięciem, stojącego w narożnej alkowie; służyła ona za biuro właścicielom rancza.

Wśród panującego na biurku bałaganu wyróżniała się ułożona w porządnym stosiku przybyła dopiero co poczta. Eden oparła się biodrem o kant biurka i przejrzała kilka listów, liczne rachunki i zbieraninę ulotek reklamowych. Nie znalazła nic ważnego i odłożyła wszystko z powrotem.

Zamierzała już odejść, ale wzrok jej padł na wiszący na ścianie portret w owalnej ramie. Osłonięta szklaną taflą fotografia przedstawiała kobietę około czterdziestki, ubraną w długą, rozciętą spódnicę do konnej jazdy, wełniany żakiet, kapelusz z płaskim denkiem i zakurzone wysokie buty. Szczupłe biodra otaczał pas z przytroczoną bronią. Sportretowana trzymała za cugle wielkiego, długonogiego konia. Twarz kobiety była ogorzala, rysy jakby stwardniałe - tak wyglądają ludzie przez całe lata wystawieni na działanie wiatru i słońca. Było w niej coś szlachetnego; mogłaby nawet uchodzić za piękność, gdyby nie to, że przede wszystkim była w oczu jej nieugięta wola i

determinacja.

Tło portretu stanowiły ceglane ściany i drewniana weranda domu Rossiterów w Spur Ranch.

Eden długo wpatrywała się w fotografię swojej prababki, Kate Rossiter, która przybyła na Dziki Zachód jako piętnastoletnia, dopiero co poślubiona mężatka, i ostatecznie doprowadziła ranczo do rozkwitu - przy minimalnej pomocy wiecznie nieobecnego małżonka.

- Chyba Vince wdał się w twojego Daniela, babciu. Nic, tylko goni za mrzonkami o wielkiej fortunie - szepnęła Eden ze znużeniem i rezygnacją w głosie.

Złoto, srebro, miedź - wszystko było równie kuszące dla Daniela Rossitera. Ilekroć dotarła do niego wieść, że komuś udało się zbić fortunę, sam wyruszał na jej poszukiwanie. Znikał na długie miesiące, niekiedy nawet lata, zostawiając ranczo na głowie Kate.

Vince wrócił do rodzinnego domu, ale Eden - podobnie jak jej prababka - nie łudziła się, że brat zostanie tu na dobre. Musiała prowadzić swą walkę z DePardem samotnie.

Po wysypanej żwirem drodze jechał ford bronco na czele niewielkiej kawalkady pikapów ciągnących przyczepy do przewozu zwierząt. Samochód zwolnił przy jednej z bram na ranczo Diamond D, a jadące za nim ciężarówki uczyniły to samo.

W przyczepach stały osiodłane konie, z nogami unieruchomionymi dla zminimalizowania przykrych konsekwencji wstrząsów. Na ciałach zwierząt powoli zasychał pot - skutek ciężkiej całodzienniej pracy.

Duke DePard siedział w bronco obok kierowcy; przez boczne okno wpatrywał się w przestrzeń niewidzącym wzrokiem. Samochód prowadził czterdziestoletni Matt Sheehan, pełniący od piętnastu lat funkcję nadzorcy bydła na Diamond D i uważany tam za „drugiego po Bogu”, czyli po siedzącym obok niego Duke'u.

Z tyłu jechał Rick Davis, chłopak prawie już czternastoletni, zmęczony i zlany potem. Czuł, że boli go każdy miesiąc. Nie był przyzwyczajony do wielogodzinnej harówki w siodle - przepędzania bydła z jednego sektora rancza do drugiego. Równocześnie jednak chłopca przepełniało radosne uniesienie, wobec którego wszelkie dolegliwości fizyczne wydawały się czymś bez znaczenia.

Rick przypominał sobie wszystkie wydarzenia minionego dnia. Nie myślał jednak o upale, kurzu i monotonnej harówce; powracał pamięcią do najbardziej dramatycznych epizodów, takich jak chwila, gdy młody byczek wyrwał się i chciał uciec na prerię, a on, Rick, puścił się za nim w pogoń zmuszając konia biczem do galopu. Rick przeskakiwał przez wysokie kępy bylicy, zapuszczał się do wnętrza wąwozów, czuł pod sobą dudnienie końskich kopyt; każdy nieopatrzny krok groził wypadkiem, serce nieraz podchodziło mu do gardła, a gwałtowny przyływ adrenaliny odczuwał nawet wówczas, gdy zapędził już zbiega do stada. Albo ten moment, gdy z krzaków tuż przed nosem jego wierzchowca wyskoczyła nagle przepiórka i koń o mały włos go nie zrzucił, szalejąc jak dziki mustang na rodeo - Rick jednak utrzymał się w siodle, nawet noga nie wypadła mu ze strzemienia.

Ricka dosłownie rozsadzały te przeżycia i chętnie mówiłby o nich bez końca; jedynie obawa, że DePard uznałby go wówczas za „miejskiego frajera”, zamykała chłopcu usta. Opinia Duke'a DeParda miała dla Ricka wyjątkowe znaczenie. Duke był najważniejszy w całej okolicy, najbogatszy, no i najmądrzejszy.

Kiedy ford przemknął między dwoma bliźniaczymi kamiennymi słupami, ustawionymi przy wjeździe na ranczo, Duke DePard przerwał wreszcie milczenie, które towarzyszyło im przez wiele mil.

- Zawiadom ich, że już jedziemy. Jeśli Harve otrzymał jakieś nowe wieści, niech je przekaże do



domu.

- W porządku. - Sheehan wziął do ręki mikrofon i powtórzył polecenie.

Obserwując go Rick myślał o ustawionych w strategicznych punktach wieżyczkach, które łączyły najodleglejsze zakątki rancza z jego centralą. Było to nie byle jakie osiągnięcie, skoro ranczo Diamond D zajmowało powierzchnię dwóch i pół miliona akrów; istna szachownica gospodarstw prywatnych dzierżawców, stanowych wypasów i gruntów zajętych pod budowę kolei.

Właśnie taka przyszłościowa strategia DeParda wzbudzała w Ricku najwyższy podziw. Duke bez oporów stosował najnowszą technologię i nowoczesne metody, zwiększające wydajność i w ostatecznym rozrachunku podwajające zyski. Komputery zapewniały mu tygodniowe raporty o wzroście wagi bydła we wprowadzonym przez niego programie hodowlanym; wyliczały też dokładnie przychody i rozchody rancza. Dzięki samolotom i helikopterom zmalała liczba godzin spędzanych w siodle podczas wiosennych i jesiennych przeglądów bydła; umożliwiały one również DePardowi sprawdzanie na bieżąco warunków terenowych i stanu zbiorników wodnych. Dzięki telewizji satelitarnej Duke był świetnie zorientowany w najnowszych tendencjach rynkowych i mógł uczestniczyć w aukcjach bydłych nie opuszczając swojego rancza.

Równocześnie jednak DePard żył zgodnie z uświęconą tradycją Dzikiego Zachodu. Żądał od swojego otoczenia absolutnej lojalności - i odwzajemniał się tym samym. Gdy raz dał komuś słowo, zawsze go dotrzymywał; oczekiwał też, że inni będą postępować tak samo. Jeśli ktoś złamał dane słowo, dla DeParda przestawał istnieć. Duke wierzył też, że rodziny i dobrego imienia należy bronić za wszelką cenę i że nie wolno puścić płazem nawet najmniejszej zniewagi. Rick podziwiał także i tę cechę Duke'a, choć raczej nie przyznałby się do tego w gronie rówieśników.

Polna droga, po której jechali, wiodła prosto do zwartej grupy zabudowań i corrali, u podnóża mesy - wysokiego skalistego płaskowyzu o urwistych stokach. Tu właśnie znajdowało się centrum rancza Diamond D; dobrze utrzymane stajnie i stodoły, szopy, magazyny, ogólna jadalnia i kwatery pracowników tego olbrzymiego i świetnie prosperującego gospodarstwa.

Z tyłu za budynkami inna droga przecinała zbocze mesy pnąc się na sam szczyt. Sheehan pojechał tamtędy, podczas gdy reszta wozów zawróciła ku stajniom. Na szczycie mesy droga rozdwajała się: jeden szlak prowadził w stronę prywatnego lotniska z metalowym hangarem i lądowiskiem dla helikopterów, drugi zaś skręcał do domu właściciela rancza. Był to długi, niski, obszerny budynek, wzniesiony z drewna, szkła i kamienia, ozdobiony z trzech stron gankami. Sheehan skierował forda do domu i zatrzymał wóz tuż przy wykładanej kamiennymi płytami alejce, prowadzącej do frontowych drzwi.

Rick pozostał nieco w tyle, gdy wysiadali z samochodu. Obolałe mięśnie ud i pośladków gwałtownie protestowały przy każdym ruchu. DePard obrzucił go domyślnym spojrzeniem, gdy chłopiec wreszcie dołączył do nich.

- Trochę zeszywniałeś, co? - zauważył Duke i skrzywił usta w cynicznym uśmiechu.

- Nie ma o czym mówić. - Rick zdobył się na lekceważący gest prawdziwego macho i starał się iść normalnym krokiem, gdy DePard i Sheehan skierowali się ku frontowym drzwiom.

- Nieźle się dziś spisałeś. - DePard rzucił pochwałę od niechcienia, zupełnie jakby poklepał z roztargnieniem łaszącego się psa.

Była to skąpa pochwała, ale Rick aż poczerwieniał z radości. Chłopak wychowany bez ojca tęsknił za aprobatą jakiegoś dorosłego mężczyzny, a żadnego z nich nie podziwiał tak jak Duke'a DeParda. Przepelniony radością wszedł za nim i Sheehanem do domu.

Tupot ich butów i brzęk ostróg rozbrzmiały echem w przestronnym wnętrzu. DePard poprowadził ich mijając nieco niżej położony salon do narożnego gabinetu, skąd zawiadywał całodzielną działalnością. Wszedłszy do środka Duke skierował się od razu do baru wbudowanego w ścianę obok kamiennego kominka.

- Napij się coli, synu? - Otworzył niewielką lodówkę w sąsiedztwie baru.

- Jasne, bardzo dziękuję.

DePard postawił na blacie puszkę zimnej coli, wyjął z tylnej półki dwie szklaneczki i napełnił kostkami lodu. Mart Sheehan oparł się o bar; zdawał się nie dostrzegać, jak chłopak bierze puszkę, otwiera i pociąga potężny łyk, po czym wraca na środek pokoju. Kątem oka Sheehan dojrzał, że Rick zatrzymał się przy fotografiach wiszących na ścianie.

Na wszystkich widniała zuchowata, przystojna twarz dawno zmarłego brata Duke'a, Jeffa. Charakterystyczne rysy DePardów przeważały na tej dość grubo ciosanej twarzy o mocnej, kwadratowej szczęce. W oczach błyszczała zuchwałość i przekora, uśmiech - nieco bezczelny - miał nieodparty urok. Bez wątplenia z Jeffa był istny czort z piekła rodem i niepoprawny czaruś, ale zapowiadał się na świetnego sportowca, wyróżniał się też jako student. Chodziły słuchy, że Duke przygotowuje braciszka do kariery politycznej. Niektórzy gotowi byli założyć się, że Jeff DePard zostanie pewnego dnia najmłodszym gubernatorem stanu Nevada.

Sheehan obojętnie przyglądał się wiszącym na ścianie fotografiom. Od Bóg wie ilu lat nie był w żadnym kościele, ale teraz miał nieodparte wrażenie, że znaj - duje się we wnętrzu jakiejś świątyni. Tylko gromnic brakowało.

Kostki lodu uderzały o ściany szklaneczki, którą podał Sheehanowi DePard. Do swojej whisky dodał wody. Sheehan uniósł kieliszek w milczącym toaście, a potem wypił łyk whisky i poczuł, jak ognistą strużką spływa mu do gardła.

- Dobrze spłukuje kurz - zauważył.

- Tak też myślałem. - DePard wyszedł z baru ze swoim drinkiem. Chłopak odwrócił się od fotografii z nagłym zmieszeniem, które usiłował zamaskować dużym haustem coli. Sheehan rzucił mu taksujące spojrzenie.

Od lat krążyły plotki, że Rick jest nieślubnym synem Jeffa DeParda. Podsycalo je zainteresowanie okazywane przez Duke'a zarówno chłopcu, jak jego matce, Starr Davis.

Jednak zainteresowanie DeParda ekspiosenkarką dało się wytłumaczyć znacznie prościej: ostatecznie Duke był kawalerem, a Starr atrakcyjną kobietą, dobrze znającą wszystkie sztuczki matki Ewy. Nigdy jednak nie wspominała ojca Ricka, nie zdradziła, kto nim był ani skąd pochodził. Sheehan zastanawiał się, czy i chłopiec także nic o nim nie wie.

Staral się dojrzeć jakieś podobieństwo, nie widział jednak w chłopcu ani jednej cechy DePardów. Rick miał wystające kości policzkowe i ostry podbródek swojej matki. To jednak nie dawało żadnej gwarancji, że nie był bękartem Jeffa.

DePard położył chłopcu rękę na ramieniu.

- Muszę omówić z Sheehanem kilka spraw. Może byś wziął prysznic i przebrał się? Starr nie będzie zachwycona, jeśli odwiozę cię w takim stanie jak teraz!

- Chyba nie. - Chłopak zdobył się na uśmiech, ale widać było, że z wielkim żalem opuszcza gabinet. Colę zabiał ze sobą.

DePard patrzył za odchodzącym.

- Rick świetnie się dziś spisał - zauważył, gdy dzieciak nie mógł go już usłyszeć.

Sheehan zrozumiał, że ta uwaga odnosi się do incydentu na ulicy, gdy chłopak wystąpił gwałtownie w jego obronie podczas konfrontacji z Eden Rossiter i jej wybawcą.

- Fatalnie, że przyplątał się ten obcy - zauważył Sheehan. - Gdyby się nie wtrącił, pozbyłbyś się pan tej Rossiter raz na zawsze.

- Wiem. - Gorycz i tłumiony gniew wykrzywiły usta DeParda.

- Postąpił pan z nim zbyt łagodnie, szefie. - Sheehan nigdy nie mówił po imieniu swój emu pracodawcy. Wiedział, że Duke nie życzy sobie poufałości. Przez te wszystkie lata Sheehan zdążył go poznać na wylot i bardzo uważał, by nigdy nie zadrasnąć jego nieumiarkowanej dumy. Jeśli DePard chciał uchodzić za władcę całej okolicy, Sheehan nie miał nic przeciwko temu. Jako prawa ręka króla on także rósł w potęgę, a Sheehan władzę lubił.

- Połowa miasta gapiała się na nas. Nie miałem wyboru. - DePard wypił spory łyk whisky, jakby chciał się pozbyć przykrego smaku w ustach.

- Widząc pańską wyrozumiałość niektórzy pewnie dojdą do wniosku, że i oni mogą sobie pozwolić na udzielanie pomocy tej Rossiter. - Sheehan nie spuścił oczu pod zimnym, ponurym spojrzeniem DeParda. - Fatalnie, gdyby się to zdarzyło akurat teraz, kiedy ma ją pan już prawie w garści!

- Nie radzę nikomu wpaść na podobny pomysł! - warknął DePard. - Jeśli ktoś ośmieli się jej pomóc, gorzko tego pożałuje!

Sheehan skinął potakująco głową i znów pociągnął whisky, pozwalając DePardowi wyrzucić z siebie gniew.

- Myślę, szefie, że powinien ich pan zastraszyć. Od jakiegoś czasu pan ich po prostu przytłacza - a trudno się spodziewać, że ludzie to polubią. Prędzej czy później ktoś zechce się na panu odegrać. Moja rola polega także na tym, by utrzymać wszystkich w ryzach. Diamond D jest zbyt wielkie i kierowane zbyt mocną ręką, by wzbudzać w okolicy zyczliwość. Ludzie mają dobrą pamięć. Mam wrażenie, że przyszła pora na demonstrację siły.

- Zrobię to - oświadczył DePard - kiedy sam uznam za stosowne. Nie czas na jakiś nierozważny krok. Mógłby się okazać nieopłacalny na dłuższą metę.

- Pan wie najlepiej, szefie. - Sheehan nie zgadzał się z nim do końca. Doradził mu, co uznał za stosowne, DePard wysłuchał go i podjął własną decyzję, Sheehan zaakceptował ją i zmienił temat: przeszli do omawiania planu pracy na następny dzień.

Para z gorącego prysznicza przyłgnęła do lustra i skropliła się na szkło. Małe wodne perełki ześlizgiwały się po gładkiej powierzchni. Rick Davis podszedł do lustra i przez chwilę wpatrywał się we własne odbicie: twarz była wyszorowana do czysta z kurzu i potu, zaczerwieniona od słońca na nosie i policzkach. Przesunął dłonią po szczęce, łudząc się, że poczuje miękki puszek zarostu. Niczego jednak nie odkrył i westchnął z rozczarowaniem; na koniec porządnie uczesał wilgotne włosy.

Gdy uporał się z fryzurą, miał już odłożyć grzebień, ale się rozmyślił i przytknął go do górnej wargi, żeby przekonać się, jak wyglądałby z wąsami. Nie mógł sobie jakoś tego wyobrazić. Wzruszył ramionami, a odbicie powtórzyło ten ruch. Ulegając kolejnej zachciance, Rick podwinął rękaw czystej koszulki i uniósł ramię, zaciskając pięść i napinając mięśnie. Biceps wyraźnie się zaznaczył, ale mniej potężny niż u dorosłego mężczyzny. Na przykład DeParda.

Jeszcze nie czas - powiedział sobie Rick i odwrócił się od lustra.

Brudne ubranie leżało porzucone na kafelkach podłogi. Rick podniósł je, dumny, że poczuł ostrą

woń potu: było to świadectwo ciężkiej pracy. Zaniósł swoje rzeczy do gościnnego pokoju, który zajmował, ilekroć spędzał noc na ranczo. W myśli nazywał go „swoim pokojem”.

Rick od dawna marzył potajemnie o tym, że jego matka wyjdzie za DeParda i że przeniosą się tu na dobre. Nie bardzo na to wyglądało, ale zawsze mógł się łudzić nadzieją, znacznie żywszą wówczas, gdy widział oboje razem.

Rick od lat nie dopytywał się już o swojego ojca. Żeby nie wiem jak często zadawał matce to pytanie, nigdy mu wyraźnie nie odpowiedziała. Nie wiedział absolutnie nic o tym, kto go spłodził, nie znał nawet jego imienia.

Słyszał plotki o tym, że jest nieślubnym synem Jeffa DeParda. Bał się jednak o to spytać: nie chciał usłyszeć, że to nieprawda. Bardzo pragnął być DePardem, a dzięki tej plotce mógł wmawiać sobie, że jest nim rzeczywiście.

Wetknął brudne ubranie do płóciennej torby, w której była reszta jego rzeczy, zasunął zamek i ustawił torbę przy drzwiach. Czyściutki i gotowy do wyjścia, poszedł sprawdzić, czy Duke w dalszym ciągu naradza się z nadzorcą.

Chłopiec był już w połowie korytarza, gdy zadzwieczał dzwonek u drzwi, szarpnięty niecierpliwą ręką. Na tle przenikliwego brzęku dało się słyszeć człapanie sandałów gospodyni, gdy spieszyła przez wykładany płytkami korytarz, by wpuścić gościa.

Ciężkie drzwi frontowe z mahoniu otworzyły się do wewnątrz, pociągnięte pulchną ręką gospodyni. Oczy Ricka zaokrągliły się ze zdumienia, gdy Vince Rossiter wyminął pędem gosposię, pokrzykując gniewnie:

- Gdzie do cholery jest DePard? Muszę z nim mówić!

Nie czekając na odpowiedź Vince pognął w stronę gabinetu. Rick podkradł się bliżej, raczej z ciekawości niż z obawy. Wiedział, że Duke poradzi sobie z bratem Eden Rossiter. Zresztą był z nim także Sheehan - chłopiec zauważył go, gdy nadzorca próbował zagrozić drogę Rossiterowi. Ludzie mówili, że Sheehan ma wredny charakter, i Rick im wierzył. Na sam widok wstrętnego znamienia na twarzy Matta chłopcu przechodziły po plecach ciarki.

Vince Rossiter zignorował Sheehana, stanął przed DePardem i spojrzał mu prosto w twarz; aż trząśnięcie z wściekłości.

- Posunąłeś się za daleko, DePard! - oświadczył. - Moja siostra omal nie zginęła dziś po południu z twojej winy!

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. - Duke DePard był całkiem spokojny, prawie rozbawiony.

- Gówno prawda! - zagrmiał Vince. - Ostrzegam cię! Jeśli stanie się jej coś złego, miej się lepiej na baczności, bo cię na pewno dopadnę!

Na znak Duke'a nadzorca podszedł do drzwi gabinetu i zamknął je. Rick nie słyszał już, o czym tam mówią. Dobiegał go tylko szmer głosów; od czasu do czasu Rossiter gniewnie coś pokrzykiwał. Wkrótce i te odgłosy ucichły.

- Co się tam działo?

Odświeżony trzygodziną drzemką, gorącym prysznicem i zmianą ubrania Kincade zszedł z pięterka z kluczem do swego pokoju w kieszeni. U podnóża schodów skręcił w kierunku kasyna.

Na ekranie telewizora ustawionego na barze leciała powtórka dawnego programu Andy'ego Griffitha; obraz był zamazany z powodu starego nagrania i nie najlepszego odbiornika. Żaden z bywalców „Lucky Starr” - było ich w tej chwili może z pół tuzina - nie oglądał programu. Kilku podniosło głowy, gdy wszedł Kincade, ale szybko odwracali wzrok, przejawiając gwałtowne

zainteresowanie czymś innym.

Tylko Starr Davis powitała wchodzącego uśmiechem. Miała na sobie prostą, dopasowaną u góry i rozszerzającą się ku dołowi suknię w czarne kwiaty, która falowała wokół jej nóg, gdy Starr podeszła do Kincade'a pełnym wdzięku, rozkołysanym krokiem, wyrażając uśmiechem zadowolenie z jego przybycia.

- Bałam się już, że masz zamiar spędzić cały wieczór w swoim pokoju...i to sam - powiedziała na powitanie.

- Mowy nie ma - odparł Kincade z przyjaznym, lekko kpiącym uśmiechem; jego wzrok przesunął się po głębokim dekolcie i długim rzędkiem małych guziczków na przodzie sukni.

- Ogoliłeś się. - Starr dotknęła go, bo miała na to wyraźną ochotę; przesunęła palcami po gładkim policzku. Poczowała ciepło skóry i mocny, zdecydowanie męski zapach.

- Był już najwyższy czas. - Podobnie jak na prysznic i drzemkę, mógł dodać Kincade, ale nie wspomniał o tym. - Chciałem sprawdzić, czy mój wóz już gotów, ale zobaczyłem z okna, że warsztaty zamknięte.

- Nie dziwi mnie to. Hoague przeważnie zamyka koło piątej. Lepiej usiądź i napij się czegoś - zachęciła go. Wsunęła mu rękę pod ramię i podprowadziła do wolnego stolika. - Hoague wpadnie tu później. Zawsze się zjawia.

- Wolno zaprosić właścicielkę lokalu na małego drinka? - Kincade wskazał wolne krzesło i uniósł brew, czekając na decyzję Starr.

- Oczywiście, że wolno - odparła z ujmującym, gardłowym śmiechem - ale dziś nie mam na to czasu.

- Szkoda - odparł.

- I ja tak myślę. - Żal w jej oczach wyglądał na szczery. - Co ci podać?

- Piwo. - Kincade usiadł twarzą do drzwi wejściowych.

Kiedy Starr wracała z piwem, rudowłosy kowboj, Rusty Smith, wszedł na salę, dostrzegł Kincade'a i podszedł do niego.

- Mogę się przysiąść?

- Jasne. - Kincade ruchem głowy wskazał mu wolne krzesło.

- Dzięki. Chyba też się napiję piwa - zwrócił się do Starr, przysunął sobie krzesło i usiadł. - Pokręciłem się po mieście. Nie zajęło mi to zbyt wiele czasu. Wygląda na to, że ludzie tu nie przepadają za obcymi. I cholernie są małomówni.

- W małych miasteczkach przeważnie trzyma się gębę na kłódkę, zwłaszcza gdy jakiś obcy zaczyna wszystkich brać na spytaki.

- Na kłódkę? - Rusty najwyraźniej nie zgadzał się z tym określeniem. - Po mojemu to raczej pancerna kasa! Jak spytasz o godzinę, to ci ktoś odburknie. Więcej z nich nie wyciągniesz.

Ta uwaga nie wymagała odpowiedzi, toteż Kincade nie odezwał się, tylko skinął głową. Ale Rusty Smith był najwyraźniej gadułą. Paplał bez przerwy pijąc pierwsze piwo i nie zastopował przy drugim. Kincade słuchał jednym uchem. Rozluźnił się i wygodnie usadowił, jego oczy pozostały jednak czujne. Z pozorną niedbałością obserwował wchodzących i wychodzących z lokalu frontowymi drzwiami.

Gdy do sali wszedł zamaszystym krokiem kowboj, Kincade przyjrzał mu się uważnie. Przybysz nosił kapelusz z dużym rondem, opuszczonym z przodu. Szyję otaczała mu szeroka chusta z białego jedwabiu z węzłem z tyłu; z przodu jej końce opadały na koszulę. Na nowiutkie, sztywne levisy

założył krótkie skórzane spodnie do konnej jazdy, tak zwane czapsy. Ostrogi ozdabiały wielkie meksykańskie kółka i wisiorki, które melodyjnie podzwaniały przy każdym kroku.

- To ci dopiero prawdziwy buckaroo - zauważył Kincade. To określenie wywodziło się od hiszpańskiego słowa vaquero i było w użyciu, zanim jeszcze zaczęto ogólnie stosować termin „kowboj”. Niegdyś każde z tych słów oznaczało ludzi różniących się od siebie strojem, ekwipunkiem i metodami pracy, choć wykonywali tę samą funkcję. Z czasem jednak ubiór, sprzęt i metody pracy ujednoliciły się nie dostrzegano już różnicy pomiędzy kowbojem a buckaroo, a określeń tych zaczęto używać zamiennie.

Rusty Smith obejrzał przybysza od stóp do głów, a w oczach zabłyśły mu złośliwe iskierki.

- Mam nadzieję, że facet nie zapomina zdjąć tych cacanych ostróg, zanim przykucnie.

- Trafiłeś w sedno - odparł Kincade, a kąciki jego ust uniosły się w sardonicznym uśmiechu.

Rusty zachichotał.

- Ależ to Audie Hayes! - zawołała Starr Davis na widok nowo przybyłego. - Ty cholerny przystojniaku, skąd się tu wzięłeś? Przecież dziś nie sobota!

- Zaraz ci opowiem, jak to się stało. - Przybysz stanął przed Starr, zsunął kapelusz na tył głowy i zrobił poważną minę. - Byłem w zeszłym miesiącu w Winnemucca i zauważyłem faceta w turystycznej przyczepie z rejestracją stanu Iowa. Z tyłu na zderzaku przykleił taki napis: „Uściskałeś dziś swoje dzieciaki?” To mi dało do myślenia. Im dłużej myślałem, tym bardziej robiło mi się markotno, że od dawna nikt mnie nie ścisnął. No więc wybrałem się do Friendly na zimne piwo i gorące uściski.

Uśmiechnął się szeroko i chciał objąć Starr. Spojrzała na niego i potrząsnęła głową, wyraźnie rozbawiona tą zaczepką.

- O zimne piwo ci się postaram - obiecała i skinęła na Roya, by utoczył kufelek. - Ale reszty szukaj gdzie indziej.

Inni klienci lokalu, rozbawieni, wymienili między sobą spojrzenia i kiwali głowami - widać było, że Starr zareagowała dokładnie tak, jak się tego po niej spodziewali.

- Wydaje mi się, że ta babka może wybierać i przebierać we wszystkich chłopach w mieście - zauważył Rusty z odrobiną żalu.

Kincade przypomniał sobie rozmowę ze Starr po utarczce z DePardem.

- Mam wrażenie, że już wybrała.

- Mnie się też tak widzi - odparł Rusty i pociągnął znowu piwa. Starr podeszła do ich stolika.

- Jak wam smakuje piwo? - Obrzuciła wzrokiem prawie puste kufle. - Chcecie jeszcze po jednym?

- Mam na razie dość - Rusty odchylił się z krzesłem do tyłu i pogładził się po brzuchu. - Muszę napełnić sobie żołądek jakimś żarciem, zanim wleję w siebie następne piwo.

- Ja też - stwierdził Kincade.

- Wobec tego... - Starr zwróciła się w stronę baru. - Roy, pokaż gościom menu! - Obdarzyła Kincade'a przelotnym uśmiechem i odeszła od stolika; mijając go przesunęła jeszcze ręką po jego ramieniu.

Roy wychynął zza baru i podszedł do nich z dwoma egzemplarzami foliowanego menu, mrużąc przez całą drogę pod nosem. Bez ceremonii rzucił im jadłospisy na stół.

- W dalszym ciągu nie ma dań z grilla - zastrzegł się i odmaszerował.

- Uroczy facet - mruknął Kincade i obejrzał się na drzwi frontowe: Hoague Miller właśnie



wepchnął przez nie swoje potężne cielsko i wtoczył się do sali. Na widok Kincade'a stracił humor.

- Czy przewód chłodnicy w moim wozie już naprawiony?

- A jakże, naprawiłem go. - Hoague spojrział na niego zimno i niechętnie. - Ale warsztat już zamknięty i otworzę go dopiero jutro o siódmej rano. Możesz wtedy przyjść i zapłacić za naprawę, to oddam ci wóz.

Coś w postawie Hoague'a wyraźnie mówiło, że jest gotów do kłótni z Kincade'em, ale ten nie zamierzał się z nim sprzeczać. Odparł sucho:

- Nie będę ci zakłócać zasłużonego wypoczynku. Zjawię się rano koło siódmej.

Hoague Miller poszedł w stronę baru. Mimo ociążałego cielska kroczył niezwykle buńczucznie. Przysiadł się do kilku kumpli. Wszyscy uśmiechnęli się z aprobatą; Hoague pokazał temu przybłądzie, kto tu rządzi! Kilku obejrzało się z pogardą na Kincade'a, który nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi i zagłębił się w menu.

Godzinę później, po posiłku, Kincade rozsiadł się wygodnie i wyjął z kieszonki na piersiach następne cygaro, długie i cienkie. Przypalił je zapalką i zdmuchnął płomyk, zanim wrzucił ją do plastikowej popielniczki na stole.

Stukot ciężkich butów i skrzyp drzwi frontowych oznajmiły o przybyciu następnych gości. Spojrzenie Kincade'a powędrowało w stronę wchodzącej trójki; najpierw zwrócił uwagę na wyrostka, który szybko odłączył się od pozostałych.

- Cześć, mamuśka! Już jestem - zwrócił się do Starr Davis, która wyszła na ich powitanie.

- Najwyższy czas. - Spojrzała na syna z macierzyńską dumą i zachwytem. Chłopak zapowiadał się na potężnego mężczyznę: już teraz przewyższał matkę o dobre dwa cale. Starr wyciągnęła rękę i odgarnęła pasemko włosów z jego skroni. Posłużyła się tym pretekstem, by go dotknąć. To było jej dziecko. Jej jedyny skarb. Pragnęła zapewnić mu wszystko co najlepsze, choćby miało ją to Bóg wie ile kosztować. - Zaczęłam już się zastanawiać, gdzie ty się podział!

- No... - chłopak obejrzał się na swoich towarzyszy, a potem znów zwrócił się do matki. Chciał natychmiast opowiedzieć jej o wszystkich wydarzeniach dnia, walczył jednak ze sobą, by okazać godną mężczyzny powściągliwość. - Bylibyśmy tu wcześniej, ale strasznie się ubrudziliśmy i Duke powiedział, że lepiej się przedtem umyć.

- I słusznie - Starr uśmiechnęła się z aprobatą, podziwiając schludny wygląd syna, a następnie podobnym uśmiechem powitała Duke'a DeParda, który się do nich przyłączył.

W szykownym kowbojskim stroju, z siwymi włosami gładko przyczesanymi pod czarnym kapeluszem, Duke DePard wyglądał w każdym calu na wielkiego ranczera.

- Twój syn będzie miał dziś z pewnością apetyt godny prawdziwego mężczyzny!

- A ty? - intymny ton głosu i pełne żaru spojrzenie Starr sprawiły, że niewinny zwrot nabrał całkiem nowego znaczenia.

DePard zaśmiał się z cicha, rad z jej pomysłowej sztuczki, by wzbudzić w nim pożądanie. Przy Starr zawsze czuł się pobudliwy jak młody byczek, mimo swoich lat.

- Chyba zawsze miałem potężny apetyt - oświadczył z nutką przechwałki.

- To dobrze. - W uśmiechu jej zdążył wyczytać milczącą obietnicę, zanim Starr zwróciła się znów do syna. - Może byś zaniósł te rzeczy do swojego pokoju, Rick? - wskazała ręką na płócienną torbę, którą dźwigał. - A potem zejdziesz i dotrzymasz nam towarzystwa przy stole.

- Dobra. - Rick odszedł z ociąganiem, kiedy jednak wszedł na schody, nabrał rozpędu i przeskakiwał po dwa stopnie na raz.

- Chodźmy. - Starr włożyła DePardowi rękę pod ramię i objęła je obiema dłońmi, jak to czynią zakochani. - Nasz stolik już przygotowany.

Z premedytacją nie zaprosiła słowem ani gestem Sheehana, żeby się do nich przyłączył. Nadzorca bywała na Diamond D czaił się jednak w pobliżu jak złowróźbny cień. DePard spojrział w jego stronę znacznie przychylniejszym okiem niż jego partnerka.

- Idziesz z nami, Sheehan - oznajmił tonem nie znoszącym sprzeciwu. Nadzorca dostrzegł jednak Kincade'a i wskazał go DePardowi ruchem głowy. W jego oczach błysnęła wrogość. DePard odwrócił się w tamtą stronę. Rozpoznał nieznanego. Twarz ranczera przybrała odpychający wyraz. Rzucił Starr oskarżycielskie spojrzenie.

- Nie powinnaś tu wpuszczać byle kogo. Pospiesznie i nerwowo starała się go udobruchać.

- Ależ, Duke... - zaczęła.

Strząsnął z siebie jej rękę i podszedł prosto do stolika obcego. W lokalu zapanowała nagle cisza i oczy wszystkich zwróciły się w tamtą stronę w pełnym napięcia oczekiwaniu.

- Jeszcze tu jesteś? - spytał groźnie DePard.

Bynajmniej nie przestraszony Kincade uniósł głowę i wypuścił z ust obłoczek dymu.

- W moim pikapie pękł przewód chłodnicy. Musiałem oddać wóz do naprawy. - Spojrział na DeParda kpiąco. - Podobno będzie gotowy jutro rano.

DePard odwrócił się popędliwie. Zanim jego badawcze spojrzenie odszukało wśród zebranych Hoague'a Millera, ten zerwał się na nogi i z niezwykłym u takiego grubasa pośpiechem podbiegł ku niemu. Spoglądał niepewnie na DeParda i szukał czegoś w bocznej kieszeni kombinezона.

- Zreperowałem przewód już po południu, panie DePard. Tu mam kluczyki od wozu. - Wyjął je z kieszeni i popchnął po stole w stronę Kincade'a. - Twój pikap jest zaparkowany przed garażem. Możesz go odebrać w każdej chwili.

DePard przeszył znów Kincade'a wrogim spojrzeniem.

- No właśnie. Nie masz już powodu, by dłużej tu popasać.

Z cieniem uśmiechu w kącikach ust Kincade wziął kluczyki do ręki i pobrzękiwał nimi.

- Opłaciłem już nocleg w tym hotelu. Czemu miałbym z niego rezygnować? W całej sali rozległy się szepty pełne oburzenia. Nikt jeszcze nie ośmielił się sprzeciwić DePardowi! Sam Duke był równie zaskoczony jak rozgniewany. Ktoś podważył jego autorytet - nie wolno czegoś podobnego tolerować! Świadom, że obserwuje go tłum widzów, DePard przybrał maskę doskonałej obojętności.

- Nie upierałbym się, żeby zostać tam, gdzie mnie sobie nie życzą - powiedział z utajoną groźbą.

- Tak sobie właśnie myślałem - przytaknął Kincade leniwie przeciągając sylaby. Ta riposta wywołała jeszcze większe zdumienie.

DeParda ogarnął gniew, gwałtowny i wściekły. Musiał użyć całej siły woli, by go pohamować. Za każdym razem przegrywał w słownej utarczce z nieznanym - i zdawał sobie z tego sprawę. Chcąc się na kimś odegrać, DePard rzucił ostre spojrzenie na rudowłosego kowboja, który siedział przyjednym stoliku z Kincade'em.

- Przyjechałeś razem z nim? Rusty cofnął się, zaskoczony. - Ja?

- Rusty miał pecha. Przybył do Friendly prawie równocześnie ze mną - wtrącił Kincade. - Ot, dwóch nieznanomych w obcym mieście postanowiło spędzić wolny wieczór przy piwie i pogawędce.

Podeszła Starr i położyła uspokajającym gestem dłoń na ramieniu DeParda. Wyczuła, jak napięte sajego mięskły. Równocześnie rzuciła pospieszne spojrzenie Kincade'owi: chciała ostrzec go, by nie drażnił dłużej ranczera. Wiedziała lepiej niż inni, jak ważne jest dla Duke'a poczucie własnej

godności. Duma nie pozwalała mu znieść najmniejszej zniewagi.

- Wszystko to tylko fatalny zbieg okoliczności, Duke - odezwała się ciepłym, gardłowym głosem, starając się zbagatelizować całą sprawę. - Kincade był w mieście najwyżej godzinę, gdy przeganiałeś tędy swoje bydło. Jak mógł orientować się w sytuacji?

Poczuła z ulgą, że jej słowa dotarły do DeParda.

- Chyba rzeczywiście jego ignorancja może być w pewnym sensie usprawiedliwieniem.

- No właśnie, w pewnym sensie - zgodziła się z nim Starr, a na jej ustach ukazał się uśmiech, będący zarazem nagrodą i pokusą.

- To się nazywa wielkoduszność! - mruknął Kincade z pozorną naiwnością i znów podniósł do ust cygaro.

DePard przyglądał mu się mrużąc oczy.

- Nie wyglądasz mi na głupca, Kincade, ale masz głupie odżywki. Tym razem przymknę na to oko.

- Jego postawa uległa zmianie: był znów opanowany i pewny siebie. - Jeżeli szukasz pracy, przyjedź jutro na rancho Diamond D; coś się tam dla ciebie znajdzie.

Kincade wyjął z ust cygaro.

- Zdumiewające! To już druga robota, którą mi dziś proponują. Nigdy nie przypuszczałem, że w Nevadzie tak brakuje rąk do pracy.

- Na jakim rancho chcieli cię zatrudnić? - DePard zmarszczył się gniewnie: już przeczuwał, jaka będzie odpowiedź.

- Na Spur Ranch - odpowiedział Kincade z leniwym uśmieszkiem.

- Będziesz pracował w Diamond D albo nigdzie! - warknął groźnie DePard. - Słyszałeś?

- Owszem, słyszałem. - Kincade strzepnął popiół z cygara.

DePard przyjrzał mu się bacznie przez sekundę, która wydawała się niezwykle długa, a potem skinął głową.

- Więc nie zapomnij - ostrzegł i odszedł.

Starr rzuciła Kincade'owi spojrzenie pełne gniewu i niepokoju, a potem odeszła szybko za DePardem. Nadzorca Sheehan ociągał się nieco dłużej; gdy mijał Kincade'a, w jego zwięzonych, wrogich oczach czaiła się groźba.

- A więc to jest tutejszy przywódca stada - zauważył Rusty szeptem, gdy nikt już nie zwracał na nich uwagi.

- We własnej osobie. - Kincade krzywo się uśmiechnął. - Strasznie się sroży, ryczy i nadstawia rogi, prawda?

- Coś mi się widzi, że to nie są puste przechwałki. - Rusty spojrział na Kincade'a i potrząsnął niespokojnie głową. - Chyba niepotrzebnie go drażniłeś.

- Pewnie się odezwała moja irlandzka krew. Nic mnie tak nie wkurza jak facet, który dyktuje mi, co mam robić, a czego nie.

- Ale można sobie łatwo napytać biedy - stwierdził Rusty i odsunął krzesło. - Chyba sprawdzę, jak działają te grające szafy. Przyda się tu trochę życia.

- To może lepiej zabierz stąd to piwo i poszukaj innego stolika - poradził mu Kincade. - Jak będziesz się zadawał ze mną, nikt do ciebie gęby nie otworzy.

Rusty rozejrzał się po sali i wzruszył ramionami.

- Coś mi się zdaje, że już uznali, że jesteśmy z tej samej beczki. Pewnie tu wrócę. - Zabrał jednak swoje piwo i pomaszerował w stronę grających szaf.

DePard podszedł prosto do stolika, który zawsze zajmował. Nikogo po drodze nie zagadnął, nikt też nie próbował zwrócić na siebie jego uwagi ukłonem czy powitaniem. Okoliczni mieszkańcy zawsze doskonale wyczuwali nastroje DeParda i wiedzieli, że Starr najlepiej sobie z nim poradzi: ułagodzi go lub mu pochlebi, zależnie od potrzeb.

Starr zaczekała, aż DePard usiądzie, a potem, cała w uśmiechach, zapytała:

- Co mam ci podać z baru, Duke? Może whisky?

- Kawę - odparł sucho i obojętnie. Zerknął na idącego za nim nadzorcę. - Czego się napijesz, Matt?

Starr też na niego spojrzała, a na jej twarzy nie było niechęci, jaką żywiła do Sheehana. Wzrok jej zatrzymał się na wielkim znamieniu na policzku, nie ono jednak budziło w niej odrazę; wyczuwała drżące w tym człowieku okrucieństwo. Pięści długich rąk Sheehana były przeważnie zaciśnięte, jakby gotów był w każdej chwili wymierzyć cios.

- Dla mnie piwo - oznajmił nadzorca i dodał: - Dobrze znasz tego Kincade'a?

- Prawie go nie znam - odparła. - Czemu pytasz?

- Zdziwiło mnie, że tak od razu wystąpiłaś w jego obronie. Pomyślałem, że pewnie znaliście się dawniej w Reno. - Sheehan rzucił jej z ukosa pogardliwe spojrzenie.

Starr zbyła jego uwagę lekceważącym uśmiechem.

- Zobaczyłam go dziś po raz pierwszy w życiu, a jeśli go broniłam... - uśmiechnęła się jak skrzywdzona niewinność. - Dobrze wiesz, że nie życzę sobie żadnych awantur w moim lokalu, bez względu na to, kto je wszczyna... i w jakim celu. - Zwróciła się znów do DeParda, mówiąc przymilnie: - Wiesz co, Duke, mam dla ciebie dziś miłą niespodziankę. Ten stary pastuch Winston Charlie przyniósł olbrzymiego pstrąga. Dobrze wiem, jak to lubisz, więc dostaniesz go dziś na obiad.

- Brzmi zachęcająco. - DePard skinął głową z aprobatą, miał jednak wyraźnie inne sprawy na głowie.

- Zaraz wrócę z waszymi drinkami. - Starr dotknęła ramienia Duke'a i odeszła w stronę baru.

DePard popatrzył za nią, a potem omiół wzrokiem grono stałych bywalców. Żaden z nich nie odwzajemnił mu się spojrzeniem. W atmosferze lokalu nastąpiła subtelna zmiana. Powietrze nie wydawało się już przepojone elektrycznością, czuło się jednak, że wszyscy czegoś w napięciu oczekują. Ten obcy przybłąda, Kincade, już dwa razy ośmielił się stawić czoło DePardowi - i to na oczach tyłu Rick ze zdumieniem pokręcił głową; na pewno nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Starr dostrzegła to, ale postanowiła nie wspominać Rickowi o kolejnym starciu Duke'a i Kincade'a ani o roli, jaką sama odegrała. Była teraz zła na siebie, że się do tego wtrąciła. Postąpiła głupio. Wiedziała o tym od początku.

Gdy sięgała po colę dla Ricka, jej wzrok padł na stół, przy którym siedzieli DePard i Sheehnan, rozmawiając o czymś po cichu. Po chwili Sheehan wstał, rzucił pogardliwe spojrzenie w stronę Kincade'a i podążył zamaszystym krokiem na tyły budynku.

Starr poczuła nagły niepokój. Popatrzyła za odchodzącym. Sheehan nie wszedł do męskiej toalety, tylko skierował się prosto do telefonu. Coś mówiło Starr, że ma to jakiś związek z Kincade'em. DePard jeszcze z nim nie skończył: szuka się coś złego. Starr nie miała pojęcia, co to będzie, ale wiedziała, że na coś się zanosi.

Zduśliła w sobie chęć ostrzeżenia Kincade'a, by miał się dziś wieczór na baczności. Już raz się wygłupiła, stając w jego obronie pod pretekstem utrzymania spokoju w lokalu. Nie miała zamiaru narażać swojej pozycji wtrącając się ponownie. Choć Kincade ją zdecydowanie pociągał, nie był

wart, by wszystko przez niego tracić. Żaden chłop nie był tego wart.

Umocniwszy się w swoim postanowieniu Starr uniosła tackę jedną ręką i rzuciła synowi pobłażliwy uśmiech.

- Przyłączmy się do Duke'a - zaproponowała.

Zmarszczka na czole Ricka zniknęła; ruszył w tamtym kierunku z nieukrywaną skwapliwością, zupełnie zapominając o nieznanym.

- Zapomniałem spytać, co będzie dziś na obiad.

- Świeżutki pstrąg.

- Pstrąg?

Starr rozbawił całkowity brak entuzjazmu w głosie syna.

- Nic się nie martw! Powiedziałam Royowi, żeby ci usmażył stek.

Pełen wdzięczności uśmiech syna był dla Starr wystarczającą nagrodą. Podeszli do stolika. Rick usiadł na krześle dopiero co opuszczonym przez Sheehana, tuż obok DeParda. Starr podała im drinki, a potem zajęła miejsce po drugiej stronie Duke'a.

- Słyszałam przez radio, że meteorolodzy przewidują deszcz pod koniec tygodnia. Mają jakieś siedemdziesiąt procent pewności - zaczęła rozmowę na bezpieczny temat. - Może się okazać, że zbyt wcześnie zabrałeś stamtąd bydło.

- Wątpię - odparł DePard. - Wszędzie panuje susza. Uwierzę tym specom od pogody dopiero wtedy, gdy zobaczą krople deszczu, zwłaszcza o tej porze roku.

- Pewnie - wtrącił się Rick. - Cała wilgoć z chmur znika gdzieś w Sierra, zanim zdąży tu dotrzeć.

- Racja - przytaknął DePard i podniósł wzrok na Sheehana, który właśnie wrócił do stolika.

Ich spojrzenia spotkały się na sekundę i Sheehan leciutko skinął głową, jakby odpowiadając na pytanie szefa. Starr dostrzegła tę milczącą wymianę zdań i pojęła natychmiast, że koła poszły w ruch. Niewątpliwie ucierpi na tym Kincade.

Siedział sam przy stoliku, a niebieskawy dym cygara unosił się nad jego głową. Rudzielec stał obok szafy grającej; właśnie dokonał wyboru i nacisnął guzik.

Z głośników zagrział przebój George'a Straita; swingujący rytm i pogodne słowa piosenki stanowiły rażący kontrast z pełną napięcia atmosferą w lokalu.

Patrząc na Kincade'a Starr poczuła iskierkę pożądania i natychmiast ją w sobie zdławiła. DePard upatrzył tego człowieka na ofiarę. Nie była w stanie mu pomóc. I wcale nie miała takiego zamiaru!

Koło dziewiątej dwóch parobków z Diamond D weszło do „Lucky Starr”. Zatrzymali się przy drzwiach i rozejrzeli po twarzach obecnych, aż wreszcie dostrzegli nadzorcę. Starr udawała, że nie widzi nowych gości ani ruchu głowy, którym Sheehan wskazał im wolne miejsca przy mahoniowym barze. Kowboje usiedli opierając stopy na mosiężnym pręcie, a nadzorca odsunął krzesło.

- Przyszli Jenkins i Foster - oznajmił DePardowi. - Posiedzę z nimi. Proszę mnie zawołać, gdybym był panu potrzebny.

DePard odpowiedział skinieniem głowy, a potem z rozmysłem zajął się wyłącznie Rickiem, którego przyłapał na ziewaniu. Chłopiec próbował je niezręcznie stłumić, aż twarz mu poczerwieniała.

- Zmachales się, co? - zauważył DePard.

- Tak jakby - odparł Rick z zakłopotaniem. - To był długi dzień.

- I męczący - przyznał DePard. Spojrzał na Starr, włączając ją do rozmowy. - Szkoda, że nie widziałas swojego syna, gdy pędził jak szalony za byczkiem, który odłączył się od stada.

- Widziałeś mnie, Duke? - spytał Rick zaskoczony i uradowany.

- No pewnie. - DePard zadumał się na chwilę. - Prawdę mówiąc, znałem tylko jednego człowieka, któryjeździł z takim zapamiętaniem. - Nie powiedział, kogo ma na myśli, ale dla Starr było jasne, że Duke mówi o zmarłym bracie, Jeffie. Było to właśnie takie porównanie, jakie pragnęła usłyszeć z ust DeParda; starała się go do tego skłonić przy każdej sposobności.

- Opowiedziałeś już o tym matce? - spytał Duke.

- Jeszcze nie. - Rick zawahał się, ale zaraz zaczął wspominać przygodę ze wszystkimi szczegółami.

Starr usiłowała słuchać z uwagą, ale przeszkadzała jej w tym scena rozgrywająca się przed jej oczami. Sheehan przyłączył się do dwóch kowbojów z Diamond D. Cała trójka opierała się o bar z wystudiowaną nonszalancją. Rozmawiali po cichu; przede wszystkim zabierał głos Sheehan. Od czasu do czasu któryś z nich spoglądał ukradkiem na Kincade'a.

Po chwili Sheehan wstał, zabrał swoje piwo i przeniósł się na drugi koniec baru, gdzie buckaroo Audie Hayes opowiadał Royowi jakieś nieprawdopodobne historyjki. Wystarczyło jedno spojrzenie Sheehana i Roy poszukał sobie innego zajęcia. Kiedy Audie też zaczął się zbierać, Sheehan coś mu szepnął i kowboj usiadł z powrotem. Potoczyła się rozmowa, z pewnością nie o pogodzie. W końcu Audie spojrział na zegarek i skinął głową. Sheehan uniósł w jego kierunku swój kufel, wypił duszkiem całą jego zawartość i odstawił puste naczynie.

Zanim odszedł od baru, rzucił spojrzenie dwóm parobkom z Diamond D - był to milczący sygnał. Obaj zrobili trochę szumu płacąc za piwo i wyszli. Jedynie Starr zauważyła, że Sheehan wśliznął się do kuchni, skąd było wyjście na ulicę.

Grająca szafa znów ożyła, kiedy Rusty Smith wrzucił do niej jeszcze kilka ćwierćdolarówek. Gdy już wybrał melodie, które chciał usłyszeć, rudzielec wrócił do stolika Kincade'a.

- Miałeś rację - stwierdził przysuwając sobie krzesło i sadowiąc na nim. - Ile razy próbowałem zagadnąć kogoś z miejscowych, nie chciał otworzyć do mnie gęby. Wyraźnie uważają, że jesteśmy razem, więc pomyślałem, że może to i lepiej.

- No to siadaj - powiedział Kincade i prawie się uśmiechnął.

- Dzięki. Strasznie tu niemrawo w powszedni dzień, co?

- To małe miasteczko. Rusty prychnął pogardliwie.

- Pełne ludzi o jeszcze mniejszych mózdkach.

- No to wypijmy ich zdrowie. - Kincade uniósł kufel.

- Dobra myśl. - Rusty poszedł w jego ślady i wypił duszkiem resztkę piwa. Westchnął z zadowoleniem i odstawił pusty kufel na stół. - Chyba zamówię jeszcze jedno. A ty?

Kincade potrząsnął głową.

- Jeszcze mi coś niecoś zostało. Ale skoro już tu jesteś, wpadnę do toalety. Dopilnuj, żeby Roy nie sprzątnął kufla pod moją nieobecność.

- Masz to u mnie. - Kiedy Kincade odszedł od stolika, Rusty starał się pochwycić spojrzenie barmana, ale mu się to nie udało. - Hej, Roy! - wrzasnął w końcu. - Przynieś mi jeszcze jedno, co?

Jednak Roy nadal nie zwracał na niego uwagi. Ostatecznie piwo podała Starr. Postawiła je przed Rustym z serdecznym i przepraszającym wyrazem twarzy.

- Dziękuję pięknie, ale nie chciałem fatygować właścicielki! - Rusty wysuptywał z kieszeni pieniądze za piwo.

- Nic nie szkodzi. Lubię, jak moi klienci są dobrze obsłużeni - odparła Starr głośno, a potem

wyciągnęła rękę po pieniądze i dodała szybko po cichu: - Nic nie mów, tylko słuchaj. Ostrzeż Kincade'a. Sheehan coś na niego szykuje. - Wyjęła mu pieniądze z ręki i znów odezwała się na głos: - Dziękuję bardzo!

Rusty spojrział na nią ze zdumieniem. W końcu oprzytomniał i rzucił za odchodzącą niezbyt pewnym głosem:

- To ja dziękuję!

Kincade wychodząc z toalety dostrzegł, że Starr znów przysiadła się do stolika DeParda. W następnej chwili widok na salę zasłonił mu zbliżający się Audie Hayes. Kincade usunął się pod ścianę wąskiego korytarza, żeby buckaroo mógł przejść, ale ten zastąpił mu drogę.

- To ty jesteś Kincade?

- A jakże - przyznał marszcząc czoło.

- Jakiś facet chce się z tobą widzieć. Bez świadków. Czeka na zewnątrz. Nie chce, żeby go ktoś tu zauważył.

- O co mu chodzi?

- Wiem tyle co i ty - odparł kowboj obojętnie. Wyminął Kincade'a i zniknął w toalecie.

Kincade przystanął i obrzucił wzrokiem salę. Nikt się na niego nie gapił, ale czuł, że coś wisi w powietrzu. Zadygotały w nim wszystkie nerwy - zawsze w ten sposób reagował na grożące mu niebezpieczeństwo. Ale ciekawość wzięła górę. Odwrócił się i poszedł w stronę drzwi frontowych.

- Gdzie cię niesie? - zawołał Rusty, gdy Kincade mijał ich stolik.

- Zaraz wracam - rzucił przez ramię nie zatrzymując się.

Gdy wyszedł na dwór, jakiś wewnętrzny głos kazał mu zatrzymać się i rozejrzeć po głównej ulicy miasta.

U stóp chwiejnych latarni widniały kręgi światła. Gdzieś tam błyskały też oświetlone witryny sklepów. Reszta budynków tonęła w ciemności. Nieco dalej stało przy krawężnikach kilka pojazdów, ale najwięcej tłoczyło się wokół „Lucky Starr”. Ich okucia świeciły srebrzystym blaskiem. Wszędzie tam, gdzie nie docierało światło miejskich latarni, zalegał czarny, aksamitny mrok.

Jeszcze dalej noc otaczała miasto cienistą kopułą; wiodące do niego drogi były teraz niewidoczne. Friendly wydawało się całkowicie odcięte od reszty świata. W powietrzu czuło się chłód: na tej wysokości po zachodzie słońca temperatura gwałtownie spadała. Z pustynnych wzgórz dolatywał wietrzyk, niosąc ze sobą woń bylicy i spalonej słońcem ziemi - powiew dzikości.

Miasto zaległa cisza pełna napięcia. Żadnego ruchu, najmniejszego drgnienia.

- Kincade! Tutaj! - dobiegł z prawej ostrożny szept.

Kincade odwrócił się i wpatrzył w gęsty mrok pod zadaszonym pasażem, dokąd nie docierało żadne światło.

- Wyjdź, żebym mógł ci się przyjrzeć.

Skrzypnęła jakaś deska. Kincade spojrział w tamtym kierunku. Z cienia wyłoniła się postać mężczyzny w kapeluszu o podwiniętym rondzie, wyraźnie widoczna na szarawym tle wiodącej na północ drogi.

- Tu jestem - odezwał się taki sam cichy szept.

Nie rozpoznając twarzy ani głosu rozmówcy, Kincade zawahał się. - Coś ty za jeden?

- Nie tak głośno - syknął tamten; skinął na Kincade'a, żeby się zbliżył, a sam znów zniknął w ciemności.

Bardziej zaciekawiony niż zaniepokojony Kincade podszedł w tamtą stronę.

- Czemu chciałeś się ze mną widzieć?

Ledwie to powiedział z mroku wyskoczyły dwie postacie. Kincade odwrócił się błyskawicznie, by uprzedzić atak, lecz spóźnił się o ułamek sekundy. Obaj równocześnie rzucili się na niego, schwycili go za ramiona i szarpnęli do tyłu. Zanim zdołał się im wyrwać, dostał pięścią w żołądek i dosłownie zgiął się we dwoje.

Raz po raz walili go w twarz, żebra i brzuch. Niektóre ciosy zdołał wytrzymać, pod innymi zataczał się, ale trzymające ręce zawsze go wyprostowały, by mógł oberwać następną porcję. Nie było żadnego ratunku. W uszach Kincade'a szumiało, ból odbierał mu przytomność. Wreszcie nogi załamały się pod nim i runął na kolana.

- Postawcie go! - odezwał się jakiś głos.

Ręce oprawców znów go podniosły i oparły o ścianę budynku, podtrzymując, by się nie osunął. Półprzytomny Kincade oczekiwał kolejnego ciosu, a gdy ten nie padł, z trudem otworzył oczy i popatrzył na niewyraźną postać stojącą przed nim.

- Nie taki znów z ciebie twardziel, co?

Choć oszołomiony bólem, Kincade rozpoznał szyderyczy głos. Nadzorca DeParda. Ten ze znamieniem na twarzy.

Mężczyzna podszedł bliżej, ale jego rysy nadal były prawie niewidoczne w ciemności.

- Nie zadawaj się z tą Rossiter, zrozumiano?

- Rossiter? - powtórzył Kincade, usiłując się skoncentrować. - Czy to... Stalowe palce chwyciły go za szczęki i brodę; wałnął tyłem głowy o ścianę budynku. W czasie wybuchły tysiące jaskrawych fajerwerków.

- Nie strugaj wariata, Kincade! Nic ci to nie da! - warknął nadzorca. - A teraz posłuchaj mnie uważnie. Lepiej będzie, jak rano zabierzesz się stąd na dobre...

Alejkę zalało nagle światło z otwartych drzwi. To jakiś mężczyzna wychodził z „Lucky Starr”. Jednym spojrzeniem objął całą scenę i krzyknął ostro:

- Co się tu dzieje? Puście go! - Podbiegł ku nim, drzwi zamknęły się za jego plecami.

Nadzorca puścił brodę Kincade'a i próbował zastąpić drogę rudowłosemu kowbojowi.

- Pomyłka, panie szanowny - zaśmiał się urągliwie. - Koleś za wiele wypił. Upadł i potłukł się jak cholera. Myśmy pomogli mu tylko stanąć na nogi, nie, chłopaki?

Dwaj kowboje przytaknęli.

- Jasne.

- Pomogliśmy człowiekowi.

- Pewnie, jak kojoty owcy! - wrzasnął Rusty czując niepohamowany gniew.

- Chyba już starczy tego pomagania! Teraz ja się nim zajmę.

- Słyszeliście, chłopaki? - odezwał się Sheehan z pogardliwym uśmiechem.

- Oddajcie mu kolesia.

Ręce znów chwyciły Kincade'a mocniej. Brutalnym szarpnięciem oderwały go od ściany i popchnęły na Rusty'ego. Ten ugiął się pod ciężarem, ale jakoś obaj utrzymali się na nogach. Sheehan roześmiał się cicho i odszedł, a za nim jego dwaj rozbawieni goryle.

Kincade stanął pewniej na nogach i odzyskał równowagę. Mógł teraz poruszać się o własnych siłach, choć Rusty na wszelki wypadek trzymał go za ramię. Zamroczone i oszołomione Kincade potrząsnął głową, chcąc odzyskać zdolność myślenia. Spróbował zaczerpnąć głęboko w płuca powietrza, ale nadwyreżone żebra natychmiast zaprotestowały i wyrwał mu się jęk.



- Nic ci nie jest? - Rusty przyjrzał mu się uważnie.

- Nieraz już gorzej oberwałem - odpowiedział słabym, ochrypłym głosem. - Pomóż mi tylko wejść do środka.

Kincade wrócił do „Lucky Starr”, odrętwienie prawie ustąpiło. Igły bólu przeszywały mu ciało w kilkunastu różnych miejscach. Policzek pulsował, w głowie dudniło. Szedł lekko zgięty, pochylony ku przodowi. Jedną ręką przyciskał obolały brzuch, drugą trzymał się kurczowo ramienia Rusty’ego, żeby się nie przewrócić. Każdy krok był męką.

Gwar głosów i brzęk kieliszków zamarł wraz z pojawieniem się Kincade’a, potem zaś hałas wybuchnął ze zdwojoną siłą. Koncentrując się na tym, by jakoś wejść po schodach do swojego pokoju, Kincade nie dostrzegł, kiedy podeszła do niego Starr. Miał przed oczyma tylko stopnie, gdy nagle zjawiła się na jego drodze ta kobieta.

Zmierzyła go szybkim, badawczym spojrzeniem i zacisnęła wargi w wąską linię - była to jedyna reakcja Starr.

- Nie muszę pytać, co się stało - stwierdziła krótko.

Kincade próbował się uśmiechnąć, ale skrzywił się z bólu: odezwała się rana po wewnętrznej stronie policzka. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Z wielkim wysiłkiem odwrócił głowę w tę stronę. Kilku stałych bywalców lokalu podeszło, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Był wśród nich syn Starr, Rick. Nie odrywał od Kincade’a przerażonych oczu. DePard stał na czele grupy, pozornie obojętny, ale niewątpliwie zadowolony z tego, co zobaczył.

Kincade rozejrzał się i dostrzegł nadzorcę z Diamond D w bezpiecznej odległości za plecami DeParda.

- Pewnie usłyszysz dwie całkiem różne wersje tego wydarzenia - odezwał się Kincade do Starr głosem o wiele słabszym niż zazwyczaj. - Ten gość od DeParda będzie z pewnością twierdził, że przewróciłem się po pijanemu.

- A nie było tak? - wtrącił się DePard. Mówił półgłosem, ale zaczepnie. Kincade już otwierał usta, by mu odpowiedzieć, ale wymagało to zbyt wielkiego wysiłku. Lekko się zachwiał. Starr zauważyła to i przyszła mu z pomocą.

- Nieważne. - Odsunęła się i skinęła na Rusty’ego. - Zaprowadź go do jego pokoju. - Wykręciła się na pięcie, aż spódnica jej zafalowała, i zawołała: - Roy, przynieś apteczkę z za baru! A wy wracajcie do swoich drinków. Przedstawienie skończone!

Wymachując ramionami Starr zapędziła grupkę ciekawskich na ich dawne miejsca. Tylko DePard sienie ruszył. Zmierzyła go zimnym, krytycznym spojrzeniem.

- Czy to było konieczne?

- Owszem - stwierdził i dodał, gdy Roy zjawił się z apteczką: - Zrób, co możesz, żeby jutro był zdolny do podróży.

- Postaram się. - Z apteczką w ręku ruszyła w kierunku schodów. Rick podbiegł do niej.

- Dasz sobie radę, mamó? Może pójść z tobą?

Starr uśmiechnęła się i czule poklepała syna po policzku.

- Na pewno sobie poradzę. Zostań tu i dotrzyмай Duke’owi towarzystwa. Rick niechętnie się odsunął i patrzył za matką, gdy wchodziła na schody.

Pokój na piętrze miał najwyżej trzy na cztery metry; stare, żelazne łóżko zajmowało prawie całą przestrzeń. Otwarta apteczka leżała na wierzchu masywnej sosnowej komody, zbyt wielkiej na to małe pomieszczenie. Kincade siedział na brzegu łóżka; mięśnie mu zwiotczały, głowa opadała w dół.

Starr uważnie oglądała guz wielkości jajka na jego potylicy.

- Skóra nie przecięta - stwierdziła odsuwając się.

Kincade podniósł dłoń do policzka i syknął, bo uraził się w bolące miejsce. Rusty zauważył to i skrzywił się ze współczuciem.

- Załatwili cię szybko i skutecznie - stwierdził. - Trwało to najwyżej parę minut.

- Wymienił jakieś nazwisko - powiedział Kincade. - Chyba Rossiter.

- Rossiter? - powtórzył jak echo Rusty.

- Eden Rossiter - uzupełniła Starr. - Ta, której dziś tak głupio skoczyłeś na pomoc.

- Ta osławiona właścicielka Spur Ranch, która zabiła DePardowi brata - odezwał się Kincade martwym głosem.

- Zabiła mu brata? - powtórzył Rusty. - To jakieś głupie żarty, czy co?

- Nic podobnego - Starr spojrzała kpiąco. - Eden zastrzeliła Jeffa z zazdrości, gdy się dowiedziała, że chodzi z inną.

- Mówisz tak, jakby go zamordowała z zimną krwią - zmarszczył brwi Rusty. - Jeśli go zabiła, to jakim cudem jest na swobodzie? Czemu jej nie zapudłowali?

- To zasługa jej dziadka, Jeda Rossitera, albo raczej jego wina; zależy jak na to spojrzeć. On pierwszy dowiedział się o tej strzelaninie. Zanim szeryf dotarł na miejsce, stary pobił dziewczynę i porwał na niej ubranie, żeby wyglądało na to, że Jeff chciał ją zgwałcić. Potem zaangażował jednego z najlepszych specjalistów od spraw kryminalnych w Nevadzie, żeby jej bronił. Adwokatowi nie tylko udało się opóźnić proces o trzy lata, ale przekonał również sędziego, że tu na miejscu nie udałoby się zebrać uczciwej i bezstronnej ławy przysięgłych. Sądził więc ją w Tonopah. Do tego czasu Eden wykuła swojarolę na blachę. Podobno było czego posłuchać, gdy składała zeznania podczas procesu.

- A naoczni świadkowie? - spytał zaciekawiony Kincade.

- Ani jednego - odparła Starr potrząsając głową. - Jak to często bywa z ławą przysięgłych, sam fakt, że DeParde jest właścicielem chyba największego rancza w Nevadzie, a Jeff był świetnym sportowcem i chłopakiem wyjątkowo przystojnym, usposobił ich nieprzychylnie. Chętnie uwierzyli w podłość tych, którym - jak to się mówi - tylko ptasiego mleka brakuj e. Nie trafiło do przysięgłych nawet to, że Jeff mógł mieć każdą, jaką zechciał, bez użycia siły. No i ogłosili werdykt: niewinna, działała w obronie własnej. Możecie sobie wyobrazić, jak to zostało przyjęte w Friendly. Ludzie byli oburzeni, mówiąc najogólniej.

- Z pewnością nie zjednało jej to przyjaciół - zawyrokował Rusty.

- A co z jej dziadkiem? - chciał wiedzieć Kincade.

- Zmarł kilka lat temu i zostawił ranczo wnuczce. - Starr sięgnęła znów po apteczkę. - Muszę zabandażować tę ranę na policzku.

- Nie warto - Kincade zbył propozycję machnięciem ręki i spróbował zmienić pozycję na łóżku. Jego poobijane żebra natychmiast zaprotestowały, uniemożliwiając wykonanie ruchu. - Jeśli masz w tej apteczce coś przeciwbólowego, chętnie skorzystam.

- Najlepszy znieczulający środek, jakim dysponuję, to whisky - odparła Starr z uśmiechem i zwróciła się do Rusty'ego: - Zejdź na dół i przynieś butelkę. Powiedz Royowi, że ja cię przysłałam.

- Wracam raz dwa! - obiecał Rusty i wyszedł.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, Starr wyjęła z apteczki wyjałowioną gazę i wróciła do łoża boleści Kincade'a.

- Jeśli nie chcesz bandaża, to przynajmniej wytrę ci zakrzepłą krew z policzka.

Wsunęła mu palec pod brodę, by głowa odchyliła się pod odpowiednim kątem. Kincade poddał się zabiegom Starr. Podniósł wzrok i spojrzął jej prosto w twarz.

- Dlaczego to robisz? - spytał. - DePard nie będzie zachwycony, że opatrujesz moje rany.

Wargi Starr wygięły się w leniwym, ironicznym uśmiechu, gdy zmywała ostrożnie zaschniętą krew z policzka.

- Chyba nie sądzisz, że odezwało się moje złote serce? - zakpiła. - Możesz być pewny, że gdybym je miała, dawno bym opyliła, i to za dobrą cenę!

Kincade też się uśmiechnął. Podobała mu się jej szczerość.

- Skoro nie bawisz się w samarytanę z dobrego serca, to czemu się mną zajmujesz?

- Może DePard mi kazał?

- Chciał się przekonać, czyjego rozkazy wbito mi należycie do głowy? - domyślił się Kincade. - Nieglupio!

- I co, wbito ci, czy nie?

- Solidnie i energicznie - odparł sucho.

Starr zmyła ostatnie ślady krwi z jego policzka i wyprostowała się. Twarz jej spoważniała.

- Musiał tak z tobą postąpić, Kincade, żeby utrzymać innych w ryzach. Zadarłeś z nim. Nie mógł puścić tego płazem.

- Chcesz powiedzieć, że nie miał do mnie żadnej osobistej urazy? - spytał drwiąco.

- Właśnie.

- To przekaz mu ode mnie, żeby mnie pocałował w dupę. Bez urazy.

Starr uśmiechnęła się i wyrzuciła zabrudzoną gazę do metalowego kosza na śmieci, stojącego obok komody. Jeszcze raz obejrzała pokiereszowaną twarz: niewielkie skaleczenie na wydatnej, twardej kości policzkowej, otaczająca ranę opuchlizna, coraz wyraźniej widoczny siniec na szczęce.

- Miałeś szczęście. Sheehan mógł ci znacznie bardziej przefasonować buźkę. - I zrobiłby to, gdyby się nie zjawił Rusty.

Jakby na dany znak rudzielec wrócił. Ścisnął pod pachą butelkę whisky, a w ręku dzierżył trzy kieliszki.

- Pomyślałem sobie, że nam wszystkim przyda się to lekarstwo! - Postawił szkło ze stukiem na komodzie, odkorkował butelkę, napełnił szczerze wszystkie kieliszki i wręczył każdemu. Uniósł swój w stronę Kincade'a i zadeklamował:

- Precz siniaki, guzy, rany! Każdy zdrowy, kto zalany!

- Brawo! - Uśmiech przemknął przez usta Kincade'a, zanim wypił potężny łyk whisky, rad z piekającej dezynfekcji w gardle. Nie czekając aż palący trunek zagłuszy ból, przycisnął rękę do najbardziej obolałego miejsca i centymetr po centymetrze przesunął się w górę żelaznego łóżka. Pokrzepił się następną dawką whisky, a potem odstawił szklaneczkę na sosnową komodę i osunął się na poduszki, zaciskając zęby z bólu.

- Jak się czujesz? - Rusty przyglądał mu się z dyskretnym współczuciem. Kincade wydał z siebie krótkie parsknięcie - była to nędzna imitacja śmiechu, ale na nic więcej nie mógł się zdobyć.

- Jakby jakiś byk tańczył z przytupami na moim brzuchu.

- A twoje żebra? Czy któreś nie jest złamane?

Kincade w milczeniu obmacał klatkę piersiową, nasłuchując pilnie, czy nie dosłyszysz skrzypu kości trącej o kość. Nie zauważył nic takiego i nie poczuł rozżarzonej igły bólu w płucach, więc

potrzęsnał głową.

- W porządku, tylko poobijane. - Obejrzał się na Starr. - DePard będzie się dziwił, czemu tak długo tu siedzisz. Idź już lepiej i złóż mu raport.

- Co mam powiedzieć? - Jej wargi rozchyłał leniwy uśmiech, ale spojrzenie miała ostre, badawcze.

- Powiedz mu, że dotarło do mnie, czego sobie życzy: jutro rano będę siedział za kierownicą i obserwował Friendly w lusterku wstecznym.

Starr rozważyła jego słowa i skinęła głową z wyraźną aprobatą.

- Przekażę mu. - Odstawiła swój nietknięty kieliszek na komodę. - Szkoda mi trochę, że wyjeżdżasz, ale tak będzie lepiej dla wszystkich. - Oczy jej złagodniały. - Uważaj na siebie, Kincade.

- Jasne.

Rusty otworzył szarmancko drzwi. Starr wyszła; pozostał po niej lekki zapach perfum. Gdy zostali tylko we dwóch, Rusty zwrócił na Kincade'a rozbawione spojrzenie.

- A więc jutro rano stąd wyjeżdżasz? - spytał, nie wierząc w to ani trochę.

- Skoro świt - przytaknął Kincade, a na jego twarzy pojawił się uśmiech. - Eden Rossiter obiecała mi pracę na Spur Ranch.

Drobinki kurzu tańczyły i połyskiwały w promieniach porannego słońca, wpływających przez okno na piętrze. W dole, na ulicy, rozległ się ryk startującego pikapa i zamącił ciszę śpiącego jeszcze miasta. Starr podeszła do okna i oparła ramię w jedwabnym szlafrocisku o framugę. W rękę trzymała filiżankę kawy.

Pikap wyjechał sprzed „Lucky Starr” na ulicę - Ze swojego stanowiska przy oknie Starr nie mogła dojrzeć kierowcy, ale rozpoznała wóz. Należał do tego obcego, Kincade'a.

Więc wyjeżdżał. Gdy się o tym upewniła, Starr poczuła żal i pożądanie, które wczoraj zdławiła, zanim zdążyło zapuścić korzenie. Pozostała jednak przy oknie, przyglądając się, jak pikap Kincade'a podjeżdża do skrzyżowania, zwalnia i skręca w prawo, na drogę wiodącą na północ. Droga prowadziła na ranczo Rossiterów.

Skończony dureń! - pomyślała Starr, ale uśmiechnęła się prawie niedostrzegalnie.

- Zdawało mi się, że słyszę odjeżdżający samochód - DePard wyłonił się z łazienki, świeżo ogolony i kompletnie ubrany. - Zauważyłaś, kto to był? - spytał od niechcienia.

- Kincade. - Starr odeszła od okna i zbliżyła się do Duke'a; jedwab krótkiego szlafrociska szeleścił przy każdym kroku.

Serwis do kawy stał na stoliku ze szklanym blatem w tej części sypialni, która pełniła rolę buduaru. DePard podszedł i nalał sobie kawy.

- Mam nadzieję, że opuścił miasto.

- A miał inne wyjście? - Starr umyślnie odpowiedziała wymijająco. Duke rzadko zostawał tu na noc; nie chciała, żeby ich wspólne chwile zakończyły się dysonansem.

- Żadnego - stwierdził DePard z satysfakcją w głosie. Starr nie zaprzeczyła.

- Namysliłeś się, co chcesz na śniadanie?

Kurz kłębił się wokół pędzącego pikapa i powiewał za nim jak wielka płowa kita. Ze wszystkich stron była pustka - kilometry otwartej, pustej przestrzeni, pocętkowanej kępami bylicy i porośniętej ostrą trawą. Posępne, stalowosine góry widniały na horyzoncie, a wysoko na niebie jastrząb odbywał swój zwykły poranny lot.

Polna droga biegła prosto przez wzgórki i doły tej wyżynnej pustyni. W ciągu ostatnich dwudziestu minut Kincade nie dostrzegł żadnego pojazdu ani innego śladu ludzkiej obecności oprócz słupów wysokiego napięcia, biegnących po obu stronach jego pikapa; od czasu do czasu mijał też płoty i ogrodzenia, znaczące granicę pomiędzy ranczami.

Kincade spojrzął na licznik. Powinien lada chwila natknąć się na odgałęzienie drogi, prowadzące na rancho Rossiterów. Na ostatnim ogrodzeniu, które minął, zauważył drewnianą tablicę z niezbyt czytelnym napisem: SPUR RANCH, J. ROSSITER.

Wypatrywał tej bocznej drogi, ale omal jej nie przegapił, gdyż linia wysokiego napięcia biegła dalej prosto i tylko słupy telegraficzne pięły się po stoku niezbyt wysokiego wzgórza, widocznego z prawej. Właściwie nie była to nawet droga, tylko szlak mniej więcej równoległych kolein. Kincade zwolnił, skręcił - i pikap potoczył się jakoś tamtędy, choć opony ślizgały się na nierównościach.

Gdy dotarł na szczyt pagórka, dróżka stała się ledwo dostrzegalna, częściowo zarośnięta trawą. Kincade trząśł się na wybój ach jeszcze jakieś trzy mile, krzywiąc się raz po raz. Dawał obolałym zębom niezłą szkołę, mimo że były mocno skrupowane elastycznym bandażem.

Droga wiła się wśród pagórków, a w końcu skręcała w rozległą, płytką kotlinę, osłoniętą trzech stron łagodnie opadającymi zboczami. Kępa balsamicznych topoli odcinała się plamą zieleni u wlotu do niej.

Po lewej Kincade dostrzegł grupę niskich budynków pośród dużych szarych głazów. Kilka koni stało w corralu, większe stado pasło się na ogrodzonym pastwisku, energicznie oganiając się od much. Parę zwierząt podniosło głowy, gdy pikap wjechał na dziedziniec rancza.

Kincade minął rząd przybudówek i podjechał prosto do piętrowego domu z wypalanej na słońcu gliny, otoczonego topolami. Przez całą szerokość budynku biegła od frontu weranda. Stary owczarek wyskoczył z cienia. Wyraźnie chciał odstraszyć intruza - zjeżył sierść i szczekał na alarm.

Kincade zwolnił, zatrzymał się przed frontem budynku i wysiadł z wozu. Pies natychmiast zagroził mu drogę do domu, warcząc ostrzegawczo. Kincade zauważył ślady dawnych walk na jego ciele i postanowił nie sprawdzać, w jakiej formie jest teraz stary zabijaka.

- Hej! Jest tam kto? - zawołał w stronę domu.

Nie było odpowiedzi, nikt nie podszedł do drzwi. Kincade'a wcale to nie zdziwiło. O tej porze dnia wszyscy prawdopodobnie byli przy pracy.

Gdzieś w pobliżu rozległo się sapanie i dudnienie uruchamianego traktora. Stary owczarek zwrócił łeb ku wschodowi, potem znów obejrzał się na Kincade'a. W gardle psa wzbierał groźny pomruk, szczyrzył długie, pożółkłe kły.

- Tam są wszyscy, co, bracie? - Kincade zwrócił się w tym samym kierunku co pies, by zlokalizować traktor.

Wyboista ścieżka biegła od domu do zagród dla bydła z rampą załadowniczą. Z tyłu połyskiwała złociście w porannym słońcu łąka, z której zbierano właśnie siano; zasłaniał ją częściowo stok kanionu, który chronił dziedziniec rancza. Stary, sapiący traktor ukazał się w polu widzenia; ciągnął platformę, na którą załadowano może tuzin kostek sprasowanego siana.

Kincade wsiadł z powrotem do pikapa i skierował wóz w stronę łąki. Stary pies pobiegł za samochodem. Przed nimi traktor zwolnił. Dwaj mężczyźni zeskoczyli z wozu i zaczęli podawać bele siana trzeciej osobie, która układała je na platformie. Kincade zatrzymał pikapa na skraju łąki. Wysiadł z niego i czekał, aż traktor i platforma z sianem zrównają się z nim. Słońce świeciło mu w oczy, a zapach podsuszonego siana mieszał się z wonią kurzu i bylicy.

Prowadzący traktor pierwszy dostrzegł Kincade'a i krzyknął coś do pozostałych; jego słowa ginęły w turkocie maszyny. Zza rosnącego na platformie stosu siana wyłoniła się jakaś postać. Była to Eden Rossiter.

Kincade'a znów zaskoczyło, jak bardzo wydawała się wysoka dzięki wyprostowanej postawie i dumnemu osadzeniu głowy. Stała na szeroko rozstawionych nogach, by zachować równowagę na podskakującej platformie; w obu rękach zabezpieczonych ochronnymi rękawicami trzymała haki do załadunku siana. Miała na sobie czarny sweterek bez rękawów z dużym dekoltem, który podkreślał jej kobiece okrągłości - wczoraj biała męska koszula pozwalała się ich jedynie domyślać. Rondo kapelusza ocieniało oczy, ale Kincade pochwycił spojrzenie Eden w chwili, gdy go dostrzegła. Miał wrażenie, że przeleciał między nimi elektryczny prąd.

Ta więc została jednak natychmiast zerwana: Eden odwróciła się i dała znak traktorzyście, by się zatrzymał. Następnie poleciała coś jednemu z mężczyzn, którzy podawali jej bele siana. Skinął głową, podrzucił kolejny sześcian na platformę, po czym sam na nią wszedł. Eden wręczyła mu haki, zeskoczyła na ziemię i najkrótszą drogą przez rżysko ruszyła w kierunku Kincade'a.

Wyszedł jej naprzeciw. Eden zatrzymała się o dobry metr od niego. Jej skóra lśniła od potu. Oczy Kincade'a przylgnęły do maleńkiej strużki, która spływała po jej dekolcie i ginęła pod czarną bluzką. Gdy podniósł wzrok, Eden Rossiter zmierzyła go zimnym, taksującym spojrzeniem.

Dotknął palcem runda kapelusza, czując ogarniające go nagle podniecenie.

- Chciałbym pomówić z szefem.

- Właśnie z nim mówisz. - Dostrzegła posiniaczoną szczękę, ranę na kości policzkowej i otaczającą ją opuchliznę. - Widzę, że wdałeś się wczoraj wieczorem w bójkę. Przypuszczam, że i ty trafiłeś przeciwnika raz czy drugi - skomentowała ściągając skórzane rękawice.

- Ani razu. - Kincade uśmiechnął się, widząc, że oczy Eden zwięzają się. Spojrzała na niego ostro, zdumiona i zaintrygowana. - Raczej trudno boksować, gdy dwóch osiłków trzyma cię za ramiona.

- To robota DeParda! - domyśliła się i nagle spochmurniała.

- Jego nadzorcy.

- Na jedno wychodzi. - Wzruszeniem ramion zbyła tę nieistotną różnicę.

- Czy wczorajsza oferta nadal jest aktualna?

- Dlaczego chcesz ją teraz przyjąć?

- Ponieważ DePard zabronił mi zatrudnić się na Spur Ranch. Rzecz jasna, od razu nabrałem na to ochoty. Taki już mam przewrotny charakter. - Tym razem on wzruszył ramionami. - Dostanę pracę?

- Już ją masz. - Eden podeszła bliżej i wyciągnęła do niego rękę dla przypieczętowania umowy. Jej dłoń całkiem zniknęła w ręce Kincade'a, stwardniałej, szorstkiej, mocnej i ciepłej. Eden bezwiednie drgnęła czując coś, czego nie potrafiła określić i wołała zignorować. Spojrzała przybyszowi prosto w twarz, która nagle całkiem przeistoczyła się w leniwym uśmiechu. Poranne słońce padało na włosy Kincade'a. Czupryna, płowa jak futro dzikiego kota, zdawała się płonąć. Przez myśl Eden przemknęło: uwaga, niebezpieczeństwo!

Wyrwała dłoń z jego uścisku i wskazała na łąkę.

- Bierzmy się za to siano!

Odwróciła się i pomaszerowała z powrotem w kierunku platformy. Kincade dotrzymywał jej kroku. Eden nie żałowała podjętej decyzji. W porze sianokosów gotowa była zatrudnić każdego dwunoga. W dodatku ten Kincade zdążył już udowodnić, że nie boi się DeParda. Była rada, że znalazła takiego pracownika, ale czuła się dziwnie skrępowana jego obecnością, a raczej własną ni

epokojącą reakcją na tę obecność.

Gdy wróciła do grupy pracującej przy sianie, nie bawiła się w oficjalne prezentacje, tylko zagoniła od razu Kincade'a do roboty: miał podnosić z ziemi kostki sprasowanego siana i podawać je na platformę. Sama zajęła poprzednie stanowisko na wozie i wzięła się od razu do układania sześciaków.

Wrzucanie piętnaste - i dwudziestokilogramowych bel siana na platformę sprawiło, że odezwał się ból we wszystkich poszkodowanych mięśniach Kincade'a. Kiedy w południe nastąpiła przerwa w pracy, był już najwyższy czas: wiele dłużej by nie wytrzymał. Wspiął się na platformę i dojechał nią do swojego pikapa.

Kiedy zeskoczył na ziemię, Eden poleciła jednemu z pozostałych parobków:

- Zajmij się Kincade'em, AL Pokaż mu, gdzie będzie spał.

Niski, krępy kowboj, który najlepsze lata miał już za sobą, zeskoczył z platformy i dogonił Kincade'a. Znużony uśmiech sprawił, że wszystkie bruzdy na jego czerstwej twarzy zmieniły położenie.

- W twoim pikapie byłoby moim starym kościom znacznie wygodniej niż na platformie z sianem - przymówił się podstarzały kowboj.

- Dotarło do mnie - odparł Kincade. Wgramolił się do pikapa, starając się zapomnieć o swoim bólu.

Kowboj wsunął się na miejsce obok kierowcy. Usadowił się na wyściełanym siedzeniu z westchnieniem ulgi.

- Pamiętam czasy, kiedy mogłem harować od świtu do nocy bez wytchnienia. A teraz tylko czekam, kiedy to się skończy. Cholerna starość! - stwierdził z niesmakiem i spojrzał na Kincade'a. - Nazywam się Al Bender.

- A ja Kincade. - Zapalił silnik i ruszył za platformą z sianem w kierunku zabudowań. - Dawno tu pracujesz?

- Tym razem jestem tu odjakichś siedmiu, ośmiu miesięcy. Od lat tak odchodzę i wracam - odparł Al i obrzucił rozmówcę baczny spojrzeniem. - Nie pracowałeś jeszcze nigdy w tych stronach, co?

- Jestem tu pierwszy raz.

- Tak też myślałem. - Kiedy holowana przez traktor platforma z sianem skręciła do stodoły, Al dał znak Kincade'owi, by jechał dalej prosto. - Nasze kwatery są tam.

Kincade zaparkował pikapa i wysiadł z wozu. Podobnie jak dom właścicieli rancza, był to budynek z cegieł adobe, wyblakłych na słońcu. Grube ściany zapowiadały, że wewnątrz będzie nieco chłodu i mniej rażącego blasku. Kincade zabrał swój ekwipunek z tylnego siedzenia i skierował się ku drzwiom, gdzie czekał już na niego Al Bender.

Starzejący się kowboj rzucił okiem na płócienny worek.

- I to już wszystko?

Kincade skinął głową.

- Muszę pożyczyć siodło.

- Zabrakło ci forsy i sprzedałeś własne, co? - powiedział domyślnie Al; Kincade nie wyprowadzał go z błędu. - Mamy w stajni parę zapasowych. Kilka pod wierzch i jedno wyścigowe. - Spojrzał na rejestrację pikapa. - Pewnie chcesz wierzchowe?

- A jakże.

Al skinął głową i otworzył drzwi. Kincade wszedł za nim do wnętrza. Przystanął i rozejrzał się

dokoła. Wspólny pokój od dawna nie był wietrzony; cuchnęło tu brudem i zastarzałym dymem. W rogu stał staroświecki żelazny piec, jedyne źródło ciepła w czasie mroźnych zim północnej Nevady. Stół i kilka krzeseł - każde z innej parafii - zajmowały środek pokoju. Na blacie była rozłożona talia zniszczonych kart: komuś przeszkodziło widać w stawianiu pasjansa. W jednym kącie stał stary, sfatygowany fotel; oparcie miał rozdarte, a poduszki na siedzeniu zapadnięte. Wiszące na ścianach obrazki pożółkły od tytoniowego dymu i ze starości, a kalendarz pochodził sprzed trzech lat.

- Nie ma telewizora - zauważył Kincade.

- Stałby tylko bezużytecznie, chyba że ktoś ma antenę satelitarną, a szefowa nie ma. Jesteśmy zbyt daleko od stacji telewizyjnych, żeby bez tego złapać program. Nawet w radiu, cholera, słychać przeważnie tylko trzaski. - Al wzruszył ramionami. - Nie znajdziesz tu luksusów, do jakich pewnie przywykłeś w Teksasie. U nas straszny prymityw.

- Właśnie widzę.

- Sypialnie są tam - Al ruchem głowy wskazał korytarz biegnący przez całą długość domu. - Prysznic i toalety na samym końcu.

Z płóciennym workiem w ręku Kincade maszerował korytarzem, póki nie znalazł wolnej izdebki. Rzucił torbę na łóżko i poszedł się umyć. Gdy wyszedł spod prysznic, Al już czekał na niego.

- Chodźmy coś zjeść. Kuchnia z jadalnią jest tam.

Al wyszedł z budynku i ruszył przodem. Przeciął na ukos zapyłony dziedziniec. Przy każdym kroku spod jego obcasów wzbijały się obłoczki kurzu.

Ostry gwizd przeszył powietrze, a chwilę później rozległ się tętent kopyt. Kincade ujrzał wielkiego gniadego ogiera pędzącego wzdłuż wysokiego ogrodzenia: łeb miał wysoko zadarty, czarny ogon powiewał. Kincade przystanął, Al również się zatrzymał i obserwowali konia, który gwałtownie zahamował w rogu ogrodzenia i stał drżąc, strzygąc uszami w stronę gór.

Kincade uważnie przyjrzał się ogierowi.

- Wygląda na konia czystej krwi.

- Bo jest, prawie bez domieszki - potwierdził Al. - Tutaj potrzeba naprawdę wytrzymałych koni, które potrafią pokonać kłusem wielkie przestrzenie. Szefowa ma stado klaczy zarodowych i pokrywa je tym ogierem. Prawie połowa kłaczek to zarejestrowane quarter horses[\*] [\* Specjalna rasa amerykańskich koni wyścigowych; nazwa pochodzi od dystansu - ćwierć mili - do którego są specjalnie trenowane (przyp. tłum.)] Szefowa zatrzymuje większość źrebiąt na Spur Ranch, a resztę sprzedaje. Porządny wałach do pracy na ranczu jest teraz na wagę złota. - Al ruszył znów w drogę. - Na Spur Ranch jednego nie brakuje: dobrych koni pod siodło.

- Innych plusów nie ma? - zainteresował się Kincade.

- Żarcie też jest dobre. - Al skinął głową w kierunku kuchni. Był to mały parterowy budynek z wypalanej na słońcu cegły, podobnie jak pozostałe zabudowania.

Muchy dobijały się do zabezpieczonych siatką drzwi domku. W jego wnętrzu radio grało na cały regulator: Willie Nelson wyśpiewywał o Pancho i Leftym. Al otworzył drzwi i wszedł do środka. Kincade deptał mu po piętach. Gdy poczuł smaczkowy zapach świeżo upieczonego chleba, w brzuchu mu zaburzało.

Al wyminął długi stół, przy którym stały z dwóch stron drewniane ławy, i udał się prosto do kuchni na tyłach domku. Kincade znad jego ramienia zobaczył starą babę z rozczochranymi długimi, siwymi włosami, stojącą do nich tyłem. Al podszedł do kuchennego stołu, przy którym baba stała, sięgnął poza nią i wyłączył radio. Starucha obróciła się jak fryga, wywijając długim, ząbkowanym



nożem do krajania chleba.

- Dlaczego tak się skradasz i straszysz ludzi?! - odezwał się z wyrzutem chropawy głos, zbyt niski i szorstki jak na kobietę. Kincade po raz pierwszy dokładniej przyjrzał się „babie” z profilu i zauważył siwą szczecinę. Zrozumiał swoją pomyłkę: to był mężczyzna, nie kobieta.

- Za takie cholerne sztuczki - wymyślał kucharz Alowi - mógłbym cię zadźgać moim nożem!

Nie bojąc się ani groźby, ani ostrego narzędzia, Al odszczeknął:

- Gdyby to twoje radio tak nie ryczało, na pewno byś usłyszał, że wchodzę. Mam nadzieję, że przygotowałeś dosyć żarcia. Przybył nam jeden stołownik. Szefowa go właśnie zatrudniła - wskazał Kincade'a ruchem głowy.

Stary kucharz odwrócił się, rzucił okiem na przybysza, a potem uniósł wzrok do sufitu i wyciągnął ramiona błagalnym gestem.

- Wysłuchaj mnie, o Wielki Duchu! Mój dziad przez wiele księżyców walczył z bladymi twarzami, które zrabowały naszą ziemię. Wiele razy prowadził wojowników do boju. Wiele razy zasiadał przy ognisku i palił fajkę pokoju...

- Przestań się zgrywać - przerwał mu Al, a potem machnął ręką w stronę Kincade'a. - To jest nowy kowboj, nazywa się Kincade. A ten dziwoląg, możesz mi wierzyć albo nie, to nasz kucharz. Nazywa się naprawdę Frederick Daniels, ale wszyscy mówimy o nim „Dziki Jack”.

Stary spojrzał na Ala i wrócił do krajania chleba.

- Nie ma już żadnego szacunku dla starszych. Cholerny wstyd, i tyle - utyskiwał głośno.

Al wyszczerzył zęby i poinformował Kincade'a:

- On twierdzi, że jego dziadek był wodzem plemienia Siuksów. Równie dobrze mógłby podawać się za krewniaka papieża. - Podszedł do stojącej na kuchennym stole beczułkowatej chłodziarki do napojów. - Co byś powiedział na mrożoną herbatę?

- Z przyjemnością się napiję - skinął głową Kincade, a jego spojrzenie powędrowało znów w stronę kucharza, zajętego krajaniem chleba.

Jakby czując na sobie wzrok przybysza, stary zwrócił ku niemu pobrużdżoną twarz z chytrym błyskiem w oczach.

- Może przywiozłeś trochę whisky, co? Kincade potrząsnął głową. - Niestety, nie.

Kucharz chrząknął z rozczarowaniem.

- Od tego kurzu mam straszny kaszel - poskarżył się i ostentacyjnie zakasłał, by udowodnić prawdziwość swoich słów. - Może masz syrop od kaszlu?

- Bardzo mi przykro.

- No to płyn do płukania ust, żeby zabić zarazki?

- I tego nie. - Kincade połapał się już, o co tu chodzi.

- Cholerna szkoda - mruknął kucharz, rzucił nóż na stół i odwrócił się do nich tyłem.

Na krzywych, patykowatych nogach podszedł do kredensu tuż przy trzonie kuchennym i otworzył drzwiczki. W środku było mnóstwo przypraw i korzeni. Zniekształcone palce zacisnęły się na wysokiej, wąskiej butelce ekstraktu waniliowego, prawie do połowy pełnej. Kucharz zdjął ją z półki i szybkim ruchem odkorkował. Podniósł butelkę do ust i odchylił głowę do tyłu. Trzema potężnymi haustami opróżnił butelkę. Potem skrzywił się, wzdrygnął i westchnął głęboko.

- Już mi lepiej! - Wrzucił puste naczynie do poobijanego metalowego pojemnika na śmieci, stojącego obok Kincade'a.

Kincade usłyszał brzęk szkła o inne szkło. Z ciekawości zajrzał do środka. Oprócz butelki

wrzuconej przed chwilą przez Dzikiego Jacka, znajdowały się tam jeszcze dwie takie same, też po ekstrakcie waniliowym. Kiedy Al podał mu mrożoną herbatę, Kincade wskazał ruchem głowy pojemnik.

- Wasz kucharz zaprawia się esencją waniliową. Gest Ala mówił wyraźnie: „Ameryki nie odkryłeś”.

- Kiedy facet musi czymś się zaprawić, to mu wszystko jedno, co pije - stwierdził. - Dopóki chleje tylko wanilię, może pracować. Jakby się dobrał do whisky, poszedłby w tango na dobrych kilka dni. - Kucharz przeszedł obok nich z koszem pełnym grubych kromek chleba domowego wypieku, prosto z piekarnika. Al podwędził mu kromkę i zatopił w niej zęby. - To skończony stary dureń, ale zna się na kuchni - stwierdził między jednym a drugim kęsem.

Zabezpieczone siatką drzwi otworzyły się. Skrzypienie zawiasów obwieszczało przybycie pozostałych parobków. Najmłodszy z nich, wysoki, chudy chłopak z mizernym wąsikiem nad górną wargą i w promocyjnej czapce rodem z jakiegoś baru, spostrzegł Kincade'a i poinformował go:

- Szefowa powiedziała, że masz przyjść do niej, jak tylko skończysz jeść. Trzeba wypełnić jakieś formularze. Bez nich nie dostaniesz forsy, więc lepiej nie zapomnij.

- Nie zapomnę. - Kincade uśmiechnął się w duchu i przyłączył się do innych, przeskakujących przez drewniane ławy na swoje miejsca przy stole.

- Mój nowy pracownik.

- To każ mu się zmywać!

- Czemu sam mi tego nie powiesz? - Kincade wypowiedział te słowa cicho, ale groźnie.

Vince cofnął się i mrużąc oczy popatrzył uważnie na Kincade'a.

- Chyba się już gdzieś spotkaliśmy. Kincade lekko potrząsnął głową.

- Może przypominam ci jakiegoś znajomka.

- Może - zgodził się Vince, ale coś go nadal niepokoiło. Przyglądał mu się jeszcze chwilę, a potem odwrócił się raptownie. - Do diabła z tym wszystkim! Jadę do miasta!

Eden zawołała za odchodzącym:

- Kiedy wrócisz? - Nieprędko.

Podszedł energicznym krokiem do niebieskobiałego forda pikapa, wypolerowanego do glansu. Siadł za kierownicą i strzelił drzwiami. W chwilę później silnik ożył, koła zawirowały.

Kiedy pikap odjeżdżał spod domu, napięcie we wszystkich mięśniach Kincade'a zaczęło powoli słabnąć. Czuł na sobie wzrok Eden, więc odwrócił się, chcąc napotkać jej spojrzenie. Patrzyła mu prosto w twarz; badała go wzrokiem bez pośpiechu, uważnie.

- Nie powiesz chyba, że ten gość tu pracuje? - Kincade jakby z roztargnieniem przyglądał się jej twarzy. Zwrócił uwagę na niezwykle połączenie delikatnych kości i twardych, sprężystych mięśni, zwartych mocno pod gładką skórą; i na szlachetny kształt czaszki. Nie ulegało wątpliwości: Eden była piękną kobietą.

- Vince? - Eden lekko wzruszyła ramionami. - Zjawia się i odchodzi, kiedy zechce.

- Nazywa się Vince?

- Tak, Vince Rossiter. To mój brat. - Eden zauważyła, że zaskoczony Kincade aż się cofnął.

Zaraz jednak rzucił jej szybki, pełen skruchy uśmiech, zniewalający i rozbijający.

- Wygląda na to, że wtrąciłem się w rodzinną sprzeczkę.

- Istotnie. - Eden uśmiechnęła się, choć nie miała takiego zamiaru.

- Bardzo przepraszam. Omyliłem się. - Oczy Kincade'a spoczęły na jej wargach z typowo

męskim zainteresowaniem dla pociągającej kobiety.

- Omyliłeś się rzeczywiście. - Eden zeszywniała, uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Mam nadzieję, że nie sprzeczałyście się o nic ważnego.

Eden spojrzała na kurz, który powoli opadał po odjeździe pikapa.

- On chce, żebyśmy sprzedała ranczo - odpowiedziała i natychmiast ogarnęła ją złość na samą siebie, że zwierza się przed Kincade'em.

- A ty nie chcesz go sprzedać - domyślił się.

- Nie chcę.

- Czy ranczo należy do was obojga?

- W pewnym sensie. Ale nie łudź się, Kincade: tutaj tylko ja o wszystkim decyduję! - Wykręciła się na pięcie i podeszła do drzwi frontowych. - Wejdz do środka. Musisz wypełnić formularz zatrudnienia.

Kincade spojrzał w zadumie na chmurę pyłu wzbitego przez wóz jej brata, a potem podążył za Eden do wnętrza domu. Przeszła przez hol energicznym krokiem, ani na chwilę nie zwalniając; Kincade szedł nieco wolniej, przyglądając się poczerńiałym od starości schodom prowadzącym na piętro. Zmierzał w ślad za Eden do centralnej części tego domu o ścianach z kremowej cegły.

Wielki kamienny kominek górował nad całym wnętrzem; opalone i poczerńiałe od sadzy kamienie wskazywały na długie lata użytkowania. Meble stojące obok były masywne, raczej użytkowe niż dekoracyjne. Na posadzce z twardego drewna leżał dywan o wzorze charakterystycznym dla wyrobów Indian Navaho, mocno podniszczony przez stopy, które deptały po nim przez długie lata.

Eden Rossiter skierowała się prosto do starego biurka z żaluzjowym zamknięciem, stojącego we wnęce. Kincade przypatrywał się, jak przechodziła przez pokój. Zdjęła kapelusz, zsunęła elastyczną opaskę, przytrzymującą włosy na karku, a wreszcie automatycznym ruchem wstrząsnęła głową, by opadły swobodnie. Ciemne, połyskliwe pasma rozsypały się po plecach. Patrząc na nie Kincade zastanawiał się, czy są tak jedwabiste w dotyku, jak na to wyglądają.

- Tutaj są formularze, które musisz wypełnić. - Eden odnalazła potrzebne papiery na zagraconym blacie biurka, a potem zaczęła w różnych przegródkach szukać pióra.

Kincade bez pośpiechu przeszedł do wnęki; w połowie drogi zatrzymał się na widok stolika do szachów z figurami rozstawionymi na szachownicy. Ktoś naj - wyraźniej przerwał zaczęłą partię.

- Widzę, że gracie z bratem w szachy - zauważył spoglądając na szachownicę.

- Czasem, wieczorami.

- Grałaś białymi? - ujął w palce kremowy pionek, już zbity. - Tak.

- W trzech ruchach możesz dać szacha królowi. Brat będzie musiał poświęcić królową, żeby go uratować.

- Wiem.

- Twój brat też? - Kincade leciutko się uśmiechnął i spojrzał na nią z ukosa.

- Wątpię. - Odwróciła się unikając jego wzroku i wyjęła długopis z przegródki. - Vince nie potrafi przewidywać posunięć przeciwnika, więc zawsze wpada w tarapaty.

W głosie Eden zabrzmiała dziwna nuta, która skłoniła Kincade'a do uważnego popatrzenia na nią.

- Coś mi się zdaje, że masz na myśli nie tylko szachy.

- Wszyscy wiedzą, że Vince ciągle ma jakieś kłopoty. - Wskazała mu formularze, chcąc wrócić do spraw urzędowych. - Proszę.

- Już idę. - Nie odchodził jednak od stolika, przyglądając się szachownicy: blat był intarsjowany,

na przemian jasnymi i ciemnymi kwadracikami drewna. - To bardzo piękny stolik do szachów. Rzadko można zobaczyć coś podobnego.

- Wykonał go mój dziadek. W wolnych chwilach zajmował się stolarką i trochę rzeźbił w drewnie.

- A te figury? - Kincade obracał pionek w palcach. - Wyglądają na ręczną robotę. Czy to także dzieło twego dziadka?

- Czarne figury.

- A kto wyrzeźbił białe? Twój brat? - Nie, ja.

- Ty? - Kincade uniósł brwi ze zdumieniem. - Potrafisz rzeźbić w drewnie?!

- To tylko hobby... i nie mam na nie wiele czasu - odparła ze zniecierpliwieniem i pomachała trzymanymi w rękę papierami. - Formularze, mój panie!

- Wystarczy po prostu Kincade. - Odłożył biały pionek na stolik i podszedł do biurka, przy którym stała. - Chyba przed chwilą odezwałem się niegrzecznie, ale rzeźba w drewnie to nie kobieca robótka. - W kącikach ust zarysowały się dołki, kiedy się uśmiechnął.

I znowu Eden odczuła zniewalający urok tego uśmiechu. Nie pozwoli, by japo raz drugi oczarował. Życie nauczyło ją, że nie należy ufać męskim uśmiechom.

- Przyjęłam twoje przeprosiny, Kincade - odparła chłodno i wetknęła mu papiery do ręki. - Może teraz wypełnisz formularze...

Kincade wziął długopis i druki, podszedł do głębokiego, wygodnego fotela i usiadł. Przejrzał pierwszy formularz i zainteresował się tomikiem poezji, który Eden zostawiła na stoliku do kawy.

- Mogę użyć tego na podkładkę? - uniósł książkę do góry.

- Oczywiście. - Eden usiadła przy biurku, zdecydowana odwalić trochę papierkowej roboty; za każdym razem, gdy powracała do tych szpargałów, miała wrażenie, że się złośliwie mnożą.

- Robert Frost. - Kincade wymówił głośno nazwisko autora wierszy, do których najwidoczniej Eden często powracała. - Moja siostra też bardzo lubiła tego poetę.

Eden odpowiedziała na tę uwagę niewyraźnym mruknięciem i natychmiast przystąpiła do sortowania wczorajszej poczty. Nie życzyła sobie długich rozmów z Kincade'em na temat jego siostry, wielbicielki twórczości Roberta Frosta. Poczula ulgę, gdy Kincade nie podtrzymał tematu. Po kilku minutach Eden usłyszała skrzyp długopisu sunącego po papierze.

Kincade szybko wypełnił formularze i podszedł znów do biurka.

- Proszę - powiedział kładąc przed nią druki. Zaraz potem spytał: - Kim jest ta kobieta na portrecie?

Eden podniosła głowę i zorientowała się, że uwagę Kincade'a przyciągnęła oprawna fotografia Kate Rossiter, wisząca na ścianie. Odruchowo i ona popatrzyła na portret. Poczula - jak zawsze - dumę i podziw dla prababki i wszystkiego, czego dokonała. Na chwilę znikła jej rezerwa.

- To moja prababka, Kate Rossiter. To ona stworzyła Spur Ranch, dosłownie własnymi rękami.

W głosie Eden zabrzmiała rodzinna duma. I nie tylko: Kincade zauważył także ciepło, z jakim mówiła o Kate. Na twarzy dziewczyny malowała się miękkość, której dotąd w niej nie dostrzegł. Stało się jasne, że pod znaną mu już powłoką twardej kobiety interesu kryje się znacznie więcej.

- A co z jej mężem? Czyżby owdowiała?

- Nie. Pradziadek wiecznie gonił za szczęściem po szerokim świecie, łudząc się, że zdobędzie w końcu wielką fortunę. - W głosie Eden brzmiała wyraźnie wzgardliwa nuta potępienia.

- Już Szekspir mówił o „wszechwładztwie złota” - przypomniał sobie Kincade. - Gorączka złota

zwabiła z pewnością wielu nieszczęślików na Dziki Zachód.

- I dziś nie jest lepiej, tylko trochę inaczej to wygląda. Kincade był prawie pewien, że Eden ma na myśli swojego brata.

- Masz słuszość. Niektórzy ludzie nie mogą się oprzeć pokusie łatwego zarobku. - Zwrócił się ku wypłowiałej podobnie założycielki rancza. - Twoja prababka nosiła broń i wygląda na to, że umiała się nią posługiwać.

- O ile mi wiadomo, całkiem nieźle. Kincade oglądał uważnie kobietę na portrecie.

- Od razu widać, że jesteście spokrewnione.

Eden zerwała się na równe nogi, wojownicza i wyzywająca.

- A czemuż to? Dlatego, że kogoś zastrzeliłam?

- Prawdę mówiąc - Kincade zsunął kapelusz na tył głowy i smutny uśmieszek wygiął mu wargi - miałem na myśli wasze fizyczne podobieństwo: ciemne włosy i oczy, delikatne kości, dumna postawa.

Zaskoczona jego odpowiedzią Eden spuściła wzrok, na policzki wypełził rumieniec.

- Przepraszam - powiedziała i znów usiadła. - Zdawało mi się, że robisz aluzje do... pewnej sprawy.

- Słyszałem o tym zastrzelonym chłopaku - przyznał Kincade. - Ludzie w okolicy ciągle o tym plotkują. Nie dziwię się, że to dla ciebie drażliwy temat, choć minęło już tyle lat.

- Nieważne. - Eden wzięła wypełnione przez niego druki i zaczęła je przeglądać.

- Słyszałem też, że ława przysięgłych uznała cię za niewinną.

- Rzeczywiście, uniewinnili mnie. - Eden podniosła nań oczy, zimne i wyzywające. - Masz coś przeciwko temu?

- Bynajmniej. - Cień uśmiechu przemknął mu po wargach, zanim zwrócił się w stronę kolejnej fotografii w ramkach. Widniał na niej mężczyzna koło pięćdziesiątki, o twardych rysach i surowym wyrazie twarzy. - Ten mężczyzna na zdjęciu... czy to mąż Kate Rossiter?

- To jej syn, a mój dziadek, Jed Rossiter.

- Ten, który zarząd rancza powierzył tobie, a nie twojemu bratu?

- Właśnie.

- Przypuszczam, że wasi rodzice nie żyją.

- Matka umarła, gdy miałam cztery lata. Prawie jej nie pamiętam. - Eden próbowała skoncentrować się na formularzach; sprawdzała linijkę po linijce, żeby się upewnić, że zawierają wszystkie niezbędne dane. - Po pogrzebie mamy ojciec przywiózł mnie i Vince'a tu, na ranczo. Miał taką pracę, że stale był poza domem. - Nie zwierzyła się Kincade'owi, że ojciec odjechał wtedy, by nigdy już nie wrócić. Przez długi czas Eden łudziła się, że jeśli będzie grzeczna i posłuszna, jeśli zrobi wszystko, co dziadek jej rozkaże, tatuś wróci. Ale tak sienie stało. - Zginął w wypadku samochodowym, gdzieś w stanie Nebraska, kiedy skończyłam szesnaście lat.

- Więc wychował cię dziadek?

Eden skinęła głową i przełożyła papiery, by sprawdzić drugi formularz.

- To był dobry człowiek.

- Wygląda trochę na despotę - zauważył Kincade.

Eden nic na to nie odpowiedziała, choć w duchu przyznała, że pod niektórymi względami dziadek był bardzo wymagający. Przykładał wielką wagę do pracy i dyscypliny; Vince bardziej cierpiał z tego powodu niż ona. Jeśli o nią chodzi, zawsze czuła, że pod szorstkością dziadka kryje się

kochające serce. Nie miała jednak zamiaru dyskutować na ten temat z Kincade'em. Był przecież obcym człowiekiem, najemnym parobkiem.

Zaległo milczenie, ale Eden czuła na sobie jego wzrok.

- Masz piękne włosy - szepnął nieoczekiwanie.

Sekundę później Eden poczuła delikatny dotyk jego palców na głowie. Zamarła. Dziesiątki sprzecznych uczuć trzepotały w niej niczym liście na wietrze, każdy nerw zbudził się nagle do życia.

- Nigdy nie potrafiłem się oprzeć długowłosej kobiecie.

Eden odzyskała panowanie nad sobą i rzuciła mu miażdżące spojrzenie.

- Czyżby? Ja na przykład nigdy nie spotkałam mężczyzny, któremu nie mogłabym się oprzeć. -

Zauważyła z wściekłością, że to go raczej rozbawiło niż zbiło z tropu. - Jeśli masz trochę rozumu, Kincade, będziesz zawsze pamiętał, że jestem twoim szefem i zapomnisz, że jestem kobietą.

- Jakże bym mógł, panno Rossiter? - W jego oczach czaiła się kpina.

- Spróbuj - warknęła i skierowała wzrok na formularze. - Dostaniesz sześćset dolarów na miesiąc, mieszkanie i wyżywienie... no i premię, o ile zabawisz tu dłużej niż rok. - Była przeświadczona, że tak się nie stanie: najemni pracownicy rzadko popasali dłużej. - Wypłata pierwszego i piętnastego. - Jeszcze raz przejrzała papiery i dostrzegła nie wypełnioną rubrykę. Natychmiast zwróciła uwagę Kincade'a na to niedopatrzenie. - Muszę mieć nazwisko i telefon kogoś z twojej rodziny, by móc się z nim skontaktować w razie wypadku czy jakiejś innej konieczności.

- Nie mam już żadnej rodziny.

Eden podniosła zdumione oczy. Twarz Kincade'a była pozbawiona wyrazu, zupełnie jakby zamknął się przed nią; oczy spoglądały bacznie i chłodno.

- Rodzice umarli - domyśliła się Eden, a potem coś sobie przypomniała. - Mówiłeś o swojej siostrze. Co z nią? Czy ona również nie żyje?

Kincade przytaknął.

- Od pewnego czasu.

- To może jakiś przyjaciel...

- Powiedziałem: nie mam nikogo. Jeśli chcesz, możesz wpisać w tej rubryce choćby własne nazwisko.

- W porządku. - Eden niezbyt pewnym ruchem odłożyła formularze i spojrzała na ścienny zegar. - Chłopcy na pewno są już w stodole i wyładowują siano. Najwyższy czas, żebyśmy się do nich przyłączyli.

Odsunęła krzesło i wstała. Sięgnęła po kapelusz i rękawice leżące na blacie biurka. Kincade nie czekając na nią skierował się do wyjścia. Eden dogoniła go przed domem. Miała znów włosy związane na karku.

Razem poszli ścieżką między drzewami w kierunku stodoły. Stary owczarek leżący w cieniu werandy podniósł się i podążył truchcikiem za Eden.

- Zawsze zbieracie tylko tyle siana? - spytał Kincade.

- Tak. Zazwyczaj nie dokarmiam bydła zimową paszą, chyba że pogoda jest wyjątkowo uciążliwa. Przeważnie trzymam tylko tyle bydła, ile można wykarmić na ranczu nawet w nieurodzajny rok.

- A ile masz ziemi?

- Ogółem jakieś siedemdziesiąt tysięcy akrów.

- Ile z tego należy do państwa?

- Nic. Odebrano nam prawo wypasu - wyjaśniła Eden i dodała z cynicznym uśmiechem: - DePard ma usługowych przyjaciół na wysokich stołkach.

Kincade roześmiał się. Jej poczucie humoru zaskoczyło go, a sposób, w jaki oceniała DeParda, zgadzał się z jego własną opinią o tym człowieku.

- Specjalnie mnie to nie dziwi.

- Mnie też nie.

- Z tego co widziałem, mam wrażenie, że gość uparł się, żeby cię wykończyć. - Spojrzał na Eden z ukosa, by dostrzec jej reakcję.

- Wiem o tym - odparła spokojnie.

- I dlatego właśnie twój brat namawia cię do sprzedaży rancza?

- To jeden z jego motywów.

- A inne? - zainteresował się Kincade.

- Pieniądze. Zgodnie z testamentem dziadka, Vince ma prawo do udziału we wszelkich zyskach. Aleja nie sprzedam.

Gdy doszli do stodoły, Eden naciągnęła robocze rękawice i zaczęła wydawać rozkazy mężczyznom zebranych wokół platformy z sianem.

- Jason i Hart, zabierzcie się do wyładunku i ustawiania tych kostek. Dekę, pomóż im przy układaniu. Al, jak tylko platforma się opróżni, ty i Kincade wracajcie z nią na łąkę i weźcie się do zbierania reszty siana.

Gdy platforma się opróżniła, Al Bender usadowił się na siodełku za kierownicą traktora. Kincade stanął zaniem, oparty o zderzak. Al uruchomił traktor i ruszyli na łąkę.

- Jedno trzeba przyznać szefowej - stwierdził Al wyężając głos, by przekrzyczeć dudnienie silnika - tyra jak chłop.

- Chyba o jej bracie nie da się tego powiedzieć. Al prychnął pogardliwie.

- Spotkałeś już Vince'a, co?

- Właśnie dziś. W ich domu.

- Jak chcesz zobaczyć trutnia, wystarczy spojrzeć na Vince'a - zawyrokował Al.

- Czym on się właściwie zajmuje?

- Wymigiwaniem się od roboty. Zjawia się tutaj tylko wtedy, gdy mu potrzeba forsy - a rzadko się zdarza, żeby ją miał.

- I co z nią robi?

- Przeważnie przegrywa.

- W kasynie?

- W kasynie, na wyścigach, gdzie się tylko da. Gotów się założyć o wszystko, byle miał szansę wygranej, a stawka była duża. - Al zwolnił na wybojach. - Możesz mi wierzyć, z takim bratem jak Vince i z takim wrogiem jak DePard szefowa nie ma szans.

- Jeśli tak uważasz, to czemu u niej pracujesz?

- Zawsze to jakaś praca. W moim wieku nie tak o nią łatwo. - Al spojrział na Kincade'a z ukosa. -

A ty czemu się tu nająłeś?

Kincade uśmiechnął się.

- Może chciałem wyrównać jej szansę. Al spojrział na niego jak na wariata.

W piątek rano, ledwo wstało słońce, niebo od zachodu przesłoniła ławica nisko płynących chmur. Sunęły powoli w stronę Spur Ranch, nabrzmiące deszczem, który miał przerwać długotrwałą

suszę. Gdy zakończono poranne prace, całe niebo było już pokryte chmurami; zerwał się wiatr - zapowiedź burzy, wzbijając tumany pyłu i zeschniętych liści, które leżały pod topolami.

Eden skierowała się z powrotem do domu. Stary owczarek biegł truchcikiem przy nodze.

- Będziemy chyba mieli trochę deszczu, co, Cassius? - zwróciła się do psa. - Miejmy nadzieję! - Pies pomachał ogonem; wyglądało to tak, jakby jej energicznie przytakiwał. Eden roześmiała się. - Czasem mam wrażenie, że rozumiesz każde moje słowo, Cash!

Rozdziawił w szerokim uśmiechu sapiącą mordkę i maszerował dalej w stronę domu. Eden znów się zaśmiała i potrząsnęła głową.

Ledwo otworzyła drzwi frontowe, pies od razu wśliznął się do środka i pobiegł prosto do kuchni. Jego pazurki stuknęły na twardych deskach podłogi. Gdy dotarł do celu, uwalnął się na dywaniku przed zlewem i z dołu przyglądał się Eden, jak podchodzi do kuchennego stołu i nalewa sobie kawy.

Z kubkiem w ręku stanęła przy otwartym oknie i przez zabezpieczającą je siatkę obserwowała kłębiącą się masę ciemnych chmur. Wiatr zamarł, w nagłej ciszy zagrzmiało. W powietrzu czuć było wyraźnie wilgoć, świeżość i ożywczość.

Wreszcie pierwsza ciężka kropla kapnęła na pokrytą pyłem ziemię. Potem druga, i jeszcze jedna. W końcu chmury pozbyły się swojego brzemienia: lunął deszcz, zszywając niebo z ziemią przezroczystymi nićmi.

Eden poczuła niezmierną ulgę. Dopóki pada, nie ma mowy o pracy pod gołym niebem. Nie będzie więc musiała wymyślać pretekstów, żeby pozostać w domu; czekała na telefon od Rosy Winters modląc się w duchu, by jej szwagier zgodził się przewieźć bydło ze Spur Ranch na rynek.

Spojrzała na wiszący na ścianie telefon pragnąc, by jak najrychlej zadzwonił. Zamiast tego usłyszała kroki schodzącego po schodach Vince'a. Zesztywniała i bezwiednie uniosła wojowniczo podbródek. Wróciła pamięć niemiłych słów, które wczoraj wieczorem padły między nimi w gniewie.

Brat wszedł do kuchni.

- Pada?

- Tak. - Wypiła łyk kawy i dalej wyglądała przez okno.

- Przynajmniej trochę się ochłodzi - przyznał Vince - choć nie wiem co gorsze w tej cholerniej dziurze: kurz czy plucha.

Eden postanowiła zignorować tę uwagę.

- Zostało jeszcze trochę kawy, gdybyś chciał się napić.

- Dziękuję, nie skorzystam! Może cię bawi przesiadywanie w kuchni i przysłuchiwanie się, jak deszcz bębni, ale mnie nie!

Pogarda w jego głosie sprawiła, że Eden zacisnęła zęby. Policzyła w duchu do dziesięciu i odwróciła się od okna.

- Przypuszczam, że znów wybierasz się do miasta.

- Z pewnością nie będę tu tkwił! - odparł szyderczo Vince; potem zawahał się, widać było, że gryzie go sumienie. - A może byś tak wybrała się ze mną? Przy takiej pogodzie nie ma przecież mowy o żadnych pracach na ranchu. Moglibyśmy pojechać do Winnemucca i coś tam przekąsić.

Eden potrząsnęła głową.

- Może to tylko przelotny deszcz. Poza tym uzbierało się sporo papierkowej roboty.

- Zawsze coś sobie wynajdziesz! - zaperzył się znowu Vince. - Czy ty nie widzisz, że to cholerne rancho...

- Skończ z tym, Vince - przerwała mu Eden. Ona także była o krok od wybuchu. - Nie życzę sobie



jeszcze jednej kłótni! Nie teraz. Masz jechać, to jedź. Ale nie chcę słyszeć ani słowa o sprzedaży rancza! Ani słowa!

- Jesteś tak samo uparta jak stary Jed! Nie ma co z tobą gadać! - odszczeknął Vince. - Szkoda czasu! Niema sprawy. Już sięzmywam. - Właśnie miał wyjść, gdy zadzwonił telefon. Ostry sygnał zmroził na sekundę Eden. To Rosa, pomyślała, czując napięcie wszystkich nerwów. Vince zawrócił. - To pewnie do mnie! - skierował się w stronę wiszącego na ścianie telefonu. Wyrwało to Eden z odrętwienia.

- Ja odbiorę - podbiegła szybko i pierwsza schwyciła słuchawkę. - Spur Ranch. - Vince stał tuż przy niej z zaciśniętymi zębami, nie ukrywając złości. W słuchawce odezwał się męski głos. Eden odprężyła się: nie będzie musiała rozmawiać z Rosą w obecności Vince'a. Zasłoniła mikrofon dłonią. - To Ed ze sklepu żelaznego. Dostarczyli tę część generatora. Może wpadniesz tam po drodze i przywieziesz ją?

- Czemu nie, do diabła! - odparł z niechęcią i odwrócił się na pięcie.

- Vince odbierze jajeszcze dziś rano, Ed - powiedziała do słuchawki, odprowadzając spojrzeniem brata, który wychodził z kuchni. - Dziękuję, że mnie zawiadomiłeś. - Odgłos zatraskiwanych drzwi zagłuszył brzęk odkładanej słuchawki. Vince'a już nie było.

Wkrótce po jego wyjściu telefon znów się odezwał. Tym razem dzwoniła Rosa Winters.

- Rozmawiałam ze szwagrem - powiedziała do Eden, która jeszcze mocniej ścisnęła w rękę słuchawkę. - Przewiezie twoje bydło. Powiedział, że może po nie przyjechać na Spur Ranch we wtorek o dziewiątej rano, jeśli ci to pasuje.

- Doskonale!

- Powtórzę mu. Pamiętaj... Ktoś wszedł do sklepu, muszę kończyć. - Połączenie zostało przerwane.

Gdy tylko Eden odłożyła słuchawkę, kolana się pod nią ugięły z wielkiej ulgi. Opadła na kuchenne krzesło, śmiejąc się popłakując równocześnie. Stary owczarek przyczłapał do niej i podetknął siwiejącą mordkę pod jej rękę.

Eden ze śmiechem potar mosiła pieszczotliwie psi łebek.

- Udało nam się, Cassius! - oznajmiła z triumfem. - Przechytrzyliśmy DeParda! Nie wygra z nami tym razem!

Stare psisko szczeękło i uderzyło ogonem o podłogę, a potem podskoczyło i polizało Eden po twarzy. Wzięła owczarka na kolana i przygarnęła go tak mocno, że zwierzak zaczął wrywać się z jej objęć.

- Nie lubisz takich objawów czułości, co? - Tuliła ciepłe ciało jeszcze przez chwilę, opierając policzek na psiej głowie; tak bardzo potrzebowała kontaktu z jakąś żywą istotą... bezpiecznego kontaktu. - Masz rację, Cash. Nie przesadzajmy z objawami czułości!

Wypuściła owczarka z objęć. Pies natychmiast zeskoczył na podłogę i poczłapał z powrotem na dywanik. Okręcił się dookoła własnej osi i położył na nim, nie spuszczając swojej pani z oka.

- Pora wziąć się do roboty, prawda? - Eden uśmiechnęła się i przeszła do pokoju, gdzie na biurku czekała na nią sterta papierów.

Przez większość dnia deszcz padał z niewielkimi przerwami. Po początkowej ulewie był to przeważnie kapuśniaczek, niekiedy coś w rodzaju gęstej, wilgotnej mgły. Koło drugiej Eden uporała się z papierzyskami.

Wrzucała właśnie stertę brudnej bielizny do wysłużonej pralki, stojącej na oszklonej werandzie

na tyłach domu, gdy zjawił się Vince. Eden wróciła do kuchni, a brat wszedł do domu, trzymając w objęciach wielkie kartonowe pudło i pogwizdując - po rannych dąsach nie zostało śladu. Eden powinien cieszyć dobry humor brata, ale wieloletnie doświadczenie nauczyło ją, że takie zmiany nastrojów nie wróżą nic dobrego.

- Cześć, siostrzyczko! Sądząc z odgłosów, zabrałaś się za pranie - zauważył z szerokim uśmiechem. Podeszedł do kuchennego stołu i położył pudło na lśniącym blacie.

- Owszem. Co w tym jest? - Eden podeszła, by zbadać sprawę.

- Cytryny. - Vince wyjął jedną i zademonstrował siostrze. - Pewien facet zatrzymał się na stacji Hoague'a. Miał pikapa załadowanego cytrusami. Chciał je opylić za bezcen, więc myślę, że zwinął je z jakiegoś transportu. Wszystko jedno... kiedy zobaczyłem te cytryny, zaraz pomyślałem, że je kupię i może mi się uda skłonić siostrę, by przyrządziła rodzinny specjał: lemoniadę Rossiterów. - Uśmiechnął się do niej szeroko; oczy skrzyły się serdecznością i humorem. Takiej kombinacji trudno się było oprzeć. Vince doskonale o tym wiedział.

- Dobrze, ale trochę później - zgodziła się Eden, w pełni świadoma, że jest obiektem manipulacji.

- Kochana dziewczynka! - Vince wrzucił cytrynę z powrotem do pudła. - Wygląda na to, że nieźle tu popadało. W mieście nie pokropiło nawet na tyle, żeby kurz trochę osiadł.

- Tak przeważnie bywa - odparła Eden, a potem spytała: - Nie zapomniałeś odebrać tej części generatora?

- Nie, nie! Leży w wozie.

- Możesz powiedzieć Deke'owi albo Hartowi, żeby ją zamontowali? Hart pewnie jest jeszcze w szopie i majstruje przy traktorze. Dekę w stajni pomaga wymieniać przegniłe deski w boksach i żłobach.

- Nie ma potrzeby odrywać ich od pracy. Ja się tym zajmę. Muszę ci się przecież zrewanżować za lemoniadę - stwierdził Vince i wyszedł z kuchni.

Eden patrzyła za odchodzącym bratem. Wiedziała, na co się zanosi. Na razie Vince nie wspomni o sprzedaży rancza, będzie przemyły i uroczy; potem przyjdzie pora na przeprosiny i sprytnie przemyślane zapewnienia, że ma na celu tylko jej dobro. Eden westchnęła. Nietrudno było przewidzieć reakcje brata.

Godzinę później Eden przebierała w garnkach stojących na dolnej półce kredensu, póki nie znalazła właściwego. Ustawiła naczynie na kuchennym stole obok stosu wydrążonych połówek cytryn. Przez otwarte okno nad zlewem wpadał wietrzyk, niosąc ze sobą woń ozonu, która mieszała się z zapachem cytryn.

Zamiast palić drewnem pod archaiczną kuchnią, Eden odsunęła od ściany elektryczną kuchenkę i włączyła ją do kontaktu. Trzasnęły drzwi zabezpieczone siatką. Zaraz potem rozległ się dobrze znany, rytmiczny odgłos kroków Vince'a.

- Jak działa generator? - spytała brata, kiedy tylko wszedł.

- Mruczy jak kotek.

- To dobrze. - Eden przelała do garnka dzbanek świeżo wyciśniętego soku z cytryn, odmierzyła odpowiednią ilość cukru, wsypała i zamieszała.

Vince podeszedł, żeby się przyjrzeć, jak zeskrobuje górną warstwę skórki dodając ją do mieszaniny wraz ze szczyptą soli.

- Jak się spisuje ten nowy parobek, którego najęłaś? - Oparł łokcie o blat i pochylił się na bok.

- Masz na myśli Kincade'a? Świetnie.

- Co o nim wiesz?

- Że zależało mu na pracy.

- Tylko tyle?

- To mi wystarczy.

- Powiem ci bez ogródek, siostrzyczko: nie podoba mi się ten typ.

- A ja nie mogę sobie teraz pozwolić, żeby mi zabrakło rąk do pracy. - Pewnie że nie może, kiedy trzeba spędzić trzysta pięćdziesiąt sztuk bydła do zagrody zbiorczej, żeby były gotowe do transportu na dziewiątą rano w najbliższy wtorek, kiedy ma się zjawić przewoźnik! Eden nie powiedziała jednak bratu o tym. Uznała, że Vince równie dobrze może dowiedzieć się o tym rano, razem z innymi.

- To zupełnie obcy facet - przekonywał ją dalej brat. - Jest w nim coś podejrzanego. Nie umiem dokładnie powiedzieć, o co chodzi, ale... - Vince z uśmiechem pochylił się ku siostrze i po dziecinnemu pociągnął ją za włosy. - Niech tam, to ty masz na głowie cały ten kram... i radzisz sobie fantastycznie, muszę przyznać.

- Dzięki za uznanie. - Eden nie dała się nabrać na jego pochwały; powtarzał tę sztuczkę zbyt często, by jeszcze miała robić na niej wrażenie.

Dzięki ciągłemu podgrzewaniu i mieszaniu łyżką prawie cały cukier się rozpuścił, a sok zmienił w gęsty, słodkokwaśny syrop. Vince zanurzył w nim palec i wetknął go do ust. Zmarszczył czoło w najwyższym skupieniu, a potem uśmiechnął się z aprobatą.

- Fantastyczne jak zawsze, siostrzyczko - powiedział i mrugnął do niej. - Kiedy wystygnie, naleję dla nas dwie wielkie szklanice, dodam co nieco jacka danielsa i wypijemy pod zachód słońca!

- Ale przedtem pomóż mi i podpał pod grillem. Przestało padać, więc dziś wieczorem gotujemy pod gołym niebem.

- Pani życzenie jest dla mnie rozkazem. - Vince złożył jej żartobliwy ukłon i wyszedł z kuchni tylnymi drzwiami.

Pod wieloma względami Vince był równie nieodpowiedzialny jak niegdyś ich ojciec. Jedyna różnica między nimi polegała na tym, że brat zawsze wracał. Kiedy się spłukał, rzecz jasna. Albo gdy się zadłużył w jakimś kasynie i chciał od niej wyciągnąć pieniądze na poczet swojego udziału w przyszłych zyskach z rancza, żeby pokryć skrypty dłużne.

Pieniądze sprawiały, że tu powracał. A teraz z powodu pieniędzy namawiał ją do sprzedaży rancza. Przyczyniał się do tego również fakt, że go nie znosił. Zawsze nienawidził Spur Ranch. Eden wiedziała o tym.

Na obrzeżach gotującego się syropu zaczęły tworzyć się bąbelki. Eden wyłączyła kuchenkę i zdjęła z niej garnek, żeby plyn przestygł.

Godzinę później Vince zawołał, że węgle już się rozżarzyły. Eden wyniosła w garnku surowe steki i marynaty, a obokjarzyny zawinięte szczelnie w folię. Po chwili steki już skwierczały nad rozżarzonymi do czerwoności brykietami, a jarzyny na obwodzie grilla dusiły się wolniutko.

Eden usadowiła się na wyściełanym krześle ogrodowym i sączyła z wysokiej szklanki cierpkosłodką lemoniadę, którą podał jej Vince. Automatycznie odpędziła brzęczącą tuż przy twarzy muchę.

W głębokim cieniu topoli panował spokój; słońce znikало za horyzontem. Nad ich głowami zbłąkany wietrzyk zaszeleścił wśród liści i zaraz znów zapadła cisza.

Takie właśnie chwile Eden lubiła najbardziej - pod koniec dnia lub na samym jego początku, gdy można było dostrzec urok i nacieszyć się pięknem, niekiedy dzikim, czasem znów bardzo delikatnym,

ziemi i niebios tej pustynnej krainy. W środku dnia godziny zbyt były wypełnione monotonna, wyczerpującą pracą na ranczu - czy to w palącym słońcu, czy na srogim mrozie, w dławiącym kurzu lub oblepiającym nogi błocku.

Kojącą ciszę zmaciło przekleństwo, które wyrwało się Vince'owi. Klepnął się w kark.

- Jak człowiek nie zwariuje od upału, to go wykończą te cholerne muchy!

- Pewnie spodobała im się twoja woda po goleniu - zauważyła Eden, do której doleciał pikantny zapach jakichś korzeni i drzewa sandałowego.

- Fajnie pachnie, no nie? - odpowiedział Vince z zadowoleniem. Eden mruknęła potakująco i odwróciła głowę w stronę grilla.

- Chyba już pora odwrócić stek.

Vince wstał, wziął do ręki długie szczypce, mocno chwycił nimi mięso i przewrócił na drugą stronę. Rozległo się skwierczenie i syk, gdy krwawy sos spłynął na rozżarzone do białości węgle; buchnęła para i Vince cofnął się o krok.

- Zaraz będzie gotowe - oznajmił siadając znów na krześle.

Eden uczciła sukces brata trącając się z nim szklanką, zanim wypila kolejny łyk lemoniady. Konie w corralu tłoczyły się przy ogrodzeniu i rżały unosząc łby w górę. Gdzieś za plecami Eden rozległ się tętent końskich kopyt. Okręciła się na krześle, by sprawdzić, kto przybywa. Przygarbiony mężczyzna siedział w siodle lekko i swobodnie; miał na głowie wysoki kapelusz z opuszczonym rondem.

Promienie słońca załśniły na okrągłych okularach w stalowej oprawce. Jeźdźcem był nadzorca bydła na Spur Ranch, Bob Waters, Indianin Paiute czystej krwi. Przebywał na ranczu już od siedmiu miesięcy. Dostrzegł siedzącą pod drzewem Eden i skierował w jej stronę konia, który zmienił kłus w człapiący trucht.

Eden wstała na widok Watersa. Nadzorca zwrócił wierzchowca bokiem do niej i ściągnął lejce. Koń parsknął donośnie i zastrzygł uszami w stronę kolegów z corralu.

- Wiatrak przy Fiat Rock nawalił. - Waters przekazał informację beznamiętnym tonem. Jego smoliście czarne włosy zmatowiały od kurzu. Na twarzy miał maskę z pyłu i potu. - W cysternie jest najwyżej sześć cali wody.

Koło Fiat Rock znajdowały się ruiny dawnej osady górniczej. Wiele lat przed przyjściem na świat Eden Jed Rossiter podłączył się do tamtejszej studni i wykorzystywał ją przy pojeniu bydła. Przy Fiat Rock rosła bujna trawa, a źródło wody przekształciło teren w dobre pastwisko. Co więcej, Eden tam właśnie zamierzała zgromadzić bydło przeznaczone do wywiezienia na rynek w przyszłym tygodniu.

- Nawalił? - zwięzłe określenie wymagało dalszych wyjaśnień.

- Pękł wał.

Eden obejrzała się na brata, rozpartego na ogrodowym krześle.

- Sprawdzalesz urządzenie na początku tego tygodnia, prawda?

- A jakże - potwierdził Vince. - Wszystko było wtedy w porządku. Eden odwróciła się do nadzorca, by wydać polecenia, które przedtem przemyślała.

- Powiedz Dziakiemu Jackowi, żeby załadował żywność na wóz. Dekę będzie odpowiedzialny za konie. Zgromadzimy bydło koło Fiat Rock i przewieziemy je stamtąd na łąkę tuż przy domu. - Mogła dodać „do zagród zbiorczych”, ale nie wymówiła tych słów. - Ruszamy skoro świt.

- Zrobi się. - Ręce Watersa, dotąd spoczywające na łęku siodła, znów ujęły lejce. Dotknął końskiego brzucha ostrogą i ruszył kłusem.

- Fiat Rock znajduje się o milę od zachodniej granicy Diamond D - zauważył Vince, gdy Eden usiadła znów obok niego.

- Wiem. - W skupieniu przyglądała się kostkom lodu pływającym w szklance.

- Myślisz, że to on kazał uszkodzić wiatrak?

- Sądzę, że byłby do tego zdolny - odparła Eden.

- Ja też.

Spojrzała na dymiący grill.

- Stek chyba już gotowy. - Wstała z krzesła. - Skończę nakrywać do stołu.

Po posiłku Eden machinalnie sprzątnęła sztućce i talerze. Vince podniósł się z krzesła i zajął kieliszkami.

- Jeszcze raz to samo? - zaproponował zmierzając do lodówki po kostki lodu.

- Dla mnie sama lemoniada. Obejdzie się tym razem bez jacka danielsa. - Eden zniosła talerze do zlewu i wstawiła do kwadratowej plastikowej miski, w której zazwyczaj stała woda.

- Namyśl się, siostrzyczko. Odrobina whisky ci nie zaszkodzi. - Kostki lodu zagrzechotały, gdy je wygarniał z lodówki i wrzucał do szklanek. - Daj sobie luzu!

- Mam tyle luzu, ile mi trzeba, serdeczne dzięki - odparła sucho Eden i zawróciła, by sprzątnąć ze stołu chleb, masło i przyprawy.

Vince znów otworzył lodówkę i wyjął dzban lemoniady. Eden schyliła się i umieściła na półce masło i ketchup. Miała się już odwrócić, gdy poczuła lekki dotyk dłoni brata na włosach i znieruchomiała.

- No, mała! - Głos był cichy i pełen ciepła. Delikatnie przesunął palcem po jej policzku i uniósł leciutko brodę siostry. - Rozchmurz się troszkę!

Eden podniosła oczy i ujrzała uśmiech, który tak wielu kobietom wydawał się nieodparty. Zbyt dobrze jednak wiedziała, jak często Vince wykorzystywał go, by postawić na swoim. Mimo to poddała się jego urokowi i odpowiedziała bratu uśmiechem.

- Spróbuję.

- Fajnie. - Z dzbankiem w ręku Vince zawrócił i nalał lemoniady do dwóch wysokich szklanek, po czym podał jedną siostrze. - Wypijmy, żeby ci się udało!

Eden spojrzała na brata i potrząsnęła głową z mieszaniną czułości i zniecierpliwienia.

- Jesteś niepoprawny!

- Wiem. - Uśmiechnął się bezczelnie i stuknął swoją szklanką o jej. - No, wypij! - zachęcał, wiedząc, że siostra nie podnosi go do ust. Eden znów ustąpiła, upiła łyczek i odstawiła szklankę. - Co ty wyrabiasz? - zaprotestował Vince.

- Trzeba pozmywać naczynia.

- Mogą poczekać. Nie musisz zrywać się od stołu i brać się za zmywanie! Niech sobie poleży. I nie sprzątaj ze stołu, co ci szkodzą okruchy? Przynajmniej muchy będą miały co jeść i przestaną nas napastować. - Znów obdarzył ją olśniewającym uśmiechem. - No, siostrzyczko, użyj trochę życia! Odważ się wreszcie!

Było to tak absurdalne, że Eden parsknęła śmiechem. Uśmiech Vince'a stał się jeszcze szerszy. Objął siostrę ramieniem i podprowadził z powrotem do stołu.

- Robisz postępy. - Podsunął jej krzesło. - Dawno nie słyszałem twojego śmiechu. Zacząłem się już obawiać, że zapomniałaś, jak się to robi.

- Nie zapomniałam. - Prawdę mówiąc, ostatnio nie miała zbyt wielu powodów do radości.

- Oddycham z ulgą. - Odwrócił krzesło i usiadł na nim okrakiem, twarzą do siostry. - Bardzo mi przykro, że cię tak na siłę namawiałem do sprzedaży rancza.

A więc przeprosiny! Eden wiedziała, że się na nie zanosí, ale tym razem tak starannie wszystko wyreżyserował!... Przepełniające ją serdeczne uczucia zaczęły nieco przygasać.

- Wiem, że ci przykro. - Spuściła wzrok na szklankę. Żeby też Vince przynajmniej raz okazał się trochę bardziej oryginalny!

- Jesteś przecież moją siostrą - powiedział głosem tchnącym szczerością. - To zrozumiałe, że martwię się o ciebie. Chciałbym, żebyś była szczęśliwa.

- Jestem szczęśliwa.

Spojrzał na nią sceptycznie i spytał:

- Kiedy ostatni raz byłaś w kinie? Kiedy jadłaś coś na mieście albo dla przyjemności pochodziłaś sobie po sklepach? Kiedy ostatni raz zrobiłaś coś tylko dlatego, że miałaś na to ochotę?

- Byłam bardzo zajęta. Na ranczo jest zawsze wiele pracy. Takiej, która nie może czekać.

- Powiniennem spędzać tu więcej czasu, wziąć na siebie część twoich obowiązków - przyznał Vince, a potem skrzywił się. - Ale jak tylko trochę posiedzę w tej cholernej dziurze, czuj ę, że muszę się stąd wyrwać - i biorę nogi za pas. Nie pojmuję, jak możesz tu wytrzymać dzień po dniu, rok po roku.

- To nic trudnego. Przecież to mój dom. Właśnie tu chcę być. Takie życie mi odpowiada. Lubię pokonywać trudności. Możesz mi wierzyć albo nie, ale ja lubię nawet ten pot, brud i ból w kościach pod koniec ciężkiego dnia. Taka harówka daje mi prawdziwą satysfakcję. - Wiedziała jednak, że brat jej nie zrozumie. - To ranczo jest po prostu moim domem - powiedziała - i nigdy go się nie wyrzeknę. Nie z własnej woli.

- Wiem, zmuszą cię do tego - przytaknął Vince z twarzą ponurą i pełną troski. - I to mnie właśnie przeraża, siostrzyczko. DePard postanowił cię zniszczyć.

Z nim nie wygrasz, przynajmniej nie na dłuższą metę. Nie chcę patrzeć, jak pozbawi cię wszystkiego. Właśnie dlatego namawiam cię do sprzedaży rancza... i to zaraz. Póki jeszcze coś za nie dostaniesz.

- Chodzi ci pewnie o to, że ty coś za nie dostaniesz? - Przemówiła przez nią gorycz, gorzka pewność, że chodziło mu o pieniądze.

Jej wybuch nie zbił Vince'a z tropu.

- Nie będę kłamał, że nie zależy mi na udziale w zyskach. Chyba nie możesz mieć o to do mnie pretensji - odparł ze swobodnym uśmiechem. - Postaw się w moim położeniu. Czy nie byłabyś zła, gdybym zainwestował wszystkie nasze pieniądze w jakieś przedsięwzięcie, o którym wiedziałabyś, że zrobi na pewno klapę? Nie suszyłabyś mi głowy od rana do nocy?

- Pewnie tak - przyznała Eden, usiłując zwalczyć ogarniające ją poczucie winy, które brat z premedytacją starał się w niej wzbudzić.

- Z DePardem nie wygrasz. Jest zbyt potężny. Nie mogę patrzeć, jak sama się wykańczasz!

Powierzchnię szklanki pokryła mgiełka. Eden przesunęła palcem po chłodnej wilgoci. Czuła, że rośnie w niej napięcie.

- Ja zapatruję się na to całkiem inaczej, Vince.

- Tylko dlatego, że się upierasz i nie słuchasz, co się do ciebie mówi. - Brat był tym raczej ubawiony niż zirytowany.

- Nie, odmawiam tylko sprzedaży rancza.

Vince natychmiast wykorzystał nadarżającą się okazję.

- Więc mnie wysłuchaj!

- Już tyle razy... - zaczęła Eden, ale jej przerwał.

- Pomyśl o wszystkim, na co mogłabyś wykorzystać pieniądze ze sprzedaży! Odkąd tata zostawił nas w tej dziurze, gdy byliśmy dziećmi, nie ruszałaś się stąd dalej niż sto kilometrów, nie licząc wyjazdu na proces do Tonopah. Mając pieniądze będziesz mogła podróżować, zwiedzić trochę świata. Może nawet kupić sobie gospodarstwo, lepsze od tego.

- To mnie nie interesuje. - Eden podniosła szklankę do ust i wypiła łyk lemoniady.

- Skąd możesz wiedzieć, co cię interesuje albo nie, jeśli nigdy tego na oczy nie widziałaś? - odparował Vince. - Przemyśl to sobie, siostrzyczko. Możesz zacząć wszystko od nowa!

- Nie mam zamiaru uciekać, Vince. - Postawiła szklankę i oplotła ją dłońmi.

- To nie będzie ucieczka! Po prostu zaczniesz nowe życie tam, gdzie nikt cię nie zna, z dala od małostkowych ludzi o zjadliwych ozorach.

- Plotki dogonią mnie wszędzie, dokąd pojedę. Tutaj mam wszystko, na czym mi zależy, i tu zostanę.

Przechylił głowę na bok i uśmiechnął się smutno.

- Teraz przemawia przez ciebie duma. Nie możesz tu być szczęśliwa, żyjąc w takim odosobnieniu, zaharowując się dzień po dniu, zadręczając się obawami, co jeszcze wymyśli DePard. Co to za życie dla kobiety, zwłaszcza dla mojej siostry? Zaslugujesz na coś lepszego. Dziewczyna taka jak ty powinna mieć mężczyznę, który by ją kochał i opiekował się nią. Kogoś dobrego, godnego zaufania. Tutaj nikogo takiego nie spotkasz. Eden roześmiała się niewesoło.

- Mój Boże! Jakbym nie miała dość na głowie, chcesz jeszcze, żebym postarała się o jakiegoś chłopca, po którym musiałabym ciągle sprzątać, prac mu gacie i podawać zimne piwo i gorące żarcie, jak tylko wejdzie do domu! - Wstała z krzesła i popatrzyła z niesmakiem. - Dziękuję, to nie dla mnie! Mam i tak dość obowiązków. Nie muszę starać się o więcej!

- Wcale nie to miałem na myśli, dobrze wiesz. - Vince także wstał i poszedł za siostrą z drinkiem w rękę. - Mówiłem o kimś, kto by dzielił z tobą chwile pracy i wypoczynku, komu mogłabyś się zwierzyć i...

- Skończ z tym, Vince! - Stała przy zlewku, wycisnęła trochę płynu do zmywania na brudne

talerze w plastikowej misce i odkręciła kurki na cały regulator.

- Nie bądź uparta, Eden.

- Jestem tylko rozsądna - stwierdziła. - Ta ziemia jest dla mnie źródłem wszelkiej pociechy i troski. Nie potrzebuję niczego więcej. Zwłaszcza żadnego mężczyzny.

- Ziemia nie da ci tyle szczęścia, Eden.

- Ani nie sprawi takiego bólu.

- Myślisz o naszym tacie? Nie wszyscy są do niego podobni czy nawet jeszcze gorsi, tacy jak Jeff.

- To mnie nie interesuje - odparła z przekonaniem.

- Powiedzmy. - Vince oparł się biodrem o stół i położył dłonie na blacie, obserwując manewrującą kranem siostrę. - Nie masz mi chyba za złe, że chciałbym, żebyś miała kogoś, kto by się o ciebie troszczył, gdy mnie tu nie ma. Nie powinnaś się o to złościć.

- Nie złość się.

- Myślę tylko o twoim szczęściu, siostrzyczko. - Najego przystojnej twarzy malowała się serdeczna troska. - Pracujesz zbyt ciężko i zbyt długo. Chcę, byś cieszyła się życiem, odprężyła się, miała trochę frajdy. Właśnie dlatego tak naciskam, byś sprzedała ranczo.

Naciskał ją rzeczywiście.

- Słuchaj, Vince, oboje dobrze o tym wiemy, że gdybym wystawiła ranczo na sprzedaż, zgłosiłby się tylko jeden nabywca: DePard. - Eden zanurzyła ręce w mydlanej wodzie.

- Nie możesz być tego pewna.

- Czyżby?! - wybuchnęła. - Zapomnij o jego nienawiści do mnie. Rusz tylko głową! Diamond D już graniczy z naszym ranczem od południa i od wschodu. A wszystkie żmudia w obu tych rejonach są po naszej stronie ogrodzenia. Na razie ta ziemia nie przynosi DePardowi większych zysków, ale gdyby miał nasze źródła... kto wie, o ile więcej bydła mógłby tam wypasać? Zagarnie nasze ranczo, tak jak zagarnął już Łazy J i ziemię McNally'ego.

- W porządku, może dla DeParda byłoby korzystne, gdyby kupił naszą ziemię - zgodził się Vince.

- Co ci to szkodzi?

- To dobrze. - Vince objął siostrę ramionami i potarł brodą czubek jej głowy, potem ucałował ją we włosy i odsunął się, by na nią popatrzeć. - A więc potraktujesz sprzedaż jako jedną z możliwości? No, to zrobiliśmy krok naprzód. Nie gniewasz się już na mnie, prawda?

Eden westchnęła. Nie warto było gniewać się na Vince'a. - Nie.

- Grzeczna dziewczynka! - Pociągnął siostrę za nos, zakręcił nią tak, że znów stanęła twarzą do zlewu, i klepnął żartobliwie w pupę. - Przestań się obijać i pozmywaj wreszcie te talerze! - rozkazał gderliwie, parodiując ton zmarłego dziadka. - Masz coś do roboty, to weź się do tego od razu!

Pierwsze karmazynowe smugi pojawiły się na zachodniej stronie nieba - pełne wyrazu, malownicze preludium nocy, tak charakterystyczne dla tej pustynnej krainy. Kincade przystanął pod topolą w pobliżu domu Rossiterów i bez pośpiechu mierzył wzrokiem roztaczającą się przed nim przestrzeń. Odświeżone deszczem powietrze dodawało krajobrazowi ostrości i wyrazistości, podkreślało zieleń łąk, bursztynowozłotą barwę ziemi i fiolet odległych gór.

Wszędzie wokół cienie wydłużyły się i pociemniały; z pustynnej wyżyny nadciągnął chłód, zmniejszając nieco utrzymujący się dotąd upał. Kincade oparł się ramieniem o pień drzewa, wyjął z kieszeni cygaro i zapalił.

Z corralu dolatywał kwik koni i niespokojny stuk kopyt; niebawem przyszła wreszcie pora karmienia i powrócił spokój. Spokój i cisza.

Kincade zaciągnął się dymem z cygara i zwrócił bystre spojrzenie na dom. Jego uwaga skoncentrowała się na błękitnobiałym pikapie Vince'a Rossitera, zaparkowanym od frontu.



Drzwi domu otwarły się i Kincade uniósł czujnie głowę; napięcie opadło na widok Eden Rossiter. Podeszła na skraj werandy, a potem powędrowała dalej. Towarzyszył jej stary owczarek, który przystawał to tu, to tam, by zbadać jakiś nowy zapach lub podnieść nogę przy kępie wysokiej trawy, znacząc w ten sposób swój teren.

Eden zatrzymała się jakieś dziesięć metrów od miejsca, gdzie stał Kincade. Zwrócona do niego profilem mierzyła wzrokiem rozległy pejzaż, niczym władca lustrujący swoje królestwo. Niewątpliwie ten widok jąradował: uśmiechnęła się lekko i sięgnęła ręką do włosów, by zdjąć krępującą opaskę. Wstrząsnęła głową pozwalając ciemnej masie opaść swobodnie na plecy.

Wyraźnie odprężona wetknęła kciuki w tylne kieszenie dżinsów i przechyliła głowę, jakby zachęcając wieczorny wietrzyk, by pieścił jej twarz. Oddychała głęboko, wciągając w płuca świeże powietrze, pachnące bylicą i wilgotną po deszczu ziemią. Kincade zauważył, że uwydatniły się przy tym jej strome piersi, których wypukłości nie zdołała zamaskować męska koszula. Podobny widok obudziłby grzeszne myśli w każdym mężczyźnie, toteż i Kincade pomarzył o tym i owym.

Umyślnie nie zdradził swojej obecności, zadowolając się obserwowaniem Eden Rossiter w chwili, gdy nie chroniła jej maska „szefowej”. Podejrzewał, że nie pozwalała mężczyznom sprawdzać, co kryje się pod tą maską.

Stary owczarek poczuł jednak obcego i natychmiast skoncentrował na nim uwagę. Zjeżył się, utkwiał wzrok w Kincaidzie i warknięciem ostrzegł swoją panią.

- Co się dzieje, Cassius? - Eden spojrzała od niechcenia na psa.

W odpowiedzi owczarek zrobił krok w stronę Kincade'a i znowu zawarczał. Eden odwróciła się, usiłując przebić wzrokiem ciemność pod topolą; nagle zeszywniała.

- Kto to? - spytała rozkazującym tonem.

- To ja, Kincade. - Odrzucił cygaro i wynurzając się z cienia podszedł do niej. - Piękny wieczór, prawda?

- Tak. - Eden obserwowała równocześnie mężczyznę i psa; uśmiechnęła się ukradkiem, gdy owczarek - jak przewidywała - zagroził Kincade'owi drogę, by zbyt nie zbliżył się do jego pani. Pies znowu warknął ostrzegawczo, tym razem szczerząc kły. Kincade przystanął, bardziej ubawiony niż przestraszony wojowniczą postawą starego psa. Widząc to Eden szybko zawołała: - Spokój, Cassius!

- Cassius - powtórzył psie imię Kincade, a w jego głosie zabrzmiała ciekawość. - Czy nazwałaś go na cześć rzymskiego wodza, czy boksera Cassiusa Claya?

- Boksera - przyznała Eden. Przyglądała się Kincade'owi: przykucnął i dał psu rękę do obwąchania.

- Może nie jesteś mistrzem wagi ciężkiej jak Muhammad Ali - powiedział do owczarka - ale sądząc z blizn, doświadczony z ciebie wojownik.

- Rzuca się na wszystko: kojoty, grzechotniki, nie przepuści nawet bykowi. Na starość trochę zwolnił tempo, ale zawsze ma serce lwa.

- Wygląda na twardziela - przyznał Kincade z uśmiechem i wyprostował się. Pies obwąchał mu rękę i cofnął się o dwa kroki.

Ku zaskoczeniu Eden, Cassius nie wpakował się znów między nią a Kincade'a, tylko odbiegł truchcikiem na wieczorny obchód swojego królestwa. Do tej pory nigdy się nie zdarzyło, by pies ją opuścił - chyba że była w towarzystwie kogoś, kogo znał od dawna. Eden nie wiedziała, czy to dowód psiej aprobaty dla jej towarzysza, czy skutek sklerozy.

Na wszelki wypadek spoglądała na Kincade'a z pewnym niepokojem. Słabnące światło zachodzącego słońca padało na dolną część jego twarzy, podkreślając leniwy uśmiech i mało

widoczny już siniak na kości policzkowej. Rondo kapelusza ocieniało oczy. Eden nie mogła ich dostrzec, ale czuła na sobie jego spojrzenie. Budziło w niej niepokój. Sam Kincade też.

- Już się ochłodziło - zauważył.

- Zazwyczaj tak bywa po zachodzie.

Kincade spojrział w tę stronę nieba: słońce właśnie skryło się za horyzontem, pozostała po nim jasna poświata. Potem wzrok Kincade'a powędrował na południe: na ziemię padał liliowy cień nadchodzącej nocy. Twarz Kincade'a przybrała wyraz zadumy.

- Chyba mało kto określiłby ten kraj jako piękny - rozważał. - Kilka dni temu ja sam byłem zdania, że to najbardziej jałowe pustkowia, jakie kiedykolwiek widziałem. Jest jednak coś w tej szerokiej, pustej przestrzeni, co przyciąga wzrok i zapada w pamięć. Jest w tym jakaś siła i wielkość, które mogą człowieka oczarować.

Eden skinęła głową ze zrozumieniem.

- Wiem. Wielu ludzi nie dostrzega tu niczego ciekawego. Ale dla mnie tu właśnie jest wszystko. Nie potrafiłabym żyć gdzie indziej.

Kincade dostrzegł ożywienie Eden i błysk dumy w jej ciemnych oczach. Uderzyła go znów jej klasyczna uroda i jedyne w swoim rodzaju połączenie kruchości i siły.

Nawet bez makijażu Eden Rossiter była piękna. Brwi tworzyły regularne łuki, a gęsta firanka rzęs podkreślała oczy. W innym miejscu i innych okolicznościach Kincade chętnie by się do niej zalecał, szukał pretekstu, żeby przesunąć ręką po wdzięcznych okrągłościach i sprawdzić, czy zdoła rozwinąć to zgrzebne opakowanie i poznać bliżej ukrytą wewnątrz kobietę.

Obudziło się w nim pragnienie, by tego dokonać, lecz zaraz je powściągnął.

- Myślę, że wszystko, co chce tu wyżyć, musi głęboko zapuścić korzenie - zauważył.

- To prawda - przyznała. - Wiem, że moje tkwią bardzo głęboko.

- Chyba to samo dotyczy rancza. - Kincade zatoczył ręką łuk. - Zauważyłem już wcześniej, zanim jeszcze wyszłaś, że wygląda, jakby dosłownie tu wyrosło.

- W pewnym sensie tak było - odparła Eden z uśmiechem.

- Jak to? - Zaintrygowany Kincade uniósł jedną brew.

- Materiały do budowy domu pochodzą właśnie stąd. - Eden odczuła na nowo silną więź łączącą ją z tym stuletnim domem, gdy wyjaśniała dalej: - Do wyrobu cegieł adobe Kate Rossiter używała gliny z górskiego stoku za domem. Dodawała do niej zamiast słomy trawę, która gęsto rosła tam, skąd teraz zwozimy siano. Woda pochodziła oczywiście ze źródła, które bije za domem, a drewna dostarczyły rosnące w pobliżu topole. - Eden przystanęła przy końcu werandy i przesunęła dłonią po powierzchni deski, którą wygładziły mijające lata i szalejące żywioły. - Gdy byłam małą dziewczynką, Jed... mój dziadek... tłumaczył mi, że ten dom został zbudowany z drzew Rossiterów, trawy Rossiterów, z ich wody i z ich ziemi.

- Nie zachowało się już wiele domów, które mogą się poszczycić czymś podobnym.

Eden wsłuchiwała się uważnie w słowa Kincade'a, ale nie dostrzegła w jego głosie najmniejszej nutki szyderstwa, jedynie spokojną aprobatę. Może to właśnie, a może osłaniające ich cienie zmierzchu, czy wreszcie podlana whisky lemoniada sprawiły, że Eden pozbyła się swojej zwykłej rezerwy.

- Większość starych domów zburzono, albo po prostu same się rozpadły - powiedziała Eden i nagle uśmiechnęła się, gdy coś sobie przypomniała. - Jed utrzymywał, że ten dom nigdy się nie rozpadnie, bo ma w sobie krew Rossiterów.

- Kpisz, czy co? - w głosie Kincade'a brzmiało rozbawienie, ale ciepłe, przyjacielskie.

- Nic podobnego - zapewniła go nadal uśmiechnięta Eden. - Według rodzinnej legendy, gdy

mieszano glinę na cegły, zdarzył się wypadek. Kate głęboko się skaleczyła i straciła dużo krwi. Podobno aż tyle, że wyrabiana wtedy porcja cegły miała wyraźny czerwony odcień. Legenda głosi, że Kate kazała robotnikom z tej właśnie cegły wznieść narożniki domu.

- Ciekawa historia - zauważył Kincade. - Jedna z tych, w które ma się ochotę wierzyć... wszystko jedno, czy są prawdziwe, czy nie.

- Najbardziej jałubiłam w dzieciństwie - przyznała Eden. - Mogłam jej słuchać bez końca.

- Kate Rossiter musiała być niezwykłą kobietą.

- Była niezwykła. Jed wspominał, że z tej strony werandy znajdowała się kratka - ciągnęła Eden, coraz bardziej się ożywiając. - Co roku Kate sadziła pachnący groszek i oplatała pędy, by wspinały się po kratce w górę. Jed twierdził, że nic nie pachniało tak cudownie jak ten groszek w gorący letni wieczór. Kiedyś próbowałam znów go posadzić - wspominała Eden od niechcienia - ale kopiąc ziemię stwierdziłam, że jest twarda jak cement. To było jakieś dziesięć czy jedenaście lat temu.

- Trzeba było poprosić brata, żeby ci pomógł.

- W końcu tak zrobiłam. Posunęłam się nawet do szantażu: zagroziłam, że powiem dziadkowi o jego wieczornych wypadach do miasta, więc Vince ostatecznie mi pomógł. Niestety, wyrosło tylko kilka marnych pędów, a i one zwiędły po paru dniach. Może kiedyś spróbuję jeszcze raz.

- Często twój brat tak się wymykał?

- Stale - przyznała Eden. Uśmiechnęła się szeroko, ale zaraz spoważniała. - Jed zawsze był bardzo surowy dla Vince'a. Chyba zbyt surowy. Myślę, że dziadek obawiał się, żeby Vince nie wyrósł na takiego nieodpowiedzialnego obiboka, jakim był jego ojciec, więc tym więcej od niego wymagał. Chyba nie wyszło mu to na dobre.

- Nie wydaje mi się, żeby podobna tresura mogła wpłynąć zbawiennie na twojego brata.

- I nie wpłynęła. Vince po prostu znenawidził wszystko, co go tu otaczało. Nigdy zresztą nie miał sentymentu do Spur Ranch. Był starszy ode mnie, gdy nas tu przywieziono. Trudniej mu było przystosować się do takiego życia. Przedtem mieszkaliśmy na przedmieściach Sacramento. Tutaj nie było telewizji ani Ulicy Sezamkowej...

- Ani Wielkiego Ptaszyska? - spytał Kincade z udanym przerażeniem. Widząc jego uśmiech Eden uświadomiła sobie, że od lat - nawet przed tym strasznym wypadkiem - nie rozmawiała z nikim równie swobodnie. To było bardzo przyjemne.

- Ani Wielkiego Ptaszyska - odparła. - Żadnych dzieciaków z sąsiedztwa, z którymi mógłby się bawić, a w radiu przeważnie trzaski. To było obce, zatrważające miejsce dla dwojga miejskich dzieci. Nocami wyły kojoty, a w dzień grzechotniki myszkowały po domu. W pobliżu nie było szkoły, do której moglibyśmy uczęszczać, więc musieliśmy uczyć się w domu. Poszłam do prawdziwej szkoły dopiero w trzynastym roku życia. Vince miał już wtedy prawo jazdy, więc odwoził mnie i przywoził pikapem. Oczywiście Jed dokładnie wyliczył odległość szkoły od rancza. Co wieczór sprawdzał licznik. Biedny Vince, co też musiał znieść, gdy wystukało więcej kilometrów, niż Jed się spodziewał! W końcu jeden z kumpli uświadomił Vince'a, jak cofać licznik.

- Dziwię się, że twój brat nie uciekł stąd. Większość nastolatków tak by zareagowała w podobnej sytuacji.

- Nieraz o tym wspominał. - Ale musiałyby wtedy stanąć na własnych nogach, pomyślała Eden, a Vince nie chciał brać na siebie żadnej odpowiedzialności. W dodatku w takim wymykaniu się z domu tkwił element ryzyka, który podniecał Vince'a: robił to pod samym nosem dziadka i nie dawał się przyłapać! Eden podejrzewała, że właśnie ten urok zakazanego owocu zatrzymał Vince'a na ranczu.

- Chciał, żebym wyjechała razem z nim - wspominała. - Ale już wtedy wiedziałam, że jestem

związana ze Spur Ranch całym sercem. Nie wiedzieć kiedy przestałam je nienawidzić i pokochałam. - Eden uniosła twarz w gęstniejącym zmierzchu, wdychając unoszący się powietrzu zapach i rozkoszując się spokojem. - Hałas i tłok w mieście to coś, czego nie mogę znieść dłużej niż przez kilka godzin. Wolę słuchać szelestu traw na wietrze niż jazgotu przekrzykujących się głosów. Lubię zapach bylicy, widok porośniętych jałowcem wzgórz, smak kawy gotowanej przy ognisku. Serenadę śpiewają mi kojoty, a grzechotniki są dla mnie takimi samymi uprzykrzonymi szkodnikami jak szczury czy karaluchy w mieście. - Urwała i dodała cicho: - Nie potrafiłabym sprzedać rancza. Równie dobrze mogłabym wydrzeć sobie serce.

Kiedy wyrwały jej się te słowa, Eden rzuciła szybkie, niepewne spojrzenie na Kincade'a. Była zła na siebie, że mówiła mu o swoich uczuciach i swoim życiu. Był kowbojem, włóczęgą, który pobędzie tu kilka tygodni lub miesięcy, a potem poszuka innej pracy i innego rancza.

- Musi ci być ciężko, jeśli twój brat nienawidzi rancza i chce je sprzedać - zauważył Kincade.

- Czasami.

- Czy twój brat usiłuje cię zmusić do sprzedaży?

„Twój brat” - te słowa powtarzające się jak refren zwrócił wreszcie uwagę Eden. Uświadomiła sobie, jak często Kincade wspominał Vince'a. Odwróciła się gwałtownie ku niemu, gotowa do konfrontacji, niespokojna i podejrzliwa.

- Dlaczego ciągle wypytujesz o mego brata?

Nie odpowiedział od razu; na jego ustach pojawił się skąpy uśmiezek. Jednak Eden nie wyczytała w twarzy Kincade'a zażenowania czy skruchy.

- Może dlatego, że zdaję sobie sprawę, że niczego bym się nie dowiedział, gdybym wypytywał o ciebie.

Miał słuszość, na pewno nic by mu nie powiedziała. Prawdę mówiąc, przerwałaby rozmowę już po trzecim pytaniu, odwróciła się na pięcie i odeszła.

- Powinnaś była domyśleć się, że jesteś taki sam jak wszyscy mężczyźni, z którymi miałam do czynienia - stwierdziła z rosnącym gniewem. - Powiedz no, Kincade, co chciałeś wyniuchać? Jaka naprawdę jest ta Eden Rossiter? Czy taka zimna, wyrachowana i bezlitosna, jak wszyscy mówią? Na pewno do tej pory wyrobiłaś sobie jakąś opinię. Chciałabym ją poznać.

- Chyba trochę na to za wcześnie, tym bardziej że nigdy jeszcze nie spotkałem kogoś, kto tak nienawidzi mężczyzn.

- Dla twojej informacji: wcale ich nie nienawidzę. Nienawiść to gwałtowne uczucie, a ja takich uczuć nie żywię.

Było to kłamstwo; Eden podchodziła z pasją do wielu spraw. Kincade zdążył już to zauważyć.

- Może ich nie nienawidzisz - poszedł na ustępstwo - ale niczego od nich nie oczekujesz.

- Mylisz się. Oczekuję, że zjawią się i znikną, gdy im to będzie dogadzało, że będą składać obietnice nie mając zamiaru ich dotrzymać. Że zachowają się podle i egoistycznie, że zadbają tylko o własne zachcianki. Że będą okrutni i mściwi. - Eden urwała. Jej wargi rozchylił uśmiech równie lodowaty, jak słowa pełne żaru. - Pewnie mi teraz powiesz, że nie wszyscy mężczyźni są tacy.

- W określonej sytuacji każdy mężczyzna może być właśnie taki, jak mówisz. I każda kobieta również. - Ale Kincade miał teraz całkiem co innego w głowie. Myślał, jak piękna jest Eden z tym gniewnym błyskiem w czarnych oczach. Widział, jak rozchyła wargi, zaskoczona jego odpowiedzią, i zaciska je z powrotem.

- Nie doceniłam cię - mruknęła. To był błąd, którego nie miała zamiaru powtarzać.

- Dlaczego? Bo usłyszałaś ode mnie prawdę? Może nie spodziewałaś się, że ją znam?

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Chyba nie.

Eden wpatrywała się w jego twarz i dlatego nie zauważyła wyciągniętego ramienia. Zdażyła tylko unieść brodę, gdy ręka Kincade'a objęła ją za szyję, a usta dotknęły jej warg. Tego się nie spodziewała, nie była na to przygotowana. Nie przypuszczała też, że jego usta będą tak ciepłe... i tak doświadczone.

Kincade działał pod wpływem impulsu. Wyczuł bijący od niej żar i zapragnął go zakosztować, zaspokoić swoją ciekawość. Muskał wargami wargi dziewczyny, jakby próbując ich smaku, a potem przywarł do nich z całej siły. Objął ją mocniej za szyję.

Inna kobieta przytuliłaby się doń albo zdecydowanie go odepchnęła. Ale Eden stała bez ruchu, niezręczna jak nastolatka.

Kincade czuł pod dłonią niespokojne, ciężkie pulsowanie krwi w szyi Eden. Przytulił ją jeszcze mocniej, sięgnął głębiej - i zamiast żaru i ognia odkrył w niej nieporadność. To nim wstrząsnęło. Odsunął się, usiłując jakoś pogodzić tę nowo odkrytą tajemnicę z widokiem stojącej przed nim dojrzałej kobiety w pełnym rozkwicie urody.

Twarz Eden pobladła, w jej oczach strach mieszał się z gniewem. Duma kazała jej unieść wysoko głowę. Dotknęła warg. Kincade zauważył jednak, że nie otarła ich, by zatrzeć ślad jego pocałunku. W tej chwili zdał sobie sprawę, że mógłby ją mieć. Pokusa była silna.

- Masz rację, nie ufając zbyt ludziom - powiedział i wypuścił ją objąć. - Mnie też nie powinnaś ufać.

- Nie zamierzam! - Zabrzmiało to jak przekleństwo. Eden wyminęła go i weszła do domu.

Godzinę później Kincade leżał na swoim łóżku wpatrując się w sufit, z rękami pod głową. Jego myśli ciągle krążyły wokół Eden Rossiter. Zdaniem wielu, ta kobieta zamordowała człowieka z zimną krwią... a jednak zdumiewała go i pociągała.

Kobiety nieraz budziły w nim pożądanie. Czasami udawało mu się zaspokoić, niekiedy odchodził z kwitkiem. Żądze przyływały i odpływały, wybuchały nagłym żarem i stygły, gdy odzyskiwał rozum. Kincade dobrze o tym wiedział.

Był też świadom, że nie powinien interesować się Eden. To było nierozsądne. Przewrócił się na bok i zamknął oczy. W końcu udało mu się zasnąć.

Koło północy zbudził go krzyk. Natychmiast oprzytomniał i zaczął nasłuchiwać. Krzyk rozległ się raz jeszcze. Jakaś kobieta krzyczała w trwodze. Kincade odrzucił koc i wyskoczył z łóżka. W samych szortach podbiegł do okna, otworzył je i spojrzał w stronę domu Rossiterów.

Wszędzie było ciemno; po chwili przez liście drzew przedarło się żółtawe światło z okna na piętrze. Krzyk się już nie powtórzył, nic się nie poruszyło. Kincade odwrócił się i wrócił do łóżka.

Czyjeś ręce zacisnęły się na jej ramionach. Eden usiłowała je strącić, ale ktoś nią mocno potrząsnął.

- Eden, obudź się!

Szarpnęła się do tyłu, jakby ją ktoś uderzył, i zaszyła się w pościeli. Wzniosła rękę obronnym ruchem. W jej szeroko otwartych oczach była groza. Dłuższą chwilę wpatrywała się w brata.

- To ja, siostrzyczko - szepnął łagodnie Vince. - Już wszystko dobrze. Już dobrze.

Zwolna jej oczy traciły nieprzytomny wyraz. Skinęła głową i zaraz wstrząsnęły nią niepohamowane dreszcze. Gdy Vince ujął ją za rękę, palce Eden zacisnęły się na jego dłoni, nie chcąc jej puścić.

- Już wszystko w porządku? - Vince przysiadł na brzegu łóżka. Dzinsy miał nie zapięte, włosy potargane.

- Tak - potwierdziła drżącym głosem, dobrze wiedząc, że bynajmniej nie wszystko jest w

porządku.

Jej skóra lepiła się od zimnego potu. Eden bała się zamknąć oczy. Obrazy i przeżycia ze snu były wciąż zbyt bliskie, zbyt realne. Z trudem usiadła podciągając wysoko kolana i oparła na nich czoło. Ogarnęły ją mdłości, gdy starała się odetchnąć głębiej i całkiem oprzytomnieć.

- Podać ci coś? Whisky? Wody?

- Nie. - Eden uniosła głowę, odgarnęła włosy obiema rękami i przytrzymała, by nie opadły znów na twarz. - Już się lepiej czuję.

- Kiedy wróciły te twoje koszmary? - spytał cicho Vince.

- Ten był pierwszy... od dłuższego czasu. - Co najmniej dwa lata, może trzy. Eden nie była pewna. Potarła dłońmi nagie ramiona: były nadal zimne i wilgotne w dotyku. - Myślałam, że się już od nich uwolniłam.

- Chcesz, żebym posiedział chwilę przy tobie?

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Przepraszam, że cię obudziłam.

Materac zakółysał się, gdy Vince wstał. Sięgnął dłonią i dotknął policzka siostry.

- O każdej porze możesz wołać swojego dużego brata na ratunek. Zostawić ci światło?

- Zostaw. - Eden zdobyła się na blady uśmiech, który zgasł natychmiast, gdy tylko Vince opuścił jej sypialnię.

Chwyciła drugą poduszkę i tuląc ją mocno w objęciach oparła się o ramę łóżka z klonowego drewna. Mdłości i przerażenie stopniowo ustępowały. Chłodny powiew nocy przedostał się przez siatkę w oknie sypialni i poruszył firanką. Eden wpatrywała się w ciemność za oknem.

Dlaczego ten koszmar powtórzył się po tylu latach? Co go wywołało? Eden miała niejasne wrażenie, że zna odpowiedź: to ten pocałunek. Sprawił jej przyjemność. Był taki gorący. Wzbudził w niej tyle wspomnień.

Wtedy pocałunki także sprawiały jej przyjemność. Radowały ją bardzo... z początku. Eden wsunęła się pod kołdrę i zwinęła w ciasny kłębek. Kolebiąc się z boku na bok próbowała ukołysać się do snu, tak samo jak wówczas, gdy była małą dziewczynką.

W szarawej, zamazującej kontury poświacie, która poprzedza pojawienie się słońca nad horyzontem, kogut zapiał i zatrzepotał skrzydłami. Bardzo z siebie zadowolony, przechadzał się dumnie po podwórzu, nie zwracając uwagi na odgłosy ludzkiej aktywności.

Kincade przełknął resztkę przyrządzonej przez Dzikiego Jacka czarnej, gorzkiej kawy i powiesił kubek na czubku jednego ze słupów ogradzających corral. Wokół szyi miał luźno zawiązaną spłowiała żółtą chustkę, za pasek zatknął rękawice z wołowej skóry. Rząd muszelek ozdabiał po bokach jego krótkie skórzane czapsy, spłowiałe i mocno podniszczone. Ostrogi na butach pobrzękiwały przy każdym kroku, gdy zmierzał do bramy corralu; przez ramię przewiesił uździenicę i zwój liny.

Ubiegłego wieczora wybrano spośród koni wierzchowce na następny dzień; czekały teraz, aż zgłoszą się po nie jeźdźcy. Młody i szczupły wrangler Dekę szykował właśnie linę, gdy zauważył, że Kincade podchodzi do furtki.

- Ty bierzesz Teksa, nie? - spytał Dekę.

- Mam wziąć tego wielkiego gniadosza z gwiazdką. - Kincade nie wiedział, jak się który koń nazywa.

- To właśnie Tex - wyjaśnił mu Dekę, wywijając już lassem. - Na pewno spróbuje cię zrzucić.

Kincade przyjął informację bez komentarzy. Patrzył, jak wielka pętla szybuje w powietrzu i zaciska się na szyi gniadego wałacha. Koń podrzucił łbem, prychnął i bez dalszego oporu poddał się naciskowi linki. Kincade podszedł i włożył koniowi uździenicę, a potem wyprowadził swojego

wierzchowca z corralu, gdy następny kowboj zjawił się po konia.

Na zewnątrz corralu Kincade uwiązał wałacha i zaczął mu czyścić kopyta dłutkiem. Potem z grubsza wyczesał konia zgrzebłem i obrzucił badawczym spój - rzeniem postać, którą ledwo było widać w poświacie poprzedzającej jutrzenkę. Poznał Eden, która trzymała konie przy pysku, gdy Bob Waters zaprzęgał je do wozu kucharza.

Eden wstała już dawno i była zajęta pracą, gdy Kincade niepewnym krokiem udał się do kuchni na ranchu w poszukiwaniu niezbędnej dlań w tej chwili kawy. Gdy wyszedł stamtąd po obfitym śniadaniu, z czwartym kubkiem kawy w ręku, wierzchowiec Eden, piękny złocisty kasztan, był już osiodłany i uwiązany do ogrodzenia.

Kincade minął się z Eden, gdy szedł w stronę wozu z pościelą, by umieścić na nim swój ekwipunek. Choć zdawała się go nie dostrzegać, w obojgu żyła pamięć wczorajszego pocałunku. Gdy pierwszy krok zostanie wykonany, a niewidzialna linia dzieląca mężczyznę od kobiety przekroczona, nie ma już odwrotu i nie sposób o tym zapomnieć. Ilekroć Eden spojrzy na niego, przypomni sobie ten pocałunek, tak samo jak on.

Od domu Rossiterów doleciał trzask zamykanych drzwi. Kincade wygładził derkę na końskim grzbiecie i spojrzał w tamtą stronę. Zza drzew wyłonił się Vince, trzymający pod pachą zwinięty śpiwór. Zaniósł go do wozu z pościelą wrzucił razem z innymi. Kincade włożył na gniadosza siodło.

- Dlaczego, do cholery, mówi się „wstawać o świtaniu”? - rzucił Vince w przestrzeń, gdy dołączył do grupy kowbojów na dziedzińcu, naburmuszony i zaspany. - Powinno się mówić „o świrtaniu”, bo trzeba być nieźle świrniętym, żeby wstawać o tej porze. - Kilka osób pokiwało głową z uśmiechem, ale nikt sienie odezwał.

- Hej, Dekę! Złap mi na lasso Jawsa, a ja tymczasem pójdę po siodło.

- Dobra. - Dekę zostawił swojego konia uwiązanego przy ogrodzeniu i wziął do ręki linę.

Kincade umocował siodło na grzbiecie wałacha i spuścił popręg po prawej, następnie umocował lewe strzemię na kuli siodła i sięgnął pod końskim brzuchem po wiszący popręg. Przewlókł go przez pierścień na rzemieniu i spojrzał w kierunku stajni.

Dekę wyprowadził z corralu muskularnego kasztana o długiej szczęce, gdy Vince wrócił z ekwipunkiem. Rzucił go na ziemię obok Kincade'a i zdjął z ramienia uździenicę, by umocować ją na łbie kasztana.

- Musiałbym chyba wypić wiadro kawy, żeby się obudzić. Dekę uśmiechnął się i zwinął linę.

- Powinieneś spróbować kawy Dzikiego Jacka. Pichci jątak długo, że zostaje sama kofeina.

Założę się, że otworzyłaby ci oczy raz dwa.

- I zrujnowała żołądek na amen - dodał Vince, podczas gdy Kincade zacieśnił popręg. - Jest równie obrzydliwa w smaku jak ta cykoria, którą podają we francuskiej dzielnicy Nowego Orleanu. - Potrząsnął głową, a na jego ustach pojawił się uśmiech. - Bourbon Street! - powiedział narzucając na kasztana derkę bez uprzedniego wyczesania go zgrzebłem. - To dopiero jest kraina mocnych wrażeń i nieograniczonych możliwości. Muszę tam jeszcze wrócić. - Spojrzał na Kincade'a. - Byłeś tam kiedyś?

- A jakże. - Kincade pociągnął za popręg i poczuł, jak koń się nadyma. Wypuścił rzemień z ręki i sięgnąwszy po tylny popręg spiął go klamrą.

- Byłem tam jakieś dwa lata temu. To dopiero miasto, gdzie można się zabawić! - Vince włożył siodło na kasztana i przesunął je na właściwe miejsce. - A ty byłeś tam ostatnio?

- Nie. - Kincade stanął przy głowie konia, założył mu uzdę i wsadził wędzidło do pyska.

- Doszły do mnie słuchy, że zalegalizują gry hazardowe. Będę to musiał sprawdzić. Pewnie tej zimy.

- Zawsze tyle gadasz? - spytał Kincade. Ktoś zachichotał; Vince poczerwieniał, jego oczy pociemniały z gniewu. Potem spojrzął na gniadosza i kąciki ust uniosły mu się w złośliwym uśmiechu.

- Jedziesz dziś na Teksie? Dobry koń - zauważył.

Kincade bez słowa zacisnął mocniej popręg, ujął lejce i odprowadził gniadego spod ogrodzenia.

Wokół zapanowało nagłe milczenie; Kincade dostrzegł ukradkowe spojrzenia innych kowbojów, gdy zatrzymał się na środku dziedzińca i jeszcze raz sprawdził popręg, zanim spuścił strzemię.

Owinął cugle wokół szyi wałacha, a gniadosz wywrócił oczyma i położył po sobie uszy.

- Coś mi się wydaje, że nieźle brykasz - mruknął Kincade i omal się nie uśmiechnął. -

Przekonamy się!

Ujął krótko cugle i wskoczył na siodło. Gniady wyprężył grzbiet i natychmiast pochylił głowę. Jeździec mocno wetknął nogi w strzemiona. Kiedy koń po raz pierwszy wyskoczył w powietrze, Kincade zaczął odruchowo podnosić prawe ramię, potem jednak przypomniał sobie, że styl i elegancja nie mają większego znaczenia podczas dzisiejszej przejażdżki, więc je opuścił.

Po pierwszych popisach konia - zwrotach, skokach i opadaniu na usztywnione nogi - Kincade poczuł ostre igiełki bólu, przeszywające mu ramię przy każdym szarpnięciu za cugle. Przerzucił je więc do prawej ręki, by odciążyć nieco lewe ramię, którego kości niedawno się zrosły.

Eden wraz z innymi przyglądała się, jak gniady bryka po dziedzińcu wyrzucając wysoko kopyta. Chciała zająć się swoimi sprawami, ale widok Kincade'a kołyszącego się na siodle niczym w fotelu na biegunach przyciągał jej uwagę. Był dobrym jeźdźcem. Więcej niż dobrym, przyznała wbrew sobie.

Po wydarzeniach ostatniej nocy usiłowała wzbudzić w sobie niechęć do Kincade'a, odkryć w nim jakieś wady. Popełniła wielki błąd zwierając mu się, opowiadając o sobie i swoim bracie. Eden dobrze o tym wiedziała.

Gniady wykonał jeszcze bez większego przekonania kilka skoków; wreszcie zatrzymał się i głośno parsknął. Kincade odczekał chwilę, po czym okrążył dziedziniec i podprowadził wałacha z powrotem do ogrodzenia corralu. Zsiadł z konia i jeszcze raz sprawdził popręg.

- To ci dopiero jazda! - odezwał się pełen podziwu Dekę. Kincade skinął głową i podniósł z ziemi zwój linki.

- Nieźle bryka - stwierdził. Gniady nie umywał się nawet do dzikich koni, których Kincade w przeszłości dosiadał.

- Kiedy ja daję taki popis, nikt nie przystanie, żeby mnie podziwiać - pożalił się Al Bender przechodząc obok.

- Brałeś kiedyś udział w rodeo? - spytał Dekę.

- Zdarzyło mi się. - Cóż, można było i tak to określić. Przez ostatnich dziesięć lat Kincade nieustannie był w objazdach i występował na rodeo jako profesjonalista. Przytroczył lasso z prawej strony siodła.

- Chyba każdy z nas raz czy drugi próbował swoich sił. Ale rodeo może wejść człowiekowi w krew. Miałem wuja, który złapał tego bakcyła - wspominał Dekę smutnie potrząsając głową. - Mógłby kupić sobie nieźle ranczo za tę forszę, którą prze szastał na wpisowe, cały ten kram i rachunki lekarza. Brał udział w rodeo jakieś dwadzieścia lat, albo i więcej. I co miał z tego? Kilka bójek, rozwód i całą kupę połamanych kości.

- To nie jest łatwe życie. - Kincade uwiązał koniec linki do kuli siodła, zanurkował pod końskim łbem, podciągnął wlokące się cugle i wskoczył na siodło.

- Trafiłeś w sedno - oświadczył wrangler i cofnął się, gdy nadjechała Eden. Zatrzymała się metr



od gniadosza.

- Masz wszystko co trzeba?

Kiedy Kincade spojrział na nią, jego wzrok automatycznie padł na jej wargi. Zacisnęły się natychmiast w wąską linię i wiedział już, że Eden przypominała sobie to samo co on.

- Wszystko już gotowe.

Spojrzała na linkę przymocowaną do kuli siodła.

- Więc jesteś jednym z tych nieugiętych i niedościgłych jeźdźców z Teksasu?

- Zgadza się. Kiedy coś złapię, to już nie puszczę. - Kąciki ust wygięły się w uśmiechu; ukazały się głębokie dołki. - Tyle że czasem nie bardzo jestem pewien, czy to ja coś złapałem, czy coś złapało mnie.

- Bezpieczniej byłoby tylko owinać.

- Pewnie tak. - Okręcenie linki wokół kuli siodła zamiast uwiązywania jej pozwalało jeźdźcowi wypuścić ją, jeśli sytuacja stawała się niebezpieczna. - Stare przysłowie mówi: „Żegnaj się z lassem albo z życiem” - wyjaśnił Kincade - ale mnie nigdy specjalnie nie zależało na bezpieczeństwie.

- Możesz tego jeszcze kiedyś pożałować.

- Wszystko możliwe.

Eden spojrzała na pozostałych.

- Wszyscy gotowi?

- A jakże - odezwał się Vince z kpiną w głosie. - Palimy po prostu forszę, marnując tak dzień.

- Zdumiewasz mnie, Vince - zauważył Kincade. - Nie sądziłem, że taki z ciebie znawca

Szekspira.

- Szekspira? - zmarszczył się Vince. - Nie mam pojęcia, o czym ty gadasz.

- To fantastyczna przeróbka tego fragmentu „Romea i Julii”, który tak lubił John Wayne!

- Masz fioła - mruknął Vince i wskoczył na konia.

- To nie było tak naprawdę z Szekspira, co? - spytał Dekę z niespokojnym spojrzeniem szeroko rozwartych oczu.

- Było, było. - Kincade ujął wodze i odjechał.

- On sobie z nas kpi, czy co? - zwrócił się Dekę do Ala Bendera.

- Diabli wiedzą - odparł AL Eden położyła kres dyskusji.

- Ruszamy! - gwizdnęła na owczarka i pies zajął miejsce przy końskim boku.

Po kilku minutach byli już w drodze. Wielkie pomarańczowe słońce tkwiło na horyzoncie i gapiło się stamtąd na nich, rozsiewając promienie po całej okolicy; ranek był coraz bardziej upalny. Pochód otwierał wóz kucharza. Dziki Jack spozierał dumnie z wyżyn kozła starego ładownego wozu; spod kapelusza z wysokim denkiem a la Hoss Cartwright długie siwe włosy spływały na ramiona. Następnie jechał wóz z pościelą; lejce dzierżył kowboj nazwiskiem Connors. Pochód zamykały konie. Dekę jechał kilka kroków przed resztą, prowadząc dwie kłaczki z dwonkami, a Kincade i jeszcze jeden jeździec na samym końcu, by zawracać ewentualnych uciekinierów. Pozostali kowboje jechali pomiędzy wozami a pędzonymi luzem końmi.

Minęli zagrody i rampę załadowniczą w pobliżu domu, a potem przejechali przez środek Niecki: wielkiej, przypominającej kształtem misę kotliny, o średnicy mniej więcej półtora kilometra; porastała ją gęsta trawa.

Vince jechał u boku siostry; na jego twarzy malowała się ponura zaduma.

- Jak się nazywa ten nowy facet? - spytał po chwili.

- Kincade. - Eden nieco peszył temat rozmowy i starała się to ukryć.

- Nie podoba mi się ten gość. - Ton Vince'a był stanowczy i ostry.

- Już to mówiłeś. - Eden spoglądała prosto przed siebie; czuła, jak oblewają zwolna gorąco, które nie miało nic wspólnego z żarem słońca, świecącego jej prosto w twarz.

- Wiem - mruknął Vince i zamilkł.

- To najbujniejsza trawa, jaką widziałam od kilku lat - powiedziała Eden chcąc zmienić temat.

- Popelniasz błąd spasając ją. W zimie przyda ci się każde źdźbło.

- Bydło niedługo tu zabawi.

Jadący przed nimi wóz kucharza zaczął wspinać się po łagodnym zboczu, wydobywając się z kotliny.

- Łudzisz się, siostrzyczko - ostrzegł ją Vince. - DePard ma wszystkich miejscowych przewoźników w kieszeni. Żaden z nich nie zgodzi się dostarczyć twojego bydła na rynek.

- Wiem. Dlatego właśnie skontaktowałam się z przedsiębiorcą z Oregonu, który je przewiezie.

- Co takiego?! - Vince ściągnął cugle.

- Zjawi się tu we wtorek o dziewiątej rano, żeby je załadować. - Eden nie przerywała jazdy.

Vince spał konia ostrogami, a potem szarpnął gwałtownie cugle, popędzając go, póki nie zrównał się znów z siostrą.

- Kiedy to załatwiłaś?

- Wczoraj.

- Czemu u diabła nie powiedziałaś mi o tym wieczorem? - dopytywał się gniewnie. - Mam chyba prawo wiedzieć!

- Nie dałeś mi wczoraj dojść do słowa - odwzajemniła mu się Eden z niezwykłą u niej irytacją. - Bez przerwy tokowałeś, żeby sprzedać ranczo. Nie pamiętasz?

Wyminęła wóz z pościelą i popędziła kasztanka kłusem na szczyt niezbyt wysokiego wzgórza. Vince nie starał się jej dogonić.

Minęło już południe, gdy dotarli do ruin starej górniczej osady zwanej Fiat Rock. Ślady rudy wydobytej niegdyś z kopalni, opuszczonej od dziesiątków lat, tworzyły smugi na zboczach okolicznych wzgórz; były jak stare blizny, ciągle widoczne, mimo że porastała je pustynna roślinność.

Resztki rozpadających się fundamentów znaczyły miejsce, gdzie stały niegdyś budynki. Zachowała się tylko frontowa ściana starego kamiennego domu. Zbutwiała drewniana framuga i zardzewiałe zawiasy znaczyły miej sce, gdzie dawniej były drzwi. Pozostałe ściany już dawno rozsypały się tworząc sterty kamieni, częściowo zasłonięte krzakami i chwastami.

Nad wszystkim górował wiatrak; jego śmigła kręciły się bezużytecznie w powiewach porannego wietrzyka. Kilka krów stało przy metalowej cysternie u stóp wiatraka, wylizując resztki błotnistej wilgoci z dna poidła.

Bez zwłoki przystąpiono do zakładania obozu wśród ruin. Gdy tylko wyprzęgnięto konie z wozu kucharza, ten zakrzętnął się przy kuchence gazowej, postawił na ogniu garnek z kawą i zaczął przygotowywać południowy posiłek. Zwierzęta wpędzono do stałej zagrody w pobliżu wiatraka, by mogły tam szczypać trawę. Z wozu z pościelą wyładowano liny, przeznaczone na prowizoryczne ogrodzenie corralu. W końcu rozstawiono namiot - jadalnię koło wozu kucharza. Płócienny daszek ocieniał dyszel.

Każdy z kowbojów rozłożył własny płócienny namiot i umieścił w nim swoje rzeczy. Wszyscy skierowali się potem do ogrodzenia dla koni, z linką uździenicą w rękę, by wybrać sobie na popołudnie świeżego wierzchowca.

Za pomocą powroza i bicza Dekę przypędził konie do ogrodzonego linami corralu na skraju Fiat Rock. Inny jeździec otworzył wejście i konie wbiegły pędem do środka. Dekę wjechał za nimi.

Każdy kowboj wymieniał konia, na którym chciał pojechać; wówczas Dekę rzucał lassem i pętla

zaciśkała się na szyi wybranego zwierzęcia. Kiedy przyszła kolej na Kincade'a, wybrał bułanka, smukłego i długonogiego mustanga o smoliście czarnej grzywie i ogonie, z krótkimi czarnymi skarpetkami.

Vince stał w odległości może dwóch stóp od niego, popijając letnią wodę z manierki. Spiesząc na spotkanie swojego wierzchowca Kincade trącił Vince'a w ramię i woda pociekła na koszulę Rossitera.

- Hej, uważaj jak leziesz! - Vince rzucił mu szybkie, gniewne spojrzenie.

- To ty uważaj - odparł Kincade; czuł wściekły wzrok na plecach, ale wcale się tym nie przejmował. Podszedł do schwytanego na łące bułanka i nałożył mu uździenicę.

Nie zwracając uwagi na Vince'a podprowadził konia do małego ogrodzonego drutem corralu, przylegającego do zabezpieczonego płotem pastwiska, i wpuścił go tam luzem, wiedząc, że będzie mógł go potem bez trudu zabrać. Skierował się w stronę obozu.

Po drodze zauważył nadzorcę, Boba Watersa, kopiącego dół w ziemi. Zaciekawiony Kincade podszedł do niego.

- Co robisz?

Waters podniósł głowę i odrzucił następną łopatę pomieszaną ze żwirem ziemi na kupę w pobliżu dołka. Wsparł się na chwilę na stylisku łopaty i zsunął okulary z powrotem na grzbiet nosa.

- Kopię latrynę dla szefowej. - Chwycił znów za łopatę i mocno wbił ostrze w ziemię.

- Szefowa... - wzrok Kincade'a powędrował od razu w kierunku smukłej, zgrabnej postaci kobiecej; Eden oglądała uszkodzony wiatrak. - Zawsze ją tak nazywacie?

- Przecież jest szefową. - Waters nabrał kolejną łopatę ziemi. Obejrzał się na Kincade'a i dostrzegł, w jakim kierunku biegnie jego wzrok. - Lepiej żebyś o tym nie zapominał, inaczej da ci popalić - poradził i wrócił do kopania.

Południowy posiłek składał się z siekanego mięsa, szczerze przyprawionego cebulą i papryką; po nim dostali świeżo upieczone biszkopty i leśny miód. Siekanina smakowała znacznie lepiej niż wyglądała. Ale największą furorę zrobiła zapiekanka z suszonych jabłek, prosto z brytfanny: wszyscy przychodzili po dokładkę. Z wyjątkiem Kincade'a.

Zamiast tego nalał sobie drugą porcję kawy do emaliowanego kubka i zasiadł z nią naprzeciwko Vince'a. Palił cygaro i obserwował Rossitera przez smutki dymu. Po chwili Vince, uporawszy się z drugą porcją zapiekanki, zauważył Kincade'a.

Od razu się nastroszył.

- Na co się tak gapisz?

- Na nic. - Kincade wyjął z ust cygaro i dodał wolno: - Całkiem nie ma na co.

Oczy Rossitera zwięziły się: nie spodobał mu się ton Kincade'a, ale nie bardzo wiedział, jak ma zareagować.

- No to gap się gdzie indziej! - odburknął i zmienił temat. - Hej, Dziki! - zawołał podnosząc kubek. - Nalej mi kawy!

Zanim kucharz zdjął garnek z kuchni, Kincade podsunął:

- Może byś tak sam się obsłużył?

W namiocie zapadła nagła cisza. Ani jedna łyżka nie brzęknęła o talerz, choć wszyscy zdawali się gorliwie zajęci jedzeniem. Z zaciśniętymi szczękami Vince odstawił kubek i obrzucił Kincade'a wściekłym spojrzeniem.

- Trzymaj lepiej gębę na kłódkę - ostrzegł Kincade'a - bo pewnego pięknego dnia oberwiesz po pysku.

Kincade wpatrywał się w rozżarzony koniuszek swojego cygara. W końcu podniósł oczy na

Vince'a; lekki uśmiezek uniósł kąćki jego ust.

- Możliwe.

- Szukasz wyraźnie guza. Po co ci to? - dopytywał się Vince.

- Kto? Ja? - zdziwił się Kincade.

- Tak, ty. - Vince podszedł do poobijanej miski, którą kucharz przygotował na brudne naczynia, wrzucił tam swój talerz i odmaszerował. Kincade znów puścił dymka, odprowadzając Rossitera wzrokiem.

Eden spotkała brata w drodze do namiotu. Wystarczyło jedno spojrzenie na jego pochmurną twarz i już wiedziała, że coś go zdenerwowało.

- Co się stało, Vince?

- Ten nowy mnie wkurza! - warknął w przelocie.

Zanim siostra zdążyła spytać, o co chodzi, Vince oddalił się już w kierunku corralu. Eden zawahała się, ale ruszyła w stronę namiotu, niepewna, co ją czeka. Gdy tam dotarła w towarzystwie psa, wszystko wyglądało normalnie.

- Zostało jeszcze trochę zapiekanki? - spytał wysoki i chudy Deke, zgłaszając się po trzecią porcję.

- Zrób ją nam też na kolację! - zawołał jeden z kowbojów.

Dziki Jack coś niewyraźnie odburknął i rzucił na talerz Deke'a sówitą porcję zapiekanki. Eden zauważyła, że Kincade przykucnął na piętach koło wozu kucharza i oparł się plecami o koło. Gdy ich spojrzenia się spotkały, Eden natychmiast odwróciła wzrok; jednak nawet przy tak przelotnym kontakcie przepłynęła między nimi fala ognia.

Eden podeszła szybkim krokiem i wzięła z rąk kucharza talerz z obiadem. Z kubkiem kawy w drugiej ręce opuściła namiot i zajęła swoje stałe miejsce na dyszlu wozu, rada z tego, że nie ma zwyczaju dotrzymywać swoim pracownikom towarzystwa przy stole. Pies natychmiast ułożył się w cieniu pod wozem.

Eden wypila kilka łyków gorącej kawy i odstawiła kubek. Jadła przysłuchując się męskim pogwarkom. I nagle ogarnął ją gniew: uświadomiła sobie, że usiłuje rozróżnić niski głos Kincade'a.

Opróżniła talerz, postawiła go na ziemi i ponownie wzięła do ręki kubek; wypila duszkiem połowę kawy. Potem pochyliła się do przodu i oparła łokcie na kolanach, piastując kubek w obu dłoniach. Odwróciła głowę i wpatrzyła się w nagą, pustą przestrzeń. Ten widok zazwyczaj uspokajał ją, dodawał sił. Teraz jednak uderzyła Eden pustka. Pustka tak wielka, że aż przejmowała ją bólem.

Kiedy usłyszała za sobą kroki na kamienistym gruncie, odwróciła się i ujrzała przed sobą długie, męskie nogi w wygodnych skórzanych czapsach z frędzelkami. Czyjaś dłoń w rękawicy trzymała za ucho wielki emaliowany imbryk.

- Dolać kawy? - Głos należał do Kincade'a.

Oczy Eden były na poziomie jego bioder; nie podniosła ich wyżej, gdy podsuwała kubek.

- Dzięki - powiedziała i umyślnie skoncentrowała uwagę na kroju skórzanych ochraniaczy, oglądając uważnie najpierw sprzączkę, dzięki której czapsy trzymały się na biodrach, a potem naprężoną linię szwu poniżej wyraźnej wypukłości w spłowiałych dżinsach.

- Więcej by się nie zmieściło.

Eden już miała zbesztać go za tę niesmaczną uwagę, ale słowa zamarły jej na ustach. Zdała sobie sprawę, że mówił o jej kubku z kawą, a nie o dżinsach.

- W porządku - mruknęła i szarpnęła kubek ku sobie. Kawa omal się nie wylała. Eden natychmiast podniosła ją do ust, chcąc pokryć zażenowanie.

- Bardzo gorąca - ostrzegł Kincade.

Eden skinęła tylko głową i w duchu zwymyślała się od ostatnich za nieprzystojne myśli. Poczula ulgę, gdy po chwili Kincade odszedł bez słowa.

Popołudniowe obowiązki były proste. Każdemu z jeźdźców przydzielono część terenu, którą miał starannie przeszukać i spędzić z niej bydło do otoczonej płotem zagrody.

Gdy Dziki Jack pozostał sam w obozie, pozmywał talerze po lunchu, wypił pół butelki ekstraktu waniliowego i zaczął przygotowania do kolacji. Późnym popołudniem, gdy słońce zaczęło powoli zniżać się ku zachodowi, kucharz znów się wgramolił na koziół starego wozu. Z tej wysokiej grzędy rozglądał się po całej okolicy, wypatrując obłoczków pyłu, pierwszego znaku, że kowboje wracają do obozu. Siedział tak w milczeniu i bez ruchu, a ciepły wiatr łopotał płóciennymi ścianami namiotu - jadalni.

Kiedy Dziki Jack dostrzegł w dużej odległości niewyraźną chmurkę pyłu, przyjrzał się jej uważnie, a potem chrząknął i zeskoczył na ziemię. Wrócił do swojego wozu, wypił resztę wanilii w nagrodę za czujność, a potem rozpoczął ostatnie przygotowania do wieczery.

Eden wróciła jako trzecia i z pomocą owczarka zapędziła do zagrody dwadzieścia sztuk bydła. Gdy zamknęła za nimi bramę, podjechała do ogrodzonego drutem corralu i zsiadła z konia. Była równie spocona i zakurzona jak jej wierzchowiec. Cassius padł na ziemię ciężko dysząc. Eden zdjęła siodło i przepoconą derką wytarła z grubsza grzbiet konia, po czym puściła go luzem.

Zmęczona i obolała, jak zawsze pod koniec ciężkiego dnia, Eden zaczęła zbierać swój ekwipunek. Przerwała jednak to zajęcie na widok jeźdźca pędzącego mniej niż tuzin krów. Poznała Vince'a i zmarszczyła czoło na widok znikomych rezultatów jego pracy. Zaczekała, aż brat zapędzi bydło do zagrody.

Dekę spojrzał w stronę Friendly.

- No, jakieś dwadzieścia, trzydzieści kilometrów na południowy zachód. Kincade wahał się przez chwilę, w końcu jednak włożył znów nogę w strzemień i zachęcił bułanka do biegu.

- Gdzie cię niesie? - zmarszczył się Dekę.

- Na piwo - zawołał odjeżdżając Kincade i puścił konia żwawym kłusem. Dekę patrzył za nim może przez minutę, a potem odwrócił się do Eden:

- Jak szefowa myśli? Szykować mu konia na jutro czy nie?

Eden wiedziała, o co Dekę w gruncie rzeczy pyta: czy według niej Kincade jeszcze tu wróci? A może piwo było tylko wymówką i po prostu miał dość tej pracy? Już nieraz pracownicy opuszczali ranczo pod byle pretekstem.

Starając się przemóc nagły niepokój Eden odparła:

- Wybierz mu jakiegoś. Dekę skinął głową.

- Pewnie, puści się go wolno, jeśli Kincade nie wróci.

Kurz wzbijany kopytami pędzącego wierzchowca Rossitera pomagał - niczym latarnia morska - odnaleźć właściwą drogę. Kincade stracił go jednak z oczu, gdy zbliżył się do pasma niezbyt wysokich wzgórz. Popuścił wodze i pozwolił, by mustang sam wybierał drogę na skalistym zboczu. Gdy dotarł na szczyt, dostrzegł czarny punkcik - konia i jeźdźca - w połowie szerokiej drogi u swoich stóp.

Kincade ściągnął cugle i dał bułankowi przez chwilę wytchnąć, sam zaś spoglądał na odległą sylwetkę. Nie dostrzegał ruchu, prawdopodobnie więc koń Rossitera szedł stępą. Kincade obejrzał się na zachodzące słońce chcąc upewnić się, czy zmierza nadal na południowy zachód.

Postał jeszcze chwilę, a potem skierował bułanka w dół po stoku. Znów pozwolił koniowi wybierać szlak i iść własnym tempem; nie poganiał go ani nie powściągał.

Słońce zaszło, niebo pokryło się szerokimi smugami o barwie szkarłatu i karmazynu. Wkrótce

zapadł liliowy zmierzch i pierwsza wieczorna gwiazda zabłysła nad głową. Kurz wzbijany przez Rossitera nie był już widoczny i Kincade musiał przyjąć na wiarę, że Vince nie pojechał w innym kierunku.

Szybko zapadła noc i cała okolica zniknęła w mroku. Pojawiło się jeszcze kilka gwiazd, by dotrzymać towarzystwa księżycowi. Kincade orientował się według nich. Przebywał kilometr za kilometrem, nie dostrzegając nawet świateł w oknach jakiegoś położonego na odludziu domu. Od czasu do czasu z zimnym powiewem nocy dolatywał do niego obłoczek pyłu. Był to jedyny znak, że gdzieś przed nim nadal jedzie Rossiter.

Nagle w dali zabłysły światła. Przez dłuższą chwilę Kincade sądził, że jest to grupka gwiazd wiszących nisko nad horyzontem. Potem zorientował się, że to światła Friendly. Popędził konia. Mustang z miarowego kłusa przeszedł w galop.

Vince dojechał do „Lucky Starr”. Jego umęczony koń dokuśtykał jakoś do narożnego słupa podtrzymującego okap. Z wnętrza budynku dobiegał stłumiony gwar kłótliwych głosów. Rossiter uśmiechnął się słysząc go, zeskoczył z siodła i pospiesznie przywiązał lejce do słupa.

Wszedł na ścieżkę i strzepnął kapeluszem kurz z ubrania, po czym oczyścił też nakrycie głowy. Szybko przecesał palcami włosy, włożył kapelusz i skierował się do drzwi frontowych; ostrogi pobrzękiwały przy każdym dziarskim kroku.

Starr Davis stała przy wielkim mahoniowym barze, gdy Rossiter wszedł. Dostrzegła go, zawahała się na mgnienie oka, a potem okraśliła twarz szerokim, kocim uśmiechem i wyszła na spotkanie Vince’a.

- Wróciłeś jak przysłowiowy zły szeląg - powiedziała kpiąco. Vince roześmiał się.

- Dobrze wiesz, że nie potrafię wytrzymać długo z dala od ciebie.

- Niestety. - Uśmiech Starr był pełen ciepła, ale oczy patrzyły zimno i ostrożnie. - W jakie kłopoty wpędzisz mnie tym razem?

- Nie mów tak! - ofuknęła go Vince z uśmiechem. - Dobrze wiesz, że zawsze wszystko w końcu układa się jak najlepiej.

- Rzeczywiście - przytaknęła Starr. - Tak czy inaczej.

- A przecież tylko to się liczy, nie? - odparował Vince. - No więc, jak będzie? Postawisz drinka nicponiowi, który znów się pojawił?

- Czy nie robię tego zawsze? - Starr ujęła go za ramię i podprowadziła do baru. - Roy! - zastukała energicznie w kontuar. Barman z obojętną twarzą skinął głową, popchnął dwa piwa w stronę czekających klientów, schował pieniądze, które zostawili na kontuarze i poczłapał na koniec baru. - Daj mu drinka, ja płacę.

- Zimne, Roy. - Vince wyciągnął zmięty dwudziestodolarowy banknot z kieszeni. - I chcę mieć jedno piwo za drugim, póki sam nie powiem „stop”. - Popchnął pieniądze w stronę Roya, a następnie odwrócił się do Starr. - No, opowiedz mi, jak sobie radzi moja szczęśliwa gwiazdka ostatnimi czasy.

- Lepiej niż kiedykolwiek - odparła mierząc go badawczym spojrzeniem. - O tobie trudno powiedzieć coś podobnego. Wyglądasz, jakby cię ktoś zajeździł i zostawił na deszczu.

- Bo tak było. - Wziął do ręki oszroniony kufel piwa, który postawił przed nim Roy, uniósł go w górę i zsalutował nim Starr. - Zdrowie szczodrych dam! - Jednym haustem wypił połowę, potem opuścił kufel i zawołał do Roya: - Rzuć dla mnie na grilla najgrubszy,ajsoczystszy stek, jaki tylko macie!

- Przypał mu tam jeden - wrzasnął Roy w kierunku kuchni.

- Czeka cię dziś miła niespodzianka, Vince. Mamy kogoś nowego w kuchni.

- Ładna? - spytał Vince, a oczy mu zabłysły.

- To nie ona, a on.

- Mam pecha, jak zawsze! - stwierdził z ironicznym skrzywieniem ust. Uniósł znowu kufel i wypił resztę piwa.

Roy czekał już z następnym, gdy Rossiter odstawił opróżnione naczynie. Vince pociągnął łyk, oparł łokcie na barze i odwrócił się, by rozejrzeć się po zatłoczonej sali.

- Gdzie dzieciak? Jakoś go nie widzę.

- Jest u kumpla i oglądają razem horrory, które wypożyczyli.

- Ja bym tam wolał co innego - stwierdził Vince.

- Rick nie jest do ciebie podobny. Na szczęście - mruknęła Starr.

- Tym lepiej. Nie życzyłbym nikomu, żeby miał takiego pecha jak ja ostatnimi czasy. Stanowczo za długo się koło mnie płacze! Najwyższy czas, żeby karta się odwróciła. Mam nadzieję, że już od dziś. - Rozejrzał się po tłumie obecnych.

- Wygląda mi to na najazd wszystkich chłopaków z Diamond D. Jest DePard?

- Tam w kącie, gra w pokera. - Skinieniem blond główki Starr wskazała stół w odległym kącie sali, przy którym siedziało kilku mężczyzn.

- Jak stoją sprawy między tobą i DePardem?

- Widujemy się, ilekroć uda się to jakoś zaaranżować - odparła Starr enigmatycznie. Dawno się już przekonała, że Duke DePard nie życzy sobie, by jego sprawy osobiste były przedmiotem publicznej dyskusji. - Bardzo polubił Ricka.

Vince odwrócił się twarzą do baru i oparł na nim łokcie.

- Chłopakowi potrzebna jest męska opieka. Ktoś, kogo mógłby naśladować i podziwiać. Życiowy wzór. Nie taki jak mój dziadek - dorzucił z nutką goryczy.

- To był poganiacz niewolników! - Obejrzał się na stół w kącie sali. - Łap DeParda, jeśli potrafisz.

- Mam taki zamiar. Przyjrzał się jej badawczo.

- Na pewno ci się uda. - Kąciki ust na sekundę uniosły się w uśmiechu, potem Vince spuścił wzrok na piwo. - Czy dzieciak nadal dopytuje się o ojca?

- Już nie.

Rossiter skinął głową, wyprostował się i rzucił Starr jeden ze swoich niezawodnych uśmiechów, które topiły najtwardsze serca.

- Mówisz, że grają w pokera, co? - Vince dosłownie olśniewał czarem. - Zainwestujesz we mnie pięćdziesiąt dolarów w żetonach? Słowo honoru, że oddam.

- Bez obawy. Wyduszę je z ciebie.

- Hej, Starr! - ryknął ktoś z gości. - Chcemy zagrać w oko!

- Już idę - odparła i szybko odeszła od baru.

Rossiter odprowadził ją roześmianym wzrokiem. Potem jego spojrzenie poszybowało do stołu na tyłach sali, przy którym grano w pokera. Gdy dostrzegł DeParda, uśmiech znikł mu z twarzy. Vince pociągnął jeszcze łyk piwa.

- Jakoś zwalniasz tempo - zauważył Roy stawiając przed nim trzeci kufel.

- Nie na długo, Roy - odparł Vince z szerokim uśmiechem. - Nie na długo! Zabrał ze sobą trzecie piwo i zaniósł je do stolika. Zaczepił stopą o spód krzesła i podsunął je ku sobie, po czym usiadł i postawił kufel na stole.

Sierść spienionego konia Rossitera połyskiwała wilgotno w świetle płynącym z okien „Lucky Starr”. Zwierzę stało z głową zwieszoną niemal do ziemi; zastrzygło uchem, gdy Kincade uwiązał obok swojego mustanga.

Zesztywniały i obolały zsunął się powoli z siodła. Gdy już obiema nogami stanął pewnie na gruncie, napiął mięśnie ramion i pleców, które gwałtownie zaprotestowały. Podniósł strzemiona, poluzował popręg, potem zaś ściągnął chustkę z szyi i zmoczył ją wodą z manierki. Otarł wilgotną szmatką pył z nozdrzy bułanka i zwilżył mu pysk, tak wyzymając chustkę, by krople pociekły do gardła zwierzęcia.

Skończywszy te obrządki, przywiązał wodze do słupa, a potem sprawdził, jak się miewa koń Rossitera: przejechał dłonią po jego piersi, czując gorączkę pod wilgotną sierścią. Manierka przy siodle Rossitera była pusta.

- Coś mi mówi, żeś ty nie wypił z niej ani kropli - mruknął Kincade do konia. Znowu zwilżył chustkę wodą ze swojej manierki i powtórzył poprzednie zabiegi.

Zakręcił wieczko i przytroczył manierkę do siodła wraz z mokrą chustką na szyję. Odwracając się do konia Rossitera dostrzegł, że popręg także nie został poluzowany. Kincade naprawił to niedopatrzenie i skierował się w stronę kasyna. Z grającej szafy rozlegała się na cały regulator piosenka Gartha Brooksa, a kowboj stojący przy jednym z automatów do gry zaczął triumfalnie pohukiwać, gdy błyski świateł i dźwięk dzwoneczków oznajmiły o wygranej. Kincade zatrzymał się przy drzwiach i obiegł wzrokiem jazgotliwy tłum. Po ciszy panującej nocą na pustkowiu hałas po prostu go ogłuszył. Dostrzegł Rossitera przy jednym z barowych stolików: rozprawiał się właśnie z olbrzymim stekiem. Na ten widok pusty żołądek Kincade'a zareagował burczeniem.

Ruszył w stronę baru, potem jednak zmienił kierunek i przez całą długość sali przeszedł do wąskiego korytarza. Z męskiej toalety wychodził właśnie jakiś kowboj dopinając spodnie. Kincade usunął się na bok, żeby go przepuścić, po czym wszedł do toalety, by zmyć z siebie przynajmniej częściowo kurz i pot całodziennego trudu.

Gdy stanął przed umywalką, ujrzał w wiszącym nad nią lustrze odbicie własnej postaci. Kurz pokrywał mu grubą warstwą skórę. Krótka szczecinka zarostu sprawiała, że rysy pociągłej twarzy zdawały się jeszcze ostrzejsze, a policzki bardziej zapadnięte. Kincade uśmiechnął się krzywo i z politowaniem na widok faceta z lustra, pochylił się nad umywalką i rozkręcił oba kurki do oporu.

Szmer płynącej wody sprawił, że ocknęło się w nim pragnienie. Zdjął kapelusz i nachylił się jeszcze bardziej, podstawiając głowę pod kran. Woda leciała mu prosto w wyschnięte usta. Pił, póki nie napełnił nią brzucha. Gdy już ugasił pragnienie, nabrał wody w dłonie i zmoczył sobie twarz. Zużył prawie całą kostkę mydła, zanim poczuł, że pokrywająca skórę skorupa brudu zaczyna pękać. W końcu spłukał mydlaną pianę i wypił jeszcze kilka łyków wody.

Rozsiewając wokół deszcz kropel podszedł do wiszącego ręcznika i wytarł twarz i ręce. Czuł, że znów wygląda jak człowiek - albo prawie. Sięgał właśnie po kapelusz, gdy drzwi się otworzyły i do toalety wszedł Rusty. Czy był to jednak naprawdę on? Szopa ogniście rudych włosów znikła pod wysoką czapkę kucharską, nasadzoną na bakier. Ciemnobrązowa szczecina, najwidoczniej załazek brody, pokrywała dolną część piegowatej twarzy. W pasie miał przewiązany fartuch z napierśnikiem, zaplamiony różnymi potrawami i sosami.

- Zauważyłem, że poszedłeś na tyły i pomyślałem, że wpadnę się przywitać - powiedział Rusty.

- Co ty tu robisz? - zmarszczył brwi Kincade.

- Jestem nowym kucharzem. - Rusty uśmiechnął się szeroko. - Kiedy wpadłem tu wczoraj wieczór coś przegryźć, zamówiłem jak zawsze stek z podsmażanymi kartofelkami. Ale tym razem powiedziałem Royowi, żeby mi do nich wkroił papryki i cebuli. Na to on, że jak mi nie odpowiada jego kuchnia, to mogę sam sobie pichcić zarcie. No to wszedłem na zaplecze i zrobiłem jak mi radził. I zaraz potem Starr zaproponowała mi posadę kucharza. Lepsze to niż obijanie się bez sensu, więc się zgodziłem.



Kincade włożył kapelusz.

- Od frontu stoją dwa uwiązane konie - poinformował Rusty'ego. - Jak znaj - dziesz chwilę czasu, daj im trochę wody.

Rudawe brwi uniosły się.

- Przyjechałeś tu wierzchem? - A jakże.

- Głodny jesteś?

- Zdycham z głodu.

- Zaraz ci zrobię stek - obiecał Rusty i zniknął za drzwiami.

Kincade wyszedł z toalety. Rossiter, nadal zajęty jedzeniem, nie zauważył Kincade'a, który przeszedł przez salę i usadowił się przy końcu baru.

Gdy już się uporał z posiłkiem, Vince rozparł się w krzesło i popijał bez pośpiechu piwo, pogadując dla zabicia czasu z wyszczekaną brunetką siedzącą przy sąsiednim stoliku. Dziewczyna wyglądała na dwadzieścia lat, ale zachowywała się jak kobieta po czterdziestce. Była atrakcyjna, ale trochę za cwana jak na jego gust.

Roy przyniósł mu kolejne piwo. Vince wstał, zabił kufel, musnął palcem policzek brunetki i obiecał jej coś, czego nie miał zamiaru dotrzymać. Następnie podszedł do stołu, przy którym grano w blackjacka. Starr rozdawała. Zauważyła Vince'a i podsunęła mu kartkę papieru.

- Załatwmy to jak należy - powiedziała i wróciła do swojego zajęcia tak szybko, że rytm rozdawania prawie nie uległ zakłóceniu.

Vince podpisał skrypt dłużny i popchnął go w stronę Starr. Jedną ręką odliczyła pięćdziesiąt dolarów w żetonach, drugą zaś odkryła swoje karty, ukazując damę kier i dziewiątkę trefl.

- Płacisz dwudziestaka - oznajmiła gracze.

Ubawiony różnaitością epitetów, jakie posypały się po tym oświadczeniu Starr, Vince odszedł stamtąd i zbliżył się do stołu w kącie, gdzie grano w pokera. DePard siedział jak zawsze plecami do ściany, mając przed oczyma całą salę. Vince posłał z boku, póki nie rozegrano partii. Nie zwracał uwagi na pozostałych trzech graczy. Interesował go tylko DePard. To on trzymał bank.

Twarz DeParda stanowiła świetny przykład ponurej koncentracji. Jego gęste, krzaczaste brwi ściągnęły się, rzucając cień na oczy. Usta, jak zwykle, miał zaciśnięte w prostą, surową linię, częściowo ukrytą wśród gęstych wąsów, które niemal całkowicie przesłaniały górną wargę. DePard był ostrożnym i konserwatywnym pokerzystą. Zaglądał w karty tylko raz i zapamiętywał je; potem odkładał i nie spozjrzał w ich stronę, póki na hasło „sprawdzam” licytujący nie odsłoniли swoich kart. DePard nigdy nie rozpraszał się podczas gry. Pochłaniała ona jego uwagę do chwili, gdy zwycięzca zagarnął pulę.

Vince od niechcienia pobrzękiwał żetonami, rozkoszując się ich dźwiękiem i dotykiem. Był przekonany, że uda mu się - zanim noc dobiegnie końca - pokaźnie rozmnożyć to stadko. I to jak! - pomyślał i aż się uśmiechnął.

Nadzorca bydlą z rancza Bremmera obiema rękami przyciągnął pulę przez stół do siebie. DePard dorzucił swoje karty do reszty talii i odchylił się z krzesłem do tyłu. Odwrócił wzrok od stołu i obiegł spojrzeniem całą salę. Gdy dostrzegł Vince'a, skoncentrował na nim uwagę.

- Mogę zagrać z wami partyjkę czy dwie? - Nie czekając na odpowiedź Vince przysunął sobie wolne krzesło.

- Stawka pięćdziesiąt - poinformował go DePard.

- Znam zasady, Duke. - Vince usiadł i rzucił z brzękiem na stół swoje żetony.

- Ostrzegam, chłopaki, że mam dziś dobrą passę.

- Zobaczymy. - DePard wskazał palcem jednego z pozostałych graczy: - Ty rozdajesz, Ernie.

- Po pięć kart, walet albo wyższa otwiera. - Ernie rozdzielił talię i zaczął tasować karty.
- Stawiam, chłopcy, stawiam. - Vince dorzucił żeton do puli i zsunął kapelusz na tył głowy; wilgotne ciemne kosmyki opadły mu na czoło.

Ze swojego miejsca przy barze Kincade zauważył, że Rossiter podszedł do stołu pokerzystów, DeParda dostrzegł jednak dopiero wówczas, gdy Vince przysiadł się do graczy. Zaintrygowany tym, że Rossiter gra w pokera z najzawziętym wrogiem siostry, Kincade skończył stek i z piwem w ręku skierował się w tamtą stronę.

Dwaj kowboje siedzieli oparci o ścianę i obserwowali grę. Kincade przysiadł się do nich. Zajął takapozycję, że dobrze widział zarówno Rossitera, jak i DeParda.

- Wyglądsz, jakbyś miał ciężki dzień, Rossiter - zauważył DePard.
- To pot szlachetnego trudu. - Ze swobodnym uśmiechem Vince rozłożył otrzymane karty.
- Czyżby? - DePardowi najwidoczniej niezbyt ta odżywka zaimponowała.
- Ajakże! - Vince odłożył dwie karty i rzucił Duke'owi filuterne spojrzenie.
- Spędzamy bydło pod Fiat Rock.

Zainteresowanie DeParda wyraźnie wzrosło. - W jakim celu?

- Żeby je przewieźć na rynek, rzecz jasna. - Vince podniósł dwa palce w kierunku rozdającego i złapał karty, które poszybowały ku niemu przez stół.

- Jasne. - W głosie DeParda dźwięczało równocześnie rozbawienie i zadowolenie z siebie, choć wyraz jego twarzy nie zmienił się ani na jotę. - A kto je przewiezie, jak myślisz?

Vince poczekał z odpowiedzią, póki nie dołączył dwóch nowych kart do wachlarzyka trzymany w ręku i nie przyjrzał się rezultatowi.

- Przedsiębiorca z Oregonu. - Kącikiem oka obserwował reakcję DeParda, który znieruchomiał i zamilkł. - Przechytrzyła cię, Duke.

- Jeśli to prawda. - DePard szybko się opanował i obejrzał otrzymane karty. Położył je grzbietem do góry i dorzucił kilka żetonów do puli. - Dziesiątka dla ciebie, Bili.

- Szczera prawda - potwierdził Vince. - Ciężarówka przyjadą na rancho we wtorek o dziewiątej rano, żeby załadować bydło. - Obaj gracze z prawej strony wycofali się. Vince odliczył kilka żetonów i posunął je w stronę puli. - Macie tu waszą dziesiątkę i dokładam drugie dziesięć.

- Za wysoko dla mnie. - Jeden z graczy odłożył karty. DePard dorzucił kilka żetonów.
- Sprawdzam.

Vince rozłożył odkryte karty na stole.

- Trzy dziesiątki i as w starszym kolorze. Przyjrzyj się i zapłac!

DePard ledwie zdążył powiedzieć „zakasowałeś mnie” i odrzucić karty, a Vince już zgarniał pulę.

W następnych pięciu rozdaniach Vince wygrał trzy razy. Za każdym razem pula była wysoka. Kincade przyglądał się, jak Vince zgarnia żetony po ostatniej wygranej i stuka w stolik:

- No, Murphy! Teraz ty rozdajesz!
- Beze mnie. - DePard zabrał niewielką kupkę żetonów leżących przed nim i wstał. Zaskoczony Vince zerknął ku niemu i zmarszczył brwi.

- Chyba się jeszcze nie wycofujesz?

- Karta ci dziś za bardzo idzie. - W kąciakach ust DeParda pojawił się uśmiech, spojrzenie jednak nie zmiało.

Duke odszedł od stołu i oddalił się wolnym, rytmicznym krokiem. Ani razu nie spojrzał w stronę Kincade'a. Jeśli go w ogóle dostrzegł, to z pewnością nie rozpoznał.

Kincade przyglądał się, jak DePard przechodzi przez salę, nie zwracając się do nikogo, póki nie

dotarł do kowboja w kamizelce z łaciatej wołowej skóry, który siedział przy barze. DePard coś do niego powiedział, a kiedy mężczyzna się odwrócił, Kincade dostrzegł szkarłatne znamię na jego twarzy. Był to Sheehan, nadzorca DeParda, który zorganizował napaść na Kincade'a.

Sheehan podniósł się i wyszedł za DePardem z sali. Po namyśle Kincade zwrócił ponownie uwagę na stół do gry w pokera. Vince przegrał przy następnym rozdaniu. Gdy podniósł do ust kufel z piwem, przekonał się, że jest pusty. Zerknął na siedzących pod ścianą kowbojów.

- Niech no któryś z was powie Royowi, żeby mi dał jeszcze jedno piwo.

- Sam mu to powiedz. - Zabrzmiało to jak echo niedawnych słów Kincade'a; wzrok Rossitera pomknął w tamtą stronę.

Niezadowolenie z obecności znieawidzonego kowboja natychmiast odbiło się na twarzy Vince'a.

- Co ty tu robisz? - warknął.

- Piję piwo. - Kincade uniósł prawie pusty kufel.

- Koniecznie tutaj?! - warknął Vince.

- Tu mi całkiem odpowiada.

Vince postanowił go zignorować i skoncentrował się na kolejnym rozdaniu. Tym razem też przegrał i odrzucił karty z niesmakiem. Obejrzał się i zauważył, że Kincade go obserwuje.

- Będziesz tak sterczał całą noc, czy się przysiadasz?

- Nie gram w pokera.

- Ciekaw jestem, w co ty właściwie grasz? - Vince rzucił mu spojrzenie spod oka i chwycił dwie pierwsze karty z rozdania.

- Może się kiedyś dowiesz. - Nieznaczny uśmiech pojawił się w kącikach ust Kincade'a, gdy podniósł kufel do ust i wypił łyk ciepłego piwa.

Jedyną odpowiedzią Rossitera było pogardliwe prychnięcie.

W ciągu następnej godziny kupka żetonów leżących przed Vince'em stopniowo malała. Przegrywał częściej niż wygrywał. Po każdej porażce stawał się bardziej czerwony i poirytowany. Wreszcie doszło do ostatniej potyczki: Vince dorzucił do puli resztę swoich żetonów. Przegrał.

- Wygląda na to, że szczęście cię opuściło - zauważył Kincade. Rossiter wsparł się o stół obiema rękami i odsunął krzesło, a oczy pociemniały mu z wściekłości.

- Jak będę potrzebował twojej opinii, sam o nią poproszę! - Wstał i obrzucił wzrokiem pozostałych graczy. Zdobył się jeszcze na uśmiech. - Jeszcze się spotkamy, chłopaki!

Odszedł w stronę baru. Kincade obserwował go przez chwilę, po czym udał się w tym samym kierunku. Vince zamówił kolejne piwo i wypił parę łyków, zanim zauważył Kincade'a opierającego się o bar na samym jego końcu. Na twarzy Rossitera pojawił się wyraz irytacji. Szybko wypił resztę piwa, odstawił kufel i uderzył dłonią o bar gestem oznaczającym, że mająż dość, po czym wykręcił się napięcie. Zmierzając ku drzwiom zawołał coś wesoło do Starr. Pomachała mu na pożegnanie ręką.

Gdy drzwi frontowe zamknęły się za Rossiterem, Kincade zapłacił należność, zabrał resztę i wyszedł. Przed kasynem przystanął i obrzucił badawczym spojrzeniem ciemne zabudowania. Oba konie stały nadal uwiązane do słupa i drzemały. U przednich nóg miały plastikowe wiadro wody.

Rossitera nie było nigdzie w pobliżu. Kincade wyteżył słuch, lecz nie dotarł do niego odgłos kroków. Odczekał jeszcze chwilę, po czym podszedł do koni. Jego buty stukały głośno na wykładanej drewnem drodze; wtórował im brzęk ostróg.

Mustang uniósł głowę, zastrzygł uszami w stronę Kincade'a i zwrócił łeb ku narożnikowi domu. Kincade nie zdziwił się, gdy w sekundę później z głębokiego cienia wyłonił się Vince.

- Czemu mnie ciągle szpiegujesz?

- Podobno podejrzenia nękają nieczyste sumienie - zauważył Kincade, znów cytując Szekspira. -

Czy na tym polega twój problem, Rossiter? Masz nieczyste sumienie?

- Nie! - Odpowiedź była nagła. Zbyt nagła. - Skąd ci to przyszło do głowy? - Bo zachowujesz się tak, jakbyś miał jakieś ciemne tajemnice!

Rossiter zmarszczył czoło.

- Już się gdzieś spotkaliśmy, prawda?

- Mówiłem, że nigdy się wcześniej nie widzieliśmy.

Zdezorientowany i zbity z tropu Rossiter potrząsnął głową, podszedł do swojego konia i odwiązał lejce od słupa. Wskoczył na siodło, jeszcze raz spojrzął na Kincade'a i przynaglając konia do galopu opuścił miasto. Mustang pożegnał ich donośnym rżeniem.

- Wracasz już? - Z cienia przy bocznej ścianie budynku wyszedł Rusty. Kincade skinął głową.

- Do obozu daleko, a jak tu będę marudził, nie zrobi się bliżej.

- Szkoda, że nie mam tu swojej przyczepy do przewozu koni. Wsadzilibyśmy do niej twojego bułanka i odstawiłbym was razem.

- Cholerna szkoda - przytaknął Kincade i zacisnął popręg. - Uważaj na siebie, Rusty.

- Ty też.

Rusty stał jeszcze długo po odjeździe Kincade'a, nad słuchując tętentu kopyt, cichnącego w mroku nocy. W końcu podszedł do słupa, chlusnął wodą z plastikowego wiadra i skierował się alejką ku tylnym drzwiom kuchni, wymachując pustym kubelkiem.

Trochę po północy Eden przewróciła się na łóżku - po raz chyba setny. Odkąd się położyła, właściwie nie spała; drzemała tylko od czasu do czasu. Teraz leżała półprzytomna, przysłuchując się niespokojnym ruchom koni w corralu; od czasu do czasu parskały lub cicho rżały. Dał się słyszeć narastający tętent końskich kopyt. Stary owczarek warknął przed namiotem. Jakiś jeździec wracał do obozu.

Eden wstała, wciągnęła buty i wyśliznęła się z małego płóciennego namiotu. Podobnie jak wszyscy, położyła się w brudnym, przepoconym ubraniu, które miała na sobie przez cały dzień. W obozie nie było miejsca na takie luksusy jak kąpiel, piżama albo czysta bielizna. Umyła tylko twarz i ręce i wyczesła z grubsza pył z włosów - mało kto zadał sobie tyle trudu.

Wyszła z namiotu. Stała przez chwilę nieruchomo. Kontury okolicznych wzgórz odcinały się bardziej intensywną czernią w mroku nocy. Zwrócona twarzą do corralu Eden przyglądała się ciemnym sylwetkom poruszających się koni. Tętent zamilkł i rozległy się inne odgłosy: trzask rzemieni, brzęk łańcuszków przy uździe. W końcu Eden ujrzała idącą w stronę obozu postać.

- Który z nich, Cassius? - szepnęła do owczarka - Vince czy Kincade? - Pies zaskomlał w odpowiedzi. Eden wyszła na spotkanie osoby zbliżającej się do namiotu - jadalni. Mimo że przybysz był bardzo znużony, Eden rozpoznała jego buńczuczny krok, zanim jeszcze Vince podszedł do niej. Zaczepiła kciuki o tylne kieszenie dżinsów i postarała się opanować nagłe uczucie zawodu.

- Siostrzyczko! - mruknął ze zdumieniem Vince, gdy dostrzegł jej sylwetkę na żółtawym tle namiotu. - Jakim cudem jesteś jeszcze na nogach?!

- Nie mogłam zasnąć. - Cóż, nie mijała się z prawdą.

- Ze mną jest całkiem inaczej. - Vince objął ją ramieniem i przyciągnął tak, że szli teraz noga w nogę. - Jestem taki skonany, że mógłbym spać tydzień bez przerwy.

Eden spojrzała przez ramię w stronę corralu.

- Czy Kincade wrócił razem z tobą?

- Nie. - W głosie brata nie było już wesołości.

- Spotkałeś go w mieście?

- A jakże. Co z tego? - Vince zatrzymał się przed namiotem kucharza. Ręka ześliznęła mu się z ramion siostry, gdy nagle odwrócił się.

- Nic. - Eden potrząsnęła lekko głową. - Zastanawiałam się tylko: wróci czy nie wróci?

- Co cię to obchodzi?

- Obchodzi, bo może zabraknąć rąk do pracy.

- Poradzisz sobie - odparł Vince.

- Pewnie tak, ale nie w tym rzecz.

- No to nie śpij i martw się o niego. Ja nie mam zamiaru. Dobranoc. - Skierował się do swojego namiotu.

Eden nie poszła w jego ślady. Była zbyt niespokojna, zanadto podminowana i wiedziała, że jeszcze nie uśnie. Oparła się o koło wozu kucharza i pozwoliła oczom błądzić wśród głębokich cieni, które zalegały pustkowie. Panujący w ciągu dnia upał zelżał, przenikliwy powiew ze wzgórz przejmował nawet zimnym dreszczem.

Z głową odchyloną do tyłu Eden patrzyła w gwiazdy rozsiane na nocnym niebie jak okruchy kryształ. Bardzo nisko wisiał blady księżyc, podkreślając aksamitną czerń nocy. Ta noc miała niezwykle taj emniczy nastrój, budziła dziwny ból, tęsknotę za czymś, czego Eden nie potrafiłaby nazwać.

Wciągnęła głęboko powietrze i westchnęła cicho, opuszczając głowę. Jej słuch, wyostrzony ciszą, zaczął odróżniać zlewające się ze sobą odgłosy nocy: stłumione echa, ruch stworzeń poruszających się wśród mroku, trzepoczące na wietrze płótno namiotu, a wreszcie chrzęst żwiru pod czyimiś stopami. Eden spojrzała w górę, przeświadczona, że ujrzy Vince'a - ale odgłos kroków dobiegał z przeciwnej strony.

Zerwała się na nogi, odwróciła się i ujrzała Kincade'a. Odezwało się w niej pragnienie, które usiłowała poprzednio zignorować. Złękła się nagle i Kincade'a, i własnej reakcji na jego obecność.

- Wróciłeś.

- Myślałaś, że nie wrócę?

- Nie zdziwiłoby mnie to. - Eden usiłowała za wszelką cenę mówić spokojnie, z nutką obój ętności, od której była bardzo daleka. - Ludzie nieraz odchodzili bez wypowiedzenia.

- Jeśli o mnie chodzi, miałem po prostu ochotę na piwo. Napiłem się go w mieście i wróciłem. - Długie, ciemne włosy Eden opadły i rozsypały się po ramieniu. Kincade dotknął palcem jednego pukła, skuszony jego połyskiem w księżycowej poświacie. - Ale to bardzo ładnie z twojej strony, że na mnie czekałaś.

Był stanowczo zbyt blisko. Eden cofnęła się o krok i znów oparła się o koło wozu.

- Wcale nie czekałam na ciebie - zaprzeczyła, a ręka Kincade'a opadła. - Obudziłam się, kiedy przyjechał Vince.

- A tak, widziałem jego konia w corralu. - Spojrzenie Kincade'a powędrowało w stronę namiotu Vince'a, potem wróciło do twarzy Eden.

Światło księżyca cyzelowało jej rysy i uwypuklało miłe krągłości ciała. Na policzkach Eden był ślad rumieńca, oczy pociemniały od wewnętrznego niepokoju. Ten widok skusił Kincade'a; zapomniał o rozsądku. Wyciągnął rękę i pogładził kciukiem policzek dziewczyny. Eden zeszytniała i podniosła głowę: widać wysyłała mu równocześnie sprzeczne sygnały.

- Mężczyzna nie może patrzeć na ciebie i nie pożądać cię, Eden.

- Przestań. - Nie była pewna, co budziło w niej większy protest: pieszczota mężczyzny, jego słowa czyjej własna reakcja. Wiedziała tylko, że nie życzy sobie takich doznań. Niczyje dotknięcie

nie powinno zapierać jej tchu, rozpalać skóry. Nie chciała tego! Doskonale się dotąd bez tego obchodziła!

- Nie, nie przestanę. I tego też się nie wyrzeknę... - szepnął i nakrył jej usta swoimi.

Tak jak poprzednio, wargi Kincade'a były ciepłe i kuszące. Eden uniosła ręce, by go odepchnąć, ale zamiast tego wpiła palce w jego koszulę i trzymała go mocno, gdy bez pośpiechu muskał jej usta swoimi wargami, drażniąc je i leciutko skubiąc, aż zniknął wszelki opór. Kincade pachniał garbowaną skórą, końmi i potem - był to zdecydowanie męski zapach, który odtąd miał się jej z nim kojarzyć. Wdychała tę woń, a on przyciągnął ją jeszcze bliżej i skłonił do rozchylenia warg.

Eden odczuwała wszystko z niezwykłą ostrością: drzemiący w niej głód, tak silny, że aż bolesny; ręce, które przesuwają się po jej bokach i plecach, przyciągając coraz bliżej; twarde ciało, do którego jej własne ciało dopasowało się tak naturalnie.

Kincade'a nie zaskoczyła siła własnego pożądania - ale skąd wziął się ból? Tego nie oczekiwał. Tego nie chciał - nie umiał się już jednak pohamować. Eden wypełniała wszystkie jego myśli. Zmysły szalały obudzone dotykiem jej jedwabistych włosów, zapachem mydła na jej skórze, smakiem jej warg, budzących w nim coraz większe pragnienie.

Kincade wiedział, że musi przestać, opamiętać się. Zwlekał jednak, pragnąc jeszcze sycić się jej ustami, pieścić to wspaniałe ciało... W końcu oderwał się od Eden i wziął głęboki oddech.

Eden stała wyprostowana, usiłując ukryć drżenie kolan. Poczekała chwilę, by zapanować nad własnym głosem, a potem odezwała się z największym chłodem, na jaki mogła się zdobyć:

- Opamiętałeś się wreszcie?

- Tak. - Ciągle się w nią wpatrywał, co ją zbijało z tropu.

- To dobrze - odparła nieprzyjemnie obojętnym tonem. - Za mniej więcej cztery godziny zacznie się nowy dzień. Radzę je wykorzystać i i trochę się przespać. - Odwróciła się i odeszła.

DePard wtargnął do domu stanowiącego centrum rancza Diamond D. Gniew zaostrzył jego rysy. Sheehan kroczył tuż za nim.

- I w tym cały problem, do cholery! Nie wiem, który to przewoźnik, Sheehan! - warknął DePard z irytacją. - Rossiter powiedział, że zatrudniła kogoś z Oregonu. Wiem tylko tyle.

- Ale z której części Oregonu? - zmarszczył brwi Sheehan. - To całkiem spory stan.

- Myślisz, że o tym nie wiem? - DePard rąbnął dłonią w kontakt na ścianie gabinetu i światło zalało cały pokój. - Ta cholerna baba! Mógłbym przysiąc, że uniemożliwiłem jej wszelkie kontakty!

- Czy jest pan pewien, szefie, że Vince mówi prawdę?

- Kłamstwo nic by mu nie dało. - DePard podszedł do baru. Sheehan był nadal sceptycznie nastawiony.

- Nie jestem tego pewien. Kiedyś zapłacił mu pan za informację. Może i tym razem chciał tylko wyłudzić forszę.

DePard potrząsnął głową.

- Vince Rossiter jest może pazerny, ale nie głupi. Dobrze wie, że kłamstwo wydałoby się od razu. Nie poszedłby na coś takiego. Nie teraz, kiedy tak bardzo mu zależy, żeby dostać swoją dolę ze sprzedaży Spur Ranch. - Duke nalał sobie brandy do kieliszka, uniósł karafkę i pokazał ją nadzorczy z milczącym pytaniem.

- Ja też poproszę. - Sheehan podszedł do baru i wsunął się na jeden z krytych skórą stołków; kapelusz położył obok.

- Vince powiedział prawdę - stwierdził DePard. - Wie, że jeśli siostrze uda się zawieźć bydło na rynek, nigdy nie zgodzi się na sprzedaż rancza. Wie też, że będę nadal ją cisnął, póki nie odbiorę jej Spur Ranch albo nie doprowadzę do bankructwa.

- Pozwoliłby pan jej sprzedać ranczo, szefie?

- To by zależało od ceny. Gdyby nie zostało jej na czysto prawie nic, można by się nad tym zastanowić. Ale teraz nie o to chodzi, tylko o tego cholernego przewoźnika! - DePard niecierpliwie pociągnął łyk brandy.

- To musi być ktoś, kto działa w pojedynkę. - Sheehan zmarszczył brwi wpatrując się w swój kieliszek. - Żadna większa firma nie zadarłaby z panem.

DePard wycelował w rozmówcę palec.

- Siądziesz jutro od rana przy telefonie i poty będziesz rozpytywał, aż dowiesz się, co to za jeden.

- Jutro niedziela, Nikogo nie uda mi się złapać.

- Dzwon do domów. A do tych, z którymi nie dogadasz się jutro, zatelefonuj w poniedziałek.

- Nie mamy wiele czasu, szefie - odparł nadzorca, wyraźnie zatroskany. - Powiedział pan, że ładowanie bydła zacznie się we wtorek o dziewiątej rano. Co zrobimy, jeśli nie dowiemy się wcześniej, kto to taki?

- Powstrzymasz ich.

- Jak mam to zrobić, szefie?

DePard spojrział na Sheehana i uniósł jeden kącik warg w zimnym uśmiešku.

- Zdobyłeś tyle nagród za strzelanie do celu, Sheehan. Może byś tak odkurzył dalekonośny karabinek i trochę sobie poćwiczył?

U wJ”dzieś z oddali dobiegł dudniący warkot silników diesla. Kincade, siedząc na ogrodzeniu, wsparty obcasami o środkową deskę, podniósł głowę i dostrzegł długie, skłębione pasmo kurzu posuwające się od zachodu. Jego spojrzenie powędrowało ku rampie załadowniczej, gdzie stała Eden z bratem. Ona również zwróciła głowę w stronę tych wiele mówiących kłębow kurzu. Bydło tłoczyło się niespokojnie w zagrodach za plecami Kincade’a: trzysta pięćdziesiąt kilka sztuk przeznaczonych do załadunku.

Ryk silnika stawał się coraz potężniejszy; słyhać było także zgrzyty towarzyszące zmianie biegów. Eden zwróciła ku bratu twarz rozjaśnioną uśmiechem.

- Już są!

- Na to wygląda - przytaknął Vince, choć ze znacznie mniejszym entuzjazmem.

Całą uwagę Kincade’a przyciągnął widok Eden wybiegającej na spotkanie wozów ciężarowych. Przy każdym ruchu spłowiwały drelich dzinsów opinał się mocno, podkreślając okrągłość sprężystych pośladków. Luźna męska koszula prawie - ale nie całkiem - maskowała podskakujące przy szybkim ruchu piersi.

Alkaliczny pył kłębił się niczym gęsta mgła wokół ciągnika z przyczepą do przewozu bydła, który podjechał z turkotem. Za nim podążał drugi wóz ciężarowy; hałas jego silnika ginął niemal w zgrzytliwym dudnieniu jadącego na czele traktora. Pojazd zatrzymał się z piskiem hamulców, gdy zrównał się z Eden.

Na drzwiach szoferki wymalowano czarny napis: „J. J. Przedsiębiorstwo Przewozowe, Fields, Oregon”. Mrużąc oczy od kłującego pyłu Eden podeszła i wspięła się na próg kabiny kierowcy. Mężczyzna siedzący za kółkiem miał dobrze po czterdziestce, muskularne ramiona i minę cierpiętnika.

- Jerry Jones - przedstawił się. Motor na jałowym biegu trząśł kabiną.

- Eden Rossiter.

- W porządku. Przepraszam za spóźnienie. - Mówił z rezygnacją człowieka, który przywykł do tego, że Pani Fortuna spoziera nań niechętnym okiem. - Te kamieniste drogi... zajęło mi to więcej czasu niż przewidywałem.

- Bydło jest tam - Eden wskazała na zagrody zbiorcze. - Możemy zacząć załadunek, jak tylko podstawicie wozy.

- Zrobi się raz - dwa - odparł i wcisnął sprzęgło.

Eden zeskoczyła na ziemię i odsunęła się. Przeczekała, aż minąjąca pojazdy, a potem poszła za nimi. Zgodnie z zapowiedzią, kierowca podjechał przyczepą pod rampę załadowniczą w kilka minut.

Bob Waters i Al Bender wjechali na otoczone z dwóch stron płotem przejście między zagrodami. Kincade, który zostawił swojego mustanga uwiązane na zewnątrz, zeskoczył z ogrodzenia na ziemię. Kiedy obaj jeźdźcy zajęli pozycje, otworzył bramę pierwszej zagrody i rozwarł ją szeroko, blokując jeden koniec przejścia, podczas gdy droga do rampy była wolna. Dwaj kowboje wjechali teraz do zagrody i zaczęli wypędzać z niej bydło. Dwaj inni stali przy pochylni, by regulować przepływ bydła przez rampę do wnętrza przyczepy.

Kincade stał przy bramie zagrody i wymachując ramieniem kierował krowy ku pochylni. Popychane od tyłu przez naganiających je kowbojów, rude bydło niebawem wypełniło przejście, rycząc żałośnie ze strachu i stukając racicami o drewnianą pochylnię. Pierwsze sztuki wspięły się na rampę. Idąca na czele krowa zaczęła opierać się przy wejściu na przyczepę i usiłowała zawrócić.

Nagle w tym rozgwarze głosów ludzkich i zwierzęcych huknęło zupełnie jak donośny wystrzał. Zaskoczony Kincade spojrzął w stronę rampy, czy krowa nie wyłamała deski. W tej chwili rozległ się następny strzał. Tym razem nie było żadnej wątpliwości: został oddany z potężnej broni palnej.

- Co u diabła!... - ciche przekleństwo Ala Bendera przerwał trzeci wystrzał, po czym dał się słyszeć paskudny świst kuli, która trafiła rykoszetem w stalową obręcz koła ciężarówki.

- Cholera jasna! - wrzasnął drugi kowboj. - Jakiś kretyn do nas strzela!

Aby się gdzieś ukryć, obaj jeźdźcy zeskoczyli z koni, a dwaj stojący na pochylni pomocnicy wskoczyli stamtąd do zagrody dla bydła. Rozległ się jeszcze jeden strzał i odgłos kuli przebijającej oponę.

Schylony jak mógł najniżej, Kincade przedzierał się wśród niespokojnego, kołującego się bydła. Dotarł do Boba Watersa w chwili, gdy została przebita kolejna opona. Zanim zdążył zaczerpnąć tchu, kula wbiła się w nadwozie ciężarówki.

- Ten bydlak dziurawi mi wóz! - zaprotestował kierowca.

- Skąd strzela? Wypatrzyłeś go? - Kincade schował się za koniem Watersa. Bob podepchnął okulary na grzbiet nosa, zezując z powodu zalewającego mu oczy potu.

- Musi być na szczycie. To jedyne wzniesienie w pobliżu. - Ruchem głowy wskazał usiane głazami zbocze, które wznosiło się w niewielkiej odległości od zagród.

Nie wychylając głowy Kincade spojrzął w tamtym kierunku pod osłoną końskiej szyi i wydało mu się, że dojrzał błysk słońca na lufie. Za nim rozległ się krzyk Vince'a:

- Eden, na litość boską, padnij!

Kincade odwrócił się i ujrzał jałobok jednego z osiodłanych koni na zewnątrz corralu.

- Co ty robisz, do cholery?! - wrzasnął znów Vince, kiedy Eden wyszarpnęła strzelbę z futerału, gwałtownym ruchem odwiązała wodze, uchwyciła się lęku i wskoczyła na siodło. - Dokąd cię niesie?!

Eden nie odpowiedziała, zawróciła konia i pognęła go uderzając obcasami. Kincade doskonale zdawał sobie sprawę, dokąd pojechała i w jakim celu.

- Wariatka! - mruknął i rzucił się w stronę ogrodzenia.

Przesadził je, odwiązał mustanga i dosiadł go. W jednej chwili zmusił konia do galopu. Zauważył, że Eden okrąża zbocze, by dotrzeć do jego najodleglejszego krańca, i pochwalil ją w duchu: miała dość rozumu, by nie szarżować najkrótszą drogą na szczyt. Popędził po prostej, by



zagrozić jej drogę.

Eden tak skoncentrowała się na osobie snajpera, kryjącego się gdzieś na szczycie góry, że usłyszała Kincade'a dopiero wówczas, gdy prawie ją doganiał. Próbowwała ostrogami popędzić konia jeszcze bardziej, ale było już za późno. Pochyliwszy się nisko Kincade wyrwał jej wodze i zmusił oba konie do zatrzymania się obok siebie.

- Co ty u diabła wyrabiasz?! - Mustang, którego dosiadał, spłoszył się i uskoczył w bok, gdy rozległ się kolejny strzał.

Eden zwróciła gwałtownie głowę w tamtym kierunku, a po chwili spojrzała z nienawiścią na Kincade'a. W jej gniewie było coś dzikiego, jakaś desperacja.

- Puść mojego konia! - Szarpnęła za cugle, by wyrzucić je z garści Kincade'a. Mimo nerwowych ruchów obu koni, Kincade nie wypuścił cugli.

- Nie oddam, póki nie ruszysz wreszcie głową! Przecież nie zdołasz tam dotrzeć! - Nagle zobaczył wycelowaną w siebie lufę strzelby. Eden załadowała broń. Ten widok i dźwięk zmroził Kincade'a.

- Z drogi! - Głos jej był beznamiętny, opanowany i groźny.

Kincade omal nie wypuścił cugli, jednak przemknęło mu przez myśl, że wie już o Eden dość dużo, więc zaryzykował:

- Bo co? - Wytrzymał jej wzrok. - Zabijesz mnie? To nie będzie chyba trudne. Zabiłaś już człowieka. Podobno za drugim razem jest o wiele łatwiej.

Eden zbladła, w jej oczach pojawił się ból. Szydercze słowa zraniły ją bardziej niż się Kincade spodziewał. Dzięki temu jednak uzyskał niezbędną szansę i wykorzystał ją: wyrwał broń z nagle osłabłych dłoni.

Puścił przy tym jej cugle, więc Eden popędziła konia wokół podnóża, a następnie na szczyt zapierającym dech galopem. Kincade pogonił za nią.

Zeskoczył z siodła, zanim długonogi mustang się zatrzymał. Omiótł spojrzeniem skalistą grań, ale nie dojrzał nikogo prócz Eden. Ona także zsiadła z konia i szukała na własną rękę jakichś śladów. Wzrok Kincade'a powędrował dalej: dojrzał jeźdźca mknącego w stronę następnego wzgórza. Eden dostrzegła go w tym samym niemal momencie i chwyciła wodze, chcąc dosięść konia.

- Ucieka! - warknęła.

- Już się wymknął, chyba że znasz się doskonale na tropieniu. - Kincade'owi mignęło coś czarnobiałego w chwili, gdy ten człowiek zniknął za wzgórzem. Może to była kamizelka? Nadzorca DeParda miał na sobie łaciatą kamizelkę podczas sobotniego wieczoru u Starr. Zbieg okoliczności? Kincade bardzo w to wątpił.

Odwrócił się i wspinał na sam szczyt. Niezbyt wysoki głaz leżący na krawędzi zapewniał zarówno kryjówkę, jak i doskonały widok na zagrody w dole. Trawa wokół głazu była przygnieciona; kilka śladów na ziemi wyglądało na świeże.

- Mógł tutaj się przyczaić - powiedział Kincade do Eden. - Nie widzę ani jednej łuski, ale pewnie zabrał je ze sobą.

Eden nic nie odpowiedziała, więc Kincade zawrócił ku niej. Z jej sztywnej postaci emanował gniew, a twarz, widziana z profilu, wydawała się bez wyrazu. Kincade spojrzał na trzymaną w rękę strzelbę - jej strzelbę.

- Proszę - podał ją Eden. Wzięła bez słowa i wetknęła znów do futerału przy siodle. Kincade sądził, że zna przyczynę jej gniewu. - Ta moja uwaga o zabijaniu... - zaczął. - Powiedziałem to tylko po to, żeby cię powstrzymać. Bardzo przepraszam.

Odwróciła się gwałtownie ku niemu, jej oczy były jak odłamki czarnego, żarzącego się gdzieś w

środku lodu. - Zwalniam cię!

Zaskoczony i wściekły Kincade odpalił: - Nie pleć bzdur!

- Słyszysz, co mówię?! Nie masz tu już nic do roboty. Pakuj manatki i wynoś się!

- Nigdzie się nie wyniosę! - odparł równie gwałtownie. - Zostanę na Spur Ranch i już.

- Nie, nie zostaniesz! - Wściekłość Eden wybuchła z całą mocą. - Wylałam cię! Nie rozumiesz?

Nie potrzebuję cię! Nie życzę sobie, żebyś tu był!

- A to czemu? - wrzasnął Kincade. - Bo jesteś kobietą i przy mnie to sobie uświadamiasz?

Czujesz się jak prawdziwa kobieta?

- Wcale nie!

- Łzesz! - Chwycił ją za ramiona i przyciągnął gwałtownie do siebie, miażdżąc jej wargi pocałunkiem.

Odwzajemniła się z furją: kopała go, waliła pięściami, próbowała się wszelkimi sposobami uwolnić od niego. Jednak szarpanina ustała, bo w pewnej chwili wściekłość Eden przeistoczyła się w coś równie płomiennego i wybuchowego. Pożądanie objawiło się z nową, przerażającą siłą. Zapragnęła poddać mu się i nie myśleć więcej - tylko czuć.

Odrywając się od oszalamiającego żaru jego ust Eden spuściła głowę, roztrzęsiona; spodziewała się, że brutalne palce zaraz wczepią się w jej włosy i szarpnięciem zmuszą do podniesienia głowy. Gdy to nie nastąpiło, gdy poczuła jedynie ciepły dotyk ręki gładzącej jej plecy i delikatne muśnięcie warg na czole, gdy Kincade wyszeptał jej imię, uwolniła się z jego objęć i podeszła do konia.

Na niezupełnie pewnych nogach wspięła się na siodło i skierowała wierzchowca w dół po stoku, unikając nawet przelotnego spojrzenia w stronę Kincade'a. Zanim znalazła się u podnóża, piekący ból nieco zelżał; udało się jej także odzyskać częściowo panowanie nad sobą.

Na kamienistej ścieżce za nią rozległ się stukot kopyt drugiego konia. Eden zignorowała ten dźwięk i skierowała się w stronę niewielkiej grupki osób zgromadzonych wokół drugiej ciężarówki, zaparkowanej w pobliżu zagród.

Z tyłu znów dało się słyszeć przestępowanie z nogi na nogę i popluwanie. Eden chciała błagać przewoźnika, żeby zmienił zdanie, ale duma jej na to nie pozwoliła.

- Nie przypuszczałam, że jest pan taki strachliwy, panie Jones - powiedziała, mając nadzieję, że zawstydy go i w ten sposób osiągnie swój cel.

Poczerwieniał, ale się nie ugiął.

- Niech pani mówi co chce, ale kula mogła równie dobrze trafić w zbiornik paliwa. Może nie jestem zbyt sprytny, ale tyle rozumu mam. Niech pani najmie kogoś innego.

- W porządku. - Eden wyprostowała się sztywno i odwróciła od niego.

- Dekę, Al, Bob i cała reszta! Pomóżcie panu Jonesowi w wymianie opon, żeby mógł stąd odjechać.

Kowboje mamrocząc coś pod nosem i nie patrząc Eden w oczy powoli odeszli - niektórzy do ciężarówki stojącej obok zagród, reszta do uszkodzonego pojazdu, który znajdował się bliżej.

Vince położył kojącą dłoń na ramieniu Eden.

- Bardzo mi przykro, siostrzyczko. - Jego łagodny głos sprawił, że omal się nie rozkleiła. Musiała znieść zbyt dużo, harowała zbyt długo, a teraz była zbyt bliska sukcesu, żeby się nie załamać. Przez moment łzy zaćmiły jej wzrok. - Naprawdę myślałem, że tym razem przechytrzysz DeParda - powiedział Vince.

DeParda! Na sam dźwięk tego nazwiska łzy obeschły i powrócił gniew. Odwróciła się gwałtownie.

- Nikt nie miał pojęcia, że dziś rano ktoś przyjedzie po bydło. Jak mógł się o tym dowiedzieć?! -

Zbyt późno spostrzegła, kto stoi za nią.

- Może ktoś mu o tym powiedział - podsunął Kincade i z rozmysłem spojrzął na Vince'a, a potem odwrócił się i poprowadził konia w stronę zagród.

Jednak spojrzenie, jakim Vince obrzucił Kincade'a, napięcie i gniew widoczne na twarzy brata wzbudziły podejrzenie Eden.

- Co on miał na myśli?

- To mąciwoda, nie zwracaj na niego uwagi. - Jednak Vince nie patrzył siostrze w oczy, gdy się do niej odwrócił.

- Pojechałeś do Friendly w sobotę wieczór - przypomniła sobie Eden. - DePard też tam był?

- Może i był. Co z tego?

Zauważyła w jego głosie zniecierpliwienie, lecz zignorowała je.

- Rozmawiałeś z nim? Wspomniałeś komuś, że ładujemy dziś bydło? - No dobrze, może i wspomniałem o tym. - W głosie Vince'a zabrzmiała uraza. - Byłem dumny z tego, że przechytryłaś DeParda i chciałem mu utrząść nosa.

- Trzeba było poczekać, aż tego dokonam, a nie przechwalać się na zapas - odparła z gniewem.

- Skąd mogłem wiedzieć, że zdobędzie się na coś podobnego? - upierał się Vince podnosząc głos.

- Wystarczyło ruszyć głową. Powinieneś domyślić się, że znajdzie sposób, bymi w tym przeszkodzić! - odparła Eden równie głośno, z desperacją w głosie.

- Mój Boże, czy ty nie rozumiesz, jak trudno będzie znaleźć kogoś innego, zwłaszcza gdy rozejdą się plotki o dzisiejszym wydarzeniu?

- Myślisz, że o tym nie wiem? Myślisz, że mi nie jest przykro? Wściekam się na własną głupotę od chwili, gdy ten dureń na górze otworzył do nas ogień! Cholera jasna, Eden! - schwycił ją za ramiona, oczy miał pełne bólu. - Przestraszyłaś mnie jak nie wiem co, kiedy popędziłaś prosto na to wzgórze! Gdyby coś ci się stało, nigdy bym sobie nie wybaczył! To moja wina i dobrze o tym wiem.

- Przestań! - Miała już dość jego wyrzutów sumienia. Nie teraz! Ma zbyt wiele innych problemów.

Vince nagle opuścił ręce i odszedł. Eden przez moment chciała przywołać go z powrotem, ale pohamowała się. Stary owczarek szturchał nosem jej rękę. Eden pochyliła się i w zamyśleniu podrapała psa za uszami, po czym znów się wyprostowała. Chwyliła cugle, wspięła się na siodło i podjechała do zagrod dla bydła.

Mniej więcej w godzinę po strzelaninie samochód szeryfa wjechał na dziedziniec rancza. Eden stała przy zagrodach, przyglądając się zdejmowaniu reszty przebitych opon z przyczepy. Radiowóz zatrzymał się między dwoma pojazdami, ale upłynęła dobra minuta, zanim otworzyły się drzwi od strony kierowcy i wysiadł oficer policji w mundurze.

Eden poznała wysoką, chudą postać Lota Williamsa, miejscowego szeryfa, ale nie zrobiła ani kroku w jego stronę. Williams przystanął i podciągnął wyprasowane na kant spodnie; odwrócił głowę, rozglądając się bez pośpiechu po terenie. Gdy skończył, skierował się ku zagrodom. W jego powolnym, miarowym kroku była jakaś utajona niecierpliwość. Starannie przystrzyżone włosy pod służbowym kapeluszem miały kolor stali; Lot osiwił tuż po trzydziestce. Teraz zbliżał się już do sześćdziesiątki. Jego twarz była równie wąska jak horyzonty myślowe, a zmarszczki wryły się w nią tak głęboko, jak rozmaite uprzedzenia w jego mózg.

Przewoźnik bydła, Jones, wyszedł naprzeciw szeryfa. Eden nie ruszyła się z miejsca, przyglądając się spotkaniu dwóch mężczyzn. Mówił przede wszystkim Jones, podkreślając wypowiedź żywą gestykulacją; wskazywał na swoje semi, na zagrody, na przebite opony i na szczyt

góry.

Szeryf słuchał z wyrazem absolutnej obojętności. Kontrastowała ona rażąco z zimną wściekłością, z jaką zaatakował Eden dawno minionej nocy, gdy wszedł do kuchni na Spur Ranch po oględzinach ciała Jeffa. Eden siedziała wówczas przy stole, przerażona i półprzytomna, przed jej oczami przesuwały się nieustannie straszliwe obrazy, których nie była w stanie zapomnieć. Sygnały świetlne ambulansu i radiowozów błyskały prosto w okno kuchni, wzmagając jeszcze koszmar tej sceny.

Choć opowiedziała już raz o wszystkim, Lot Williams zażądał, by to powtórzyła. Za pierwszym razem nie było to łatwe, a za drugim okazało się jeszcze straszniejsze. Szeryf ciągle jej przerywał, piłował bez końca o wszystkie szczegóły.

Eden nie pamiętała już, ile razy musiała mu powtarzać całą historię. Nie zapomniała jednak, że przekręcał każde jej słowo, prowokował ją, pozwalał sobie na różne insynuacje. Podarta bluzka, zadrapania i sińce nie miały dla niego znaczenia. W końcu Eden załamała się.

- Przestań się zgrywać! - głos szeryfa ociekał pogardą. - Twoje szloch-y nie robią na mnie wrażenia.

Dziadek stał przy oknie, nieruchomy i milczący. Vince'a nie było w kuchni. Przeważająca siedemnastolatka musiała samotnie stawić czoło Lotowi Williamsowi.

Kiedy ambulans zabrał ciało Jeffa, szeryf aresztował Eden. Nie pozwolił nawet dziewczynie zmienić poszarpanej bluzki. Kazał jej wstać, wykręcił jej ręce do tyłu i zatrzasnął na przegubach kajdanki.

Eden potarła skórę nadgarstków - tam, gdzie stał wpiła się w jej ciało przed wielu laty. Doznanie to nie zatarło się w jej pamięci, podobnie jak palący wstyd, który czuła, gdy Williams wyprowadzał ją z domu z rękami skrępowanymi z tyłu, tak że nie mogła zebrać rozzerwanej na piersiach bluzki i zasłonić się przed spojrzeciami gapiów. Na szczęście Vince wybiegł zaniął otulił ją drelichową kurtką, którą pospiesznie zapiał z przodu na dwa guziki.

- Wszystko będzie dobrze, siostrzyczko - zapewniał, gdy szeryf wpychał Eden na tylne siedzenie policyjnego wozu. - Nie zatrzymają cię w więzieniu. Wyjdiesz stamtąd w mgnieniu oka.

Owo mgnienie oka trwało prawie czterdzieści osiem godzin.

Ilekczo Eden spotykała Lota Williamsa, odżywały w niej wspomnienia tamtej nocy. Nie miała już jednak siedemnastu lat. Nie była przerażona i dezorientowana. Kiedy szeryf Williams podszedł teraz do niej, Eden nie spuściła oczu pod jego przeszywającym spojrzeniem.

- Jones mówi, że ktoś ćwiczył się dziś rano w strzelaniu do ciężarówek - powiedział.

- Istotnie.

Williams spojrział w stronę wzgórz.

- Strzelał stamtąd, prawda?

- Tak. - Eden zauważyła, że szeryf nie ma przy sobie notesu i niczego nie spisuje.

Wzrok Williamsa znów spoczął na niej.

- Podobno wzięłaś strzelbę i wyruszyłaś za nim?

- Strzelbę wzięłem ja. - Kincade zjawił się u jej boku, ścierając chustką smar z rąk. - Panna Rossiter nie była uzbrojona.

Spojrzenie szeryfa przeniosło się na Kincade'a; były to długie i szczegółowe oględziny.

- Coś ty za jeden?

- Nazywam się Kincade. - Zsunął kapelusz na tył głowy. - Pracuję u panny Rossiter.

- Nie zauważyłem cię do tej pory.

- Może dlatego, że nie włóczę się po okolicy.

- Co się stało, kiedy dotarliście na szczyt wzgórza? - szeryf zwrócił się do obojga.

- Zobaczyliśmy oddalającego się jeźdźca - odparła Eden.

- Jak wyglądał? Możecie go opisać?

- Przeciętnej budowy - zaczął Kincade. - Miał ciemny kapelusz, chyba brązowy, ciemną koszulę w kratkę, jakąś kamizelkę i czapsy. Koń był gniady.

Lot Williams przyjrzał mu się jeszcze uważniej.

- Poznałbyś tego człowieka, gdybyś go znowu zobaczył? Kincade potrząsnął głową.

- Nie widziałem twarzy.

Szeryf skinął głową i zerknął na grań.

- Były tam jakieś ślady?

- Zauważyłem kilka - odparł Kincade - ale żadnych łusek.

- Lepiej sam się rozejrzę - oświadczył Lot bez entuzjazmu i spojrzął na Eden. - Będę musiał pożyczyć konia.

- Proszę wziąć tamtego kasztana. - Wskazała na konia z białymi skarpetkami, uwiązanego do ogrodzenia.

Szeryf skinął głową i podszedł do zwierzęcia. Udawał tylko, że prowadzi śledztwo. Eden doskonale o tym wiedziała.

- Coś mi mówi, że poczciwy szeryf nie znajdzie żadnych śladów - zauważył od niechcenia Kincade.

Zła i sfrustrowana Eden krzyknęła na niego:

- Gdybyś się nie wtrącał, byłabym na szczycie, zanim Sheehan zdążyłby uciec! Oczy Kincade'a zwężyły się.

- Wiesz, kto to był?

- To nie mógł być nikt inny! Szeryf też to wie. Ale przez ciebie nie mogę niczego udowodnić! - Odwróciła się z impetem i odeszła.

Nadzorca bydła, Bob Waters, stał za przyczepą przypatrując się beczynnemu wymianie ostatniej opony. Kincade dołączył do niego, wyjął cienkie cygare i zapalił.

- Szeryf specjalnie się nie przemęczał, prawda? - Kincade nie odrywał wzroku od cygara.

- Ano nie. - Waters milczał przez chwilę, a potem dodał: - Nawet mu się nie dziwię. To kuzyn DeParda.

Kincade uniósł brwi.

- Wygląda na to, że przeciwnik ma w ręku wszystkie asy.

- A jakże. - W skrzywieniu ust Watersa było więcej gorczy niż humoru. Dochodziło już południe, gdy Jones zasiadł za kierownicą i uruchomił dieslowski silnik. Odjeżdżając od zagród ciągnik wyminął uszkodzony pojazd i potoczył się po drodze.

Z kuchni na ranczu dobiegł głośny brzęk. To kucharz zawzięcie walił w trójkąt, starając się, by mimo warkotu silnika wszyscy usłyszeli sygnał. Kincade wskoczył na grzbiet bułanka i chwycił kasztana za cugle, by odprowadzić go do stajni. Inni parobcy skierowali się w milczeniu w tę samą stronę. Eden stała przy radiowozie, zamieniając ostatnie słowa z szeryfem.

Kincade jednak zwrócił specjalną uwagę na jej brata, czekającego na werandzie. W postawie Rossitera widoczne było napięcie, niecierpliwość zaś objawiała się w ciągłym przestępowaniu z nogi na nogę. Eden odsunęła się od ruszającego radiowozu, ale nie zamierzała machać ręką na pożegnanie. Gdy szeryf wreszcie odjechał, weszła na werandę.

- No i co ci powiedział? - spytał Vince, nie mogąc niczego wyczytać z twarzy siostry.

- Że zajmie się tą sprawą. - Ton jej głosu świadczył, że nie wierzy szeryfowi. -1 dodał, żeby go

koniecznie powiadomić w razie dalszych kłopotów.

- Tak powiedział? - A jakże.

- Ale nie mówiłaś mu, że to robota DeParda?

Eden spojrzała za oddalającym się radiowozem; usta wykrzywił jej ironiczny uśmiech.

- Nie musiałam tego robić. Domyślił się tego, zanim jeszcze się pojawił. Pewnie dlatego pofatygował się osobiście, zamiast posłać kogoś z zastępców. Tak na wszelki wypadek, gdyby znalazły się jakieś dowody obciążające DeParda.

- Pewnie zechce porozmawiać z DePardem? - zmarszczył czoło wyraźnie zaniepokojony Vince.

- Jeśli z nim się skontaktuje, to tylko po to, żeby go uspokoić, że nic nie wskazuje na jego udział w tej sprawie.

- Ale musi chyba wiedzieć, że DePard posunął się tym razem zbyt daleko - zaprotestował Vince. - Jedna z kul mogła trafić kogoś rykoszetem. Może nawet zabić!

- Pewna jestem, że szeryf uznałby to za wyjątkowo przykry zbieg okoliczności. - Odezwała się w niej niepohamowana gorycz. Eden wiedziała, że bierze się ona z poczucia klęski. Nie mogła się poddać. Nie podda się! Podeszła do osłoniętych siatką drzwi. - Zrobię nam chyba na lunch duszone mięso. - Otworzyła drzwi i obejrzała się na brata, nie słysząc za sobą jego kroków. Vince stał nadal na ganku, patrząc chmurnie na kłęby kurzu, które unosiły się za radiowozem. - Odpowiada ci to, Vince?

- Co? - Odwrócił się ku niej i skinął głową z roztargnieniem. - Tak, oczywiście. Bardzo się cieszę.

Eden zostawiła brata jego rozmyślaniami i weszła do domu. Kiedy znalazła się w kuchni, zdjęła kapelusz i zawiesiła go na oparciu krzesła. Przystanąła, przesunęła powoli ręką po włosach; opuściła na chwilę głowę i ramiona. Zaraz się wyprostowała i wciągnęła głęboko powietrze.

Na zewnątrz rozległ się odgłos uruchamianego silnika. Eden wyjrzała przez kuchenne okno i zdążyła dostrzec, jak pikap Vince'a odjeżdża spod domu, wzbijając fontannę żwiru i pyłu. Przez sekundę pozazdrościła bratu, że potrafi w ten sposób rozładować trawiący go gniew. Ale takim postępowaniem nie rozwiąże przecież żadnego problemu.

Eden opadła na krzesło, oparła łokcie na stole i potarła bolące skronie. Nie ucichł jeszcze odgłos odjeżdżającego wozu, gdy na drewnianej podłodze frontowego ganku zastukały czyjeś buty. Rozległo się stukanie do drzwi. Eden wstała z krzesła, by odpowiedzieć na kolejne wyzwanie.

Kincade wpadł do budynku, w którym spali, żeby się umyć, a potem ruszył prosto do kuchni. Bob Waters i Al Bender siedzieli akurat przy długim stole i coś jedli. Kincade przeskoczył przez drewnianą ławę, usiadł obok Watersa i nabrał sobie na talerz spaghetti z zawiesistym mięsnym sosem.

- A gdzie Hart i Connors? - obejrzał się na dwa puste miejsca.

- Pewnie odbierają w tej chwili swoją forszę. - Bob Waters wepchnął do ust kolejny kłęb makaronu i wytarł sos kawałkiem chleba.

- Odchodzą? - Zaskoczony Kincade uniósł głowę.

- A jakże. - Al Bender uśmiechnął się szeroko przez stół. - Po tych wszystkich kulach, które tu fruwały rano, chłopcy uznali, że robota jest zbyt niebezpieczna.

Z dziedzińca odjechał jakiś pikap.

- Pewnie to Hart daje nogę - zauważył Bob Waters i wbił widelec w następny kłęb spaghetti.

- Zakładam, że wy dwaj zostajecie? - Kincade rzucił im niepewne spojrzenie.

- Czemu nie? Żarcie jest dobre - w oczach Ala Bendera zaświeciły wesołe iskierki.

Bob Waters sięgnął po swoją kawę.

- Moi przodkowie zawsze walczyli o przegraną sprawę. Mam to we krwi.

- A co z tobą? - spytał Bender.

Kincade przypomniał sobie powiedzonko Szekspira i zaraz je zacytował:

- Należę do rodziny łopianów: nie puszczam, jak raz się przyczepię.\*[ \* Miarka za miarkę, akt V, sc. 3, przekł. Leona Ulricha.]

Lincade zastukał lekko w zabezpieczone siatką drzwi i czekał. Nie słyszał niczyich zbliżających się kroków; żaden głos nie zawołał, żeby wszedł. Zdziwiony zastukał ponownie i znów nasłuchiwał. Jednak z wnętrza domu dobiegał jedynie lekki szelest przewracanych kartek.

Miał zamiar zastukać po raz trzeci, ale się rozmyślił i po prostu wszedł. Jedno spojrzenie wystarczyło, by stwierdzić, że w pokoju nie ma nikogo. Ciszę zamaściło ciężkie westchnienie dochodzące z kuchni. Kincade ruszył w tamtym kierunku, nie starając się bynajmniej stąpać bezszelestnie.

Eden siedziała przy stole studiując aż trzy książki telefoniczne, wszystkie otwarte na żółtych stronach. Obok leżał bloczek: na samej górze ktoś nabazgrał trzy nazwiska i telefony. Z boku na serwetce obsychała kanapka z serem, napoczęta i zapomniana. Stojącego obok mleka Eden nawet nie tknęła.

Była całkowicie nieświadoma jego obecności, zbyt skoncentrowana na swoim zadaniu, by dostrzec cokolwiek innego. Coś kazało Kincade'owi zachować milczenie; jego wzrok wędrował od ręki kurczowo zaciśniętej na ołówku do twarzy Eden. Wyglądała na przygnębioną i zaniepokojoną. Widać to było w pełnych troski oczach i w mocno zaciśniętych ustach.

To była Eden Rossiter, jakiej Kincade dotąd nie widział. Ani śladu wybuchowego temperamentu, którego oznaki kilkakrotnie dostrzegał. Zamiast tego ujrzał kobietę walczącą rozpaczliwie o przetrwanie. I to walczącą samotnie.

W krótkim okresie ich znajomości Eden wzbudziła w nim ciekawość, ale przede wszystkim pożądanie. Teraz zaś - widząc ją tak odmienioną - poczuł jakieś opiekuńcze instynkty. Było to dla Kincade'a coś zupełnie nowego i czuł się z tym dość głupio.

Eden przeciągle westchnęła i podniosła głowę. Na widok Kincade'a zamarła, a po chwili odrzuciła ołówek i odsunęła się od stołu. Wstając zamknęła książki telefoniczne.

- Czego chcesz?

Kincade podziwiał ją: jakże szybko zdołała się opanować! Jej duma była niczym hartowna stal; Eden posługiwała się nią jak mieczem, dzięki któremu trzymała wszystkich na dystans, i jak tarczą, za którą kryła swoje uczucia.

- Podobno Connors i Hart zrezygnowali z pracy. - Kincade wszedł do kuchni i zatrzymał się o krok od Eden. - Czy nadal chcesz, żebym odszedł?

Zdrowy rozsądek powstrzymał Eden od powiedzenia tego, co sprawiłoby jej satysfakcję, wykręciła się więc od odpowiedzi pytaniem:

- A czy ty nadal chcesz zostać? - Zanim zdążył odpowiedzieć, ciągnęła dalej: - Nie mogę zagwarantować, że strzelanina się nie powtórzy. Prawdę mówiąc, wszystko wskazuje na to, że znów do niej dojdzie. Następnym razem ktoś może zostać ranny. Kto wie, czy nie ty.

- A będziesz mnie wtedy pielęgnowała? - Oczywiście Kincade'a uśmiechały się do niej.

Eden poczuła, że ciągnie ją ku niemu. Gdy tylko rozpoznała to uczucie, odpędziła je, wściekła na niego i na siebie.

- Nie pora na żarty - burknęła.

- To co mam robić? - odparował z zimną krwią. - Zmyć się jak Hart i Connors?

- Chcę, żeby sytuacja była dla ciebie jasna.

- Była jasna od pierwszej chwili, kiedy się spotkaliśmy - odparł Kincade kpiąco. - DePard chce cię zniszczyć. Jak daleko jest od celu?

Takie pytanie wymagało uczciwej odpowiedzi.

- Jeśli nie uda mi się dostarczyć bydła na rynek, to bardzo blisko.

- Możesz zawsze sprzedać to ranczo i zacząć gdzie indziej od nowa. Westchnęła z niesmakiem.

- To jest widocznie uniwersalny lek na wszelkie kłopoty! - powiedziała z lekką ironią; w jej oczach zapłonął nagromadzony od dawna gniew. - Jeśli ludzie zaczną cię nękać i uniemożliwią ci pracę, po prostu zrezygnuj i poszukaj roboty gdzie indziej! Jeśli sąsiedzi dręczą cię, obsypują wyzwiskami, odtrącają - sprzedaj wszystko i wynoś się! Idź na kompromis, ustępuj, poddawaj się, zrezygnuj - oto nowy amerykański sposób na życie. Jeśli położenie staje się zbyt trudne, po prostu wynieś się! Bardzo mi przykro, ale to nie w moim stylu. Ja walczę do końca.

- Przypuszczam, że DePard właśnie na to liczy - powiedział Kincade powoli i z namysłem. - Chyba najbardziej pragnie złamać w tobie ducha.

Rzuciła mu przeciągłe, uważne spojrzenie i skinęła głową.

- Więc będzie musiał dobrze się przyłożyć, bo ja nie ustąpię.

Kincade wcale nie pragnął być świadkiem takiego zakończenia. Nie chciał ujrzeć jej na kolanach, odartej z dumy, pozbawionej woli. Na samą myśl o tym wzbierał w nim gniew.

Zadzwonił telefon - ostro i przenikliwie, aż oboje podskoczyli. Eden schwyciła słuchawkę.

- Spur Ranch. - Obejrzała się na Kincade'a. - Tak... - Na twarzy jej odbiło się lekkie zdziwienie. Jeszcze raz próbowała coś powiedzieć, potem spojrzała na słuchawkę i odłożyła ją. Zaciekawiona i zdumiona zwróciła się do Kincade'a. - Chodziło o ciebie.

- O mnie?

- Tak. Dzwonił kucharz z „Lucky Starr”. Poprosił, żebym przekazała ci wiadomość. Powiedział, że coś zgubiłeś i lepiej, żebyś zaraz po to przyjechał, bo może się zawieruszyć. O co mu chodziło? - spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Pewnie znalazł mój scyzoryk - skłamał Kincade, choć dobrze czuł niewielki ciężar tuż przy udzie. - Na ręczce wyryte jest moje imię. To prezent od ojca. Zauważyłem dwa dni temu, że zniknął. Lepiej po niego pojedę - stwierdził zmierzając już w stronę drzwi.

Eden pozostała sama w kuchni. Zauważyła, jak pusto się tu zrobiło, gdy zabrakło jego niepokojącej obecności, jak głośno dźwięczała teraz cisza. To było oczywiście tylko złudzenie. Nic więcej.

- Cholernie zwlekałeś z przyjściem, DePard!

Słyszając głos Vince'a Rossitera Rusty spiesznie podszedł do drzwi wahadłowych, prowadzących z kuchni do kasyna. Ściągnął kapelusz i uchylił odrobinę jedną połowę drzwi. Przysunął twarz do szpary i wyjrzał przez nią przechylając głowę w różne strony, aż wreszcie miał Rossitera w polu widzenia.

Był z nim DePard. Mówił coś do Vince'a, ale tak cicho, że Rusty niczego nie zdołał usłyszeć; zwłaszcza że z grającej szafy darła się przepitym głosem Tanya Tucker.

- Nie wciskaj mi kitu! - Rossiter strząsnął rękę DeParda ze swojego ramienia. - Doskonale wiesz, dlaczego jestem zdenerwowany!

DePard skinął głową, rzucił jakąś uspokajającą uwagę i wskazał odległy kąt pokoju. Rossiter przez chwilę się opierał, wreszcie poszedł tam razem z nim. W kuchni Rusty musiał zmienić pozycję, by nadal mieć ich na oku.

W następnej chwili poczuł, że ciężka ręka spada mu na ramię. Omal nie wyskoczył ze skóry ze strachu. Odwrócił się gwałtownie i ujrzał tuż za sobą Kinca - Spietrałem się przez ciebie jak



cholera! - zasyczał oskarżycielskim szeptem.

- Zobaczyłem przed kasynem wóz Rossitera - powiedział Kincade przyciszonym głosem. Jego wzrok pobiegł ku drzwiom. - Co tu się święci?

- Rossiter przypałętał się tu jakąś godzinę temu. Kazał Starr, żeby zadzwoniła do DeParda i wezwała go. DePard dopiero co wszedł. - Rusty jeszcze raz zerknął przez uchylone drzwi. - Siedzą przy narożnym stole. Rossiter zdaje się ciut wkurzony.

- Nie bez powodu. - Kincade opowiedział w paru słowach poranną przygodę ze snajperem. Zamienił się z Rustym na miejsca, by obejrzeć samemu interesującą go parę.

Dwaj mężczyźni nadal o czymś rozmawiali, DePard spokojnie, Rossiter z gniewną gestykulacją. Ponieważ szafa ciągle grała, Kincade chwycił tylko pojedyncze słowa; nie wystarczało to do zrozumienia treści rozmowy.

- Co się tam dzieje? - Rusty wspiął się na palce, próbując też coś zobaczyć. Kincade potrząsnął głową.

- Nie wiem.

Po kilku minutach grająca szafa zamilkła i usłyszeli wyraźnie głos Rossitera:

- ...Posuniesz się kiedyś za daleko. Chcę, żebyś z tym skończył.

- Skończę, gdy ranczo zostanie sprzedane.

- Tego się nie da załatwić od ręki.

- A, to już nie moja sprawa.

- Do wszystkich diabłów, ostrzegam cię, DePard! Jeśli coś jej się stanie, choćby draśnięcie, zapłacisz mi za to!

Wyraźnie ubawiony DePard wstał i wyprostował szerokie bary.

- Coś ci poradzę, Rossiter: nie rzucaj gróźb bez pokrycia. Vince szybko zaczął się wycofywać:

- Dobrze wiesz, jak bardzo przyjaźniłem się z Jeffem... On... DePard przerwał mu:

- Zbyt często powtarzasz ten numer. Już mi się przejadł. I to jak!

Vince zbladł. Nie ruszył się z miejsca, gdy DePard wyszedł. Siedział przez długą chwilę ze spuszczoną głową. Wyglądał mało przytomnie, a ręce zacisnęły mu się w pięści. W końcu wyprostował się i przesunął dłonią po twarzy. Kincade miał wrażenie, że skóra Vince'a lśni od potu. W klimatyzowanym wnętrzu kasyna nie było specjalnie gorąco. W tych warunkach można się spocić tylko ze strachu.

Kincade usłyszał, jak Vince zamawia u Roya whisky. Odsunął się od drzwi i przymknął je.

- Nie wygląda na to, żeby DePardowi specjalnie zależało na Rossiterze - odezwał się Rusty.

- Ależ owszem! - sprzeciwił się Kincade. - Podejrzewam, że nasz Vince donosi mu na bieżąco o planach siostry. Wiem z całą pewnością, że to on powiedział DePardowi, gdzie i o której zacznie się dziś rano załadunek bydła.

Rusty zmarszczył czoło: niczego już nie pojmował.

- Rossiter sam mu o tym powiedział, a teraz przychodzi tu i przypiera DeParda do muru, wrzeszcząc, że nie pozwoli krzywdzić siostry? To się kupy nie trzyma! Czy on w końcu jest po jej stronie, czy przeciwko niej?

- Może i tak, i tak. - Kincade nie mógł się w tym połapać, tak samo jak Rusty. - Kiedyś mi powiedziała, że brat stara się ją namówić do sprzedaży rancza. Liczy pewnie na nielichą dolę.

Rusty przemyślał sprawę.

- Może mu się zdawało, że jeśli DePard będzie jej zatruwał życie, siostra prędzej pomyśli o sprzedaży? A tymczasem DePard okazał się groźniejszy niż Rossiter przypuszczał.

- Całkiem możliwe. - Kincade miał jednak wrażenie, że kryje się za tym coś więcej. - Chyba już

pora, żebym wkroczył na scenę. - Pogrzebał w kieszeni i wyciągnął scyzoryk. - Masz. Zdaje się, że znalazłeś to w męskiej toalecie w sobotę wieczór. Na szczęście jest tu wyryte moje imię, bo inaczej nigdy byś nie odnalazł prawowitego właściciela.

Rusty wziął scyzoryk i uśmiechnął się szeroko.

- Wszystko musi pasować jak w zegarku, co?

- Tak będzie lepiej. Przekazano mi wiadomość od ciebie.

- Dostanę znaleźne?

- Przy pierwszej sposobności postawię ci piwo.

- Akurat! Jak krowy zaczną latać!

Kincade roześmiał się i skierował do tylnego wejścia. Alejka była pusta. Ulice też.

Przespacerował się naokoło do frontowych drzwi i wszedł do środka.

Vince stał oparty o bar, tuląc w dłoniach kufel piwa. Po whisky nie było już ani śladu. Był wyraźnie załamany, zbity z tropu, rozgoryczony. Zwrócił głowę ku drzwiom, a gdy zobaczył Kincade'a - zeszywniał i wyprostował się.

- Co ty tu robisz? - spytał, wyraźnie poirytowany.

- Mógłbym ci zadać to samo pytanie. - Kincade podszedł prosto do baru i zwrócił się do Roya: -

Przyszedłem po mój scyzoryk.

Barman wzruszył kościstymi ramionami.

- O niczym nie wiem - odburknął.

Z kuchni dobiegł jakiś łoskot i brzęk naczyń.

- Wasz kucharz zatelefonował na ranczo i zostawił dla mnie wiadomość, że go znalazł. Może go spytasz?

- Nic mi o tym nie wspominał - mruknął Roy i nie spiesząc się, jak to miał w zwyczaju, podszedł do wahadłowych drzwi.

Kincade oparł się łokciem o porysowany mahoniowy bar i obrócił się twarzą do Vince'a, który znów zgarbił się nad swoim piwem.

- Jak tu wchodziłem, zobaczyłem wychodzącego DeParda. - Było to kłamstwo, ale Kincade

wątpił, czy Vince się w tym połapie. - Rozmawiałeś z nim?

- Nawet jeśli rozmawiałem, to nie twój interes! - Vince pociągnął znowu łyk piwa.

- Masz zamiar też się stąd zmyć?

- Nie mam pojęcia, o czym gadasz. - Vince zabełtał piwo w kuflu i przyglądał się, jak rośnie piana.

- Connors i Hart rzucili pracę. Pewnie strach ich obleciał dziś rano, kiedy te wszystkie kule fruwały dookoła. Pomyślałem sobie, że pewnie i ty zabierzesz się stąd.

- I zostawię siostrę na pastwę DeParda? - Vince bardzo przekonująco odegrał gniew i urażoną dumę.

- Chyba nie pierwszy raz, prawda? - zaryzykował Kincade i trafił w dziesiątkę: Rossiter zbladł i spuścił oczy na kufel z piwem.

- Za kogo ty mnie masz?!... - spróbował blefować.

Drzwi od kuchni otworzyły się i szurając nogami wszedł Roy. Vince zerknął na niego i zamilkł.

- Ten? - Roy położył scyzoryk na barze.

- Ten. - Kiedy Kincade sięgnął po niego, barman nakrył nożyk dłonią.

- Będzie znaleźne?

Rozbawiony Kincade potrząsnął głową, wyjął kilka banknotów i rzucił je na kontuar.

- Utoch dwa piwa i zanieś jedno kucharzowi. I przypomnij mu przy okazji, czego uczy Biblia:

cnota sama w sobie jest nagrodą.

Roy parsknął śmiechem i podstawił dwa kufle pod kurek. Napełnił jeden i popchnął go w stronę Kincade'a, drugi zaniósł do kuchni. Vince zmierzył Kincade'a krótkim, zimnym spojrzeniem.

- Nie brakuje wolnych stolików. Wypij swoje piwo przy którymś z nich.

- Wolę tu. - Kincade z ostentacyjną obój ętnością pochylił się nad barem i pił piwo.

- Czemu mnie ciągle szpiegujesz? - Zbity z tropu Vince zmierzył go wściekłym spojrzeniem. - I kim ty, u diabła, jesteś?!

Kincade uśmiechnął się i uniósł zimny kufel, nie patrząc na Rossitera.

- Może głosem twojego sumienia.

- Przestań bawić się w zgadywanki i mów wyraźnie! Co ja ci zrobiłem? - Nic. Absolutnie nic.

- Więc odczep się ode mnie! Albo jeszcze lepiej weź przykład z Connorsa i Harta i zmiataj!

Mamy dosyć kłopotów bez takich jak ty mąciwodów. - Vince wykręcił się na pięcie i zaciskając zęby skierował się do wyjścia.

Kincade poczekał, aż drzwi zamkną się za Rossiterem. Potem wypił ostatni łyk piwa, zostawił trochę drobnych na barze i też wyszedł.

Jechał przez całą drogę na ogonie pikapa Vince'a. Dopiero na ranczu oderwał się od niebieskobiałego wozu i skręcił w stronę zabudowań dla pracowników. Zaparkował w pobliżu kuchni i wysiadł z szoferki.

- Jeździłeś do miasta? - Krzywonogi kucharz stał przy narożniku swojego domku z rynką tłuszczu w ręku.

- A jakże.

Stary spojrzał z nadzieją na Kincade'a.

- Może przywiozłeś whisky, co?

- Przykro mi, nic z tego.

Dziki Jack chrząknął z niezadowoleniem.

- Cholerna szkoda! - wymamrotał i wylał tłuszcz na ziemię.

DePard powrócił do swojego domu w Diamond D w tym samym czasie, gdy zajechał tam Sheehan z przyczepą do przewozu koni na holu. DePard zatrąbił i krzyknął przez okno do nadzorca:

- Przyjdź do mnie, jak tylko się obrobisz! Sheehan dał ręką znak, że zrozumiał.

Kiedy Sheehan wszedł do gabinetu, czekał już na niego drink.

- Za dobrą robotę! - powiedział DePard i stuknął swoim kieliszkiem o whisky Sheehana.

- Już pan słyszał, jak poszło, szefie? - domyślił się Sheehan unosząc kieliszek.

- Zadzwoń do mnie Lot Williams... - Duke przerwał i spojrzał na zegarek - ...jakaś godzinę temu. Obie ciężarówki podobno ucierpiały. Jedna nie nadaje się do użytku, a przewoźnik odmówił transportu bydła. Po dzisiejszej przygodzie ta Rossiter nie znajdzie już nikogo, kto podjąłby to ryzyko, żeby nie wiem ile płaciła.

- Kule przemawiają głośno i wyraźnie. - Sheehan łyknął whisky jednym haustem.

- I to jak! - uśmiechnął się DePard, bardzo z tego rad. - Vince dostał szoku. Wróciłem właśnie ze spotkania z nim u Starr.

- Czego chciał?

- W gruncie rzeczy niczego. Narobił krzyku, martwi się niby o siostrę. - DePard zbył sprawę wzruszeniem ramion.

- To niech ją namówi do wyjazdu.

- Dokładnie to mu powiedziałem. Atak nawiasem mówiąc: Vince ma stracha, że siostra połapie się w jegokonszachtach. Umówiłem was na piątek po południu, masz się z nim spotkać w pobliżu

Saddletree Creek przy naszym zachodnim ogrodzeniu.

- Będę tam - zapewnił Sheehan.

Słońce stało na niebie, ogromne i palące, prażąc ziemię i wszystko, co na niej napotkało. Kineade nie czuł najmniejszego ruchu powietrza, a cienkie jak zapałki smutki cienia rzucane przez drewnianą wieżę nie dawały wiele ochłody.

Nagi do pasa Kineade starał się zamontować nowy wał. Pot ściekał mu po całym ciele. Czerwony jak burak Al Bender podtrzymywał, a Kineade wkręcał ostatnią śrubę.

Od strzelaniny minęły cztery dni. Cztery dni wypełnione po brzegi najrozmaitszymi zadaniami, należącymi do zwykłych obowiązków parobka na ranczu. Kineade pełnił po kolei rolę spawacza, weterynarza, mechanika i robotnika.

Wreszcie uporał się z zadaniem, zakołysał na piętach i otarł pot rękawicą.

- To powinno wystarczyć. - Wyprostował się, czując jak upał odbiera mu resztki energii.

- Mam nadzieję, że to draństwo będzie teraz działało. - Al otarł twarz chustką, którą nosił na szyi.

Wyglądał w tej chwili na swoje pięćdziesiąt lat, jeżeli nie na więcej.

Kincade w odpowiedzi roześmiał się bezgłośnie. Wetknął klucz do skrzynki z narzędziami, ściągnął skórzane rękawice i odrzucił. Termos z wodą stał na małym skrawku cienia koło cysterny. Kincade potrząsnął nim, żeby sprawdzić, ile jeszcze zostało płynu, a następnie podniósł naczynie do ust i wypił połowę, zanim podał pojemnik Alowi.

- Praży jak w piekle! - oświadczył Bender i także przechylił termos; większość wody poleciała mu do ust, reszta spłynęła po zaczerwienionej twarzy.

- Amen. - Kincade ściągnął swoją koszulę z drewnianej podpórki.

Użył tej części stroju jako ręcznika: wytarł nią pot z twarzy i szyi, przejechał po piersi i brzuchu oraz pod pachami, po czym powiesił ją znów na słupku z poprzeczką. Kiedy się odwrócił, zobaczył, że Al wpatruje się w długą, wypukłą bliznę, biegnącą z boku klatki piersiowej.

- Paskudna szrama - zauważył Bender. - Kto cię tak urządził?

- Byk. - Kincade nałożył znowu kapelusz; rondo chroniło nieco przed słonecznym żarem.

- Rogiem? - spytał Al, wyobrażając sobie, że bestia przebodła Kincade'a.

- Kopytem. Uskoczyłem o sekundę za późno. - Kincade potarł dłonią bliznę sprzed sześciu lat.

Niewiele zapamiętał z tej krótkiej jazdy na byku zwanym „Nine-One-One”. Nie miał pojęcia, jak opuścił boks, czy byk rzucił się w lewo, czy w prawo. Pamiętał tylko, jak bestia podrzuciła go tak, że przeleciał nad jej grzbietem. Grzmotnął ciężko na plecy, oszołomiony upadkiem. Utrwalił się w jego pamięci, niby na fotografii, moment, w którym otworzył oczy.

Miał nadal ten obraz przed oczyma, wyraźny w każdym szczególe: na widowni coraz bardziej przerażona publiczność, która przybyła na tę imprezę w niedzielne popołudnie; kowboje przytrzymujący ogrodzenie; pomocnicy w przebraniu klaunów, starający się za wszelką cenę odwrócić uwagę byka; i wreszcie szare, skurczone cielsko zwierza bezpośrednio nad nim: sącząca się z pyska strużka śliny, groźne podrzuty głowy, wielkie, rozszczepione kopyto wycelowane prosto w niego.

Jakiś instynkt zmusił Kincade'a do uskoczenia w bok - i prawie mu się to udało.

- Czuję się, jakby mnie ktoś krajał tępym nożem, gdy mnie zaatakował - wspominał Kincade. - Miałem na sobie nowiutką koszulę. Nie muszę chyba mówić, że diabli ją wzięli. Zdaje się, że przy tej okazji poszło i kilka żeber.

- Przy tej okazji? - Al wyjął z kieszeni puszkę z tytoniem Red Man i spojrzał na Kincade'a z nowym zainteresowaniem. - Wygląda na to, że często brałeś udział w rodeo. Innych blizn też się właśnie tam dorobiłeś?

Kincade zawahał się, ale potem przyznał:

- Przeważnie. Choć po tej przygodzie jeździłem już tylko konno... na oklep i w siodle.

Zostawiłem dosiadać byków tym, co mają więcej ikry niż rozumu.

Al wpakował prymkę między wewnętrzną stronę policzka a dziąsło.

- Brałeś kiedyś udział w wielkim rodeo w Reno? - Przyglądał się Kincade'owi tak uważnie, że ten miał ochotę zwrócić mu uwagę.

- Kilka razy.

- To jest dopiero impreza! Oglądałem ją raz czy dwa - powiedział Bender z namysłem. -

Zapamiętałem jednego faceta, który zajął pierwsze miejsce w jeździe na oklep. Był z Teksasu, tak jak ty. Pamiętam, że się nazywał K.C... K.C. Harris. Wysoki, chudy gość, ciemny blondyn.

- Chyba nikogo takiego nie znam. - Wytrzymał spojrzenie Ala, już wiedząc, że został rozpoznany.

- A ty?

Al zastanowił się dłuższą chwilę, a potem odwrócił się i splunął.

- Nie. - Przesunął językiem prymkę we wgłębienie drugiego policzka. - Ja też go chyba nie znam.

Kincade nieco się odprężył.

- Dzięki.

- Pewnie masz swoje powody. - Al czekał, aż Kincade mu je wyjawia, ale jemu ani się śniło.

Zamiast się zwierzać, wszedł pod spony i skierował się ku drabinie.

- Sprawdźmy, czy da się toto uruchomić.

- Uważaj na szczeble! - przestrzegł Al, gdy Kincade zaczął piąć się w górę wieży. - Drewno może być zmurszałe!

- Ciekaw jestem, czemu nie zastąpili tego wykopaliska metalową drabinką. - Wspiął się dalej.

Wszystko wyglądało dość solidnie, czasem tylko drewno zaskrzypiało na spojeniu.

- Pewnie z tego samego powodu, dla którego większość ranczerów nie wprowadza żadnych ulepszeń. Brak im forsy - odpowiedział mu z dołu Al. - W latach siedemdziesiątych rynek bydłocy całkiem się załamał i od tego czasu nikt nie zrobił majątku na wołownię.

Dwadzieścia metrów nad ziemią Kincade przedostał się na drewnianą platformę, która otaczała wieżę pod ośmiostopowymi stalowymi łopatkami wiatraka. Przed jego oczami rozciągała się kamienista pustynia w wibrującej mgiełce upału. Na tej wysokości wiał gorący wiatr i o mało nie zerwał Kincade'owi kapelusza. Wbił więc mocniej swoje słomkowe nakrycie głowy na czoło, rad z przepływu powietrza.

Liny zabezpieczające były tak naprężone, że aż dźwięczały utrzymując łopatki w bezruchu mimo wiejącego wiatru. Kincade odczepił jedną linę, potem drugą, uwalniając łopatki. Wiatr poruszył nimi, zaczęły się obracać, nabierając rozpędu.

Kincade zawołał do Ala:

- Odblokowane!

Al dał znak ręką, że usłyszał, a Kincade siadł na platformie, zwieszając z krawędzi długie nogi; jego spojrzenie pobiegło ku porośniętemu bylicą pustkowiu. Ciągnęło się ono wiele mil na południe. Nic nie przerywało monotonii tej zwodniczo jednostajnej równiny poprzecinanej parowami i wyschłymi korytami rzek.

Po chwili Al wrzasnął:

- Na razie wszystko gra!

- Leci już woda do cysterny?

- Trochę ciurka.

- Fantastyczny stąd widok! - Kincade niespiesznym ruchem ręki wskazał otaczający go przestwór.

- Mnie tym nie skusisz! - ryknął Al z dołu. - Jakby Pan Bóg chciał, żeby człowiek włąził tak wysoko, to by mu dał dłuższe nogi!

Śmiech Kincade'a nagle zamarł, gdy jego błędzący po okolicy wzrok dostrzegł poruszający się punkt. Skoncentrował się i w niezbyt dużej odległości ujrzał konia i jeźdźca. Zbliźali się miarowym krokiem; spod kopyt kłusującego wierzchowca wzbijały się obłoczki pyłu.

- Leci już z rury jak się patrzy - oznajmił Al. - Wygląda na to, żeśmy naprawili.

- Od zachodu ktoś tu jedzie. - Kincade przyjrzał się wyprostowanej po żołniersku sylwetce, a gdy ją rozpoznał, uśmiechnął się mimo zmęczenia.

Obserwujący z ziemi Al doszedł do tego samego wniosku.

- Wygląda mi na szefową - zauważył.

- A jakże. - Odpowiedź Kincade'a zginęła jednak w szumie wiatru obracającego łopatki i w skrzypie mechanizmu. Kincade bez pośpiechu wstał i podszedł do drabiny, rozpoczynając żmudny powrót na ziemię.

Światło słoneczne odbijało się od szyb i chromowanych części pikapa, rzucając olśniewające błyski, które - podobnie jak górujący nad okolicą wiatrak - widać było w odległości kilku mil. Zbliźając się do jednego i drugiego, Eden skłoniła gniadosza do przejścia w krótki galop. Ogier, z dużą domieszką szlachetnej krwi, próbował się przeciwstawić: pragnął pędu bez ograniczeń, chociaż przebył już wiele kilometrów. Nie opierał się jednak długo, gdy Eden konsekwentnie domagała się od niego krótkiego galopu.

Niedaleko wiatraka ściągnęła wodze i pozwoliła ogierowi odsapnąć. Wzrok jej przyciągnęła postać Kincade'a, stojącego bez koszuli w pełnym słońcu. Jego opalona skóra, lśniaca od potu, była jak powłoka z polerowanego brązu, gładko przylegająca do sprężystych mięśni. Bezwiednie zafascynowana widokiem wyrzeźbionego przez ciężką pracę fizyczną ciała, Eden wodziła wzrokiem po piersi Kincade'a z trójkątem gęstych, kędzierzawych włosów, które sięgały poniżej pępka i ginęły za paskiem opadających nisko na biodra dzinsów.

Eden doznała prawdziwego zamętu uczuć; uświadomiła sobie, że po raz pierwszy od wielu lat dostrzega męskie ciało i reaguje na jego widok. Odzew, który poczuła w sobie, przybierał na sile. Postanowiła szybko z tym skończyć i bezzwłocznie przeniosła wzrok na Ala.

- Jak tam działa wiatrak? - Eden zsunęła się z siodła. Kątem oka dostrzegła grę mięśni na ciele Kincade'a w chwili, gdy zdejmował koszulę z drewnianej podpórki i narzucał na grzbiet.

- Prawie jak nowy! - odparł Al.

Eden podprowadziła ogiera do powoli napełniającej się wodą cysterny. Obaj mężczyźni szli za nią, Kincade nieco wolniej niż Bender. Czowała na sobie jego oczy i starała się to ignorować, tak jak to czyniła przez kilka ostatnich dni.

- W drodze powrotnej na ranczo pojedźcie przez Cinnabar - poleciała, gdy koń bez większego zainteresowania spuścił głowę ku wodzie. - Niektóre druty są tam zerwane. Udało mi się trocheje poszczepiać, ale nie wiem, czy to długo wytrzyma.

- Zrobi się. - Al z namaszczeniem otarł chustką zaczerwienioną od gorąca twarz.

Upewniwszy się, że ogier nie jest spragniony, Eden odciągnęła go od cysterny i przygotowała się do wsiadania.

- Jak tam już będziecie, miejcie oko na zbłąkane bydło - dodała jeszcze. Usadowiła się w siodle i spojrzała z jego wyżyn na Ala; wbrew woli przez cały czas była świadoma obecności Kincade'a, który od niechcienia wpychał koszulę w spodnie. - Zapędziłam kilka roczniaków z powrotem za ogrodzenie, ale może wydostało się ich stamtąd więcej.

- Już myje wypatrzemy - obiecał Al.

W tym czasie Kincade zmagał się ze sobą, by nie gapić się bez przerwy na strzeliste piersi Eden. Dręczyło go pożądanie i nie opuszczało ani na moment, nawet gdy był tak strasznie zgrzany i zmęczony. Czuł je wyraźnie: głęboki ból w pachwinach. Bardzo chciał wiedzieć, czy Eden także je odczuwa. Gdy przyjrzał się uważnie jej twarzy, dostrzegł reakcję na jego obecność, ukrytą pod powłoką obój ętności.

Zauważył także wokół jej ust i oczu ślady napięcia i wyczerpania, których nie on był przyczyną. Zastanawiał się, czy brat znów naciska na nią, domagając się sprzedaży rancza. Całkiem możliwe.

Eden trąciła ogiera piętami. Koń rzucił się do biegu, jego kopyta wzbily fontannę żwiru i piachu.

Al patrzył przez chwilę za Eden, potem splunął tytoniowym sokiem na ziemię.

- Przejazdźka najlepiej rozjaśnia człowiekowi w głowie. Można się uporać z masą problemów, jak się pojeździ na końskim grzbiecie. A Bóg świadkiem, że z winy DeParda szefowa ma problemów co niemiara.

- Brat też jej specjalnie życia nie ułatwia. - Kincade otarł pot spływający mu po szyi.

Al mruknął z głębokim niesmakiem:

- Vince jest jak cholerny uprzykrzony giez. Raczej utrapienie niż problem. - Odszedł od cysterny.

- Zbierajmy lepiej manele i w drogę!

Kincade'owi cisnęło się na usta wiele epitetów na określenie Vince'a, ale „utrapienie” akurat do nich nie należało. Nie zwierzył się jednak Alowi ze swoich przemyśleń i zajął się napełnianiem opróżnionego termosu, podczas gdy Bender zabrał skrzynkę z narzędziami i wrzucił ją na tył pikapa.

Ruszyli, kiedy tylko Kincade wsiadł do szoferki; wóz podskakiwał pokonując kamienistą przestrzeń, którą trudno byłoby nazwać drogą. Al siedział za kierownicą. Kincade myślał o tym, a także o samym Alu; o sprzeczności między jego przekonaniem a postępowaniem. W końcu potrząsnął głową.

- Co ci nie pasuje? - zmarszczył się Bender.

- Zastanawiałem się, dlaczego ciągle tu pracujesz, choć sprawy się tak paskudnie układają, a ty masz o szefowej marną opinię - odparł Kincade. - Chyba trzyma cię tu coś więcej niż dobre żarcie?

Brwi Ala zbiegły siew głębokiej zadumie.

- Może to, co zrobiła, nie było w porządku. Ale i DePard nie potępuje jak należy - oświadczył w końcu. - Przecież to kobieta, do cholery!

Była to typowo męska odpowiedź, zrodzona z tradycji Dzikiego Zachodu, która żyła nadal w tych stronach. I dlatego właśnie oświadczenie Ala wydawało się wiarygodne.

- A ty dlaczego zostałeś? - Bender zrewanżował mu się pytaniem.

- Mnie też wbijano do głowy, że nie należy odgrywać się na dziewczynach. Część rancza o nazwie Cinnabar leżała na północny zachód od domu Rossiterów. Oddzielona była od reszty gruntów ogrodzeniem z kolczastego drutu, które biegło prosto jak strzała w kierunku skalistych, porośniętych jałowcem pagórków. Al jechał wzdłuż tej linii, póki nie natrafił na dziurę.

Dwie krowy z cielętami u boku oddaliły się szybkim truchtem, kiedy pikap ze zgrzytem zatrzymał się obok nich. Zwierzęta były niewielkie, o kościstych zadach i ciężkich rogach. Miały skórę płową, a nie jaskrawo rudą jak krzyżówka rasy Hereford, którą Kincade widywał przeważnie na ranczo.

Zaciekawiony wysiadł z szoferki. W bezpiecznej odległości od pikapa krowy zatrzymały się i odwróciły, by się pogapić na pojazd i jadących nim ludzi. Dzięki temu Kincade mógł przyjrzeć się im dokładnie z boku. Natychmiast poznał meksykańską rasę bydła.

- To Corrientes - zwrócił się do Ala, nie kryjąc zdumienia.

- A jakże. - Bender rzucił okiem na krowy i chwycił szczypce leżące na tyle wozu. - Często występująna rodeo. Chwyta sieje na lasso, obezwładnia i co tam jeszcze... Sam chyba wiesz

najlepiej.

- No pewnie! Po prostu nie spodziewałem się, że je tu spotkam.

- Szefowa zaczęła je hodować jakieś pięć-sześć lat temu; kupiła byka i dziesięć krów. Od tej pory ciągle powiększa stado, zatrzymuje jałówki i dokupuje nowe krowy, od czasu do czasu jakiegoś byka. Teraz jest ich pewnie w Spur Ranch ze sto sztuk. - Al podszedł do zerwanego drutu. - Jak już mówiłem, ceny rzeźnego bydła cholernie spadły, ale takie krowy - w sam raz na rodeo - to świetny interes.

- Prawda. - Nie było to przytaknięcie z grzeczności, ale stwierdzenie niewątpliwego faktu. W odróżnieniu od bydła rozplodowego, kariera cielaka lub młodego byczka na rodeo była zawsze krótka. Cielaki stawały się zbyt duże, byczki za ciężkie albo zaczynały zdawać sobie sprawę z grożącego im niebezpieczeństwa. Dostawcy nieustannie poszukiwali następnych sztuk, które by można było wykorzystać podczas imprez. Ten rynek odznaczał się wysokim popytem i niewielką podażą. Kincade był tego świadom, toteż jego szacunek dla Eden, jako kobiety interesu i właścicielki rancza, znacznie wzrósł.

- Jeszcze dwa, trzy lata na rozbudowanie stada, a ranczo zacznie dawać niezłe zyski - zauważył Al, a potem wzruszył ramionami. - Tyle że szefowa pewnie tak długo się nie utrzyma.

Rzeczywiście, wydawało się to mało prawdopodobne. Kincade tłumaczył sobie, że to nie jego sprawa, czy Eden straci ranczo, czynie. Odkrył jednak, że nie jest mu to tak obojętne, jakby tego pragnął. Zaniepokoiło go to.

- Będziesz tak sterczał cały dzień, czy pomożesz mi przy tym ogrodzeniu? - spytał zaczepnie Al.

- Już się robi. - Kincade włożył rękawice i podszedł do niego.

Po godzinie zerwane druty zostały połączone, a obaj mężczyźni siedzieli znów w pikapie, jadąc po wyboistym, słabo widocznym szlaku, który prowadził do centrum rancza. Niskie zabudowania widniały już w dali, gdy nagle Kincade dostrzegł jeźdźca w jaskrawoniebieskiej koszuli, jadącego krótkim galopem w ich kierunku. Wyprostował się w siodle.

- To mi wygląda na Rossitera.

- A jakże. - Al wypowiedział na głos pytanie, które brzęczało w mózgu Kincade'a: - Ciekawe, dokąd on jedzie?

- Zaraz się dowiemy. - Kincade wyciągnął rękę i nacisnął dwukrotnie klakson. Vince zjechał na bok i zatrzymał konia, czekając aż pikap zrówna się z nim.

Al wytknął głowę przez okno kabiny.

- Dokąd się wybierasz?

- Miałem ochotę na małą przejażdżkę. - Vince oparł dłoń na kuli siodła i palcem zsunął kapelusz na tył głowy. - Może sprawdzę ogrodzenie od wschodu. Czemu pytasz? Masz do mnie jakiś interes?

Kiedy Vince dostrzegł za Alem wpatrzone weń oczy Kincade'a, na jego twarzy pojawił się niepokój i jeszcze inny wyraz, podejrzenie przypominający poczucie winy. Szybko odwrócił głowę nie mogąc znieść tego spojrzenia.

- Niczego od ciebie nie chcę - powiedział Al. - Po prostu wracamy na ranczo i zauważyliśmy, że jedziesz.

- Wobec tego do zobaczenia! - Vince odsunął się od pikapa i skierował ku wschodowi. Mocne dźgnięcie ostróg i kasztan pocwałował z rozwianym ogonem.

Al przez chwilę patrzył za odjeżdżającym, a potem potrząsnął głową.

- Nie myślałem, że wytrzyma tak długo. - Zwolnił hamulec i nacisnął pedał gazu; pikap ruszył.

- Co masz na myśli? - Kincade rzucił mu zaciekawione spojrzenie, potem obejrzał się na znikającego jeźdźca.



- Siedzi już na ranczu prawie dwa miesiące. Zawsze miał dość i zbierał się do drogi o wiele wcześniej. No, trzeba przyznać, że nigdy dotąd Spur Ranch nie było w takich tarapatach. Zawsze to szefowa wyciągała braciszka za łeb z kłopotów.

- Jakie to były kłopoty?

- Z forszą - odparł Al z szerokim uśmiechem. - Nasz chłoptaş lubi sobie pograć, a jakoś się nie nauczył, że trzeba dać spokój, kiedy ma się pecha. Mówią, że w całym stanie aż się roi od weksli podpisanych przez Vince'a. I to różnymi nazwiskami.

- Czyjego siostra o tym wie? - Kincade od razu pomyślał o Eden. Al odpowiedział prychnięciem.

- Powinna! Mało to ich wykupiła?

- Ciekaw jestem, dlaczego tym razem Vince tak długo tu siedzi - mruknął Kincade.

- Czort go wie! - Al zwolnił. Wjeżdżali już na dziedziniec rancza. - Ale jedno trzeba mu przyznać. Naprawdę wziął się do roboty po odejściu Connorsa i Harta. Rossiter nigdy się nie kwapił, żeby coś zrobić na ranczu, odkąd umarł stary Jed. Dawniej Vince nigdy by się z własnej woli nie wybrał, żeby sprawdzać ogrodzenie.

Kincade nie mógł jakoś uwierzyć w odnowę moralną Rossitera.

Po powrocie naranczo Kincade pospiesznie coś przegryzł, osiodłał gniadego wałacha i pojechał tą samą drogą, dosłownie po śladach Vince'a.

Późnym popołudniem dotarł na szczyt jednego z niezbyt wysokich wzgórz i zatrzymał się tam. Ukośne promienie słońca padały mu prosto na plecy, po twarzy i szyi ściekał pot. Kincade mierzył wzrokiem milczącą, pustą przestrzeń, usiłując dojrzeć chmurę pyłu, znaczącą szlak człowieka na koniu.

Daleko na południowym wschodzie dostrzegł obłok kurzu i zauważył czarną sylwetkę jeźdźca, wzbijającego ten pył. W słońcu wyraźnie zalśnił turkusowy błękit koszuli; upewniło to Kincade'a, iż jeźdźcem jest Vince. Oceniając w myśli kierunek jazdy Rossitera i trasę, którą sam musiał przebyć, by przeciąć mu drogę, Kincade popędził gniadosza w dół po stoku.

Dolinę przecinał parów, wyżłobiony przez lata przez spływającą tamtędy wodę z ulewnych, choć rzadkich w tej pustynnej krainie deszczów. Dotarłszy do wąwozu, Kincade zjechał po stoku na sam dół; siedział spokojnie w siodle, gdy koń na zadzie ześliznął się na dno, pokryte piaskiem i żwirem.

Powietrze było tu nieruchome i jakby zastygłe; żaden wiatr nie zapędzał się do wnętrza parowu, by je odświeżyć. Kincade pognał wałacha energicznym kłusem wyschniętym korytem, które skręcało na południowy wschód.

Po przebyciu sporej odległości zobaczył, że mniej więcej pół kilometra przed nim przecina wąwóz ogrodzenie. Uschłe krzaki bylicy przywarły do drutów, widocznie wskutek jakiejś dawnej ulewy. Kincade rozejrzał się i dostrzegł łagodne zbocze po przeciwnej stronie. Chwilę później gniady był już na górze.

Gdy tylko wydostał się z wąwozu, Kincade ujrzał Vince'a: stał tuż przy ogrodzeniu, znaczącym granicę rancza. Tylko kolczasty drut oddzielał go od drugiego jeźdźca. Z tej odległości Kincade nie widział go dokładnie, ale dostrzegł charakterystyczną czarnobiałą kamizelkę z wołowej skóry. Skierował konia kłusem w stronę rozmawiających.

Vince wpatrywał się w Marta Sheehana przez ogrodzenie.

- Przekaż DePardowi wiadomość ode mnie, Sheehan. - Rossiter starał się, by w jego głosie dźwięczał autorytatywny ton, jakby to on kierował wszystkim.

- Przekażę mu, jasne - przytaknął Sheehan.

- Kontaktowała się, do diabła, z każdym, kto dysponuje jakimś większym pojazdem - i wszyscy jej odmówili. DePard przyparł ją całkiem do muru.

- Pewnie uzna, że już pora zacisnąć pętlę.

Słowa te zabrzmiały dziwnie złowrogo. Vince poczuł, że oblewa go zimny pot. - Nie może jej spaść włos z głowy! Tknijcie ją tylko palcem, a wycofuję się ze wszystkiego. Przysięgam!

Groźba nie zrobiła większego wrażenia na Sheehanie.

- Tkwisz w tym po uszy, Rossiter. Nie możesz się już wycofać, gdy karty zostały rozdane. - Mart spojrzał nagle ponad ramieniem Vince'a i zmrużył oczy: - A to kto?

Kincade znajdował się w odległości pięćdziesięciu metrów, gdy Vince odwrócił głowę i dostrzegł go. Skierował się w jego stronę. Rozmówca Rossitera nie spiesząc się popędził konia wzdłuż ogrodzenia swobodnym klusem.

Vince ściągnął cugle zatrzymując swojego wierzchowca tak, że zastąpił drogę Kincade'owi.

- Co ty tu robisz? - W jego głosie kipiał gniew.

Kincade spojrzał za oddalającym się bez pośpiechu jeźdźcem.

- Mógłbym zadać ci to samo pytanie.

W ukradkowym spojrzeniu, które Vince rzucił przez ramię, było coś z niepokoju człowieka przyłapanego na gorącym uczynku, ale gdy spojrzał znów na Kincade'a, płonął świętym oburzeniem.

- Sprawdzam ogrodzenia, jak obiecałem. I nie lubię, jak mnie ktoś kontroluje! Kincade z premedytacją nie spuszczał wzroku z oddalającego się jeźdźca.

- Kim jest twój znajomek?

- Jego masz na myśli? - Rossiter rzucił jeszcze jedno spojrzenie przez ramię, na jego twarzy odbił się niepokój. - Pracuje na Diamond D. Sprawdzał ogrodzenia, tak jak ja.

- Ma szykowną kamizelkę. Chyba wielu takich nie znajdziesz.

- Nie mam pojęcia. - Vince był naburmuszony i nastawiony wojowniczo. Gniady spłoszył pyskiem muchę, która usadowiła się na jego spoconym kłębie. Owad uleciał bzycząc, by poszukać innej kwatery.

- Czy twoja siostra znalazła kogoś, kto przewiózłby jej bydło? Pytanie zaskoczyło Vince'a.

- Nie. Czemu o to pytasz?

- To właśnie przekazałeś człowiekowi DeParda?

Przez sekundę Vince spoglądał nań oczami białymi z nienawiści.

- Moja cierpliwość się wyczerpała, mój panie! Jeśli jeszcze raz się odwrócę i zobaczę, że leziesz za mną, pożałujesz tego! Przysięgam! - Pomachał palcem przed nosem Kincade'a, potem spiął kasztana ostrogami i odjechał.

Kincade skierował gniadego za Vince'em. Przez całą drogę powrotną na ranczo jechał tak, że widział z bliska tuman kurzu wzbijanego przez Rossitera.

Gdy Kincade powrócił, rozsiodłany kasztan stał już w corralu i najwyraźniej miał zamiar się wytarzać. Vince'a nie było na widoku. Sądząc, że Rossiter wszedł od razu do domu, Kincade zsiadł z konia przy ogrodzeniu, zdjął siodło ze spoconego grzbietu gniadego wałacha, a potem wprowadził go do corralu i puścił luzem.

Z siodłem i uzdą w ręku wszedł do stajni i skierował się do składu uprzęży. Po słonecznym blasku na zewnątrz panujący tu mrok wydał mu się jeszcze gęściejszy. Pod nogami szeleściło siano. Brzęk jego ostróg rozlegał się donośnie w ciszy.

Zrobił najwyżej tuzin kroków, gdy usłyszał wyzywający głos Rossitera:

- Po raz ostatni włączyłeś się za mną!

Kincade zatrzymał się i wpatrywał przez chwilę w nieprzeniknioną ciemność, zanim dostrzegł zarys postaci Vince'a. Stał on tak, by zatarasować wejście do składu z uprzężą; nogi rozkraczył, ręce trzymał na biodrach.

- Teraz się dowiem, o co tu chodzi i kim ty u diabła jesteś, choćbym miał wydusić z ciebie każde słowo! - oświadczył.

- Za dużo gadasz, Rossiter. - Kincade ruszył dalej równym krokiem, prosto na niego, czując że krew kipi mu w żyłach. Rad był z tej nieoczekiwanej konfrontacji.

- A ty za mało, ale już ja to zmienię! - odszczeknął Vince.

- Czyżby? - zadrwił niegłośnie Kincade. Był już blisko niego, oczy zdążyły przywyknąć do mroku panującego w stajni.

- Sam się przekonasz... - zaczął Vince, ale Kincade nie dał mu skończyć pogroźki i rzucił weń ciężkim siodłem.

Poszybowało wysoko, trafiając Rossitera w pierś; wydał pomruk zaskoczenia i bólu jednocześnie. Zatoczył się do tyłu pod ciężarem siodła i wpadł na drzwi do składu. Kincade postępował za nim z rękami zaciśniętymi w pięści; krew huczała mu w uszach, w oczach robiło się ciemno.

Klnąc zapamiętane, Vince odrzucił siodło i skoczył na Kincade'a; schylił się unikając jego zamachu i schwycił go ramionami w pasie, pociągając za sobą na twardą podłogę. Kotłowali się w sianie, tworząc kłęb splątanych łokci, kolan i pięści.

Prawy prosty w szczękę odrzucił Kincade'a na bok. Uwolnił się dzięki temu z chwytu przeciwnika i stanął na nogi. Poczul smak krwi sączącej się z rany po wewnętrznej stronie wargi. Kłaczki wzbitego podczas szamotaniny siana poszybowały w powietrze. Jego zapach, odór nawozu i woń garbowanej skóry wprost dusiły, ale Kincade tego nie czuł, tak bez reszty skoncentrował się na osobie Rossitera. On również zerwał się i rzucił na przeciwnika szczerząc zęby i wymachując ramionami.

Kincade uprzedził jego ruch i zaatakował z lewej. Vince zrobił unik i pięść trafiła w próżnię. Za to prawy sierpowy Rossitera trafił do celu. Kincade nie dostrzegł ani tego ciosu, ani lewego haka, który natychmiast nastąpił. Coś walnęło go w szczękę z siłą końskiego kopyta. Zwalił się na ziemię i potoczył. W mózgu eksplodowały mu fajerwerki i rozległ się huk piorunów.

Starał się zachować przytomność mimo bólu rozsadzającego czaszkę; zdawał sobie sprawę, że cios był bardzo silny. Głowa pękała mu z bólu, ale z bólem znali się od dawna - towarzyszył mu podczas występów, nieraz brał udział w zawodach zwijając się z bólu. Z pewnością teraz ból nie powstrzyma go od dalszej walki. Kincade potrząsnął głową, by rozjaśnić nieco myśli, podparł się rękami i dźwignął z podłogi. Nie miał kapelusza; bo spadł mu podczas szamotaniny.

Pociemniała twarz Vince'a z wyszczerzonymi zębami majaczyła przed nim w półmroku. Szybkim wymachem pięści ugodził w brzuch Kincade'a. Ten usiłował zablokować cios, lecz nie udało mu się to. Vince nacierał. Miał oczy szaleńca.

Gdy już pozbył się instynktownego lęku przed uderzeniem, który często odczuwa się aż do pierwszego ciosu, Kincade gotów był na spotkanie przeciwnika. Gdy cios padł, Kincade nie zważając na nic natarł z bliska, pochwycił Rossitera obiema rękami i podciął mu z tyłu nogi. Znow grzmotnęli o podłogę, a gdy się na niej kotłowali, Kincade uderzył Rossitera z całej siły.

Vince miał trudności ze wstaniem; Kincade zdążył go dwukrotnie zdzielić, zanim przeciwnik zdołał unieść ręce. Vince po otrzymaniu ciosów nadal rwał się do walki. Jakaś cząsteczką mózgu Kincade zdumiał się; okazało się, że przeciwnik ma w sobie więcej ikry niż przypuszczał. W sekundę później Kincade znow zachwiał się pod twardym ciosem prosto w szczękę i runął na kolana.

Zamiast go wykończyć, Vince cofnął się, ciężko oddychając.

- Masz dość?

Kincade spojrział na niego przez strugi potu, szczypiącego go w oczy. Chwilę trwało, nim zdołał

uruchomić szczękę i odzyskać jasność myśli. Coś mówiło mu, że Rossiter wypróbował już na nim swoje popisowe ciosy - no i nie zdołały go one pokonać.

- Mowy nie ma - odparł Kincade głosem zdradzającym wyczerpanie.

Na zewnątrz zarżał koń, ale Kincade był głuchy na wszelkie dźwięki, ślepy na wszystko z wyjątkiem stojącego przed nim Rossitera. Wstał, pochylił głowę do przodu i zaatakował, wymierzając krótkie, dotkliwe ciosy w brzuch Vince'a.

Młócił, walił i parł do przodu. Nagle, symulując atak, uderzył prawym prostym. Vince przyjął cios. Obserwując jego twarz Kincade był pewien, że uderzenie musiało mocno zboleć. Nie czuł jednak litości - w każdym razie nie dla tego człowieka.

Natarł z bliska i teraz zmagali się w zwarciu, inkasując ciosy i odpłacając się z nawiązką. Kincade'owi krew płynąca z rany nad okiem zalewała twarz. W furii walki atakował jeszcze ostrzej. Vince wyrzucił błyskawicznie lewe ramię. Kincade uchylił się i sierpowym uszkodził Rossiterowi szczękę. Prawym i lewym hakiem walnął Vince'a boleśnie w głowę, a potem rozciął mu aż do kości policzek ukośnym ciosem.

Vince upadł zalany krwią. Kincade, bez tchu i obolały, cofnął się uświadamiając sobie nagle, jak ciężą mu ramiona i z jakim trudem wciąga w płuca powietrze.

Oszołomiony i pokonany Vince siedział na podłodze, nie starając się nawet wstać. Uniósł dłoń do głębokiej rany w policzku i przyglądał się teraz z osłupieniem zakrwawionym palcom. Potem spojrzał tępym wzrokiem na Kincade'a.

Nagle obaj usłyszeli głos Eden:

- Co tu się dzieje?

Kincade odwrócił się raptownie i ujrzał Eden stojącą w podwójnych drzwiach stajni; jej sylwetka wyraźnie się rysowała na tle słonecznego nieba. Kincade zorientował się, w którym momencie jej oczy padły na brata, który siedział na podłodze i trzymał się za policzek. Zamarła w napięciu na ułamek sekundy i zaraz podbiegła ku niemu.

- Vince, co się stało? - przyklękła obok. - Boże święty! Jesteś ranny! - Wyjęła chusteczkę z kieszeni i przycisnęła ją do rany na policzku, by zatamować upływ krwi.

Żądza walki kompletnie opuściła Kincade'a. Zaciśnięte ręce opadły po bokach, palce powoli się prostowały. W lewym ramieniu pulsował ból, więc zaczął je masować.

- Nic mi nie jest - poirytowany Vince odepchnął rękę siostry. Sam trzymał teraz chusteczkę, Eden nie odeszła jednak i pomogła mu wstać.

Oczy miała pociemniałe od złości, gdy zwróciła się do Kincade'a:

- To twoja robota!

- Za to mogę ci ręczyć. - Nie czuł najmniejszych wyrzutów sumienia; żałował tylko, że Eden dowiedziała się, iż to on pokiereszował jej brata. Zdawał sobie sprawę, że to jeszcze bardziej oddali ją od niego, a przecież pragnął mieć ją przy sobie... jak najbliżej. To, co czuł patrząc na nią, można było określić tylko jednym słowem: pożądanie. Może podnieciła go mocniej dopiero co stoczona walka? A może po prostu budziło się w nim pragnienie, ilekroć ją ujrzał?

Twarcz Eden była teraz lodowata.

- Zwalniam cię.

Tym razem Kincade nie próbował nawet oponować.

- Nie! - odezwał się Vince wprawiając ich oboje w zdumienie. - Zostanie tu.

- Co takiego?! - zaczęła Eden. Brat przerwał jej.

- Nie mam pojęcia, czemu się na mnie uwziął, wole jednak mieć go na oku. Nie mam ochoty ciągle się zastanawiać, gdzie się przyczaił i kiedy nagle wyskoczy.

Vince podniósł kapelusz i wyszedł. Eden spoglądała za nim; między brwiami pojawiły się dwie zmarszczki.

Kincade nie czuł ulgi, tylko zmęczenie i ból w całym ciele. Z wysiłkiem uniósł rękę i otarł rękawem koszuli strużkę krwi, płynącą ze skaleczenia nad okiem. Zobaczył, że jego kapelusz poniewiera się w sianie na podłodze. Unikając wzroku Eden podszedł, podniósł go i otrzepał o nogę, by oczyścić z kurzu i źdźbeł trawy.

Znalazł się tuż obok Eden, tak blisko, że kiedy chciał odejść, wyciągnęła tylko rękę i chwyciła go za ramię. Lekki dotyk jej palców sprawił, że Kincade zatrzymał się.

- O co się pobiliście? - Jej ton był oficjalny, głos pełen dumy. - Jest ci winien pieniądze, prawda? Ile?

Kincade spojrzał na dłoń leżącą na jego ramieniu, ogorzałą i silną, a jednak delikatną i bardzo kobiecą.

- Nie jest mi winien żadnych pieniędzy. Ani grosza.

- Więc czego chcesz od Vince'a? - dopytywała.

Kincade podniósł oczy na jej wargi, pełne i miękkie, leciutko rozchylone. Z jeszcze większą siłą powróciły wszystkie pragnienia i żądze. Wiedział, że jeśli nawet Eden w tej chwili nie czuje do niego nienawiści, to zniechęci go wkrótce. Ta świadomość wzbudziła w nim determinację: wykorzystać tę chwilę, zagarnąć to, co jeszcze mógł zdobyć!

Przysunął się do niej jeszcze bardziej. Zaskoczona nagłością jego ruchu Eden cofnęła się i oparła o drewnianą przegrodę boksu. Kincade jednym ruchem przyparł ją do przepierzenia. Wsparł się rękami o ściankę po obu stronach jej głowy. Serce Eden, unieruchomionej w ten sposób, zaczęło walić jak oszalałe. Sama nie wiedziała, czy to ze strachu, czy w oczekiwaniu na coś, co musi nastąpić.

Kincade wpatrywał się w nią. Szalała w nim gwałtowna burza.

- Dlaczego jesteś taka pewna, że chcę czegoś od twojego brata, a nie od ciebie? - szepnął. - Bóg widzi, że nie potrafię trzymać się od ciebie z daleka!

Eden dostrzegła zmianę w jego oczach. Ich barwa stała się tak intensywna, że wprost zaparło jej dech w piersiach: żarzyły się błękitem jak niebo nad Nevadą w pełni lata. Poczwała, jak ten żar ogarnia powoli całe jej ciało.

- Przestań... - Powiedziała to jednak bez przekonania i słowo jak gdyby rozwiało się w powietrzu, nie docierając do niego.

Wyraz twarzy Kincade'a ani intensywność jego spojrzenia nie uległy zmianie. Był jak człowiek ogarnięty potężną, pierwotną pasją. Samiec, który poczuł bliskość samicy. Dziki kot wzywający kotki.

W gardle Eden wezbrał jęk. Kincade musnął jej wargi swoimi i poczuł, że drżą pod jego dotknięciem. Oddech Eden przeszedł w urywane westchnienia. Było to dla Kincade'a wystarczającą podniecią: pocałował ją mocno, zachłannie. W następnej sekundzie zanurzył w jej włosach ręce, gwałtowne i zaborcze. Odchylił głowę Eden do tyłu, by całować ją bez końca.

To mu jednak nie wystarczało. Bardziej niż kiedykolwiek pragnął czuć jej smak i dotyk, poznać jej kruchość i jej siłę. Miał przy sobie ciało Eden, napięte, opierające się namiętności, która w nim wzbierała. Chcąc odepchnąć Kincade'a, wpiła się palcami w jego koszulę. Czuł, jak szaleńczo pulsuje krew w szyi Eden.

Wmawiała w siebie, że nie pragnie tego, nie potrzebuje! Kłamstwo, to wszystko kłamstwo. Namiętność, którą czuła, była równie gwałtowna jak ta, którą wzbudzała w tym mężczyźnie. Pragnęła dotknąć Kincade'a, wodzić po jego ciele dłońmi, czuć te twarde, sprężyste mięśnie, które zauważyła

już wcześniej, koło wiatraka. Poddawała się popędowi: to, co zrodziło się jako nagła zachcianka, przekształciło się w palący, dojmujący ból.

Dłonie wyciągające się po niego, niepewne, pełne pieśczozy; ciało Eden napięte, drżące, osłabłe - doprowadzały Kincade'a do szaleństwa. Nie miał pojęcia, że aż tak jej pożąda. Niecierpliwie, gwałtownie wodził rękoma po jej ciele chcąc stopić się z nią. Czuł, że ona sama jednoczy się z nim coraz bardziej. Wdychał zar bijący z jej skóry, jej piżmowy, kobiecy, upajający zapach, w którym mógł zatracić się do reszty.

Szarpnął skraj koszuli Eden, wyciągnął jąz dzinsów i uniósł w górę. Wsunął rękę pod białą bawełnę i odnalazł miękką, pełną pierś. Serce Eden pulsowało gwałtownie pod jego dłonią.

Gdy przytuliła się do niego całym ciałem, osunęli się oboje na warstwę siana w boksie. W tej eksplozji pożądania nie było już miejsca na finezję czy miłosny kunszt.

Eden nigdy nie doznawała podobnych uczuć. Przez wiele miesięcy i lat wmawiała w siebie, że miłość nie jest wcale cudowna. Nie dla niej! Nie po tym wszystkim, co przeszła! A jednak po raz pierwszy zapragnęła teraz mężczyzny - bez reszty, jak każda inna kobieta. Chciała go mieć. Chciała, by on ją miał.

Podczas gdy ciało Eden reagowało gwałtownie na drapieżny pocałunek i wyginało się w łuk, spragnione spełnienia, zbudził się strach. Przez myśl Eden przemknęły wspomnienia przeszłości. Powróciły falą dawne obrazy, dźwięki, doznania - brutalny chwyt dłoni, ciężki oddech, przygniatający ją ciężar... W jednej chwili stało się to równie przerażające jak wówczas.

- Nie! - szarpnęła się w panice. - Nie dotykaj mnie! Nie chcę!

Thukła go pięściami. Kincade odruchowo chwycił ją za nadgarstki.

- Co się do cholery dzieje, Eden?! - Przyciągnął ją do siebie, ale wszystkie pretensje zamarły mu na ustach na widok jej poszarzałej twarzy. W oczach Eden był prawdziwy strach, łyzy i jakaś szaleńcza furia.

- Uspokój się. - Zwolnił nieco chwyt i Eden znów zaczęła się wrywać. - Przestań! Nie zrobię ci krzywdy.

- To mnie puść! - Gardło miała zaciśnięte, głos chrapliwy. - Nie chcę, żebyś mnie dotykał!

Ogarnęła go wściekłość, lecz starał się ją w sobie zdławić.

- Nie biorę kobiet siłą. Nawet takich, które aż się do tego palą - oświadczył, ale Eden nie mogła mu uwierzyć. - Już cię puszczam. Wszystko w porządku?

Wpatrywała się w niego w milczeniu. Gdy tylko puścił jej nadgarstki, cofnęła się i zaszyła w kącie. Kincade trzymał ręce przed sobą, zwrócone ku niej dłońmi - na znak, że nie zamierza wyrządzić jej żadnej krzywdy. Odsunął się powoli i wyprostował. Gdy był już przy wejściu do boks, zrobił jeszcze jeden krok do tyłu i opuścił ręce.

Eden, nie odrywając oczu od Kincade'a, podniosła się i pospiesznie wetknęła koszulę w džinsy. Drżała na całym ciele. Przycisnęła się do drewnianej przegrody i sunęła wzdłuż niej, centymetr po centymetrze. Nie spuszczała ani na chwilę wzroku z Kincade'a.

Kiedy dotarła do końca przepierzenia, jej spojrzenie padło na widły oparte o ścianę, a potem pobiegło w stronę Kincade'a. Doskonale wiedział, co dzieje się w jej mózgu: zastanawiała się, czy zdąży dobiec do wideł przed nim. Nagle pojął, dlaczego dotyk mężczyzny i jego namiętność wzbudzały w niej takie przerażenie.

- Mówiłaś wtedy prawdę - powiedział cicho. - Brat DeParda rzeczywiście próbował cię zgwałcić.

Zareagowała na jego słowa bardzo gwałtownie. Uniosła dumnie głowę, wyprostowała plecy i ramiona.

- Myślisz, że mnie to obchodzi, czy mi wierzysz, czy nie? - W jej głosie brzmiała gorycz. - Nie potrzebuję litości ani od ciebie, ani od nikogo innego!

- Pewnie - przytaknął. - Ale masz prawo do szacunku.

W jej oczach pojawił się błysk zdumienia, a zaraz potem zmieszanie i nie gasnąca nieufność. Zapanowała jednak nad sobą zdumiewająco szybko, odwróciła się i wyszła na słońce, które wpadało

przez otwarte drzwi stodoły.

Kincade nie wykonał najmniejszego ruchu, póki nie zniknęła. Potem schylił się, podniósł kapelusz i oczyścił ze śmieci, które do niego przyłgnęły. Znów opanowała go wściekłość, gorzka, paląca i pogardliwa, skierowana przeciw zmarłemu: przeciw Jeffowi DePardowi.

Eden przeszła przez werandę i zatrzymała się przy drzwiach, by otrzepać z dżinsów siano. Zaczerpnęła głęboko powietrza, by się uspokoić. Starła się nie zwracać uwagi na mdłości i na rozdygotane nerwy.

Zapanowawszy nad sobą jak mogła najlepiej, weszła do domu, a drzwi zatrzasnęły się za nią z potężnym hukiem.

- To ty, siostrzyczko? - zawołał Vince.

- Tak. - Głos Eden brzmiał zdumiewająco spokojnie. Była z tego rada.

- Chodź mi pomóc, dobrze?

Doleciał do niej z łazienki szum lejącej się wody i domyśliła się, że tam właśnie jej brat opatruje swoje rany. Miała nadzieję na kilka minut samotności, ale okazało się to niemożliwe.

- Już idę.

Vince zbliżył twarz do lustra w drzwiczkach apteczki i oglądał głębokie skaleczenie na policzku. Gdy Eden zatrzymała się we drzwiach, powiedział nie odwracając się:

- Jakoś ci się nie spieszyło! Myślałem, że to świństwo nigdy nie przestanie krwawić. - Odwrócił się i zademonstrował siostrze ranę trzycentymetrowej długości. - Jak myślisz, trzeba to będzie zszywać?

Choć skaleczenie wyglądało paskudnie i z pewnością było bolesne, Eden doszła do wniosku, że bez szwów się obejdzie.

- Powinien wystarczyć opatrunek mocno trzymający brzegi rany - uznała. Szybko obejrzała resztę twarzy brata. W kilku miejscach pojawiła się już opuchlizna i sińce, ale oprócz niewielkiego skaleczenia koło ust nie dojrzała żadnej rany, którą musiałaby opatrywać.

- Co cię zatrzymało? Zdawało mi się, że idziesz tuż za mną. Odwracając się do szafki Eden wyjęła z niej wszystko, co było potrzebne, a potem odpowiedziała bratu półprawdą:

- Chciałam się dowiedzieć, czy jesteś mu winien jakieś pieniądze. - I co ci powiedział?

- Że nie jesteś mu winien ani centa. Siadaj. - Popchnęła Vince'a na sedes. - Nie ruszaj się. Będzie bolało.

- Przecież ci powiedziałem, kiedy ostatnim razem spłaciłaś moje długi, że koniec z hazardem - przypomniał jej Vince; skrzywił się i syknął głośno, bo przemyła mu ranę środkiem odkażającym.

- Pamiętam, co mówiłeś.

- Ale myślałaś, że znowu do tego wróciłem?

- Tamtego wieczora grałeś w pokera z DePardem - przypomniała mu i wycisnęła nieco maści z antybiotykiem na ranę, a następnie wytarła starannie skórę wokół niej.

- To były najwyżej dwa czy trzy rozdania. I żadnych wysokich stawek.

- Czasem nie potrafisz się opanować, Vince.

- Dałem ci słowo!... - zaczął z oburzeniem.

- Wiem. Nie ruszaj się. - Gdy oba brzegi rany przyłgnęły ściśle do siebie, Eden mocno przycisnęła do nich opatrunek. - No i gotowe.

Kiedy Vince wstał i podszedł do lustra, Eden zaczęła zbierać maść, płyn odkażający i opatrunki. Czowała nadal wzbierające mdłości; była w dalszym ciągu oszołomiona i nękało ją wspomnienie przeżytego strachu.

- Co ci dolega, siostrzyczko? Jesteś taka blada.



Zawahala się chwilę, by odpowiedzieć zdecydowanym tonem: - Nic mi nie jest.

Zerknęła jednak na swoje odbicie w lustrzanych drzwiczkach szafki, zanim ją otworzyła. Od razu można było poznać, że skłamała.

Kincade szedł powoli w stronę kuchni, podtrzymując zgiętą prawą ręką lewe ramię, pulsujące bólem. Dłoń i przegub mocno spuchły, ale wszystkie palce były władne i mógł poruszać nadgarstkiem: oznaczało to, że niczego nie złamał. Ramię jednak obrzmiało i bolało jak diabli.

Dziki Jack stał tyłem do drzwi i pociągał z butelki esencję waniliową.

- Daj mi trochę lodu.

Kucharz odwrócił się gwałtownie. Przyłapany na gorącym uczynku, starał się ukryć butelkę pod lewą pachą. Przyjrzał się twarzy Kincade'a.

- Na czyją pięść się nadziałeś?

Kincade siadł przy stole i odpiął mankiet koszuli.

- Przydałyby się także jakieś ręczniki i plastikowe torby.

- A whisky ani śladu - mrucał Dziki Jack zmiierzając do lodówki. - Cholerna szkoda!

Wszedł Al z Bobem Watersem, zatraskując za sobą drzwi. Na widok Kincade'a zrobił wielkie oczy.

- Co ci się stało, do cholery?!

- Uderzyłem się w ramię - Kincade zgiął palce, które popuchły i zeszywniały. Miał ponury wyraz twarzy i zaciśnięte usta. Kucharz stojąc przy lodówce grzechotał kostkami lodu w metalowym pojemniku.

- Chyba nie tylko ramię ucierpiało. Z kim się wdałeś w bijatykę? - Al przyglądał mu się ciekawie.

Kincade udał, że nie słyszy.

- Muszę zrobić sobie na ramię okład z lodu. Pomóżcie mi, co? - poprosił, gdy Dziki Jack postawił na stole pojemnik z lodem i poczłapał po plastikowe torby.

- Mam na kwaterze lekarstwa na wszystkie rany i siniaki. - Bob Waters wykręcił się na pięcie i wyszedł szybciej niż przybył.

Widząc błysk wściekłości w oczach Kincade'a, Al postanowił nie zadawać mu żadnych pytań. Coś mówiło mu, że przeciwnik Kincade'a oberwał jeszcze gorzej i nietrudno go będzie rozpoznać.

Kucharz znalazł dwie plastikowe torby. Nadal jęcząc nad brakiem whisky nadstawił je, Al zaś włożył do środka lód. Jedna torba znalazła się pod opuchniętym ramieniem i nadgarstkiem, druga na wierzchu. Al podarł starą bawełnianą ścierkę do naczyń na długie pasy i przywiązał nimi torby z lodem do ramienia Kincade'a. Kucharz stał tylko i gapił się.

Al rzucił mu gniewne spojrzenie.

- Jak nie pomagasz, to chociaż nalej nam kawy! Stary zbył to polecenie wzgardliwym chrząknięciem.

- Mój dziad gawędził przy ognisku z wieloma uzdrowicielami, przyglądał się, jak robili okłady lub warzyli potężne leki, słuchał ich zaklęć. Ty się nic a nic na tym nie znasz, głupi kowboju - stwierdził autorytatywnie. Podreptał jednak do garnka z kawą i wrócił z dwoma kubkami gorącej, smolistej cieczy.

Al spojrzał na nią i burknął:

- Czarna jak diabli! Pewnie ją pichciłeś cały dzień!

Dziki Jack mruknął coś niezrozumiale i wrócił na dawne miejsce. Zaskrzyptały zawiasy; to Bob Waters otworzył sobie drzwi łokciem, bo obie ręce miał pełne rozmaitych butelek, maści i bandaży. Podeszedł do stołu i zaczął je układać po kolei.

- To specjalna maść na siniaki; usuwa ból raz dwa. - Pchnął słoiczek w stronę Kincade'a. Spod wieczka sączyła się półprzezroczysta zielonkawa galareta. - A tym się posmarujesz, jeśli mięśnie ci zeszywnieją: śmierdzi jak cholera, ale pomaga. A tu masz coś na tę ranę nad okiem. - Po domowych specyfikach przyszła kolej na tubkę ze środkiem odkażającym, zwitki gazy i przyłepiec. - Mam też coś w sprayu - ciągnął dalej Bob.

Al nie zwracał uwagi na medykamenty ustawiane na stole. Jego uwagę przyciągnęła kwadratowa butelka, którą nadzorca trzymał pod pachą: podejrzenie przypominała ćwiartkę whisky. Al wyciągnął ją spod ramienia Boba i uniósł w górę.

- To się nam najbardziej przyda! - oświadczył i zdjął nakrętkę. Alkohol zabulgotał, gdy Al wlał dubeltową porcję do kawy Kincade'a, a potem chlusnął tyle samo do swojego kubka. - Najlepszy środek przeciwbólowy.

Dziki Jack zakręcił się jak fryga i przywarł oczyma do butelki. Rzucił oskarżycielskie spojrzenie na Boba Watersa:

- Skąd to masz?!

- Akurat ci powiem, gdzie ją zamelinowałem! - odparł Indianin.

Nadal wpatrując się weń płonącym wzrokiem Dziki Jack podszedł do stołu i porwał butelkę.

- Cholerna szkoda! - oświadczył i szybko wyłopał połowę whisky. Przez cały ten czas Kincade nie odezwał się ani słowem, koncentrując się na swoich większych i mniejszych obrażeniach. Wypił łyk kawy, rad z piekącego smaku whisky w gardle i lodowego opatrunku kojącego ból w ramieniu.

Okład z lodu podziałał niespodziewanie dobrze. Do kolacji opuchlizna prawie zeszła, a ręka już tylko pobolewała. Mimo to Kincade doszedł do kuchni z wyraźnym trudem: cały był jeszcze obolały.

Gdy dotarł do połowy dziedzińca, zauważył Vince'a, który wspierał się ramieniem o narożnik drewnianego budynku. Lewy policzek przykrywał mu przyklejony na krzyż opatrunek. Jedno oko prawie całkiem zapuchło, na twarzy widać było z pół tuzina siniaków. Rossiter popatrzył z chłodnym zainteresowaniem na zbliżającego się Kincade'a.

- Dziwisz się, że mnie tu widzisz? - spytał Vince.

- Trochę. - Kincade przyjrzał się dziełu własnych rąk.

- Mówiłem ci, że odtąd ja będę miał na ciebie oko - przypomniał Vince. - Zacznij się do tego przyzwyczajać.

Dotrzymał słowa: czekał przed kuchnią, gdy Kincade stamtąd wychodził po kolacji. Inni kowboje spojrzeli wymownie, ale obeszło się bez komentarzy.

Następnego ranka ciemna sylwetka Vince'a objawiła się oczom Kincade'a na tle szarzejącego nieba. Kiedy jechał spełnić wyznaczone mu zadania, obejrzał się i dostrzegł, że Vince jedzie za nim w odległości jakichś stu metrów.

Następnego dnia powtórzyło się to samo: Vince znajdował się zawsze w pobliżu Kincade'a. Rankiem trzeciego dnia Kincade zdecydował, że pora to zmienić.

Jadąc w kierunku północnozachodnim, przyglądał się, jak cały ten kamienisty, bezwodny świat nabiera barw w blasku dnia. To poranne przeistoczenie dokonywało się zawsze niezwykle gwałtownie. W jednej chwili gwiazdy odcinały się wyraźnie od ciemnego nieba, a potem czerń na wschodzie nagle pękała i liliowa mgła roztaczała się pomiędzy ziemią a niebem. Ze wschodu zaczynały wysnuwać się długie pasma świetlne, a rozlewające się po ziemi niczym woda cienie wydawały się jeszcze dłuższe.

Gdy weszło słońce, zjawił się i upał; Kincade czuł palące promienie na plecach. Zachęcił kasztana do galopu, oddalając się coraz bardziej od zabudowań rancza. Spojrzał ukradkiem i upewnił

się, że Vince jedzie zanim.

Zachodnia granica Spur Ranch wrzynała się głęboko w górzyste pustkowie. Zmuszony do zwolnienia tempa na tym kamienistym, nierównym terenie Kincade postanowił wykorzystać jego ukształtowanie do swoich celów; cały czas rozglądał się za odpowiednim miejscem. Był już późny ranek, gdy je wreszcie znalazł.

Naturalna kompozycja głazów i zwalonych pni tworzyła nieprzeniknącą barierę na zboczu górskiego siodła. Poniżej znajdował się porośnięty trawą występ, ocieniony krzewami jałowca. Kincade wprowadził konia za tę naturalną zasłonę, potem przystanął i przyjrzał się, jak można do tego miejsca dotrzeć. Były tylko dwie drogi - i z żadnej z nich nie dało się dojrzeć, co znajduje się w kryjówce na zboczu.

Kincade tak pokierował koniem, że kasztan stał teraz równolegle do owego „parawanu”. Kincade był teraz niewidoczny i mógł czekać, aż pojawi się Vince.

Przez długie minuty słyszał jedynie, jak kasztan przestępuje z nogi na nogę, a wietrzyk gwizdże w krzakach jałowca.

Wychowany na pustyni koń pierwszy zauważył jakiś ruch na drodze za nimi i zasygnalizował to jeźdźcowi, unosząc głowę i strzygąc czujnie uszami. W chwilę później Kincade usłyszał wyraźny stukot podków na kamienistym gruncie.

Nasłuchiwał bacznie i szybko się zorientował, że Rossiter obrał inną drogę po skalnym zboczu. Niewielka lawina kamyków osunęła się po stoku w pewnej odległości od kryjówki. Kincade zebrał cugle kasztana i przygotował się do akcji.

W zasięgu jego wzroku ukazał się koński łeb. Kincade trącił kasztana ostrogami i wypadł zza naturalnej osłony. Jeźdźcem nie był jednak Vince, lecz Eden.

Zaskoczona ściągnęła wodze. Równocześnie Kincade uczynił to samo, wymyślając sobie w duchu od ostatnich, gdy dojrzał w jej oczach błysk przerażenia. Zniknął on natychmiast, gdy rozpoznała jeźdźca: patrzyła na niego powściągliwie i niepewnie.

- Przepraszam. Nie chciałem tak cię zaskoczyć. - Kincade wpatrywał się w jej twarz, oczarowany jak zwykle niecodziennym połączeniem siły i słabości. Przez ostatnie trzy dni robił co mógł, by wybić ją sobie z głowy. Teraz zdał sobie sprawę, że przez cały ten czas o niej myślał.

- Miałeś sprawdzić cysternę przy Red Butte. To ponad kilometr stąd. - Wierzchowcowi Eden udzieliło się jej napięcie i zaczął się nerwowo cofać.

- Nie poznałem dotąd tej części rancza. Pomyślałem, że się rozejrzę, kiedy tu już jestem. - Wyjaśnienie miało wszelkie cechy prawdopodobieństwa, ale nie był pewien, czy Eden mu uwierzyła. - A ty dokąd jedziesz?

Zawahała się, zanim odpowiedziała. Obserwował ledwo widoczną zmianę na jej twarzy; przez oczy przemknął szybki błysk światła i zaraz potem cień, wargi rozchyliły się i znowu zacisnęły. Podniosła na niego oczy, a jej poważne spojrzenie podziałało znów jak elektryczny prąd, budząc w nim pożądanie, które tak starał się zdławić.

- Przyjechałam popatrzeć na zarodowe klacze. - Eden dostrzegła naprężone mięśnie twarzy mężczyzny, gdy starał się ukryć błysk gwałtownego pożądania w oczach.

Czuła żar jego spojrzenia i zbudził się w niej niepokój. Była przekonana, że zaraz ogarnie ją trwoga, a potem gwałtowny wstręt, jak to miało miejsce w stajni. Czuła jednak tylko dreszcz pożądania i jakąś dziwną tęsknotę, graniczącą z bólem.

- Gdzie są te klacze? - Kincade spojrzał w stronę, dokąd zmierzała.

- Jakies pół kilometra stąd jest kotlina. Zazwyczaj tam je znajduję.

W tej chwili jej koń wyciągnął szyję: dostrzegł coś w dali, na zboczu i donośnie zarżał. Eden

obejrzała się i ujrzała jeźdźca, stojącego na wyniosłej krzywiznie górskiego siodła, w odległości może dwustu metrów. Jeździec zawrócił konia i zniknął im z oczu, ale Eden zdążyła rozpoznać brata. Spojrzała na Kincade'a, potem na jego kryjówkę i zrozumiała wszystko.

- Wzięłeś mnie za Vince'a. - Przed chwilą sądziła, że Kincade umyślnie zaczął się na nią, że chciał się z nią zobaczyć. Pokryła rozczarowanie gniewem. - Zaczaiłeś się tu na mego brata, co? Dlaczego? Co on ci zrobił?

Kincade przesunął opuszkami palców po posiniaczonej szczęce.

- Ja tego nie zaczynałem.

- Ale skończyłeś, prawda? - Do gniewu dołączyła się jeszcze gorycz. - Słusznie czy nie, oddajesz zawiązką nie masz zamiaru przestać. Będziesz miał dość dopiero wtedy, gdy go zniszczysz.

- Mówisz o mnie... czy o DePardzie?

Duma kazała jej unieść głowę wysoko. Nosila janiczym pancerz, spod którego nie widać było żadnych uczuć, nawet tłącego się od dawna gniewu. Jeden ruch pejcza i wierzchowiec Eden poderwał się. Kincade ruszył za nią, powodując koniem tak, by jechać u jej boku.

Bez słowa przedzierali się przez gąszcz jałowców. Gdy je sforsowali, wjechali na drogę tak wąską, że Kincade musiał ściągnąć wodze i jechać za Eden. Jedno za drugim wspięli się na skalistą przełęcz. Milczenie przedłużało się, ale było teraz bardziej naturalne, mniej im ciążyło.

Był to wpływ otoczenia: tej krainy całkowicie obojętnej na porywy ludzkich uczuć, choćby takich jak gniew. Olbrzymia przestrzeń Nevady z pasmami zębatych gór i stromymi wzgórzami, dolinami porośniętymi bylicą i kanionami pełnymi fioletowego mroku, była obojętna i niewzruszona. Ten spokój udzielał się wszystkim, którzy przebywali tu dłużej; zniknął gdzieś gorączkowy pośpiech i otwierały się szerokie horyzonty.

Choć Kincade był tu krótko, już wywarła na niego wpływ ta kraina i panująca tu atmosfera ponadczasowości. Przemierzając przestrzenie konno, widząc wokół dzikość i pustkę, wyczuwał w tym jakiś majestat. Jego spojrzenie powędrowało ku ostrym szczytom gór i objęło bezmierną pustynną równinę, potem zaś wróciło ku Eden.

Kincade widział przed sobą prostą linię jej ramion, biodra lekko kołyszące się w rytm końskich kroków. Przyglądał się jej, sam nie będąc widziany. Pod wieloma względami Eden przypominała mu tę ziemię. Była równie silna, równie odporna; w jednej minucie rozpalona, w następnej odpychająca chłodem. Miała też w sobie wiele delikatności, niedostrzegalnej na pierwszy rzut oka.

Było jednak w Eden o wiele więcej zalet. Cechowało ją umiłowanie życia, czego nie zdołała całkowicie ukryć, i głód doznań, którego jej duma nie zdławiła ze szczętem. Ten właśnie głód Kincade doskonale pojmował.

Natura nie uznaje samotności: samotność jest bezcelowa, nie służy niczemu. Dlatego właśnie natura zaszczerpiła w duszy ludzkiej tęsknotę, która każe istotom żywym poszukiwać się nawzajem, napełniając oczekiwaniem, pragnieniem, żądzą - a zaspokoić to może tylko inny człowiek.

Gdy droga stała się znów szersza, Kincade odruchowo zajął miejsce u boku Eden. Poranne słońce wznosiło się wysoko na niebie, jego promienie paliły nietłosiście. Suchy wiatr przynosił woń lasów, porastających górskie zbocza. Z wyjątkiem pobrzękiwania łańcuszków przy uździe i stukotu podków na kamieniach panowała cisza.

Objechali górskie zbocze i nagle ukazała się ich oczom kotlina: duża, pokryta gęstą trawą łąka ukryta wśród skał. Topole i wierzby rosły na brzegach górskiego strumienia, który z pluskiem przez nią przepływał.

Na łące pasły się konie. Kincade naliczył dziewięć klaczy; obok nich plątały się źrebięta, rozproszone w niewysokiej trawie. Z kępy wierzb doleciało głośnie rżenie i Kincade dostrzegł tam

jeszcze dwie klacze, prawie niewidoczne wśród plam światła i cienia.

Koń Eden zarżał na powitanie i żrebak - może czteromiesięczny - wybiegł im naprzeciw. W połowie drogi zatrzymał się i stanął dęba. Małe kopytka młóciły powietrze, uszy położył po sobie, a łebkiem wymachiwał niczym groźny ogier stający w obronie swojego stada.

Ubawiony tym popisem Kincade zerknął na Eden.

- Powinniśmy mieć się na baczności!

Kąciki jej ust uniosły się w uśmiechu; tak samo jak on odczuła urok tej zabawnej scenki.

- Chyba masz rację.

Wielka klacz pinto\*[\* Rasa srokatych koni hodowanych w Ameryce (przyp. tłum.)] zarżała na żrebaka. Kiedy nie przerywał swoich popisów, pokłusowała ku niemu; głośny tupot jej kopyt zamącił ciszę. Gdy była już blisko żrebaka, zastrzygła groźnie uszami. Chwilę później ruszyła pędem ku niemu z pochyloną głową i wyszczerzonymi zębami. Malec pisnął pod pierwszym mocnym ciosem matki i rzucił się do ucieczki, chcąc skryć się wśród innych koni. Klacz następowała mu na pięty, podszczypując celnie od czasu do czasu, by nie zwalniał tempa. Gdy żrebak zatrzymał się wreszcie w bezpiecznej odległości od jej zębów, przypominał nadąsane dziecko.

Ten widok sprawił, że znów wymienili spojrzenia i roześmiali się obój e. Eden odkryła tego poranka bogactwo doznań i zadowolenie, jakiego nie знаła od lat. W jej oczach tlił się odblask radości dzielonej z kimś innym, gdy popędziła konia naprzód, a potem wolniej jechała wśród schodzących im z drogi klaczy. Kincade dotrzymywał jej kroku.

Wielka srokata klacz nie ruszyła się z miejsca i obserwowała ich. Była biała z brązowymi łatanami na zadzie i szyi, zwalista i muskularna. Podrzuciła łbem i spłaszczony uszy parsknęła, ostrzegając Kincade'a, by się zanadto nie zbliżał. Miał zamiar ją okrążyć, gdy nagle zatrzymał się na widok oczu klaczy, jakby nie do pary: jedno było niebieskie, drugie brązowe. Znał tego konia!...

Wielka klacz pinto stała w boksie ze stulonymi uszami; brązowe oko śledziło bacznie każdy ruch nad nią i poza nią. Clyde Hawkins pochwycił mocno kantar, by utrzymać konia w bezruchu. Popręg był mocno zaciśnięty, a rzemień na słabiźnie także znajdował się już na miejscu: niezbyt luźny, żeby się nie zsunął, ale nie za ciasny, gdyż mógłby wtedy zbyt mocno drażnić konia i powodować za silne wierzganie. Wszystko zostało przygotowane.

Kincade wdrapał się na szczyt ogrodzenia i stanął okrakiem bezpośrednio nad grzbietem osiodłanej klaczy. Czuł gwałtowny przyływ adrenaliny; skoncentrował się na czekającym go zadaniu tak silnie, że nie dostrzegał ani nie słyszał niczego wokół siebie, nawet głosu zapowiadającego jego występ.

Znów spoglądał w to oko! Zauważył też na szyi pinto łatkę w kształcie dziecinnej rękawiczki.

- Co się stało?

Wciąż jeszcze tonąc we wspomnieniach tamtego popołudnia sprzed pięciu lat, Kincade odpowiedział bez namysłu:

- Znam tę klacz. To koń Gusa Holta, rekordzistka w skakaniu, Fortuna. Myśmy jednak inaczej ją nazywali - przypomniał sobie. - Mówiliśmy o niej „Bez Punktu”, bo taki rezultat uzyskiwał przeważnie biedak, który próbował jej dosiąść.

- Brałeś udział w rodeo jako zawodowiec?

Nie zamierzał odkrywać przed Eden swojej przeszłości, ale cóż, przepadło.

- Prawie przez całe życie. - Kincade nadal przyglądał się klaczy. - Miałem cztery lata, gdy po raz pierwszy wystąpiłem na Rodeo Maluchów. Potem okazało się, że żadne inne zajęcie mi nie odpowiada, no i w końcu nie robiłem już nic innego. Zawsze marzyłem o tym, by dojść do Ogólnokrajowych Finałów. Kilka razy byłem od tego o włos. Pięć lat temu liczyłem, że wezmę w

nich udział, ale w złą godzinę wsiadłem na tę tu Fortunę. Zrzuciła mnie bez trudu. Złamałem podczas upadku rękę, w której zawsze trzymałem wodze, no i straciłem wszelkie szansę na udział w finałach tamtego roku.

Wspominając te wszystkie lata spędzone w objazdach z zespołem, Kincade zdał sobie sprawę, jak bardzo dziś wydają mu się odległe, zupełnie jakby należały do poprzedniego życia. Tytuł mistrza kraju w ujeżdżaniu dzikich koni także go już nie nęcił.

- Dlaczego zrezygnowałeś z rodeo?

Uświadomił sobie, że Eden wpatruje się w niego z wyraźną ciekawością.

- Nie miałem wyboru. Zbyt wiele razy złamałem sobie wiodące ramię. - Zgiął lewą rękę i poczuł, że nadal jest obolała po bójce z Rossiterem. - Już nie nadaję się do tej harówki.

- Zamieniłeś więc objazdy z zespołem na objeżdżanie rancza? - Eden nie mogła jakoś w to uwierzyć.

- Coś w tym rodzaju.

- Takie życie nie wystarczy ci do szczęścia.

- Może i nie - odparł wzruszając ramionami.

Nadal obserwowała go i znów zrodziły się w niej wątpliwości. Robił wrażenie człowieka, który ma jakiś cel w życiu, jakąś misję. Eden przypomniała sobie jego bójkę z Vince'em i oskarżenia, jakie jej brat rzucał pod adresem Kincade'a. Czy były prawdziwe? Ze zdumieniem pojęła, że nie chce, żeby to była prawda, że w głębi serca pragnie mu zaufać.

Kincade odwrócił się i pytająco uniósł brew.

- Słyszałem, że ta klacz została ranna podczas przewozu i że trzeba ją było dobić. Jak to się stało, że wylądowała u ciebie?

- Po wypadku pan Holt skontaktował się ze mną. Klacz tak ucierpiała, że nie było już mowy o dalszych występach na arenie, ale nie trzeba było jej koniecznie dobić. Zapłaciłam rachunek za weterynarza i pan Holt policzył mi za klacz taniej.

- A dlaczego w ogóle zainteresowałaś się nią? Eden zawahała się, zanim odpowiedziała.

- Wysłałam listy do najwybitniejszych hodowców, zajmujących się dostarczaniem zwierząt na rodeo. Opowiedziałam im o swoim programie hodowlanym i poprosiłam o zawiadomienie mnie, gdyby mieli na sprzedaż klacze zbyt stare do występów lub zranione.

- Program hodowlany... - Kincade spojrzał raz jeszcze na konie pasące się w kotlinie. - To znaczy, że te wszystkie klacze?...

- Występowały na rodeo, pod siodłem lub na oklep - dokończyła za niego Eden i odprężyła się, widząc w jego oczach błysk zainteresowania. - Wszyscy wiemy, że konie przekazują swojemu potomstwu pewne cechy. Czasem jest to lotność, kiedy indziej wytrzymałość, zwinność albo inteligencja.

Kincade skinął głową i podjął jej myśl.

- A ty sądzisz, że niektóre konie stworzone są do skoków, tak jak inne do biegu? - Usta wygięły mu się w uśmiechu. - Czemu nie? Jim Shoulders udowodnił, że jest to możliwe, jeśli chodzi o byki. Słyszałem już, że ten i ów próbuje wyhodować specjalną rasę skoczków. A ty jakie masz rezultaty?

- Jeden czterolatek jest teraz wałachem bardzo przydatnym na ranczo, a trzy roczniaki będziemy wypróbowywać tej zimy.

Eden oddaliła się stępa od klaczy. Kincade dostosował się do niej. Nie zamierzał jednak zmieniać tematu.

- Jakim ogierem je pokrywasz?

- Naszym, ze Spur Ranch. Chciałabym kupić ogiera, który był sławnym skoczkiem. Słyszałam

ubiegłej wiosny o jednym w Oklahomie. Vince pojechał tam obejrzeć go dla mnie, ale okazało się, że koń był półkrwi pociągowy. Gdyby żrebaki po nim nie skakały, nie mielibyśmy z nich pożytku na ranczo: za duże i za ciężkie.

- Masz chyba na myśli Loco Loueya, ogiera Roda Buchera? To krzyżówka belgijskiego perszerona.

- Znasz tego konia? - Spojrzała na niego zaskoczona.

- Chyba każdy kowboj i dostawca bydła na rodeo zna Buchera i jego konia! Prawdę mówiąc, nie wiem, który z nich to większy wariat: Bucher czy ogier? Koń jest złośliwy, najgroźniejszy, jakiego widziałem w życiu. Zapakowanie go do stalowego boksu, wykonanego na specjalny obstalunek Buchera, zajmuje czterem ludziom aż dwadzieścia minut. A siodłanie trwa godzinę. Nakłada mu się zawsze kaganiec, żeby nie mógł odwrócić głowy i pokąsać jeźdźca. Bestia jest bardzo niebezpieczna. Żaden przedsiębiorca nie ma ochoty z niej korzystać. Rodeo to sport wyczynowy, a nie walka na śmierć i życie, a ten ogier do tego się tylko nadaje, czy na arenie, czy poza nią.

- Vince nawet mi o tym nie wspomniał - mruknęła Eden.

- Może miał co innego na głowie.

Eden wbiła wzrok w rozciągającą się przed nimi przestrzeń. Rodeo stanowiło część życia Kincade'a, tak jak ta ziemia była częścią jej istoty. Stracić ją, zostać z niej wyzuta, móc oglądać ją tylko z daleka - to byłaby męka nie do zniesienia.

Kincade zatrzymał konia.

- Co to za jezioro?

Eden spojrzała w tym kierunku i uśmiechnęła się, dostrzegłszy widmowy odbłask wody na północy.

- To tylko złudzenie. Tam jest południowy kraniec Black Rock Desert. Sam piach. To wyschnięte łożysko było niegdyś częścią prehistorycznego jeziora Lahontan, które zajmowało dużą część Great Basin pięćdziesiąt tysięcy lat temu. Jest wielkie i jałowe, i dziwnie piękne; praktycznie nie do przebycia w porze deszczowej, a przez resztę roku ziemia tam twarda jak cement.

- Black Rock Desert. - Kincade zmarszczył czoło. - Czy nie tam właśnie ustanowiono niedawno nowy rekord szybkości?

Eden skinęła głową.

- Kilka lat temu. To był brytyjski zaprzęg wyścigowy.

- Pamiętam, że gdzieś o tym czytałem.

- To straszny kraj. Gdy człowiek znajdzie się na bezdrożu, na wiele mil wokoło nie widzi nic prócz twardej, białawej ziemi, na której praktycznie nic nie rośnie. Fremont nie ośmielił się zapuścić na ten teren, choć odkrył go podczas swojej ekspedycji. \*\* John Charles Fremont (1813-90), amerykański badacz i podróżnik, a także polityk. Zbadał dzikie tereny na zachodzie Stanów Zjednoczonych i sporządził ich mapy (przyp. tłum.)] Jednak setki emigrantów przewędrowało tędy na zachód.

- Jak rozległy jest ten teren?

- Ma około stu kilometrów długości i aż trzydzieści kilometrów szerokości. Ogółem prawie milion akrów.

- A co jest po drugiej stronie? - spytał ciekawie Kincade.

- Kolejne pasmo górskie, a za nim równiny zachodniego Oregonu. Wyobraź sobie, jak pionierzy wędrowali przez to pustkowienie na wozach zaprzężonych w woły, a potem docierali do gór i musieli je sforsować, żeby dotrzeć do dolin Oregonu. Przebycie tej samej odległości - trzystu kilometrów - samochodem zajęłoby dziś ze dwie godziny. Ale wołami... - Eden urwała, olśniona nagłą myślą.

Spoglądała na pustynny miraż i na dalekie góry, przypominające ledwie widoczny cień na horyzoncie. Granica stanu Oregon leżała zaraz za tymi górami.

- O co chodzi? Czy coś się stało?

Pytanie dotarło do świadomości Eden dopiero po chwili. Odwróciła się.

- Nie - odparła. - Nie stało się nic złego. Lepiej sprawdź tę cysternę przy Red Butte. Ja też muszę koniecznie coś sprawdzić.

Skierowała znów konia w stronę rancza.

Słońce zapadło już za linię horyzontu. Pozostało po nim tylko cienkie pasmo o barwie ametystu po zachodniej stronie nieba, gdy całą ziemię otulił ciemnofioletowy zmierzch. Eden już kilometr wcześniej włączyła reflektory samochodu. Snopy światła rozpraszały gromadzące się wokół cienie i oświetlały wyboistą drogę do domu.

Znosząc dzielnie wstrząsy, Eden wprawnie prowadziła ciężarówkę. Była zgrzana i zmęczona długą wyprawą, ale pełna entuzjazmu.

Oświetlone okna zabudowań gospodarskich zajaśniały w ciemności. Eden podjechała prosto pod dom mieszkalny i wysiadła z wozu. Mimo obolałych mięśni i zeszywniałych stawów przeszła przez werandę różnym krokiem. Dotarł do niej zapach smażonej cebuli i odezwał się głód: przypomniała sobie nagle, że od rana nie miała nic w ustach.

Kierując się smakowitą wonią powędrowała do kuchni. Tutaj powitało ją skwierczenie smażących się na patelni ziemniaków z cebulką. Przy garnkach ujrzała Vince' a, który metalową łyżką nakładał na talerz hamburgera, także przybranego cebulą.

- Wybaczę ci wszystkie grzechy, jeśli tego, co przygotowałeś, starczy dla nas dwojga. - Eden zerwała z głowy kapelusz i rozpuściła włosy.

Brat rzucił jej gniewne spojrzenie.

- Czy ty w ogóle wiesz, która godzina? Gdzie cię nosiło, do wszystkich diabłów?!

Eden bardzo chciała mu o tym opowiedzieć, zwierzyć się Vince'owi ze swojego planu. Nie mogła jednak pozwolić, by wygadał się z czymś jak poprzednio.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że dla mnie nie wystarczy?

- Już odłożyłem porcję dla ciebie. Zadowolona? - Vince uniósł ze zniecierpliwieniem pokrywkę, by mogła zobaczyć, co pod nią jest.

- Powinnam częściej się spóźniać. - Podeszła do zlewu umyć ręce.

- Mogłaś mi zostawić kartkę z wiadomością, dokąd się wybierasz. Gdyby się coś stało, wiedziałbym przynajmniej, gdzie cię szukać. - Vince zaniósł oba talerze na stół.

- Masz rację. Powinnam była to zrobić. - Eden usadowiła się na krześle z wilgotnymi jeszcze rękami. - Może odłożysz resztę kazania na potem? Umieram z głodu.

Odpowiedziała jej cisza. Eden to dogadzało. Dosłownie rzuciła się na jedzenie.

- Pyszne było! - Skończyła, odsunęła pusty talerz i sięgnęła po resztę mleka.

- Nie powiedziałaś, gdzie cię nosiło. - Vince odchylił się z krzesłem do tyłu, wbijając w siostrę ciemne oczy.

- Tu i tam - skrzywiła się lekko. - Jeśli wiesz, gdzie można wynająć kilku parobków, daj mi znać.

- Na pewno kogoś znajdziesz.

- Nie mogę dłużej czekać. Postanowiłam, że jutro zaczniemy jesienny obchód rancza. - Zebrała brudne talerze i sztućce i zaniósła je do zlewu.

- Jeszcze na to za wcześnie.

- Mamy za mało rąk do pracy, więc potrwa to dwa razy dłużej. - Tak byłoby rzeczywiście, gdyby dokonywali przeglądu równie dokładnie jak zawsze, ale Eden nie miała takiego zamiaru. Chciała



sprawdzić wszystko na łapucapu, byle szybciej i spędzić tę część bydła, którą da się odnaleźć bez trudu. Można było tego dokonać w dwa tygodnie. DePard będzie przekonany, że obchód rancza potrwa miesiąc albo i dłużej. O to właśnie chodziło!

- Co zrobisz z bydlęm, kiedy je razem spędzisz? Nie uda ci się go przewieźć na rynek. DePard pozbawił cię wszelkich szans.

- Nie mam zamiaru martwić się na zapas. - Ustawiła resztę brudnych naczyń w zlewie i wróciła do stołu, by go uprzątnąć.

- Nic ci z tego nie przyjdzie. DePard już się o to postarał. Uharujesz się tylko na darmo.

- Tak sądzisz?

- Taka jest prawda - oświadczył z irytacją. - Czemu nie chcesz się z tym pogodzić?

- Ponieważ wtedy DePard by mnie pokonał, a na to mu nie pozwolę! To byłaby krzycząca niesprawiedliwość! Przynajmniej ty powinieneś o tym wiedzieć!

Słyszając te gwałtowne słowa Vince odwrócił wzrok.

- Przecież wiem.

- Więc pomóż mi, zamiast przeszkadzać!

Wstał z krzesła i zwrócił się twarzą do siostry, pełen urazy.

- Pomagam ci na swój sposób, jak tylko potrafię. Eden uwierzyła mu. Westchnęła głęboko.

- Wiem. Po co się w takim razie kłócimy?

- Bo nie chcesz mnie posłuchać. A racja jest po mojej stronie.

Żeby nie wszczynać dyskusji na ten temat, Eden przyjrzała się opatrunkowi na twarzy Vince'a.

- Jak tylko pozmywam, przypomnij mi, żebym ci zmieniła bandaż.

- Sam zmieniłem opatrunek dziś rano. - Vince odruchowo dotknął palcem zranionego policzka.

- Jak się goi? - Eden otworzyła lodówkę i schowała przyprawę.

- Świetnie. - Gdy siostra podeszła do zlewu, Vince udał się za nią. - Widziałem was razem dziś rano. Bardzo przyjaźnie sobie gawędziliście.

- Nic podobnego. - Eden miała się już na baczności: nie wolno jej było zdradzić, co czuła do Kincade'a, a Vince był bardzo dociekliwy. - Pojechaliśmy tylko obejrzyć zarodowe klacze.

- Mielście sobie wyraźnie dużo do powiedzenia. Czy on wspominał coś o mnie?

- Nie. - Eden zdała sobie nagle sprawę z tego, że robi wszystko, by wybić sobie Kincade'a z głowy, wyrzucić z mózgu wszelką myśl o nim. - Przeważnie opowiadał mi o sobie. Występował z profesjonalnym zespołem na rodeo, aż wreszcie musiał z tego zrezygnować, bo doznał zbyt wielu obrażeń. Pamiętasz Fortunę, tę wielką klacz pinto, którą kupiłam? Kincade kiedyś jej dosiadał.

- Występował na rodeo?

Eden poczuła na sobie twarde, badawcze spojrzenie Vince'a i odwróciła głowę.

- Tak. Wyobraź sobie, że zna ogiera, którego pojechałeś obejrzyć na wiosnę w Oklahomie.

Eden mówiła dalej, sypała szczegółami na temat konia, których dowiedziała się od Kincade'a. Vince jednak nie słuchał jej. Czuł, jak obrzydliwe mdłości podchodzą mu z żołądka pod gardło. Odsunął się od zlewu, a myśli wirowały mu w mózgu. Zwłaszcza jedna ciągle powracała, choć starał się ją odsunąć. Była przerażająca, ale wyjaśniała tak wiele... Drobne kropelki potu wystąpiły mu na czoło, a w sercu kielkowały nasionka paniki.

- Nie słuchasz mnie, Vince? Odwrócił się gwałtownie.

- Przepraszam. Co mówiłaś? - Dłonie mu zwilgotniały, więc wytarł je o uda.

- Tylko to, że i jemu nie podobał się tamten ogier. - Eden rzuciła bratu zdumione spojrzenie.

- A, tamten ogier. - Vince skinął nerwowo głową. - Mówiłem ci, nie miałabyś z niego żadnego pożytku. - Podeszedł do drzwi. - Duszo tu. Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza.

Wyszedł, unikając dalszych pytań.

Zatrzymał się na frontowej werandzie i wciągnął z trudem powietrze w płuca. W chromowanych częściach jego pikapa odbijały się światła domu.

Kiedy grzebał w kieszeni szukając kluczyków, z cienia dobiegł do niego głos:

- Wybierasz się gdzieś, Rossiter?

Vince znieruchomiał. Strach - jak wszystkie gwałtowne emocje - wyostrzył mu zmysły. Poczł zapach cygara i ujrzał jego żarzący się koniuszek, spoglądający z ciemności jak czerwone oko. Kincade, czyli K.C. Harris, wynurzył się z mroku i stanął w kałuży światła padającego z okien domu.

Vince wpatrywał się w jego twarz: wydatne kości policzkowe, spiczasta broda. Dostrzegał teraz podobieństwo do Marcie. Takie same bladoniebieskie oczy i płowe włosy. Że też od razu tego nie zauważył!

- Czego chcesz? - z trudem wykrztusił przez zaciśnięte gardło. Kincade leniwie strzepnął popiół z cygara.

- Uznałem, że już czas, by ci przypomnieć, kto tu kogo ściga.

Vince nie czekał na więcej. Obrócił się na pięcie i wszedł z powrotem do domu, prosto do ciemnego pokoju. Zbliżył się do okna obok szafki z bronią i wyrztał przez nie. Postać Kincade'a odcinała się wyraźnie w mroku: wielka, czarna sylwetka. Vince cofnął się i przycisnął usta dłonią.

Gnany niepokojem i strachem, odsunął się jak najdalej od okna i przejechał palcami po włosach. Oparł się o zamkniętą szafkę, w której chowano broń. Przez kilka minut wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w ustawione w szafie strzelby. Wreszcie jego uwagę przyciągnęła jedna z nich: ta, którą pochwyciła Eden, ruszając w pościg za nasłanym przez DeParda snajperem, strzelającym ze szczytu wzgórza. Vince długo wpatrywał się w tę broń, a spojrzenie stopniowo mu się rozjaśniało. Wreszcie wyprostował się, odwrócił i wyszedł z pokoju.

- Jadę do Starr na piwo! - zawołał do Eden podchodząc do frontowych drzwi.

- Jeśli natkniesz się na kogoś, kto szuka pracy, przywieź go ze sobą!

- Jasne.

Z kluczykami w ręku Vince wyszedł z domu. Ani razu nie spojrztał w stronę żarzącego się w mroku cygara; podszedł wprost do pikapa i siadł za kierownicą. Wetknął kluczyki do stacyjki i motor ożył. Vince zawrócił spod domu na ścieżkę.

Po przejechaniu kilometra w lusterku wstecznym ujrzał światła reflektorów. Uśmiechnął się na ten widok.

- Wszystko gra - mruknął. - Byle ci się tyłkonie sprzykrzyło zamnajeździć!

W „Lucky Starr” było może z pół tuzina klientów, sami miejscowi, kiedy wkroczył tam Vince. Z grającej szafy dobiegały chrapliwe tony pianina, na którym ktoś zawzięcie bębnił; przy tym akompaniamencie Mickey Gilley wyśpiewywał o tym, że dziewczęta wieczorem nabierają roku.

Stojący za barem Roy dostrzegł przybysza i powiedział coś do Starr. Odwróciła się wprawiając w ruch kilometry frędzelków przy zielonej koszuli.

- Ależ to Jego Wysokość Pan Przystojniak! - zawołała wychodząc mu na powitanie. - Cóż za niespodzianka!

- Pomyślałem sobie, że w tym lokalu przydałoby się trochę życia - Vince pohamował zniecierpliwienie i uśmiechnął się.

- Pewnie, żeby się przydało. A poza tym co nowego? - odparła Starr. Nagle urwała i zajrzała mu uważnie w twarz; na jej czole pojawiła się zmarszczka. - Co ci się stało?

Vince zawahał się, a potem skłamał jak z nut:

- To co zawsze: zazdrosny mąż i mieszkanie bez tylnego wyjścia. Roześmiała się gardłowo.

- Jesteś urodzonym łgarzem, Vince. Chyba nie potrafiłbyś dostrzec prawdy, nawet gdyby walnęła cię prosto w twarz. A może to ci się właśnie przytrafiło?

- Nieważne. - Rzucił ukradkowe spojrzenie przez ramię; niecierpliwiał się coraz bardziej.

Kincade mógł pojawić się w każdej chwili. Nie było wiele czasu.

- Zrób coś dla mnie, Starr. - Objął ją ramieniem i poprowadził w stronę baru.

- Co mianowicie? - spytała, ostrożna jak zwykle.

- Przekaż wiadomość DePardowi. Powiedz, że muszę spotkać się z Sheehanem pojutrze na rozstajach przy Eagle Gulch. Niech przyjdzie punktualnie o dziesiątej rano. Nie będzie mi się łatwo wymknąć i nie mogę na niego czekać. Zapamiętałaś?

- A jakże. - Starr skinęła głową, mocno zaintrygowana. - Ale czemu sam nie zadzwonisz do DeParda?

- Nie mam czasu na wyjaśnienia. Zrobisz to, o co proszę? Bardzo mi na tym zależy.

- Zrobię.

- Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. - Vince puścił do niej oko i uściśnął ją, a potem wskazał ruchem głowy schody prowadzące do jej gabinetu na piętrze.

- Lepiej zadzwoń od razu.

Drzwi frontowe otwarły się i wszedł Kincade. Bystre oczy Starr porównały siniaki na obu twarzach. Posłała Vince'owi wymowne spojrzenie.

- Wygląda na to, że i ty mu dołożyłeś.

- Raz czy dwa - uśmiechnął się.

Starr po drodze ku schodom minęła Kincade'a i przywitała się z nim. Odprężony i pewny siebie Vince skinął na Roya, żeby podał mu piwo. Uśmiechał się nadal, gdy Kincade podszedł i oparł się o mahoniowy blat baru metr od niego.

- Utoocz mu piwa, Roy, i zapisz to na mój rachunek - zarządził Vince. Gdy podchodził do Kincade'a, uchyliły się wahadłowe drzwi do kuchni i przez szparkę wyjrzał Rusty. Widząc Kincade'a przy barze z Rossiterem przymknął drzwi z powrotem.

- Wolę pić za własne pieniądze - oświadczył Kincade.

- Jak sobie chcesz. - Vince uniósł kufel i zasalutował ironicznie rozmówcy; uśmiech nadal czał się w kącikach jego ust. - Lepiej się napij. Minie co najmniej sześć tygodni, zanim znów zakosztujesz piwa.

- A to czemu? - Kincade podał Royowi kilka monet, gdy ten postawił przed nim kufel.

- Ruszamy jutro na jesienny obchód rancza. Roy dosłyszał i zdumiony zmarszczył brwi.

- Tak wcześnie?

- Brakuje nam rąk do pracy i pewnie dłużej to potrwa - wyjaśnił Vince. - Jeśli usłyszysz o kimś, kto szuka zajęcia, przyślij go do nas.

Roy mruknął coś i odszedł.

Vince oparł się łokciem o bar i zwrócił twarzą do Kincade'a.

- Słowo daję, chyba przywykłem do twojego towarzystwa. Nawet mnie już nie wkurza, kiedy się nagle zjawiasz.

- Jeszcze dziś wieczór nieźle cię to zdenerwowało.

- Dziwisz się? Przestraszyłeś mnie jak cholera! - Vince uśmiechnął się swobodnie. Zbiło to Kincade'a z tropu.

- I dlatego zwiąłeś zaraz do domu?

- Zapomniałem kluczyków i musiałem je znaleźć. - Vince odczekał chwilę. - Będę z tobą szczerzy. Eden wypaliła mi dziś niezłe kazanie. Powiedziała, że mamy dość kłopotów z DePardem, żeby

zadziierać z innymi. Na przykład z tobą. I miała rację. - Dotknął opatrunku na policzku. - Pewnie sam się o to prosiłem. W każdym razie, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym zapomnieć o całej sprawie.

- A jeśli mam coś przeciwko temu? - spytał wyzywająco Kincade. Nie dowierzał mu.

- Cóż, na to nic już nie poradzę. - Vince niedbale wzruszył ramionami. - Dawno się już przekonałem, że nie ma co dyskutować z kimś, kto koniecznie chce się odegrać. Jeśli mi nie wierzysz, spójrz na DeParda. Ja tam nie jestem pamiętliwy. Szkoda na to energii.

- Ale odwet może sprawić wiele satysfakcji.

- Jeszcze się o tym nie przekonałem. - Vince dostrzegł kogoś za plecami Kincade'a i wstał z barowego stołka. - No i co, dodzwoniłaś się, Starr?

- A jakże.

Kincade zauważył, że wymienili spojrzenia. Zrodziło się w nim podejrzenie, że przekazują w ten sposób jakąś sekretną wiadomość. Uśmiech zadowolonego z siebie Rossitera jeszcze go o tym upewnił.

Vince skierował się ku grupce mężczyzn siedzących przy stoliku.

- Hej, Hoague, co byś powiedział na pokera? Czuję, że szczęście mi dziś dopisze.

Zwalisty właściciel stacji benzynowej podniósł opasłe cielsko z krzesła.

- Jeśli karta będzie ci tak szła jak w sobotę, to cała przyjemność po mojej stronie. - Trącił w ramię sąsiada. - No, rusz się, Murphy. Rzućmy trochę chleba na fale: a nuż do nas wróci?

Kilka minut później cała czwórka grała już w pokera. Kincade pozostał przy barze, leniwie popijając piwo. Jego uwaga skoncentrowała się teraz na Starr, która podeszła z tacą pustych kieliszków i kufla. Podała ją Royowi, odwróciła się i spojrzała na Kincade'a.

- Mały dziś ruch - zauważył.

- Bywało gorzej. - Podeszła do niego swoim powolnym, kocim krokiem. - Pracujesz teraz na Spur Ranch, prawda?

- Uznałem to za najlepsze rozwiązanie.

- I to był błąd - powiedziała ostrzegawczo.

- Nie sądzę. - Kincade odwrócił się w stronę grających w pokera i oparty plecami o bar sączył piwo.

- Nie uda się jej utrzymać rancza. DePard do tego nie dopuści. - Niech próbuje.

- Z pewnością mu się uda.

- Może. - Kincade zabełtał resztką piwa w kuflu. - Wiem, że jej brat donosi DePardowi o wszystkim: zależy mu na tym, by jego plany się powiodły. Czy przypadkiem kochany chłopcaś nie korzysta z twojej pomocy?

- Sprytny z ciebie facet, Kincade. Domyśl się sam. - Na jej ustach pojawił się leniwy uśmiech. - A teraz przepraszam: robota czeka. - Ciągłe z tym uśmieszkiem, pełnym wyższości, opuściła bar i kasyno i skierowała się schodami na górę, do swojego gabinetu.

Dwie godziny później Vince zgarnął wygraną i podszedł do baru, przy którym stał Kincade.

- Ja się już zmywam - oznajmił i mrugnął na niego. - A ty?

Chichocząc klepnął Kincade'a po plecach i pomaszerował ku drzwiom na niezbyt pewnych nogach. Kincade bez pośpiechu sięgnął do kieszeni, zapłacił za ostatnie piwo i skierował się do wyjścia.

Przygotowany na kłopoty Kincade wyszedł na zewnątrz i niezwłocznie uskoczył w bok, ale Vince nie czytał na niego w zasadzce. Zachowując nadal ostrożność Kincade ruszył w kierunku skrzyżowania, cały czas trzymając się ściany budynku.

Silnik ciężarówki zaskoczył. Monotonny łoskot zmącił nocną ciszę. Gdy Kincade dotarł do rogu ulicy, ujrzał, że pikap Vince'a odjeżdża spod lokalu Starr kierując się na północ. Jeszcze przez chwilę widział czerwone tylne światła.

Rusty wyłonił się z głębokiego cienia bocznej alejki. Jego przybrudzony fartuch kucharski białł w mroku. Podobnie jak Kincade, popatrzył za odjeżdżającym wozem.

- Jak sprawy stoją?

- Sam nie wiem. - Kincade wyjął cygaro i zapalił. Rusty przyjrzał się jego twarzy.

- Wygląda na to, że wymieniliście kilka ciosów.

- Owszem, kilka.

- I potem chciał ci postawić drinka? A może się przesłyszałem? - Ajakże, chciał. Rusty potrząsnął głową.

- To nie trzyma się kupy. Kincade był tego samego zdania.

- Podobno chce wybaczyć i zapomnieć o wszystkim.

- Może to byłoby najlepsze rozwiązanie, Kincade - poradził Rusty całkiem serio.

- Nie mogę.

- Marcie wcale nie byłaby z tego zadowolona. Sam wiesz.

- Marcie miała zbyt miękkie serce.

- Jasne, ale nie zapominaj, że wszystko złe, co człowiek zrobi, wraca do niego.

- W takim razie Rossitera czeka sporo nieprzyjemności.

- Ty już tego dopilnujesz, prawda?

- Prawda.

- Nibyjak? Wszystko sobie obmyśliłeś?

- Jeszcze nie - przyznał Kincade. - Ale na pewno jest coś, na czym mu bardzo zależy, albo coś, czego się lęka - i to zabol go bardziej niż wszystko inne. Kiedy dowiem się, co to takiego, Rossiter zapłaci za wszystko.

- Jeśli ktoś chce innemu wyrządzić krzywdę, nieraz sam najgorzej na tym wychodzi.

- Gotów jestem zapłacić każdą cenę.

- Naprawdę? - spytał wyzywająco Rusty. - Jesteś tego pewien? - Nie uda ci się odwieść mnie od zamiaru, Rusty, więc się nie wysilaj - oświadczył Kincade. - Jeśli nie chcesz mi pomóc, wracaj do Oklahomy.

- Ładny byłby ze mnie przyjaciel, gdybym zmył się tylko dlatego, że moim zdaniem nie masz racji! Bo nie masz racji, Kincade! Popelniasz najgorszy błąd w życiu!

- Zobaczymy.

- Cholernie trudno być twoim przyjacielem, Kincade. Ale powiem ci raz na zawsze: czy masz rację, czy nie, możesz na mnie liczyć. I na litość Boską, zadzwoń do mnie, jak będziesz potrzebował pomocy, bo inaczej przekonasz się, że gadka o rudych włosach i cholerycznym temperamencie wcale nie jest przesadzona! Słyszysz?

- Całkiem wyraźnie. - Kincade skinął głową; w kącikach ust pojawił się ledwie dostrzegalny uśmiezek.

- To dobrze. - Rusty odwrócił się i zniknął w ciemnej alejce.

Ciszę brzasku zamąciły narastające odgłosy aktywności na dziedzińcu rancza: buty ślizgały się w strzemionach, siodła skrzypiały pod ciężarem wsiadających jeźdźców, podkowy stukały o ubitą ziemię, turkotały ruszające w drogę wozy.

Eden obserwowała wszystko z boku; nie mogła się doczekać odjazdu, ale starała się to ukryć. Nadjechał wóz z pościelą; powoził Vince. Gdy tylko ujrzał siostrę, zatrzymał konie i dał jej znak

ręką. Denerwowała się na myśl o dalszej zwłoce, podeszła jednak do niego szybkim krokiem.

Wetknięte do kieszeni na biodrze mapy uderzały ją po plecach przy każdym ruchu.

- Czego chcesz? Zatrzymujesz innych. - Obrzuciła spojrzeniem jeźdźców, którzy utknęli za wozem z pościelą. Jednym z nich był Kincade; udawała, że tego nie dostrzega.

- Czemu nie jedziesz razem z nami? - powiedział z pretensją Vince.

- Już zapomniałeś? - Eden wzruszyła ramionami, starając się ukryć rozdrażnienie. -

Powiedziałam ci wczoraj wieczorem, że muszę wystarać się o niezbędne zapasy.

- Mówiłaś mi o tym? Kiedy?

- Jak wróciłeś od Starr, gdzie nie załowałeś sobie piwa. Dołączę do was jutro koło Big Timber Canyon. - Eden odsunęła się od wozu i uniosła dłoń w pożegnalnym geście.

Wóz ruszył. Gdy Eden odwróciła się, by odejść, Kincade zauważył, że z kieszeni jej spodni wysunął się plik papierów i upadł na ziemię. Nie zauważyła tego i szła dalej ku domowi, więc spiał konia i popędził, by oddać jej zgubę.

- Eden, zaczekaj! - Zeskoczył z siodła na ziemię. - Upuściłaś coś!

Kiedy Kincade podnosił papiery, przekonał się, że są to mapy Nevady: jedna samochodowa, a druga bardziej szczegółowa, z zaznaczonymi bocznymi drogami. Obie były tak złożone, że widniała na nich ta sama część stanu. Na obu też w kilku miejscach narysowano krzyżyki; jeden był obwiedziony kółkiem, a dwa jakby przekreślone.

- Co to takiego? Szukasz ukrytych skarbów? - zażartował, gdy Eden odwróciła się w jego stronę.

- Skądże! - z rzadką u niej niecierpliwością wyrwała mu zgubę z ręki. - Zwykle mapy drogowe.

- A ty zabierasz je ze sobą. - Postawa Eden wyraźnie świadczyła o tym, że mapy są może i zwykle, ale znaki na nich mają jakieś szczególne znaczenie. - Pewnie bez nich nie trafiłabyś do miasta. - Kincade nadal mówił lekkim tonem, trochę kpiąco, choć był wyraźnie zaintrygowany.

- Nie bądź śmieszny! - W głosie Eden brzmiało zniecierpliwienie, w oczach pojawiły się gniewne błyski. Prawie wyrwała mu mapy. - Nie stercz tu, tracisz tylko czas. Robota czeka!

Kincade zawahał się przez moment, potem ujął cugle i dosiadł gniadosza. Ukrócił niespokojne podskoki wałacha i obejrzał się na Eden.

- Jeśli masz jakieś plany, o których DePard nie powinien się dowiedzieć, radzę ci, nie zwierzaj się z nich bratu.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. - Dostrzegł jednak w jej oczach wyraźny błysk niepokoju.

- Niech ci będzie. - Kincade odjechał i zaraz ponaglił konia do galopu.

Tuż po siódmej dotarli do Big Timber Canyon; wąwóz zamykały przypominające zakrzywione palce występy skalne. Skłonili wszystkie idące luzem konie do wejścia w głąb kanionu i pozwolili im swobodnie paść się na jego porośniętą trawą, nie zdrzewionym dnem. Kincade rozglądał się, ale nie dojrzał w pobliżu niczego wyższego od krzaków bylicy. Nie było też żadnych zmurszałych pni na brzegach przepływającego przez wąwóz strumienia, bardzo płytkiego w porze upałów.

Kincade zmarszczył czoło i zwrócił się do Ala:

- Nazywa się to Big Timber Canyon[\* Kanion Wielkich Drzew (przyp. tłum.)], więc gdzie się podziały drzewa?!

- O ile wiem, nikt ich tu nigdy nie widział.

- To skąd się wzięła ta nazwa?

- Pewnie to próbka miejscowego humoru. W tych stronach nie ma zbyt wielu powodów do śmiechu. - Al omiół spojrzeniem rozległą przestrzeń pokrytą skałami, bylicą i piachem. - Przeważnie trzeba więc wymyślać samemu jakieś żarciki.

- I to w nie najlepszym gatunku, jak tutaj szał gleba - zauważył Kincade z cierpkim uśmiechem.

Al zachichotał.

- A jakże!

Rozbili obóz u wejścia do kanionu. Skoro tylko Kincade rozstawił swój namiocik i rozmieścił w nim osobisty sprzęt, udał się do namiotu - jadalni. Dziaki Jack ugotował wielki gar kawy. Kincade nalał jej sobie do kubka. Kawa była słabsza niż zwykle, ale za to okropnie gorąca. Kincade podmuchał na płyn, by go ostudzić, i usadowił się na dyszlu wozu, czekając aż reszta załogi skończy swoje obrządki.

Vince zjawił się ostatni.

- Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby ktoś zmarnował tyle czasu na poutykanie w namiocie kilku rzeczy! - skomentował to Al. - Przyznaj się, coś ty robił przez cały ten czas? Może uciąłeś sobie poranną drzemkę?

- Wyszukiwałem najmniej kamieniste miejsce na moje legowisko - uśmiechnął się Vince. - Znacznie mnie, chłopaki: lubię komfort.

Zjawił się nadzorca, Bob Waters.

- Pora ustalić plan pracy - oświadczył. Przykucnął i narysował palcem na ziemi prymitywną mapę okolicy. - Podzielimy cały teren na sektory i zwrócimy specjalną uwagę na miejsca oddalone od wody najwyżej o pół dnia, na których rośnie bujna trawa. Tam znajdziemy większość bydła. Będziecie pracować parami...

- Ja pojedę z Rossiterem - odezwał się Kincade.

- Z ust mi to wyjąłeś - Vince skinął głową i leciutko się uśmiechnął. Słońce błysnęło w soczewkach okrągłych okularów Indianina, gdy popatrzył najednego i drugiego.

- Nie zapomnijcie tylko, po co tu jesteśmy - ostrzegł.

- Będę pamiętał - obiecał Kincade.

- Dobra. Macie ten sektor od wschodu, aż do Działki Butlera. - Zaznaczył tę część na mapie wyrysowanej na piasku. - To duży obszar, ale przeważnie równinny. Al, ty i Dekę weźmiecie Tabletop. Ja sam sprawdzę Windy Springs. Są jakieś pytania? - Odpowiedziała mu cisza. Bob wstał. - Więc jazda!

Wszyscy jak jeden mąż ruszyli do swoich koni. Vince zwolnił kroku, by dotrzymać towarzystwa Kincade'owi.

- Nieraz już słyszałem o ludziach, którzy przegrywają z kwaśną miną, ale pierwszy raz widzę naburmuszonego zwycięzcę. Jeśli dotąd tego nie zauważyłeś, informuję, że oberwałem gorzej od ciebie. - Postukał palcem w opatrunek na policzku.

- Zauważyłem. - Kincade okręcił wodze wokół szyi gniadosza i wsunął stopę w strzemień.

- Miło mi to słyszeć. - Vince staranniej dopasował popręg przy strzemionach, klepnął swojego konia mocno w brzuch i zacisnął ramię jeszcze mocniej. - Lepiej zapnij popręg na następną dziurkę - poradził Kincade'owi.

- Jest w porządku. - Wskoczył na konia.

- Twój kark, nie mój. - Vince wzruszył obojętnie ramionami i także dosiadł swojego wierzchowca.

Słońce świeciło im prosto w oczy, gdy wyjeżdżali z obozu kierując się na wschód swobodnym, kołyszącym galopem. Kilometr dalej dostrzegli kilkanaście sztuk bydła, pasącego się na pobliskim wzniesieniu; były to krowy i duże, zimowe cielaki, ważące trzysta albo i więcej kilogramów. Gdy tylko zwierzęta zobaczyły zbliżających się jeźdźców, zadarły ogony i pognały na otwartą przestrzeń.

Vince klął i wrzeszczał.

- Uciekną Bóg wie jak daleko, jeśli ich nie zawrócimy!

Kincade domyślił się tego już wcześniej i przynaglił konia do galopu. Wierzchowiec Vince'a został o pół długości w tyle, gdy pędzili za uciekającym bydłem. Powietrze rozbrzmiewało tętentem, brzękiem ostróg, traskiem tratowanych krzewów bylicy i nieustannym, rytmicznym burczeniem, które wydobywało się z końskich brzuchów podczas uciążliwego pościgu.

Grunt był kamienisty i nierówny, upstrzony kępami bylicy; niektóre krzaki miały ponad metr wysokości. Niższe wierzchowiec Kincade'a przeskakiwał, wyższe omijał.

Doganiał już bydło; dzieliło ich od niego najwyżej dwadzieścia metrów. Wymachując biczem nad końską głową i chłoszcząc nim boki wierzchowca Kincade usiłował go skłonić do jeszcze szybszego pędu.

Wjechali na szczyt wzniesienia i nagle zamajaczyła przed nimi wyjątkowo wysoka kępa bylicy. Gniady uskoczył w bok, by nie wpaść na krzaki; siodło osunęło się, a Kincade runął głową prosto w gąszcz. Odruchowo obrócił się w prawo, by ta strona ciała przyjęła na siebie cały impet upadku i żeby ochronić słabszą, lewą rękę. Grzmotnął o ziemię; rozległ się trzask pękających gałązek, które zapewniły mu nieco miększe lądowanie.

Przez moment leżał ogluszony; czuł tylko, że ostre końce ułamanych łodyg kłują go w kilkunastu różnych miejscach. Nie odczuwał jednak żadnego pulsującego ani przeszywającego bólu; było to zatem zwykłe potłuczenie.

Jakoś udało mu się wygramolić z bylicy i stanąć na nogi. Koszulę miał rozdartą w kilku miejscach, ale sam wyszedł bez szwanku, jeśli nie liczyć niewielkich zadrapań. Rozejrzał się za koniem. Wałach stał w odległości kilku metrów, siodło zwisało z boku.

Vince zawrócił galopem i zatrzymał raptownie konia. Przyjrzał się Kincade'owi i na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Wróciłem, żeby sprawdzić, czy jeszcze żyjesz. Przy takim upadku można sobie jak nic skrócić kark.

- Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo, Rossiter! - Kincade ujął wodze wałacha. - Szczęście aż tak ci nie sprzyja!

- Zobaczymy. - Vince z uśmiechem zawrócił konia i popędził za bydłem. Kincade przez chwilę patrzył za nim, potem przesunął siodło na właściwe miejsce i wygładził derkę pod nim. Zaczepił strzemień o łęk i tym razem upewnił się, że popręg jest mocno dociśnięty, zanim wskoczył na siodło.

Po prawie dwukilometrowym pościgu Vince zagroził drogę uciekającemu bydłu i zawrócił je. Miał już uciekinierów w garści, gdy Kincade wreszcie dołączył do niego. Wspólnie zapędzili bydło do kanionu.

Tego wieczoru w namiocie - jadalni Vince opowiedział wszystkim o przygodzie Kincade'a z siodłem.

- Trzeba je było tak zostawić - zauważył Dekę. - Może byś zapoczątkował nową modę najeżdżenie w damskim siodle.

- Albo nauczył się jazdy po indiańsku, zwieszając się z końskiego boku - podsunął Bob Waters z miną bardzo serio.

- Wszyscy wiedzą, do cholery - wtrącił się Al, machając lekceważąco ręką - że te ciemniaki z Teksasu nie mają pojęcia, jak umocować popręg. Właśnie dlatego tak dziwnie gadają: wszystko przez to, że co i raz któryś spada z konia na łeb.

Kincade musiał wysłuchiwać tych dobrodusznych kpin aż do chwili, gdy wczołgał się wreszcie do swojego namiotu.

- Będziesz dziś spał w śpiworze? - zawołał jeszcze za nim Al. - Myślałem, że tak ci bylica przypadła do gustu, że poszukasz sobie jakiegoś krzaka!



Kincade przyłączył się do ogólnego śmiechu, którym powitano te słowa. Trudniej było wytrzymać wszystkie siniaki: dały o sobie znać, gdy wgramolił się na łóżko. Zmęczony i obolały leżał z zamkniętymi oczami, ale sen długo nie przychodził.

W zupełnej ciemności, tuż przed świtem obóz zaczął budzić się do życia. Dziki Jack rozpałał ogień i postawił na nim garnek z kawą. Jej zapach unosił się w chłodnym powietrzu, gdy Bob Waters obchodził obóz, wyganiając wszystkich z namiotów.

Jak zwykle, Vince zjawił się w jadalni ostatni. Z kubkiem kawy w ręku dołączył do reszty, a nadzorca od razu zaczął przydzielać wszystkim zadania.

- Kincade i ja weźmiemy sektor przy Eagle Gulch - zaproponował Vince. - Znam tam każdą kryjówkę, z jakiej krowy korzystają, i kilka takich, o których im się nawet nie śniło.

- Niech będzie - zgodził się Waters.

- Tylko nie zapomnij sprawdzić popręgu, Kincade - wyszczerzył zęby Vince.

- Możesz być tego pewny.

Pierwszy różany blask jutrzeńki zabarwiał niebo na wschodzie, gdy wszyscy podeszli do swoich wierzchowców. Kincade wygładził derkę na końskim grzbiecie i umieścił na niej siodło.

Wypróbował też kilkakrotnie popręg. Nagle usłyszał z prawej strony gniewne okrzyki Vince'a.

- Coś nie tak?

Vince podszedł do niego prowadząc konia; podkowy stukały nierówno.

- To cholerne bydlę akurat teraz zgubiło podkowę! - narzekał. - Będziesz musiał zacząć beze mnie.

- Podobno sprawdzałeś podkowy wieczorem - przypomniał mu Dekę.

- A jakże. Wczoraj siedziała mocno - warknął Vince. Opanował się i zwrócił do Kincade'a. -

Najpierw rozejrzyj się koło Eagle Gulch, a ja skrećę na północ i spotkamy się pod Tempie Butte.

- Może być. Tylko się pospiesz - odparł Kincade. - Nie mam ochoty szukać cię Bóg wie gdzie.

- Spokojna głowa, na pewno się stawię. Masz to jak w banku - zapewnił go Vince z zarozumiałym uśmiechem.

Gdy kilka minut później Kincade odjeżdżał, Rossiter stał przy wozie z pościelą wbijając pierwszy hufnal w podkowę.

Ranne powietrze było rześkie i kryształowo czyste. Przed jeźdźcem rozciągała się kraina dzika i nieujarzmiona, falisty teren pełen gór i dołków, poprzecinany płytkimi parowami i usiany pękatymi wzgórzami. Kincade przemierzał go galopem, upojony wolnością otwartej przestrzeni i odurzającym jak wino powietrzem. Zmierzał w stronę brunatnego masywu pionowego urwiska i zatrzymał się dopiero wówczas, gdy dotarł nad szerokie, wyschłe koryto Eagle Gulch. Gdy zbliżył się do owej granicy, zaczął rozglądać się po okolicy za bydlę. Niegdyś płynęła tu rzeka, ale górskie źródło, z którego brała początek, wyschło już przed wiekami.

Vince ukrył spienionego wierzchowca w krzakach, wydobyl z juków lornetkę i wspiał się na wzgórze. Na szczycie usadowił się w nieckowatym zagłębieniu, powstałym wskutek erozji. Kępki niewielkich, chuderlawych krzaczków bylicy mocno trzymały się brzegów tej wyżłobionej w piasku misy. Były dość gęste, by mógł się za nimi schować, a zarazem na tyle rzadkie, że nie zasłaniały mu widoku.

Vince zdjął kapelusz i położył go obok siebie na ziemi. Ściągnął z szyi żółtą chustkę i wetknął ją do kieszeni spodni, a potem załadował strzelbę wsuwając naboje do komory. Dopiero wtedy wziął do ręki lornetkę i skierował ją na lekko falistą przestrzeń po obu stronach parowu.

Pot spływał mu po twarzy i szczypał w oczy. Vince otarł go rękawem i znów podniósł lornetkę do oczu, by jeszcze raz omieść spojrzeniem cały teren. Kończył właśnie ten przegląd, gdy w zasięgu

jego wzroku pojawił się jeździec, który pędził przed sobą trzy krowy. Vince wycelował szkła w Kincade'a, opuścił lornetkę i popatrzył nieuzbrojonym okiem. Kincade znajdował się w odległości mniej więcej półtora kilometra i jechał wolno.

Vince znów podniósł do oczu lornetkę, by dokładnie sprawdzić, gdzie znajduje się przeciwnik i jaką drogę prawdopodobnie wybierze. Obserwował go jeszcze przez kilka minut. Wkrótce Kincade podjechał tak blisko, że lornetka nie była już potrzebna. Vince włożył ją z powrotem do skórzanego futerału i oblizał wargi, które mu nagle zaschły. Wziął do ręki strzelbę. Nerwy miał napięte, a jednocześnie rozdygotane. Pot dosłownie lał się z niego, gdy unosił strzelbę.

Do dziewiątej Kincade wypłoszył z kryjówek trzy krowy. Pędził teraz tę rudą trójkę przed sobą. Po prawej miał ścianę głębokiego wąwozu. Skaliste wzgórze z krzakami bylicy na szczycie przesłoniło mu widok na Tempie Butte, przy którym miał się spotkać z Rossiterem. Kincade spojrzał znów ku północy, szukając tam obłoczka pyłu, świadczącego o obecności Rossitera. Nie zobaczył go i poczuł niepokój.

Wydeptana przez krowy ścieżka wiła się u podnóża pagórka wzdłuż wąskiego pasa ziemi, oddzielającego parów od stóp wzgórza. Kincade zawrócił konia w lewo, wpędzając krowy na ścieżkę.

Długouchy królik wyskoczył spod krzaka tuż przed końskimi nogami. Zatrwożony wałach spłoszył się i uskoczył w prawo. W tym samym momencie Kincade usłyszał wystrzał i poczuł jego podmuch na policzku.

Ocknął się w nim pierwotny instynkt: wola przetrwania. Kincade uniósł głowę. Zarejestrował równocześnie kilkanaście szczegółów. To, że wystrzał był tak donośny, oznaczało, iż strzelano z niewielkiej odległości; porośnięty krzakami szczyt pagórka mógł być zarazem kryjówką i stanowiskiem ogniowym. Spoglądając w górę, Kincade dostrzegł metaliczny błysk wycelowanej w niego lufy. Znajdował się na otwartej przestrzeni, nie było gdzie się schronić, więc spiął konia ostrogami i popędził na skaliste zbocze. Zmusił go do pełnego galopu, gdy druga kula musnęła rękaw jego koszuli. Schylając się tak, by trudniej było go trafić, Kincade szarżował prosto na szczyt.

Z zarośli wynurzył się mężczyzna i zrobił krok do przodu, by lepiej wycelować. Kincade od razu się zorientował, że to niejeden z ludzi DeParda, tylko Vince. Teraz popychał go do działania już nie tylko instynkt samozachowawczy, ale i wściekły gniew.

Vince oddał jeszcze jeden strzał, zanim Kincade dotarł na szczyt. Wystrzelił jednak zbyt pośpiesznie i kula trafiła daleko od celu. W panicznym strachu cofnął się teraz przed szarżującym koniem, usiłując ponownie załadować broń.

Od czasu młodzieńczych występów na rodeo Kincade nie atakował nigdy z siodła, ale nie zapomniał, jak to się robi. Gdy jego koń zrównał się prawie z Rossiterem, Kincade wychylił się z siodła, uderzył Vince'a w pierś i powalił go na ziemię. Rossiter runął z głośnym stęknięciem, a strzelba poszybowała w przestrzeń. Uniesiony siłą rozpędu Kincade potoczył się po ziemi.

Vince ostrożnie cofnął się o kilka kroków, odwrócił się i pomknął w dół po zboczu; za nim osunęła się lawina grzechoczących kamyków. Kincade usłyszał trzask łamiących się krzaków u podnóża; Rossiter najwyraźniej przedzierał się przez nie z pośpiechem.

Zbity z tropu, dezorientowany i wściekły Kincade spoglądał na puste łuski, rozsiane na ziemi u jego stóp. W głębi serca pragnął przecież śmierci Rossitera. Oko za oko, życie za życie - taka powinna być zemsta. Miał okazję jej dokonać. Mógł zabić Vince'a i uniknąć kary, bo działał w obronie własnej. Kiedy jednak nastąpił decydujący moment, nie był w stanie tego dokonać.

Dlaczego?

U podnóża skalistego pagórka rozległo się parsknięcie konia, a potem brzęk łańcuszka przy uździe

i skrzyp siodła pod ciężarem jeźdźca. Ściskając strzelbę z jakąś drapieżnością, Kincade odwrócił się i zdążył dostrzec Vince'a, który popędził konia i teraz galopował przez równinę.

Patrzył za nim przez chwilę pełną napięcia i gniewu; potem schylił się, podniósł z ziemi kapelusz i wcisnął go na głowę. Rozejrzał się dookoła. Zobaczył swojego wierzchowca w odległości jakichś dwudziestu metrów od podnóża. Wodze ciągnęły się po ziemi i zaczepiały o krzaki bylicy. Kincade zaczął schodzić ku niemu po zboczu. Nagle zatrzymał się słysząc tętent kopyt, dochodzący z drugiej strony. Jeździec w czarnobiałej kamizelce zatrzymał konia na przeciwległym brzegu parowu. Kincade rozpoznał go, zanim jeszcze dostrzegł szkarłatne znamię na policzku.

- Słyszałem tu jakąś strzelaninę - zawołał Sheehan do Kincade'a.

- Zobaczyłem węża.

Nadzorca z Diamond D zmarszczył brwi z niedowierzaniem. - I musiałeś tyle razy kropić do niego?

- Jestem bardzo marnym strzelcem. - Kincade nagle zrozumiał plan Rossitera: umówił się tu wcześniej z nadzorcą DeParda, bo chciał zabić Kincade'a z zasadki i zwalić winę na Sheehana. Biorąc pod uwagę poprzedni incydent ze strzelaniną przy załadunku bydła, pewnie by mu się to udało.

- Rossiter nie stawia się dziś na spotkanie z tobą, Sheehan - poinformował go Kincade. - Ale tym razem powinieneś się z tego cieszyć.

- Nie mam pojęcia, o czym gadasz. - Sheehan spiął konia ostrogami i odjechał galopem.

U podnóża pagórka Kincade dosiadł konia. Krowy dawno gdzieś przepadły. Zawrócił i skierował się w stronę obozu. Po drodze zobaczył tuman kurzu, znaczący drogę Vince'a. Zamiast do obozu, mknął jak strzała w stronę domu na Spur Ranch.

Znów uciekał!

Jakiś głos perswadował Kincade'owi: zostaw go, niech jedzie! Szedł już jednak tropem Rossitera zbyt długo i zapędził się za daleko. Nie mógł teraz zrezygnować.

Kincade ruszył więc w pościg. Musiał skończyć to, co rozpoczął, choć zdawał sobie sprawę, że nie ma już do tego serca, nie zależy mu na tym tak jak dawniej. Nie mógł jednak zrezygnować. Jeszcze nie teraz.

Jiden przespała zaledwie cztery godziny po bardzo wyczerpującym fizycznie i psychicznie dniu. Czowała teraz przytłaczające zmęczenie i ból w każdym mięśniu. Zatrzymała się na pustym dziedzińcu Spur Ranch. Pikap był pokryty tak grubą warstwą kurzu, że gdzieś zniknęła jego barwa: spłowiła czerwień. Pył osiadł także na ubraniu Eden; swędziała ją od niego skóra. Wygramoliła się z wozu, marząc tylko o długim, gorącym prysznicu. Stary owczarek stojący w cieniu werandy pomachał jej ogonem na powitanie.

Eden zawróciła do pikapa i wyjęła z niego śpiwór i mały namiot. Z tym nieporęcznym ciężarem w objęciach zmierzała ku werandzie. Z zagajnika topoli wychynał nagle Vince i pobiegł w stronę domu. Zdumiona obecnością brata Eden wrzuciła z powrotem namiot i śpiwór do ciężarówki.

- Vince! Co ty tu robisz?

Spojrzał w jej kierunku, lecz nie zwolnił kroku. Twarz miał ściągniętą i bladą; ujrzała na niej gniew i jakiś obcy, przerażający wyraz.

- Co z tobą? Czy stało się coś złego? - Eden doszła do wniosku, który wydawał się najbardziej oczywisty: - Ktoś miał wypadek! Kto? Czy jest ciężko ranny?

- Nikt nie jest ranny... niestety - mruknął wreszcie Vince prawie niedosłyszalnie i wbiegł na stopnie werandy przed siostrą. Jednym susem znalazł się przy drzwiach frontowych i otworzył je na oścież.

Eden dogoniła brata już w domu. Schwyciła go za ramię tak mocno, że o mało się nie przewrócił, i spojrzała mu w twarz.

- Skoro nic się nie stało, to co tu robisz?

- Zmywam się, i tyle! - Wyrwał ramię z uścisku siostry i pognał na schody. Eden przewidywała, co brat powie, jednak jego słowa odczuła jak fizyczny cios. Jej starannie opracowane plany rozwiały się. Pobiegła za Vince'em po schodach.

Wrzucał właśnie ubrania z szafy do otwartej walizki, stojącej na łóżku, kiedy Eden weszła do pokoju.

- Nie możesz odjechać w tej chwili, Vince! Jesteśmy w trakcie obchodu rancza! Do cholery, nie poradzę sobie bez ciebie!

- Świetnie dasz sobie radę! - Vince opróżnił szuflady komody i upychał teraz bieliznę w walizce razem z resztą ubrań.

- Tym razem nie. Ach, ty... - Eden urwała i starała się zdławić w sobie gniew.

- Sprzedaj to przeklęte ranczo!

- Nie! - jej odpowiedź była równie ostra i gwałtowna.

- Do cholery ciężkiej, Eden, czy ty nie rozumiesz, że nigdy nie uwolnimy się od przeszłości, póki tego nie zrobisz?!

- Nie mogę się poddać! Nie chcę!

- Wiedziałem, że nie usłyszę od ciebie niczego innego!

Brat wrzucał resztę rzeczy do walizki. Eden zauważyła, że znów zwałił całą winę na nią. To była jego specjalność.

- Do diabła, Vince, nie żądam, żebyś spędził resztę życia na Spur Ranch. Proszę o dwa tygodnie. Nie więcej.

- Dokładnie o dwa za dużo. - Zatrzasnął walizkę i zwałił ją z łóżka.

- Skąd ten nagły pośpiech? - Eden wyszła za bratem na podest.

- Nie mam czasu na wyjaśnienia, zresztą i tak byś nie zrozumiała. - Ostrogi pobrzękiwały przy każdym kroku, gdy zbiegał po schodach.

- Co to ma znaczyć? - Zeszła za nim na dół. Była już pewna, że Vince wpadł w nowe tarapaty. Nie próbowała sobie nawet tłumaczyć, że ma mnóstwo własnych problemów i nie powinna zawracać sobie głowy sprawkami brata. Mimo wszelkich nieporozumień łącząca ich więź była nadal bardzo silna.

- Żadnych pytań, Eden! - Vince był mocno zdenerwowany, co utwierdziło ją jeszcze w przekonaniu, że ma nieczyste sumienie.

- Coś przeskrobałeś tym razem? - Szła tuż za nim, gdy wychodził z domu.

- Nic. Nic, do cholery! - Gorycz i frustracja w jego głosie dodawały szczerości tym zapewnieniom. Przebiegł przez werandę, pokonał schodki i wielkimi susami dopadł swojego pikapa. Szarpnął drzwi od strony kierowcy, wrzucił walizkę do szoferki, potem wsiadł sam.

- Nic nie rozumiem. - Eden zatrzymała się przy samochodzie.

- Nie musisz.

- Powiedz mi tylko, dokąd jedziesz! - Biegła za wozem odjeżdżającym od domu. Vince obejrzał się na nią niepewnie.

- Pojadę do Reno i gdzieś się przyczaję. Potem... sam nie wiem. - Zmienił biegi. - Jeśli będziesz chciała się ze mną skontaktować, zostaw wiadomość u Axela, jak zawsze. - Wychylił się jeszcze z okna i zawołał do niej: - Na miłość Boską, nie wygadaj się przed Harrisem!

- Jakim Harrisem? - Eden nie знаła nikogo o tym nazwisku, ale jej pytanie zginęło w ryku silnika

pikapa.

Kincade wpadł na dziedziniec rancza w pełnym galopie. Zatrzymał konia przy ogrodzeniu. Nie tracąc ani chwili ściągnął uprząż ze spienionego wierzchowca i wpuścił go luzem do corralu, gdzie stał już koń Eden. Kincade biegł w stronę budynku, w którym sypiali kowboje, gdy usłyszał, że spod domu Rossiterów odjeżdża samochód.

Vince! To na pewno on! - pomyślał i popędził w tamtym kierunku. Dotarł na miejsce, gdy niebieskobiały pikap zniknął w oddali. Na dziedzińcu stała Eden osłaniając twarz przed kurzem. Kincade zawahał się, w końcu postanowił zaryzykować i podszedł do Eden.

- Dokąd Vince pojechał? - Starał się, by w jego pytaniu zabrzmiała zwykła ciekawość.

- Podobno do Reno - odparła cicho i niezbyt przytomnie. Nagle zeszytniała i zmierzyła go ostrym wzrokiem. - Co ty tu robisz?

Kincade wydobył już z niej więcej informacji, niż się spodziewał. Ruszył w kierunku swojej kwatery; nie dopuści do tego, by Vince uciekł zbyt daleko.

Eden podbiegła i zagroziła mu drogę.

- Miałeś z innymi zajmować się spędem bydła!

Obrzucił ją lodowatym spojrzeniem, jego twarz miała wyraz twardy i nieubłagany. Cień zarostu podkreślał zakłębnięte policzki i chłodny błękit oczu.

- Plany uległy zmianie.

- Kto o tym zdecydował?! - Straciła panowanie nad sobą i teraz usiłowała je odzyskać.

- Ja - odparł, wyminął ją i poszedł dalej.

Eden odwróciła się i zobaczyła, że Kincade przemierza dziedziniec wielkimi, spiesznymi krokami; jego ostrogi wzbijały małe obłoczki kurzu. Obejrzała się przez ramię na opadający tuman pyłu za pikapem Vince'a. Wnioski nasuwały się same. Wiele poprzednich wydarzeń zapowiadało taki właśnie finał. Zbyt dużo zebrało się faktów, na które Eden poprzednio przymykała oczy.

Nie знаła jeszcze przyczyny, ale zaraz wszystkiego się dowie!

Kiedy dotarła do kwater kowbojów, Kincade właśnie stamtąd wychodził z płóciennym workiem w rękę.

- Ruszamy w pogoń za Vince'em, nieprawdaż, panie Harris? - A że znała już odpowiedź na swoje pytanie, ciągnęła dalej: - To jest twoje prawdziwe nazwisko; Harris, prawda?

- Tak. - Przerzucił torbę do drugiej ręki i wymijając Eden ruszył w stronę swojego pikapa.

- Czego chcesz od Vince'a? - spytała natarczywie. - Co on ci takiego zrobił?

- Znow spróbowała powstrzymać go, ale niewiele wskórała.

- To moja sprawa. - Kincade wrzucił płócienny worek na tył wozu i sięgnął do kieszeni po kluczyki.

- Vince jest moim bratem, więc to również moja sprawa!

- Nie w tym wypadku, Eden. - Przeszył ją spojrzeniem twardym i nieugiętym. - Mogłaś dawniej wyciągać go z kłopotów, ale tym razem nic nie poradzisz.

- Otworzył drzwi i usiadł za kierownicą.

W jego głosie brzmiała zimna stanowczość. Eden na chwilę zamarła. Pikap z warkotem i dudnieniem ruszył spod budynku. Zdjęta nagłym lękiem o brata Eden podbiegła do wozu z drugiej strony. Nie wiedziała, co wydarzyło się między Vince'em i Kincade'em, nie miało to jednak znaczenia. Musiała pomóc bratu, ocalić go, jeśli tylko zdoła. Zostając na ranczo byłaby zupełnie bezradna. Musi jechać z Kincade'em, nie pozwolić, by wyrządził jakąś krzywdę Vince'owi!

Pikap toczył się coraz szybciej. Eden uczepliła się klamki i biegła obok samochodu, póki nie udało jej się otworzyć drzwiczek od strony pasażera. Wskoczyła na próg kabiny, a potem do jej

wnętrza.

Kincade na jej widok mocno nacisnął hamulce.

- Co ty wyprawiasz? Wyłaź! - Jego płonący wzrok wyraźnie zapowiadał, że zaraz usunie ją siłą.

- Nie wyjdę! - Nieulekła Eden zablokowała drzwi ze swojej strony i opadła na siedzenie. -

Ścigasz mojego brata. Jeśli go dogonisz, będziesz miał najpierw ze mną do czynienia, bo jadę z tobą i już!

- Ani się waż! - Kincade zablokował przełącznik biegów i zaatakował ją przez szerokość siedzenia.

Eden była przygotowana na ten atak. Wyciągnęła ręce, żeby go odepchnąć. Nie zważając na jej opór, Kincade objął ją zdecydowanym ruchem i przyciągnął do siebie, unieruchamiając jej ramiona. Szarpała się nadal, on tymczasem majstrował przy klamce. Usłyszała trzask zamka i metaliczny szcęk otwieranych drzwi. Widząc daremność swoich usiłowań przestała się szamotać i zmieniła taktykę.

- Jeśli nawet wypchniesz mnie z samochodu, nie pozbędziesz się mnie - zapowiedziała. - Po prostu wejdę od tyłu.

Twarz Kincade'a była zaledwie o kilka cali od jej twarzy. Miała tego świadomość; ożyła pamięć chwili, gdy czuła upajający dotyk jego ust na swoich. W oczach Kincade'a ujrzała również odbłask tamtego wydarzenia: najwyraźniej miał te same problemy co ona.

- Możesz mnie powstrzymać tylko w ten sposób, że mnie zwiążesz, a na pewno będę opierać się ze wszystkich sił, gdybyś spróbował to zrobić. Pomyśl, ile stracisz przez to czasu - przekonywała go.

- Vince będzie już w połowie drogi do Reno. Ale może nie ma to dla ciebie znaczenia?

- Dobrze wiesz, że ma znaczenie. - Twarz Kincade'a spochmurniała jeszcze bardziej. - Jeśli myślisz, że twoja obecność cokolwiek zmieni, grubo się mylisz.

Spojrzał na usta Eden; w tym samym momencie puścił ją i usiadł znów za kierownicą. Szarpnął dźwignię biegów i dodał gazu. Pikap ruszył gwałtownie do przodu, koła zawirowały; niedomknięte drzwi po stronie Eden postukiwały. Chwyciła za klamkę i udało się je zamknąć, choć wóz ciągle nabierał szybkości. Opadła na siedzenie rozdygotana wewnątrz; myśli pędziły jedna za drugą.

- Jesteś głupia, Eden. - Kincade nie odrywał oczu od wyboistej drogi rozciągającej się przed nim. W jego spojrzeniu malowało się napięcie. - Za mało ci kłopotów z DePardem, że musisz pakować się w nowe z powodu brata?

- Porachunki z DePardem mogą poczekać. - Wiedziała, że kilkudniowa zwłoka nie sprawi większej różnicy, ale Vince'owi groziło niebezpieczeństwo w tej chwili! Eden wiedziała, że nie może zostawić brata bez pomocy.

- On nie podjąłby dla ciebie żadnego ryzyka. Dobrze o tym wiesz. - Kincade prowadził wóz z szybkością, na jaką Eden nigdy by nie odważyła się, choć znała tę drogę na pamięć.

- Znam mojego brata lepiej niż ty - stwierdziła z niezmaconą pewnością.

- Czyżby? - powiedział drwiąco. - Wobec tego wiesz zapewne, że zmaśniał się z DePardem, żeby cię zmusić do sprzedaży rancza?

- Jeśli nawet tak było, sądził pewnie, że to najlepsze rozwiązanie.

- Twoja lojalność jest godna podziwu, ale on na nianie zasługuje. To egoista, który myśli tylko o sobie i swoich zachciankach. Nic go nie obchodzi, czy ktoś na tym ucierpi. Choćby ty.

- Tak ci się tylko zdaje.

- Nie, taka jest prawda - odparował z pasją Kincade. - Lepiej będzie, jak mi uwierzysz: twój brat idzie do celu po trupach.

Cierpliwość Eden wyczerpała się.

- A czemuż to mam ci wierzyć?! - wybuchnęła gniewnie. - Czyżbyś tak bardzo zasługiwał na zaufanie? Przybłęda, który szuka pracy pod fałszywym nazwiskiem! Który mnie oszukał!

- Miałem ważny powód. I pozwól sobie powiedzieć, że nazywam się rzeczywiście Kincade!  
Kincade Harris.

- I to już wszystko tłumaczy?

- Nie. - Zacisnął usta i jeszcze bardziej spochmurniał. - Chyba nie.

- Dlaczego tak go nienawidzisz? Co on takiego zrobił? - dopytywała się Eden.

- Vince sam ci powie, kiedy go dościgniemy. - Kincade zwolnił na zakręcie i dodał gazu, gdy wjechali na pokrytą żwirem drogę.

Jego słowa zabrzmiały dziwnie złowieszczo. Eden zamilkła i niespokojnie spojrzała na drogę przed sobą. W oddali nie ujrzała jednak żadnej chmurki pyłu. Vince był nadal daleko, choć prawdopodobnie nie jechał tak po desperacku jak Kincade. Jednak odległość między nimi ciągle malała.

W nieprawdopodobnie krótkim czasie na porosłej bylicą równinie zamajaczyły szare, podniszczone zabudowania Friendly. Wóz nie zwolnił ani na chwilę, póki nie dotarli do miasta. Wtedy Kincade nieoczekiwanie zahamował; pikap zadygotał i stanął.

- To twoja ostatnia szansa, Eden - powiedział i zgasił silnik. Wyjął kluczyki ze stacyjki. - Naprawdę tym razem nic nie możesz dla niego zrobić. Jeśli masz trochę rozumu, to zmyjesz się, zanim wrócę.

Nie czekając na odpowiedź wysiadł z wozu i skierował się w stronę tylnego wejścia do „Lucky Starr”. Gdy otworzył drzwi do kuchni, na grillu smażyły się dwa hamburgery.

Zrobił tylko jeden krok i zawołał:

- Rusty!

- Już leceć! - odparł Rusty, wsypując całe opakowanie francuskich frytek do rynki wypełnionej tłuszczem, który kipiał i pryskał.

- Rossiter wziął nogi za pas. Ucieka do Reno. - Nie skończył jeszcze, a Rusty zrzucił już z siebie kucharski fartuch. - Zostaw wiadomość u recepcjonisty w „Harrah’s”.

Rusty skinął głową.

- Pojadę zaraz za tobą. Kincade tylko to chciał usłyszeć.

Eden widziała, jak Kincade znika w bocznej alejce za lokalem Starr. Dokąd mógł pójść? I po co? Zdezorientowana siedziała w kabinie, przysłuchując się potrzaskiwaniu stygnącego silnika.

Silnik! Eden wygramoliła się ze środka i podbiegła do maski wozu. Nie знаła tego modelu, toteż traciła bezcenne sekundy szukając zamka. W końcu znalazła go i podniosła maskę. Buchnęło spod niej gorąco. Eden cofnęła się o krok, ale zaraz wróciła i zaczęła zdejmować kopułkę rozdzielacza. Działała na zwłokę:

chciała zapewnić Vince’owi więcej czasu na ucieczkę. Nie miała nadziei, że powstrzyma Kincade’a od pogoni.

Zaabsorbowana Eden nie usłyszała ostrzegawczego brzęku ostróg, który zwiastował powrót Kincade’a. Wydała zdławiony okrzyk, gdy nagle czyjaś ręka chwyciła ją z całej siły za łokieć. Kopułka rozdzielacza była lekko przekrzywiona, ale nadal tkwiła na swoim miejscu.

- Niezła robota - mruknął Kincade i przymocował kopułkę jak należy.

- Jeszcze kilka sekund i byłoby gotowe! - Eden pomasowała ramię, które ciągle mrowiło po stalowym chwycie Kincade’a.

- Ale ci ich zabrakło, co? - Opuścił maskę i sprawdził, czy zamek zaskoczył, a potem zajął poprzednie miejsce za kierownicą. Eden była szybsza: wśliznęła się do szoferki, gdy Kincade

zdejmował ostrogi i krótkie skórzane czapsy. Rzucił je na siedzenie między sobą a Eden i zapalił silnik.

Gdy odjeżdżali spod kasyna, Eden zerknęła w boczną alejkę.

- Co tam robiłeś? Gdzie byłeś?

Zawahał się przez chwilę, jakby zastanawiał się, czy może jej to zdradzić.

- Zawiadomiłem mego partnera, że Rossiter zwiął.

- Partnera? - Eden na moment zapało dech. - Jesteś z policji? W kącikach jego ust zarysowały się dołeczki.

- Nic z tych rzeczy.

Powinna odczuć ulgę, że Vince'a nie ściga policja, ale świadomość, iż Kincade działa poza prawem, nie podniosła jej specjalnie na duchu.

Miasto pozostało z tyłu; przed nimi rozciągała się wysypana żwirem droga. Ostre promienie słońca odbijały się od maski pikapa i wpadały do szoferki. Kincade sięgnął po ciemne okulary leżące na desce rozdzielczej i włożył je. Zapadła pełna napięcia cisza.

Minęła mniej więcej godzina od wyjazdu z Friendly, gdy dotarli do węzłowej stacji w Lovelock i wjechali namiędzystanowąszosę, kierując się na południowy zachód. Do Reno było jeszcze sto pięćdziesiąt kilometrów. Eden obserwowała strzałkę szybkościomierza, która wędrowała po tarczy coraz dalej i dalej.

- Znasz dobrze Reno? - Kincade odwrócił się do Eden; ujrzała własne odbicie w ciemnych szklach jego okularów.

- Nie. - Pisk opon na asfalcie zabrzmiał Eden jak protest jej własnych rozdygotanych nerwów, choć starała się utrzymać pozory obojętności. - Byłam tam tylko parę razy u mojego adwokata.

- Wtedy, kiedy cię oskarżono o zabicie brata DeParda? - Tak.

- Czyli dosyć dawno.

- Minęło jedenaście... prawie dwanaście lat od procesu.

- Przez ten czas Reno bardzo się zmieniło.

- Bywałeś tam? - rzuciła mu ostrożne spojrzenie. Taka ewentualność wcale nie przyszła jej do głowy.

Kincade niedbale wzruszył ramionami.

- Bywałem w każdym większym mieście, gdzie organizuje się imprezy rodeo. I to często! - A więc znał Reno. Eden uspokajała się jednak, że z pewnością nie tak dobrze jak Vince. - Przychodzi ci do głowy, gdzie twój brat mógł się zamelinować?

Ogarnęła ją wściekłość: jak mógł pomyśleć, że zdradziłaby kryjówkę brata!

- Czemu miałabym ci odpowiedzieć, kiedy ty nie chcesz mi wyjaśnić, co ci Vince zawinił?

- Już ci mówiłem: spytaj o to brata!

- Pytam ciebie! Chcę poznać obie wersje.

- Tu nie ma żadnych wersji, Eden. Są tylko nagie, bolesne fakty.

- Cóż to za fakty? Co takiego Vince zrobił? Zrabował komuś oszczędności całego życia? - zgadywała Eden. - Z pewnością idzie o pieniądze. Kłopoty Vince'a mają zawsze związek z pieniędzmi.

- Tym razem chodzi o coś innego. - Ton jego głosu był lodowaty. Przez chwilę zwątpiła w swoją intuicję, potem jednak potrząsnęła głową. - Nie, muszą tkwić w tym jakieś pieniądze.

- Dokąd on pojechał, Eden?

- Na pewno ode mnie się tego nie dowiesz!

- I tak go znajdę - stwierdził. - Możesz mi to utrudnić albo ułatwić. Rób jak chcesz.



- Będziesz więc musiał się potrudzić. Gdybym nawet wiedziała, nie zdradziłabym ci tego. - Była jednak prawie pewna, gdzie Vince uda się najpierw; był w roboczym ubraniu, więc z pewnością pójdzie do mieszkania Axela Sparksa, żeby się wykąpać i przebrać.

Axel Sparks, który obsługiwał w kasynie „Nugget” stół blackjacka, był dla Eden jedynie głosem w słuchawce telefonicznej. Vince poznał go przed siedmioma laty, wkrótce po śmierci dziadka. Od tej pory mieszkanie Axela było punktem kontaktowym, dokąd mogła przysyłać wiadomości, kiedy Vince był w jednej ze swoich długich podróży. Jej brat nazywał Axela „swoją maskotką” twierdząc, że nie stanie mu się nic złego, póki będzie z nim w kontakcie. Niemal zabobonnie w to wierzył.

- Nie szkodzi. Wiem z grubsza, gdzie go szukać - oznajmił Kincade. - Twój brat jest bardzo próżny. Będzie mu zależało, żeby umyć się i przebrać w lepsze ciuchy. - Eden przeniknął zimny dreszcz; miała wrażenie, że Kincade jakimś cudem czyta w jej myślach. - Nie zatrzyma się w małym motelu... zbyt łatwo byłoby wypatrzeć tam jego pikapa... tylko w którymś z wielkich hoteli z kasynem. To zresztą bardziej w jego stylu.

- Ale nie wiesz, w którym. - Eden udało się powiedzieć to spokojnym głosem. Nie chciała, by Kincade domyślił się, jak bliski jest prawdy.

- Będziemy zwiedzać wszystkie, póki go nie znajdziemy.

Re Leno rozłożyło się szeroko w dolinie, a w tyle wznosiły się skaliste zbocza Sierra Nevada. Na ulicach miasta było pełno samochodów. Olśniewające aktoreczki w wymyślnych kostiumach uśmiechały się do przechodniów z tablic reklamujących rozmaite lokale - „Harrah's”, „Bally's” czy „The Flamingo”. Jeszcze więcej pojazdów tłoczyło się na parkingach luksusowych hoteli mających własne kasyna - górujących nad miastem kolosów z betonu i szkła, które w dodatku wabiły klientelę skrzącymi się fontannami, jaskrawymi neonami i efektowną dekoracją kwiatową.

Kincade okrążał bez pośpiechu kolejny parking, usiłując dostrzec w tłumie najprzeróżniejszych pojazdów pikapa Vince'a. Eden straciła już rachubę parkingów, które przeszukali - bez rezultatu. Skończywszy oględziny, Kincade wyjechał tyłem z parkingu na ulicę.

Słońce stoczyło się za masyw Sierra Nevada i zapłonęły pierwsze światła uliczne, gdy Kincade podjechał do stacji benzynowej i stanął koło samoobsługowej pompy. Bez słowa wysiadł z wozu, by zatankować paliwo. Eden zauważyła damską toaletę i także wyszła z kabiny.

Zdążyła dotrzeć do drugiego stanowiska pomp, zanim Kincade złapał ją za ramię.

- Dokąd to?

- Do toalety, jeśli już musisz wiedzieć.

Nie puszczając jej ramienia zawołał do obsługującego:

- Czy w toaletach są telefony?

- Tam nie ma, ale tu w środku mamy aparat.

- Dzięki - odparł Kincade i puścił ramię Eden.

- Myślałeś, że zadzwonię do Vince'a i powiem mu, gdzie jesteśmy?

- Przyszło mi coś takiego do głowy.

- Nie wiem, gdzie on jest. Już ci to mówiłam.

- Ja za to wiem, że z pewnością skłamałabyś, żeby go bronić. On nie jest tego wart, Eden.

- Nie masz racji! Zresztą gdziekolwiek Vince się zatrzymał, na pewno zdążył już opuścić to miejsce.

Kincade zmarszczył brwi, spojrział na ciemny szafir nieba i westchnął.

- Masz rację. Do tej pory mógł przenieść się gdzie indziej. - Odwrócił się i pomaszerował z powrotem do pompy.

Eden skierowała się do toalety. Gdy stamtąd wyszła, Kincade w budynku stacji rozmawiał z

pracownikiem. Zaczekała w samochodzie na jego powrót; ogarniało ją coraz większe zmęczenie. Brak snu, długa wyprawa i stresujące wydarzenia popołudnia wyczerpały ją do cna.

- Co teraz? - spytała, gdy Kincade usiadł za kierownicą. Nie odpowiedział od razu.

- Moim zdaniem, twój brat ma dwie możliwości: albo gdzieś się przyczai i spędzi wieczór przed telewizorem, albo postara się zgubić w tłumie. Założę się, że wybierze tę drugą ewentualność.

- Ma jeszcze trzecią możliwość: opuścić miasto. - Eden miała nadzieję, że Vince tak właśnie postąpi.

- Owszem, mógłby to zrobić. - Kincade wetknął kluczyki do stacyjki i przekręcił. Silnik odpowiedział warkotem, który przeszedł w rytmiczne dudnienie. - Ale zbyt długo pozbawiony był uroków nocnego życia. Będzie chciał ich zakosztować, nim stąd odjedzie.

Eden ujrzała olśniewającą feerię świateł w dzielnicy Reno zwanej Strip. Były tam kilometry neonów różowych, niebieskich, czerwonych i białych, i całe akry migotliwych żarówek. Żadna dekoracja świetlna nie zachowywała się spokojnie. Wszystkie kręciły się, błyskały, wirowały, mrgały, biegły do góry, w dół i na ukos, wzbijały się w niebo i wybuchały fontanną pomniejszych światełek. Ukoronowaniem wszystkich tych cudeniek był łuk rozpięty nad Virginia Street, który oznajmiał ognistymi zgłoskami: RENO - NAJWIĘKSZE MAŁE MIASTECZKO NA ŚWIECIE.

Kincade spojrzał na Eden i wskazując palcem tę świetlną łunę spytał:

- Co powiesz o tych „pochodniach nocy”?

- Sądzę, że Szekspir pisząc te słowa miał na myśli gwiazdy.

- Tylko dlatego, że nie mógł podziwiać „Ognistego Wąwozu” Reno. - Na ustach Kincade’a pojawił się krzywy uśmiezek. Eden również uśmiechnęła się w odpowiedzi i znów wyjrzała przez okno. Kincade podjechał do parkingu i zostawił na nim wóz. Ruszyli dalej pieszo.

Po chodnikach przewalał się tłum, wędrujący z jednego rzęsiście oświetlonego kasyna do drugiego. Kincade podprowadził Eden w stronę jakiegoś wejścia. Omal nie wpadła na wysoką blondynkę w koronkowej sukni, w pantoflach na wysokich obcasach i w etoli z norek; właśnie stamtąd wychodziła.

- Ooo, pardon! - Kobieta wdzięcznie uskoczyła, by nie zderzyć się z Eden. Ta zeszywniała pod przelotnym, ale badawczym spojrzeniem blondynki; była boleśnie świadoma, jak musi prezentować się w ciężkich kowbojskich buciorach, spłowiałych dzinsach i męskiej koszuli, pokrytych w dodatku dwudniową warstwą kurzu. Wcisnęła kapelusz mocniej na głowę i uniosła dumnie brodę, po czym pod naciskiem sterującej nią ręki Kincade’a weszła do kasyna.

W pierwszej chwili ogłuszył ją hałas: nieustanny szcęk automatów, dźwięk dzwonek, gwar głosów, przerywany piskami i triumfalnymi okrzykami zwycięzców. Z sąsiedniej sali dobiegały brzęczące tony pianina, ale w panującym gwarze słychać było jedynie strzępy granej melodii.

Gdy zapuścili się głębiej, uwagę Eden zwrócili przebywający w kasynie ludzie. Zajmowali wszystkie przejścia między rzędami automatów. Grupa kowbojów w szpanerskich koszulach zapinanych na perłowe guziki, sztywnych nowych dzinsach i butach z wężowej skóry dopingowała wrzaskiem kumpla, który wygrażał nieżyczliwemu automatowi. Obok para młodych Japończyków rzucała monety w otwór innego automatu, przyglądając się z najwyższym zdumieniem widniejącym na plakatach zwycięskim kombinacjom.

Toalety naszywane cekinami i obszarpane dzinsy, podkoszulki i atłasy, stroje wieczorowe i bermudy, perły i turkusowe wisiorki... stroje były równie urozmaicone jak sama klientela. Włosy krótko przystrzyżone, siwizna, długie kosmyki, złociste loki, łyse czaszki, peruki, wąsy, końskie ogony, brody, treski - na wszystkie głowy padało jaskrawe światło, nie słabsze od słonecznego.

Kiedy Kincade zatrzymał się na progu jaskini hazardu, Eden również przystanęła i powiodła

wzrokiem po stołach obitych zielonym sukniem, kojarzącym się z barwą banknotów. Kryształowe żyrandole zwieszały się z kasetonowego stropu przybranego rzędami luster. Nie były to jednak zwykłe lustra, lecz zamaskowane otwory, przez które ochrona kasyna obserwowała salę: pomysłowy system zabezpieczenia przed oszustami po obu stronach stołów gry. Vince kiedyś opowiedział o nim siostrze.

- Wiem, że twój brat ma słabość do pokera. - Kincade odwrócił się i zmierzył ją badawczym spojrzeniem. - W co jeszcze lubi grywać?

Eden spojrzała na stoły do gry w blackjacka, w bakarata, w kości.

- Chyba we wszystko, jak popadnie - odparła zgodnie z prawdą.

Przy stole do gry w kości mężczyzna w żółtym golfie obracał dwie kostki w rękach, mruczając coś pod nosem. Rzucił je wreszcie, lecz nadal do nich przemawiał, gdy toczyły się po stole; wreszcie odskoczyły w bok i zatrzymały się z grzechotem.

Mężczyzna zakrzyknął z triumfem:

- Ósemka, najrzadsza kombinacja! - Inny gracz, stojący dwa miejsca za nim, zaklął z niesmakiem i odszedł od stołu.

Jakaś staruszka z głową owiązaną dwoma szalami, cuchnąca i brudna, otarła się o Eden. Ścisnęła kurczowo w rękę plastikowe pudełko; na jego dnie leżało kilka ćwierćdolarówek. Kobieta wyglądała tak, jakby miała na grzbiecie całą swą garderobę. Podeszła do automatu, ostrożnie wsunęła w otwór monetę i pociągnęła za rączkę. Szpule zawirowały, a potem - jedna po drugiej - zatrzymały się. Żadnej wygranej. Kobieta z twarzą bez wyrazu powoli i starannie wybrała następną ćwierć - dolarówkę, wetknęła ją w otwór automatu i znów spróbowała szczęścia.

Szczęścia! Jego tu właśnie szukano; przybierało różnorodną postać, więc uganiało się za nim według rozmaitych reguł, ale każdy miał nadzieję, że mu dopisze. W powietrzu czuć było podniecenie, niczym elektryczne napięcie, aż dreszcz przenikał. We krwi rodziła się gorączka. Eden widziała ją w płonących oczach każdego z graczy, bez względu na to, czy był opanowany czy spięty, zrozpaczony czy pewny siebie.

Sama także poczuła bakcyła gry, urok tego podniecenia, pokusę, by spróbować szczęścia. Jeszcze jeden rzut kości. Jeszcze jedno pociągnięcie za rączkę automatu. Srebrna kulka objęła się z klekotem o wystające szprychy koła ruletki, by na koniec zatrzymać się na czarnym numerku - i tysiące dolarów przechodziły z rąk do rąk.

W takim właśnie kasynie musiał znajdować się Vince. Eden nareszcie pojęła, jak wielka to pokusa. Jeśli Vince był w Reno, to z pewnością zwabi go jeden z salonów gry.

Z rozpaczliwym pośpiechem Eden przebiegała wzrokiem tłum, usiłując dostrzec Vince'a, zanim wytropi go Kincade.

Przeszukiwali jedno kasyno po drugim, wędrowali z jednego lokalu do następnego, aż wreszcie przestali je odróżniać. Jaskrawe światła, które zamieniały noc w dzień, nieobecność zegarów, ustawiczne wirowanie i brzęk automatów stwarzały nastrój ponadczasowości, który uniemożliwiał wszelką orientację.

Kincade zawrócił do „Hannah's”; obejrzał się odruchowo, czy Eden idzie za nim, a potem zaklął w duchu. Jej obecność była prawdziwą zawadą: tracił zbyt wiele czasu na pilnowanie dziewczyny, zamiast skupić się na tropieniu Rossitera.

Eden szła jednak tuż za nim. Rondo kapelusza nasunęła na czoło, ciemne włosy rozsypały się na ramionach, bezkształtna męska koszula nie była w stanie całkowicie zamaskować kobiecych okrągłości. Zbyt często Kincade zwracał na to wszystko uwagę.

Zmęczony i sfrustrowany, tłumiąc westchnienie zajrzał do lokalu i pospiesznie obiegł wzrokiem

wnętrze. Nie dostrzegł nigdzie Vince'a, więc zawrócił i skierował się w stronę recepcji hotelowej.

- Dokąd idziesz? - spytała go Eden.

- Sprawdzić, czy nie ma wiadomości od Rusty'ego. - KtotojestRusty?

- Mój partner.

- On także jest w Reno?

- Gdzieś się tu płacze - przytaknął.

Eden nic na to nie odrzekła, ale Kincade pojął, że ją to zaniepokoiło: jeszcze ktoś był na tropie jej brata. Zrozumiał to równie wyraźnie jak jej nadzieję, że powstrzyma go jakimś cudem, gdy znajdą wreszcie Vince'a.

W recepcji Kincade rozpoznał za biurkiem znajomą twarz. Podszedł od razu do człowieka w średnim wieku, w okularach na nosie, wyraźnie zaaferowanego.

- Cześć, Kirk. Miło znów cię ujrzeć.

Mężczyzna spojrział na niego błędnym wzrokiem i zaraz rozjaśnił się uśmiechem.

- Pan Harris! Nie poznałem pana. Wygląda pan na zmęczonego długą i ciężką podróżą. Pewnie życzy pan sobie apartament, jak zawsze? - Skinął na jednego ze swoich pomocników.

- Nie, to znaczy... jeszcze nie teraz - powstrzymał go Kincade. - Czy nie ma dla mnie jakiejś wiadomości?

- Nie sędzę, ale zaraz sprawdzimy. - Zniknął na zapleczu.

Kincade obrócił się bokiem, oparł łokieć o blat i obserwował mijających go ludzi. Kącikiem oka dostrzegł, że Eden przybiera podobną pozę.

- Pewnie się tu często zatrzymywałaś - zauważyła.

- Za każdym razem, gdy byłem w Reno.

- Chyba mają tu bardzo wielu gości. Dziwię się, że recepcjonista potrafi ich zapamiętać. - Nie spytała, dlaczego pamiętał właśnie Kincade'a.

- Kirk ma dziewięcioletniego synka, który marzy o tym, by zostać kowbojem, gdy dorośnie. Kiedyś wystarałem się dla całej jego rodziny o bilety w pierwszym rzędzie na wszystkie nasze widowiska.

- Bardzo miły gest.

- Zwykła drobnostka. - Kincade odwrócił się do biurka recepcjonisty, bo usłyszał, że znajomy wraca.

- Bardzo mi przykro. Nie ma dla pana żadnej wiadomości.

- Dziękuję. - I dodał na odchodnym: - Proszę pozdrowić ode mnie Matta!

- Na pewno - obiecał recepcjonista i dodał z uśmiechem: - Ma wspaniały nowy fotel na kółkach.

Mówi, że to „specjalnie wyszkolony konik” i nazwał go Dandy.

Kirk machał ręką na pożegnanie, kiedy Kincade skierował się krótszą drogą do kasyna. Eden poszła za nim.

- Fotel inwalidzki - mruknęła. - Nie wspomniałeś, że ten chłopczyk to kaleka.

- Po co?

- Więc jednak masz miękkie serce.

- Nie dla twój ego brata - stwierdził bez ogródek i zwolnił na schodkach prowadzących do kasyna.

Eden potknęła się na trzecim stopniu i poleciała do przodu. Kincade podtrzymał ją, by nie upadła. Przez chwilę opierała się o niego, czuł miły ciężar jej ciała. Pachniała bylicą, kurzem i kobiecością. Ramiona same mu się zacisnęły. Eden natychmiast uwolniła się z jego objęć.

Dziewczyna rozmieniająca klientom pieniądze na odpowiednie monety przystanęła obok nich.

- Dobrze się pani czuje?

- Zupełnie dobrze. Jestem tylko zmęczona... - Eden odepchnęła rękę Kincade'a, wyraźnie nie życząc sobie jego pomocy. Widział jednak, jak bardzo jest wyczerpana; oczy przygasły ze znużenia, mimo że starała się z niego otrząsnąć. - Która to godzina?

Kobieta spojrzała na zegarek.

- Kilka minut po drugiej.

- Po północy? - Eden spojrzała z niedowierzaniem.

- Trudno tu zorientować się w porze dnia, prawda? - Kobieta uśmiechnęła się ze zrozumieniem i odeszła, wezwana przez któregoś z klientów przy automatach.

Eden przycisnęła rękę do brzucha.

- Nic dziwnego, że jestem taka głodna.

Nie skarżyła się, po prostu stwierdziła fakt, ale Kincade z goryczą przypomniał sobie drzenie jej mięśni, które wyczuł, gdy objął ją ramionami; było to osłabienie spowodowane głodem, a nie reakcja na jego bliskość. Uniósł głowę i rozejrzał się niecierpliwie po zatłoczonym wnętrzu kasyna.

Powinien zająć się wyłącznie szukaniem Rossitera; po to przecież tu przyjechał!

Zamiast tego jednak ujął Edenzaramię i popchnął ją stronę restauracji.

- Chodź! Przekąsimy coś w kafejce!

Hostessa zaprowadziła ich do ustronnego boksu. Eden wśliznęła się tam, zdjęła kapelusz i rzuciła na siedzenie obok siebie. Wyrwało jej się przy tym zmęczone westchnienie. Obiema rękami odgarnęła włosy z twarzy, a potem otworzyła menu.

- Wszystko wygląda bardzo zachęcająco - mruknęła.

Kincade podniósł wzrok znad swojego jadłospisu. W tej chwili na twarzy Eden nie było napięcia i ciężaru, który ją przytłaczał, choć można go było odkryć w wielu prawie niedostrzegalnych szczegółach: kurczowym zaciskaniu palców trzymających menu, naprężeniu mięśni szyi, sztywności ramion. Kincade pomyślał, ilu cierpień przysparza jej DePard, a teraz w dodatku brat! Zastanawiał się, ile jeszcze Eden będzie w stanie znieść, nim się zupełnie załamie.

Podeszła do nich kelnerka.

- Czy podać coś do picia, zanim zdecydują się państwo na coś z karty?

- Dwa piwa - odparł Kincade.

- Wolałabym kawę - zaproponowała Eden, ale kelnerka już odeszła.

- Jesteś napięta jak sprężyna. Kofeina to ostatnia rzecz, którą należałoby ci teraz zaaplikować - wyjaśnił Kincade. - Piwo cię odpręży, a kiedy już coś zjesz, przyjdzie pora na kawę.

- Wcale nie muszę się odprężyć. - Jednak już nie protestowała.

Kelnerka wróciła z piwem, przyjęła zamówienie i odeszła. Kincade'owi bardzo chciało się pić, więc pociągnął potężny łyk. Eden poszła w jego ślady, po czym postawiła kufel na stole, obejmując naczynie obiema rękami.

Rzuciła Kincade'owi opanowane spojrzenie.

- Co zrobisz, gdy dopadniesz Vince'a? Popatrzył na jej palce zaciśnięte na kuflu.

- Zobaczymy. - Podniósł piwo do ust i wypił znów wielki łyk. Nie smakował mu tak jak poprzedni.

- Przecież go nie... - Eden urwała, nie mogąc skończyć myśli. Kincade uniósł brew, sarkastyczny uśmiezek uniósł kąćki jego ust.

- Nie zabiję? To sprzeczne z prawem. - Nie wyjawiał Eden, że miał już okazję to uczynić i nie wykorzystał jej. - Są także inne metody.

- Przestań! - Nie dodała nic więcej. Podbródek miała wysoko uniesiony, ramiona wyprostowane

- gotowa do walki w obronie Vince' a. Kincade podziwiał w duchu jej lojalność względem brata. Cechowała ją też niezłomność uczuć, nieugięta duma i żelazna wola, którymi nie odznaczał się Vince.

Nie mogąc dać Eden żadnych zapewnień, na których tak jej zależało, Kincade milczał. Zjawiała się kelnerka z zamówionymi potrawami i zabrali się do nich bez słowa. Gdy już uporał się z jedzeniem, Kincade odsunął talerz i przyglądał się, jak Eden dojada ostatnie kęsy. Zauważył, że i jej kufel był opróżniony.

- Lepiej się czujesz? - spytał.

- Tak się najadłam, że chyba nie będę się w stanie ruszyć. - Mogła dodać, że jest na to również zbyt zmęczona; po jedzeniu opanowała ją niezwykła senność.

- Podać coś na deser? - kelnerka zebrała opróżnione talerze.

- Dla mnie tylko kawa - odparła Eden.

- Wobec tego dwie kawy. - Kincade wyjął z kieszeni cygaro.

- Zaraz podam - odparła pogodnie kelnerka i odeszła, wymijając trójkę klientów, których właśnie hostessa wprowadzała do przeciwległego boksu.

Eden obejrzała się w tamtą stronę; przestawiano krzesła, by zapewnić wygodne miejsce kowbojowi w fotelu na kółkach. Trzymał kapelusz na kolanach, a prawą nogę miał w gipsie od biodra po duży palec. Spojrzał w kierunku ich boksu i zmarszczył brwi na widok Kincade'a.

- K.C.? - odezwał się niepewnie. W końcu twarz rozjaśniła mu się uśmiechem.

- K.C.! To ty, stary skurczybyku! Jak ci leci, do pioruna?

Kincade przeprosił swoją towarzyszkę, wysunął się z boksu i podszedł do stołu naprzeciwko.

- Ze mną wszystko w porządku, Hawks. Szkoda, że nie da się tego powiedzieć o tobie. Co ci się przytrafiło? - wskazał na gips.

- Cholerna szkapa przygniotła mnie i kość trzasnęła. - Kowboj pogładził poszkodowaną kończynę. - Hugh Hazlett ma młodego ogiera, który zapowiadał się na fantastycznego specja od bydła. Na początku dawał się szkolić aż miło, a potem zbiesił się bez powodu. Kto go dosiadł, czuł się jak na trąbie powietrznej! No więc Hazlett zaangażował mnie, żebym go ujeździł. Myślał pewnie, że taki stary wyjadacz jak ja utrzyma się na tym bydlaku. Ale się przeliczył. Mam rachunki ze szpitala, najlepszy dowód! - oznajmił Hawks i na chwilę zamilkł. - A ty co porabiasz? Ostatnio słyszałem, że miałeś wypadek w San Antonio i też wylądowałeś w szpitalu. Poszło to lepsze ramię, co?

Kincade skinął głową.

- Doktor jakoś posklejał je do kupy. - Poruszył palcami lewej ręki, jakby chciał zademonstrować, że jest nadal władna.

- Będziesz się mógł teraz obywać bez barometru, możesz mi wierzyć. - Kowboj roześmiał się. - A o Budzie Taylorze słyszałeś?

- Nie.

Kiedy przy tamtym stole zaczęto rozmawiać o nie znanych jej osobach, Eden przestała się przysłuchiwać. Kelnerka postawiła przed nią filiżankę kawy. Wypiła łyk, ale płyn był zbyt gorący. Lepiej poczekać, aż kawa wystygnie; Eden oparła się o miękkie poduszki w kącie boksu. Oczywiście miała suche i swędzące od niewyspania. Postanowiła przymknąć je, tylko na chwilę.

Gdy skończył pogawędkę ze znajomymi, Kincade wrócił do swojego stolika i natknął się na kelnerkę z dzbankiem kawy w ręku.

- Biedactwo - powiedziała cicho, spoglądając przez ramię na śpiącą Eden. - Tak mocno usnęła!

Jedno spojrzenie wystarczyło, by się o tym przekonać. Eden siedziała skulona w kącie boksu; jej twarz we śnie była gładka i odprężona. Głowę przekrzywiła tak, że z pewnością po obudzeniu poczuje sztywność karku. Wydawała się mała i bezbronna, zmogło ją skrajne wyczerpanie, na które

przedtem Kincade nie zwrócił uwagi.

- Jak się obudzi, proszę jej powiedzieć, że niedługo wracam - zwrócił się Kincade do kelnerki.

- Jasne.

Kiedy wrócił, Eden nadal spała. Musiał nią potrząsnąć:

- Eden! Eden, wstawaj!

- Cooo?... - Oszołomiona usiłowała przebić się przez gęstwinę snu, ale wymagało to zbyt wielkiego wysiłku. Bolał ją kark; chciała go pomasażować, ale ręka jej opadła. Czyjeś ramiona pomagały jej wstać, podtrzymywały ją. Choć w półśnie, zdawała sobie sprawę, że te ręce należą do Kincade'a. Próbowwała ułatwić mu zadanie.

- Dokąd idziemy?

- Zatrzymamy się tu na noc. - Jego głos dolatywał do niej jak z oddali. Starła się pochwycić słowa, ale nie wszystkie do niej docierały.

- Zameldowałem nas oboje.

- Doobrze...

Zdawała sobie sprawę, że są w restauracji, ale wszystko wokół było jakieś zamazane. Powieki stały się dziwnie ciężkie i ciągle same się zamykały. Wszystko przez to piwo... Nie powinna była pić na pusty żołądek... Była to ostatnia logiczna myśl Eden. Po kilku chwiejnych krokach w stronę wyjścia Kincade wziął ją na ręce.

- Umiem chodzić - mruknęła zaspanym głosem.

- Jasne - przytaknął kpiąco.

Zanim dotarli do windy, usnęła na dobre z głową na jego ramieniu. Czuł jakąś nieznaną tkliwość, gdy wnosił ją do apartamentu. Określenie „bezbronna” nie pasowało specjalnie do Eden, a jednak taka właśnie była, gdy żadna maska nie ukrywała łagodności jej twarzy.

Kincade przeszedł przez salonik do jednej z dwóch sypialni apartamentu. Łokciem nacisnął kontakt zapalając światło. W pokoju stało ogromne łóżko; odsuniętą narzutę zebrano w równiutkie fałdki. W głowach leżały dwa rzędy miękkich poduszek. Kincade posadził Eden na brzegu. Podtrzymał ją, zanim osunęła się na materac.

- No, Eden, siadaj: muszę ci zdjąć buty.

Wymamrotała coś, co brzmiało jak zgoda, i rozstawiła ramiona, by utrzymać się w pozycji siedzącej. Kincade przyklęknął i zaczął ściągać jej buty i skarpetki. Miała niewielkie stopy, gładkie i drobnokościste, jak reszta ciała. Gdy stawiał je na podłodze, przesunął palcami po wysokim łuku podbicia.

Wstał z klęczek i zauważył, że Eden rozpięła koszulę. Stał chwilę bez ruchu, wpatrując się w zwykły biały stanik, który pod nią nosiła. Materiał ciasno opinał pełne piersi. Kincade poczuł żar we krwi; coś go ścisnęło za gardło. Miał ochotę zakląć siarczyście, gdy jej ręce powędrowały automatycznie do suwaka dżinsów, ale z gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Nieważne, że Eden miała ciągle zamknięte oczy, że była pogrążona we śnie, nieprzytomna! Pożądanie zwarło się w nim w palący, bolesny węzeł.

- Jestem zmęczona jak nigdy, Vince - wymamrotała Eden i w tej samej chwili suwak ustąpił pod jej palcami.

Boże święty, ona myśli, że jestem jej bratem! - Kincade dałby nie wiem co, by udowodnić jej, jak bardzo się myli. Zamiast tego jednak chwycił za nogawki jej spodni i mocno pociągnął, a Eden opadła na łóżko z pomrukiem zadowolenia.

Wygięta w łuk, pod natarciem jego języka wydaje cichy, zduszony okrzyk; cała sztywnieje od graniczącej z bólem, dręczącej pieśczoły, a potem wstrząsa nią dreszcz, gdy on zanurza się w niej

znajdując spełnienie. Nawet wtedy jednak nie wypuszcza jej z objęć, lecz zasypiają splątani w ciepłym uścisku.

Oczy Kincade'a otworzyły się, a potem znów przymknęły, broniąc się przed słonecznym blaskiem, który wlewał się do pokoju przez okno obramowane ciężkimi kotarami; z premedytacją nie zasunął ich przed snem. Sądząc, że obudził go właśnie ów blask, Kincade przewrócił się na drugi bok i spojrzał na tarczę zegarka stojącego na nocnym stoliku. Dochodziła dziesiąta.

Całkowicie już przytomny, Kincade usiadł na łóżku ze zwieszonymi nogami i wtedy dotarł do niego dziwny odgłos. Z sypialni Eden dobiegał zduszony krzyk i przerażone łkanie. Kincade nagle pojął, że to nie słoneczne światło wybiło go ze snu.

Szybko wciągnął dzinsy i pobiegł sprawdzić, co się dzieje. Wszedł do zaciemnionego pokoju i ujrzał miotającą się na łóżku postać, z której ust wydobywały się dziwne, gardłowe dźwięki.

- Eden! - Gdy nie odpowiedziała, Kincade podszedł do łóżka i zapalił lampę. Gwałtownie odwróciła się do ściany. Ramiona miała sztywno wyciągnięte, palce wpiła w skotłowanapościel, jakby w paroksyzmie bólu. Dopiero gdy przytknął dłoń do jej wilgotnego policzka, by sprawdzić, czy nie ma gorączki, Kincade zdał sobie sprawę, że Eden jest nadal pogrążona we śnie.

- Obudź się, Eden! - Potrząsnął jej ramieniem najpierw lekko, potem mocniej, gdyż zaczęła się bronić. - Zbudź się wreszcie!

Otworzyła rozszerzone ze strachu oczy; popatrzyła na niego błędnym wzrokiem i cofnęła się w popłochu. Kincade nadal mówił do niej szeptem; starał się kojącym tonem głosu uśmierzyć jej lęk. Stopniowo, bardzo powoli, oczy Eden traciły nieprzytomny, szklany wyraz.

- To był tylko zły sen - zapewnił cicho Kincade i wziął ją za rękę. Czuł, jak drży w jego dłoni. Przez sekundę - może tylko ułamek sekundy? - uchwyciła z całej siły jego palce, zaraz jednak cofnęła rękę. - Przyniosę ci wody - powiedział.

Kincade wyszedł, Eden zaś w milczeniu podciągnęła kolana pod brodę i oparła na nich czoło. Wokół niej kłębiła się zmięta pościel. Dziewczyna kilkakrotnie odetchnęła głęboko, starając się opanować mdłości i nieustannie wstrząsające nią dreszcze. Z łazienki dobiegł szum płynącej wody. Potem ucichł i rozległo się ciche stąpanie bosych stóp. Kroki zbliżały się do łóżka.

- Napij się, proszę.

- Dziękuję. - Ujęła szklankę, którą jej podawał, obiema rękami. Nie mogła spojrzeć na Kincade'a. Nie w tym momencie. Jeszcze nie teraz. Chciała, żeby sobie poszedł, zostawił ją w spokoju, dał jej czas na opanowanie się.

Kiedy jednak przysiadł na łóżku, jakąś cząstką swojej duszy Eden zapragnęła zwrócić się do niego, pozwolić mu, by tulił ją i pocieszał.

- Opowiedz mi o tym, Eden.

- Miałaś rację, to był tylko sen. - Nadal nie odrywała oczu od szklanki z wodą.

- To było coś więcej. - Palce Kincade'a musnęły jej policzek, odgarniając pasemko włosów.

Dotyk sprawił, że Eden przymknęła oczy. - Powinnaś z kimś o tym pomówić. Chętnie cię wysłucham.

- Nie potrzebuję niczyjej pomocy! - upierała się.

- Nie odejdę, póki mi o tym nie opowiesz.

Wypiła łyk wody. Była chłodna i bez smaku; nie przynosiła ulgi bolącemu gardłu.

- Śniła mi się ta noc, kiedy umarł Jeff. No więc już teraz wiesz i możesz sobie iść!

Kincade bez słowa wyjął z jej rąk szklankę i odstawił ją na nocny stolik; potem powolnym ruchem objął i przytulił Eden. Zesztywniała i próbowała się wyrwać, ale nie zważając na jej protesty oparł jej głowę o swoje ramię.

Nie ofiarował jej słów pociechy czy współczucia: dobrze wiedział, że nie chciałyby ich słuchać.



Zamiast tego gładził japo włosach. Z ust Eden wydarło się ni to westchnienie, ni to szloch.

- Czemu to robisz? - Był to protest, a zarazem natarczywe pytanie; przebijająca z niego całkowita bezradność, wynikająca z bezsilności i poczucia klęski.

- Bo chcę. Co wydarzyło się tamtej nocy?

Eden nigdy na ten temat nie rozmawiała. Było to zbyt trudne, zbyt bolesne. Teraz jednak, gdy z przymkniętymi oczami tuliła głowę do ramienia Kincade'a, słowa popłynęły same.

- Miałam wtedy siedemnaście lat. Jeff był starszy, w wieku Vince'a. Przyjaźnili się ze sobą. Po skończeniu szkoły średniej Jeff wyjechał do college'u. Widziałam go kilka razy, gdy przyjeżdżał do domu. Vince zabierał mnie po lekcjach, a Jeff mu towarzyszył. Nigdy się tak naprawdę nie znaliśmy. Byłam dla Jeffa po prostu smarkatą siostrzyczką Vince'a. Nie zwracał na mnie uwagi aż do... tamtej wiosny. Zaczął mi wtedy mówić różne miłe rzeczy, obejmował mnie ramieniem i patrzył tak, że było to równocześnie straszne i podniecające. - Opowiadając Eden przeistoczyła się w tamtą siedemnastolatkę, naiwną i niedoświadczoną. - Wszystkie dziewczyny zazdrościły mi, że Jeff zwrócił na mnie uwagę. Nie tylko był przystojny, uważano go także za najlepszego sportowca w college'u. A przede wszystkim był DePardem!

Kincade nadal gładził japo włosach.

- Nie powiedziałbym, żeby to nazwisko budziło we mnie entuzjazm. Eden podniosła na chwilę głowę i ujrzała uśmiech czający się w kącikach ust Kincade'a. Spuściła znów oczy i ukryła twarz na jego ramieniu. Te słowa Kincade'a pomogły jej jak żadne inne.

- We mnie wtedy jeszcze budziło - wyznała i także się uśmiechnęła. Zaraz jednak spoważniała na wspomnienie tamtej nocy. - Tak czy owak, któregoś czwartku po szkole Vince powiedział mi, że Jeff chce się ze mną umówić na sobotni wieczór. Nie wolno mi było chodzić z chłopcami. W pewnym sensie poczułam ulgę przypominając Vince'owi, że dziadek nigdy mi nie pozwoli na żadną randkę. Vince odparł, że pomoże mi wymknąć się z domu, to nic trudnego. Domyślał się, że boję się trochę takiego sam na sam z Jeffem, więc chcąc mnie uspokoić zaproponował, że wybierzemy siew dwie pary: on zaprosi Reбекę Saunders. W końcu zgodziłam się.

- Innymi słowy, to Vince umówił cię z DePardem. - Kincade miał więc jeszcze jeden powód, by pogardzać Rossiterem. Starał się jednak, by Eden nie usłyszała pogardliwej nuty w jego głosie.

Nagle Eden poczuła potrzebę ruchu. Jakiś niepokój zmusił ją, by przeniosła się na drugi koniec łóżka. Ściągnęła prześcieradło i wstając owinęła się nim jak Hinduska swoim sari. - Ostatecznie jednak to ja podjęłam decyzję, że wymknę się z domu i spotkam z Jeffem. Vince nie namówiłby mnie do tego, gdybym sama nie chciała. Zdecydowałam się przede wszystkim dlatego, że to był prawdziwy triumf: ktoś taki przystojny i popularny jak Jeff chce się ze mną umówić!

- I dokąd się wybraliście?

Eden podeszła do okna, wyplątała rękę z fałd prześcieradła, rozchyliła zasłony i wyjrzała na zewnątrz. Poranne słońce jaśniało na niebie, tłumiąc jego błękit. Na ulicach widać było sporo samochodów i przechodniów, ale znacznie mniej niż ostatniej nocy.

- Siedem mil od naszego rancza, w kierunku miasta, znajduje się kilka skalnych jezior. Zasila je woda z gorących źródeł. Nadawano im przez lata wiele różnych nazw, ale wszyscy i tak nazywają to miejsce Springs. - Eden głęboko odetchnęła i mówiła dalej, nie okazując większych emocji. - Umówiliśmy się, że Jeff zabierze dziewczynę Vince'a i spotkają się z nami przy źródłach o dziewiątej. - Eden niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w słoneczny dzień za oknem; bała się wrócić do tonącego w mroku wnętrza pokoju. Ciemność sprawiała, że wspomnienia stawały się zbyt żywe. - Jeff i Rebeka już na nas czekali, kiedy zjawiliśmy się z Vince'em. Pamiętam, że wieczór był piękny: spokojny, niezbyt chłodny. Na niebo wyszły gwiazdy, całe mnóstwo gwiazd...

Gdy reflektory wozu Vince'a zgasły, Eden spostrzegła gwiazdy lśniące nad ich głowami jak setki maleńkich brylantów rozsypanych po ciemnym aksamicie nieba. Podniecona i spięta, zaczęła na brata, zanim podeszła do pary siedzącej przy niewielkim ognisku. W pustynnej ciszy docierały do niej najdrobniejsze dźwięki: lekki plusk wody dobiegający z zasilanych źródłami jeziorzek za nimi; cichy trzask płonących gałęzi i niespokojny rytm jej własnego serca.

- Gotowa? - Vince uśmiechnął się do niej.

Skinęła głową i musnęła palcami fryzurę, by się upewnić, że żaden kosmyk nie wymknął się niepotrzebnie.

- Wyglądam możliwie?

Eden szesała wszystkie włosy do tyłu i upięła ciężką masę loków grzebykami; chciała wyglądać na starszą i bardziej doświadczoną. Nie życzyła sobie, by Jeff odgadł, że to jej pierwsza randka.

- Padnie trupem, siostrzyczko! - stwierdził Vince mrużąc szelmowsko oko.

Brat wziął ją za ramię i poprowadził po kamienistym gruncie do gładkiej półki skalnej tuż nad górnym jeziorkiem. Mniej więcej pośrodku tego występu połyskiwały wesoło złote płomienie. Skały za nimi nosiły jeszcze czarne ślady poprzednich ognisk. W migotliwym świetle widać było dwa koce rozłożone na płaskim kamieniu. Pomiędzy nimi stała przenośna czerwono-biała chłodziarka, na niej niewielki radiomagnetofon i cała kolekcja kaset.

Eden dostrzegła każdy szczegół; rozglądała się na wszystkie strony, byle tylko nie patrzeć na wysoką, barczystą postać, oświetloną od tyłu blaskiem ognia. Czuła na sobie wzrok Jeffa; zdawało jej się, że niewidzialne dłonie suną po całym jej ciele, gdy szła ku niemu. Było to denerwujące, nawet trochę straszne, a jednocześnie podniecające.

Spojrzała na siedzącą obok Jeffa dziewczynę. Jej spłowiałe na słońcu włosy były artystycznie zmierzwione: tak właśnie czesały się modelki na reklamach w różnych czasopismach. Rebeka Saunders, starsza od Eden o dwa lata, przepracowała prawie rok w Reno; potem jej ojciec zachorował i musiała wrócić do domu, by zaopiekować się nim i swoim młodszym rodzeństwem.

Czarne dzinsy Rebeki były okropnie obcisłe; Eden mogła przysiąc, że dziewczyna nie zdołałaby wsiąść w nich na konia. Jej koszulka była równie opięta, a luźna kamizelka nie maskowała braku stanika.

- Cześć! Nareszcie udało nam się wyrwać! - wyjaśnił Vince. - Mam nadzieję, że nie czekaliście zbyt długo.

- Zdążyliśmy akurat rozpaścić ogień - odparł Jeff leniwie swoim niskim głosem; na jego dźwięk w Eden rozdygotały się znów wszystkie nerwy. Była zadowolona, że jest z nią Vince, który podtrzyma rozmowę. Ona sama pojęła nagle, że nie wie co mówić ani jak się zachować.

- Właśnie - wtrąciła się Rebeka. - Jeff zajechał po mnie dość wcześnie i wpadliśmy coś przegryźć. Świetnie się bawiliśmy i mało brakowało, a też byśmy się spóźnili.

- Duke zaprosił swoich kumpli od polityki na dzisiejszy obiad. Wolałem się zmyć, niech sobie sami dyskutują o bieżących wydarzeniach i planują przyszłe kampanie - wyjaśnił Jeff. - Wobec tego zadzwoniłem do Rebeki i wpadłem po nią wcześniej niż zaplanowaliśmy. - Jego spojrzenie powędrowało w kierunku Eden. - Cześć, Eden.

- Cześć, Jeff... - wykrztusiła z trudem, bo zabrakło jej tchu.

- Cześć, Eden! - powtórzyła niczym echo Rebeka i obdarzyła dziewczynę zjadliwym uśmiechem.

Zaskoczona Eden zaczęła się zastanawiać, czym też mogła narazić się Rebecę. Nie miała jednak wiele czasu na rozważania, bo Jeff znów się do niej zwrócił.

- Wyglądasz szalowo - powiedział półgłosem.

- Dziękuję. - Dotknęła z dumą kołnierza białej bluzki, ozdobionego angielskim haftem. Układał

się w miękkie fałdy wokół dekoltu i kończył czymś w rodzaju żabotu.

Była to najlepsza bluzka Eden: wystarczająco skromna, by spotkać się z aprobatą dziadka, a jednocześnie bardzo kobieca i twarzowa.

Eden długo się namyślała, co włożyć na dzisiejszą okazję. Jej garderoba była skromna: miała tylko to, w czym chodziła do szkoły, i to, w czym pracowała na ranczu. Vince poradził jej, by ubrała się w dżinsy, ale przecież nosiła je codziennie. Nie miała zamiaru wkładać ich na swą pierwszą randkę! Ostatecznie zdecydowała się na białą bluzkę, kloszową spódnicę w kwiaty i sandałki.

Jeff wyciągnął do niej rękę. Eden zawahała się, zanim ją ujęła. Jeff spojrzał na jej dłoń, a potem na twarz dziewczyny.

- Masz zimną rękę.

- Tak. - Wiedziała, że to ze zdenerwowania palce jej zlodowaciały... i że całkiem zapomniała języka w buzi.

- Chyba muszę ci ją ogrzać.

- Stanę tuż przy ogniu, to będzie mi cieplej.

Jeff roześmiał się. Czyżby powiedziała coś dowcipnego? Chciała tylko udowodnić mu, że stać ją na coś więcej niż „tak” albo „nie”.

Jeff odwrócił się i pociągnął Eden za rękę w stronę ogniska.

- W chłodziarce jest piwo, Vince. Nie żałuj sobie - powiedział i dodał patrząc na Eden: - Napijesz się?

- Nie w tej chwili, dziękuję.

- Nie masz nic przeciwko temu, że ja się napiję? - Nie czekając na odpowiedź podszedł do pojemnika.

- Oczywiście, że nie - Eden usiadła bokiem na kocu i podwinęła pod siebie nogi, zakrywając je spódnicą.

Rebecca stała przy chłodziarce i podnosiła pokrywę, gdy podszedł Jeff. Podała puszkę Vinc e' owi.

- Masz szczęście, że zostało jeszcze coś dla ciebie. Jeff i ja popiliśmy zdrowo po drodze. Może nie? - rzuciła mu ukradkiem kuszący uśmiech, wyjęła kolej - ne piwo i wręczyła młodemu DePardowi.

- Mężczyzna musi zaspokoić czasem pragnienie.

- Kobieta też.

Eden wydawało się, że ta wymiana zdań ma jakieś ukryte znaczenie, ale nie chciała się nad tym zastanawiać. Przysłuchując się trzaskowi otwieranych puszek i sykowi piany poczuła się nagle intruzem.

Jeff wrócił i siadł obok niej na kocu. Eden głowiła się, co by tu powiedzieć.

- Kiedy wracasz do college'u?

- Może we wtorek. - Jeff pociągnął piwa. - Zależy.

- Od czego?

- Od tego, czy daruję sobie kilka wykładów, czy nie.

- Pora na trochę muzyki! - Rebeka wetknęła kasetę do magnetofonu. - Mam ochotę potańczyć.

Puściła muzykę na cały regulator: noc wypełniła się podniecającym tanecznym rytmem.

Dziewczyna spojrzała wymownie na Jeffa. Kiedy się nie ruszał, chwyciła Vince'a za rękę i pociągnęła do tańca.

Muzyka rozbrzmiewała tak donośnie, że o żadnej rozmowie nie można było nawet marzyć. Eden musiałaby krzyczeć, żeby Jeff ją usłyszał. Patrzyła więc tylko na parę wirującą przed ogniskiem.

Zwłaszcza Rebeka przyciągała jej wzrok: dziewczyna poddawała się rytmowi, falowała całym ciałem, wiła się jak wąż. Dziadek na pewno uznałby taki taniec za „wyuzdany i grzeszny”. Eden też uważała, że jest w tym jakieś rozpasanie, ale i dziwne piękno.

Obejrzała się na Jeffa i spostrzegła, że on także obserwuje Rebekę. Wcale jej to nie zdziwiło... ale chyba zabolalo.

Melodia się urwała. W krótkiej przerwie, zanim zabrzmiała następna, Eden uśmiechnęła się dzielnie:

- Rebeka jest świetna, prawda?

Jeff wzruszył muskularnymi ramionami, udając obojętność.

- Jeśli komuś odpowiada taki sposób tańczenia.

Eden była pewna, że jemu odpowiadał. Nie spuszczał oczu z Rebeki, gdy znów zaczęła tańczyć, aż do końca melodii. Potem nachylił się i szepnął Eden do ucha:

- Zatańczymy? Potrząsnęła energicznie głową.

- Ja tak nie potrafię.

Jeff uśmiechnął się szeroko i przysunął się jeszcze bliżej.

- Wcale nie to miałem na myśli. - Podszedł do magnetofonu i i zmienił kasetę. Z głośników popłynęła wolna, romantyczna melodia. Jeff wrócił do Eden i wziął ją za rękę. Czuli się bardzo niepewnie, ale pozwoliła, by podniósł ją na nogi.

- Uprzedzam, że nie jestem dobrą tancerką - powiedziała, gdy obejmował ją w talii.

- Założę się, że to z braku praktyki.

- Mam lekcje w szkole, pracę domową i obowiązki na ranczo... skąd wziąć czas na tańce?

- Pewnie stary Jed krótko cię trzyma.

- Chyba tak.

- Taniec to nic trudnego, naprawdę. - Ujął ją mocniej w pasie i przyciągnął bliżej. - Odpreź się tylko i kołysz w rytm muzyki.

Nadepnęła mu na stopę.

- Zapomniałeś mi powiedzieć, co mam robić z nogami.

- W tym cały sekret: stój w miejscu, przestępuj z nogi na nogę i udawaj, że robisz jakieś kroki.

- Tak jak teraz? - Eden spojrzała na niego rozbawiona; po raz pierwszy w życiu próbowała kogoś kokietować.

- Doskonale.

Po kilku taktach Eden musiała przyznać, że metoda się sprawdza. Troszkę się odpreżyła, nabrała pewności siebie. Jeff wypuścił jej dłoń i przesunął palcami po żabociku.

- Podoba mi się twoja bluzeczka. - Jego palce sunęły w dół, tkanina poddawała się pod dotknięciem; grzbietem dłoni Jeff musnął jej pierś. - Co to za materiał?

Cały czas przesunął palcami po bluzce w górę i w dół; za każdym razem jego ręka dotykała piersi, wzbudzając w Eden rozkoszne dreszcze. Bała się odezwać, żeby nie zorientował się i nie odsunął ręki.

- To haft angielski - wykrztusiła wreszcie.

- Haft angielski. - Jeff dotykał obszywanych dziureczek. - Bardzo mi się podoba. Zwłaszcza na tobie. - Jego spojrzenie przeniosło się z bluzki na twarz Eden; w oczach błyszczało zadowolenie.

- Cieszę się.

Jeff puścił kołnierzyk i znów ujął jej dłoń. Odwrócił ją i przyciągnął tak, by oparła się o niego; drugą ręką, którą trzymał ją w pasie, przytulił dziewczynę jeszcze mocniej. Przylegali teraz ściśle do siebie.

- Teraz masz ciepłą łapkę - szepnął.

Fala gorąca objęła całe jej ciało. Eden poczuła, że się czerwieni. Schyliła głowę, by ukryć rumieniec. Prawie natychmiast poczuła jego policzek na swoich włosach.

- Ślicznie pachniesz.

- To perfumy. Vince podarował mi je na Gwiazdkę.

- Pokropiłaś się za uszami? - Schylił głowę, by sprawdzić. Gorący oddech owionął jej ucho i szyję. Poczuła drobniutkie, rozkoszne dreszcze, przenikające całe ciało. Przymknęła oczy starając się opanować słabość, która ją nagle ogarnęła.

- Jak się nazywają? - Gdy szeptał te słowa, jego wargi muskały szyję Eden; ten dotyk potęgował jeszcze cudowne doznania.

Eden prawie nie mogła oddychać, a cóż dopiero mówić.

- Szmaragd - wymamrotała w końcu, przypominając sobie etykietkę na buteleczce perfum.

- Taki zapach działa na mężczyznę. - Jeff musnął ustami jej policzek.

- Naprawdę? - Miała nadzieję, że to prawda, bo on sam strasznie na nią działał.

- I to jak! Od razu chce się sprawdzić, czy smakujesz tak samo cudownie jak pachniesz.

Wargi Jeffa dotknęły kącika jej ust. Podniecona, ale ciągle niepewna Eden odwróciła leciutko głowę - właśnie na tyle, by ich usta się spotkały. Jeff nie tracił ani sekundy.

Nie był to pierwszy pocałunek Eden. Gdy miała piętnaście lat, Buddy D'Angelo zaczął za nią łązić. Kiedyś przyłapał ją na pustej klatce schodowej i pocałował. Właściwie przytknął tylko usta do jej ust. Pocałunek Jeffa był zupełnie inny: gorący, wilgotny, budził w niej równocześnie strach i podniecenie. Próbowwała naśladować ruchy jego warg; oddychała szybko i urywanie.

Jeff całował ją raz po raz; przerywał tylko dla zaczerpnięcia tchu i znów do niej wracał. Pożerał dosłownie jej wargi z gwałtownością zarazem zaraźliwą i odurzającą. Eden nagle zdała sobie sprawę, że muzyka umilkła, a oni od dawna już nie udawali nawet, że tańczą.

Zawstydzona odsunęła się od niego i rzuciła niespokojne spojrzenie na brata. Jeff ujął ją pod brodę i zwrócił znów twarzą ku sobie.

- Nie myśl o nim. Vince zbyt jest teraz zajęty, by zważać na nas.

Miał słuszność. Wystarczyło jedno spojrzenie: Rebecca dosłownie owinęła się wokół Vince'a, a on całował ją w szyję. Eden jednak była zbyt speszona, by odpowiedzieć równie gorąco na następny pocałunek Jeffa. Kiedy jego usta stały się zbyt natarczywe, wysunęła się z jego objęć.

W mroku nocy rozległy się dźwięki nastrojowej ballady; Jeff znów zaczął kołysać się, udając, że tańczy z Eden. Skoncentrował się teraz na jej twarzy: obsypywał pocałunkami oczy, nos i skronie. Eden próbowała go powstrzymać. Te doznania były dla niej zbyt nowe, zbyt upajające.

Melodia dobiegła końca. Zabrzmiała następna, tym razem w ognistym, porywającym rytmie. Jeff wydał gniewny pomruk, wypuścił Eden z objęć, podszedł szybkim krokiem do magnetofonu i wyłączył go. Rebeka zaśmiała się cicho i gardłowo.

- Nic tak nie psuje nastroju jak nieodpowiednia muzyka - zauważyła rozbawiona. - A przy okazji, złap się za następne piwo, Jeff.

Nie czując już gorącego ciała chłopca przy swoim Eden zdała sobie sprawę z tego, że noc jest chłodna. Zadrżała i skuliła się z zimna... i dlatego, że odczuła nagłą pustkę.

Vince obejrzał się na siostrę.

- Zmarzłaś?

- Troszkę.

- Lepiej podejdź do ognia i ogrzej się. - Podniósł z ziemi suchą gałąź i rozgarnął nią tłący się popiół.

Eden zbliżyła się do ogniska i uniosła dłonie nad płomieniem. Gdy Jeff podszedł znów do niej, ogarnął ją większy niż przedtem niepokój - sama nie wiedziała czemu.

- Chyba się ochłodziło - powiedziała, by się wytłumaczyć.

- Znam fantastyczny sposób na rozgrzewkę.

- Jaki? - spytała z lekką obawą.

- Długa, długa kąpiel w gorącym jeziorze.

- Genialny pomysł, Jeff! - Oczy Rebeki zaśnity. - No to kąpiemy się!

- Ja nie mogę. Nie wzięłam kostiumu kąpielowego. - Eden za żadne skarby nie przyznałaby się, że w ogóle go nie ma.

- Nie bądź głupia! - ofuknęła ją Rebeka drwiąco. - Po co ci kostium? Lepiej się kąpać na golasa!

- mówiła zdejmując kamizelkę i odrzucając ją zalotnym gestem prosto pod stopy Jeffa. - Idziesz, Jeff? Kto ostatni w wodzie, ten fujara!

Szła już w stronę jeziora, zrzucając po drodze koszulkę. Blask ogniska zaśnity złościście na jej nagich plecach.

Vince uśmiechnął się szeroko do Jeffa.

- Chyba dotrzymam jej towarzystwa. - Pobiegnął za Rebeke.

Eden zeszywniała. Patrzyła za nimi, dopóki nie ujrzała, że Rebeka zdejmuje obcisłe dzinsy. Odwróciła się gwałtownie, chociaż bała się również spojrzeć na Jeffa. Starła się nie słyszeć dolatujących odgłosów: plusku wody, szeptów Vince'a i gardłowego śmiechu Rebeki.

- Nie wiesz, ile tracisz, Jeff! - zawołała w ich stronę Rebeka. Eden rzuciła mu bojaźliwe spojrzenie.

- Możesz się do nich przyłączyć, jeśli masz ochotę - powiedziała z przymusem.

- Wcale nie mam ochoty - odparł, wziął ją za rękę i odciągnął od ogniska. - Usiądź tu przy mnie.

Sklonił ją, by przysiadła na kocu opierając się plecami o chłodziarkę. Nie wiadomo w jaki sposób znalazła się znów w jego ramionach. Próbowwała się odprężyć i cieszyć jego bliskością, ale nie mogła. Obejrzała się z wahaniem na jezioro.

- Nie widzą nas stamtąd, jeśli o to ci chodzi - wyjaśnił Jeff.

- Wcale nie o to.

- Właśnie że tak. - Przesunął dłonią po jej włosach. Zanim zorientowała się, co Jeff zamierza uczynić, wyciągnął grzebyk. Podniosła rękę, by go powstrzymać. - Nie. Wolę cię z rozpuszczonymi włosami. - Wyjął następny grzebyk i odrzucił oba na bok. - O wiele lepiej! - Zanurzył rękę w jej włosach, a kciukiem i palcem wskazującym przesunął po jej policzku, brodzie, ustach.

Wargi Eden rozchyliły się pod jego dotykiem. Gdy koniuszek palca musnął jej zęby, delikatnie go ugryzła, przesuając zębami po skórze. Nie rozumiała dlaczego Jeffowi nagle pociemniały oczy i z gardła wydobył się jęk. Zabrał dłoń i ustami prawie zmiażdżył jej wargi.

Był to bolesny pocałunek, brutalna pieszczota; Eden nie bardzo wiedziała, czyjej się to podoba. Poczła ulgę, gdy usta Jeffa oderwały się od jej ust i powędrowały ku nasadzie szyi, budząc w niej znów rozkoszne dreszczyki.

Powtarzało się to bez końca: jego usta to pożerały ją wilgotnymi pocałunkami, zmuszając do rozchylenia warg, to znów biegnęły ku szyi, by ją pieścić i drażnić. Dłonie Jeffa biegały po plecach i ramionach, wzdłuż talii i bioder - niekiedy brutalne i natarczywe, to znów delikatne i kusicielskie. Za każdym razem, zanim Eden zdołała jakoś zareagować na jego pieszczotę, Jeff przerywał ją.

Nie miało to jednak znaczenia. Eden była zachwycona pocałunkami. Mogłaby całować się z nim do rana i jeszcze nie miałyby dosyć! Czła się spragniona, a jednocześnie sfrustrowana, bo nie wiedziała, jak powinna się odwzajemnić.

- Wysuń język - szepnął Jeff tuż przy jej ustach. Gdy się zawahała, powtórzył żądanie. - No, daj go tu!

Niepewnie wysunęła język. Kiedy poczuła na nim mokre liźnięcie, przeraziła się i ukryła twarz w koszuli Jeffa. Uszczypnął ją zębami w ucho i wsunął do niego koniuszek języka, co znów wywołało u niej dreszcz. Ręka Jeffa, którą obejmował ją w pasie, powędrowała teraz ku górze, pod same piersi.

- Przestań! - Odepchnęła jego dłoń, gdy od strony jeziora dobiegł śmiech.

- Zapomnij o nich! - szepnął.

- Nie potrafię.

Zaklął i pociągnął ją za włosy, tak że musiała unieść twarz ku górze. Rozgniół jej wargi kolejnym okrutnym pocałunkiem; pohamował się dopiero wówczas, gdy Eden zaczęła się wrywać.

Po kilku minutach Eden posłyszała szmer głosów i plaskanie mokrych stóp o kamienie. Wyrwała się z ramion Jeffa i spróbowała wygładzić zmiętą spódnicę. Odgłosy stawały się coraz bliższe.

Trzeba było doprowadzić jakoś do porządku rozburzoną fryzurę.

Pierwsza przy ognisku pojawiła się Rebeka. Koszulka przywarła do jej wilgotnej skóry. Siadła blisko ognia, by włożyć buty.

- Boże! Ależ było fantastycznie! - potrząsnęła głową, rozsiewając deszcz kropel. - Wiele straciliście! - Jednak spochmurniała, gdy zmrużonymi oczyma popatrzyła na Eden. - Może i nie tak wiele! - mruknęła z goryczą i gniewem.

Vince podbiegł do ognia całkiem już ubrany.

- Jak się wyjdzie z wody, od razu człowiekowi zimno. No, Chodź tu, Rebeka, ogrzej mnie! Wychlałeś całe piwo, Jeff!

- Coś tam jeszcze zostało w chłodziarce.

- Dla mnie nie! - Rebeka naciągnęła buty, chwyciła kamizelkę i wstała. - Już późno. Muszę wracać do domu i zobaczyć, czy z tatą wszystko w porządku. Jedziemy, Jeff? - Zwróciła się do niego twarzą; minę miała wyzywającą, kamizelkę przewiesiła przez ramię.

- Ejże, co to ma znaczyć?! - naburmuszył się Vince. - Jeśli chcesz już wracać, to ja odwiozę cię do domu!

- Nie musisz. Nasz dom jest o dwie mile od Diamond D. Jeffowi będzie po drodze.

Vince stanął za Rebeką i przesunął dłońmi po jej ramionach.

- Złotko, dla ciebie zawsze gotów jestem nadłożyć drogi!

- Niech cię Vince odwiezie - odezwał się Jeff. - My z Eden zostaniemy, załadujemy manatki i zagasimy ogień - dodał mierzając ją leniwym spojrzeniem, i zwrócił się do Vince'a: - Odwiozę twoją siostrę na ranczo. Powie mi, gdzie ją podrzucić.

- No to wszystko jasne. Idziemy. - Vince pociągnął Rebekę do swojego wozu. Rzuciła gniewne spojrzenie Jeffowi i Eden, zanim niechętnie odeszła.

Gdy pikap odjechał po wyboistej ścieżce prowadzącej do drogi, Jeff wstał i podszedł do chłodziarki.

- Może teraz dasz się namówić na piwo? Twojego brata już nie ma.

- Nie, naprawdę nie mam ochoty. - Pewna, że zaraz odjadą, Eden chciała wstać, ale Jeff otworzył puszkę piwa i wrócił na koc. Rozciągnął się oparty na łokciu.

Czuła na sobie jego spojrzenie; ten natarczywy wzrok denerwował ją. Zaległo milczenie, długie i niezręczne.

- Rebeka wydawała się niezadowolona, kiedy odjeżdżała - zaczęła Eden.

- Nie powinno cię to dziwić - odparł kpiąco Jeff. - Miała nadzieję, że wieczór będzie wyglądał całkiem inaczej. Ale się przeliczyła.

- Chciała, żebyś ją odwiózł do domu, prawda?

- Między innymi - odparł, ale nie wyjaśnił, co ma na myśli. Jego słowa nie wymagały odpowiedzi, a Eden nie potrafiła znaleźć innego tematu rozmowy. Patrzyła na oddalające się światła pikapa Vince'a, dopóki nie znikły w łunie blasków odległego o trzydzieści kilometrów miasta.

- Nic nie mówisz - ośmieliła się zauważyć, bo nie mogła już znieść milczenia. - O czym tak myślisz?

- O tobie.

- To nudne! - Rzuciła mu nerwowy uśmiech. - Aż dziw, że przy tym nie zasnąłeś!

- Nie myślę teraz o śnie, ale o czymś podobnym.

Poczuła nagłe zażenowanie. Szkoda, że Vince odjechał! Przy nim była bezpieczna. To głupie, napominała się. Przecież i teraz nic jej nie grozi! Zerwała się jednak na nogi.

- Złożę drugi koc, a ty skończ przez ten czas piwo.

Składała koc bardzo wolno, czując cały czas na sobie wzrok Jeffa. Porządnie złożony w kostkę pled położyła na chłodziarce. Jeff nie ruszał się z miejsca, więc zaczęła zbierać porozrzucone puszki od piwa.

- Masz jakiś worek czy coś innego, żeby je schować? - spytała z trudem piastując w ramionach puste pojemniki.

- Przyniesie je tu. - Jeff wstał.

Eden podeszła do niego. Wziął dwie puszki z jej rąk i cisnął je w dół po zboczach. Zanim zdążyła mu w tym przeszkodzić, powyrzucał wszystkie.

- Dlaczego to zrobiłeś?!

- Pozbyłem się ich, może nie? Odwróciła się od niego z niesmakiem.

- Zaniósę koc i magnetofon do twojego wozu.

- Po co?

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Myślałam, że chcesz wszystko spakować, zanim odwieziesz mnie do domu.

- Po co ten pośpiech? Założę się, że twojemu bratu wcale się tak nie spieszy. - Gdy nic nie odpowiedziała, uniósł jej brodę palcem. - O co chodzi? Jeszcze dąsasz się o te puszki? Nie chcesz chyba wszystkiego zepsuć z powodu takiego głupstwa?

Eden uznała, że widać za bardzo się tym przejęła. To wyjątkowy wieczór - zbyt cudowny, by go zepsuć grymasami z racji bezmyślnego postępu Jeffa.

- Jasne, że nie - ustąpiła i obdarzyła go pojednawczym uśmiechem.

- Fajnie. - Jego wargi uśmiechały się, ale oczy wpatrywały w nią denerwującą natarczywością. - Nastawię jakąś muzykę i potańczymy.

Z góry założył, że Eden się zgodzi. Przebierał w kasetach, aż wreszcie znalazł tę, o którą chodziło, i włożył do magnetofonu. Powolna melodia popłynęła cicho z głośników.

Z dziwną niechęcią Eden pozwoliła, by znów ją objął; ich ciała się zetknęły. Usta Jeffa sunęły po jej włosach i policzku. Czuła woń alkoholu w jego oddechu. Zauważyła to już wcześniej, gdy ze sobą tańczyli, ale teraz jakoś jej to przeszkadzało. Odwróciła twarz i zamknęła oczy, gdy drażnił wargami jej szyję. Doznania były przyjemne, choć mniej niż przedtem.

Tuzin razy, a może więcej, jego natrętne usta szukały jej ust. Eden nie opierała się gorącym, brutalnym, natarczywym pocałunkom, których nie zdążyła odwzajemnić. Było to miłe, a zarazem przykre uczucie. Pragnęła tego i równocześnie coś ją odpychało. Co się z nią dzieje?! Przytuliła się mocniej do Jeffa, gdy jedna melodia przeszła w drugą, a potem jeszcze w inną.

Pociągnął Eden do tyłu i objął dłońmi jej twarz, unosząc ją ku górze. Spojrzał spod na wprost



przymkniętych powiek:

- Może się weźmiemy do gaszenia ognia? - podsunął. Eden spojrzała w stronę ledwo się tłącego niewielkiego ogniska. - Nie zgrywaj się! - rzucił niecierpliwie. - Dobrze wiesz, że nie o takim ogniu mówię!

Wystarczyły dwa kroki, by pociągnął ją ze sobą na koc. Chciała zaprotestować, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Traciła grunt pod nogami i zdawała sobie z tego sprawę, ale nie miała pojęcia, co robić.

Kiedy usta Jeffa przywarły znów do jej ust, Eden starała się go odepchnąć, ale przygniótł ją całym swym ciężarem. Był za ciężki, zbyt silny... budził w niej lęk.

- Jeff... - zaprotestowała zdławionym głosem, ale gdy tylko otworzyła usta, jego język dosłownie ją zakneblował.

Przebiegł ją dreszcz obrzydzenia. Próbowwała odeprzeć ten atak, ale opór podniecał tylko Jeffa. Wpychał język coraz głębiej. Jego oddech stał się głośny, chrapliwy. Ciężar przytłaczającego ją ciała wydawał się coraz większy, wypierał jej powietrze z płuc. Czuła, że za chwilę się udusi.

Potem usta Jeffa oderwały się od jej ust, a on sam nieco zmienił pozycję; już jej tak nie przygniatał. Zaczerpnęła gwałtownie powietrza. Starła się stłumić łkanie, a jej ciałem wstrząsały dreszcze.

Dłoń Jeffa zacisnęła się na jej piersi.

- Masz fantastyczne cycki! - mruknął, pochylając głowę, by lepiej się im przyjrzeć. - Sutki twarde jak kamyki! - Pochwyił jedną brodawkę kciukiem i palcem wskazującym; poczuła bolesne uszczypnięcie przez bluzkę i stanik.

- Przestań! - Eden spróbowała odciągnąć jego rękę. Naprężył mięśnie i pokonał ją bez trudu.

- Nie bój się. - Twarz Jeffa była tuż przy jej twarzy, pociemniałe, roznamiętione oczy lśniły. - Nikt nas nie zobaczy. Wokół ani żywej duszy!

Słowa te sprawiły, że Eden przeszył lodowaty dreszcz. Miał słusność: nie było nikogo. Nikt nie zjawi się na ratunek. Trwoga dodała jej sił: wymierzyła mu szybki, nagły cios i przewróciła się na bok, usiłując wydobyć spod Jeffa.

Ten nieoczekiwany atak zaskoczył go. Prawie się jej udało! Jednak ręka Jeffa, spoczywająca na jej piersi, zgarnęła materiał bluzki i zacisnęła się na nim. Gdy Eden spróbowała się wyrwać, usłyszała trzask rozdzieranej tkaniny. Odwróciła się wściekła, by wyrwać bluzkę z jego palców.

- Moja bluzka! - Głos dygotał jej z gniewu. - Podarłeś mi ją! - Był to jej ulubiony ciuszek, najelegantsza część jej garderoby.

- Nie będzie ci potrzebna. - Zbyt późno zorientowała się, że Jeff rozpina jej guziki. - Zdejmij ją! - Dwa guziki były już odpięte, a Jeff mocował się z trzecim, gdy Eden nagle ożyła.

- Nie! - Jej sprzeciw był szybki i stanowczy.

W odpowiedzi Jeff chwycił za przód bluzki i mocno szarpnął, odrywając guziki i rozdierając jeszcze bardziej materiał. Głuchy na zduszony krzyk przerażenia, wetknął łapy do środka, usiłując odpiąć klamerkę stanika. Gdy ściągnął go z jej piersi, Eden odskoczyła do tyłu. Wykorzystał to, by przewrócić dziewczynę na koc. Unieruchomił ją zgiętą w kolanie nogą i przywarł ustami do lewej piersi.

Eden w furii usiłowała go odepchnąć. Kiedy jej się to nie udało, schwyciła Jeffa za włosy i szarpnęła. Zerwał się wściekły.

- Ty wredna suko! - Schwycił ją za ramiona i unieruchomił je nad głową, miażdżącym chwytem jednej ręki krępując oba nadgarstki Eden. - Nie udawaj, że tego nie chcesz! - Przysunął twarz jeszcze bliżej; wyglądał odrażająco, gdy brutalnie obmacywał jej piersi wolną ręką. Potem przesunął ją niżej,

na brzuch Eden. - Pamiętam, jak się do mnie kleiłaś! Aż ci się pali w majtkach, może nie?

Ręka powędrowała do miejsca między jej nogami; palce zacisnęły się, by pochwycić miękkie ciało przez fałdy spódnicy, choć Eden zwarła mocno uda, by temu zapobiec. Grzbietem dłoni tarł po jej kości łonowej, aż kurczyła się od tego kontaktu. Nie mogła jednak wnikać w skalną półkę, na której leżała. Znow usta i zęby zaczęły atakować jej pierś. Hałaśliwy odgłos ssania był dla dziewczyny równie wstrętny jak dotyk Jeffa.

- Nie, nie, nie! - Eden powtarzała to słowo raz po raz, próbując przeciwstawić się przemocy. Miotła się pod nim, jej ciało wyginało się i prężyło, usiłując zrzucić napastnika.

Krew huczała jej w uszach, płytki oddech przeszedł w urwany szloch. Rzuciła głową z boku na bok, strach łączył się teraz z dziką desperacją.

Przez zasłonę gorących łez ujrzała ramię Jeffa, więzące jej nadgarstki wysoko nad głową. Skręciła się i uniosła, by do niego dosięgnąć: mięśnie karku naprężyły się boleśnie. Gdy tylko Eden znalazła się tuż przy ręce Jeffa, zatopiła w niej mocno zęby.

Ryknął z bólu i puścił ramiona Eden.

- Ugryzłaś mnie, ty suko!

Natychmiast potem gwałtowny ból przeszył jej szczękę; to Jeff z całej siły trzasnął ją odlew, rozcinając wargę. Głowa Eden odskoczyła w bok, uderzając o przykrytą kocem skałę. W uszach jej zahuczało, na języku poczuła smak krwi. Własnej krwi. Gdy leżała zbyt ogłuszona, by się bronić, Jeff walił ją raz po raz, by ostatecznie ujarzmić dziewczynę. Wykrzykiwał przy tym obrzydliwe wyzwiska.

W jednej chwili bił ją, w następnej zaś szarpnął za spódnice, zadzierając ją do góry. Poczula na skórze nocny chłód, potem palce niczym szpony zdarty z niej majtki; paznokcie ryły jej ciało.

- Nie! - Zabrzmiało to jak gardłowy skrzek przerażenia. Eden jeszcze raz zerwała się do walki przeciw hańbie i przemocy.

Pierwsze jej ciosy padły na ramiona Jeffa, nie wyrządzając mu żadnej szkody. Zaklął i spróbował pochwycić te wymachujące na oślep pięści. Jedna trafiła i trzasnęła go w nos. Złapał się za bolące miejsce, przymykając oczy w nagłym, piekącym bólu. Czując nowy przypływ adrenaliny, Eden zdołała odtrącić Jeffa. Już prawie się wyswobodziła, złapał ją jednak za bluzkę i spróbował przyciągnąć z powrotem. Tym razem Eden nie zareagowała na trzask rozdieranego materiału i wyrwała się napastnikowi.

Z trudem stanęła na nogi: koc ustawicznie osuwał się i ślizgał pod jej stopami. Obejrzała się: Jeff wstawał, z nosa buchała mu krew.

- Ty suko, niech tylko dostanę cię w swoje ręce, to zatłukę!

Była pewna, że to zrobi. Powstrzymując łkanie rzuciła się do biegu. Musi uciec - to była jej jedyna świadoma myśl. Pikap! Jeśli zdoła dotrzeć do wozu Jeffa, to może zdoła się uratować!

Kincade siedział jak przymurowany na brzegu łóżka, zwrócony w stronę Eden. Ona stała przy oknie, ze wzrokiem utkwionym w jakiś odległy punkt przestrzeni. Twarz Eden nie zdradzała żadnych uczuć, cichy głos także był beznamiętny. Jednak ciało pod fałdami prześcieradła zupełnie zeszywniało, a palce tak zacisnęły się na ciężkiej draperii, że kostki zbielewały.

- To przypominało koszmarny sen - szepnęła Eden. - Jeff był coraz bliżej. Im prędzej starałam się biec, tym bardziej zawodziły mnie nogi; miałam wrażenie, że odległość dzieląca mnie od pikapa w ogóle nie maleje. Kiedy do niego w końcu dotarłam, byłam tak przerażona i roztrzęsiona, że nie umiałam poradzić sobie z klamką. Ledwie zdążyłam wejść do środka i zablokować drzwi, Jeff dopadł samochodu. Słyszałam, jak szarpie klamką, więc pospiesznie zablokowałam także drzwi z drugiej strony. Potem zaczęłam szukać kluczyków: za osłoną przeciwsłoneczną, pod wycieraczkę na

podłozde, w popielniczce... Nagle Jeff zastukał w szybę. Obejrzałam się i zobaczyłam, że śmieje się wywijając kluczykami. To był okropny śmiech.

Kincade zauważył lekkie, bezwiedne drżenie, które przebiegło przez ciało Eden. Poczuł, że znów rośnie w nim wściekłość. Postarał się ją zdławić.

- Kiedy zobaczyłam, że wsadził kluczyk do zamka, ogarnęła mnie panika i rzuciłam się do drzwi po przeciwnej stronie. Byłam pewna, że zdołam tamtędy uciec... ale Jeff złapał mnie za nogę. Kopałam go, ale mnie nie puszczał. Ciągnął mnie ku sobie mówiąc bez końca o strasznych, ohydnych rzeczach, które mi robi. Właśnie wtedy... - Głos Eden załamał się. Urwała i zamknęła oczy, jakby broniąc się przed wspomnieniem tego, co wydarzyło się później. Jej palce gniotły kurczowo fałdy kotary.

Kincade czekał cierpliwie; chciał dać Eden czas na opanowanie się, zanim wróci do swojej relacji. Jednak chociaż otworzyła oczy, milczała dalej. W końcu Kincade zapytał spokojnym głosem:

- Jeff miał broń w samochodzie, prawda? Strzelbę czy rewolwer?

Na dźwięk jego głosu Eden podniosła głowę. Patrzyła na Kincade'a przez chwilę, potem znów odwróciła się do okna.

- Strzelbę - odpowiedziała wreszcie. - Miał nawet dwie na półce pod tylną szybą.

Odchodząc od okna puściła kotarę, która znów opadła. Mrok w pokoju zgęstniał, twarz Eden stała się niewidoczna. Kiedy się odezwała, zabrzmiało to jak wyuczona lekcja. Kincade był pewien, że kazano jej powtarzać te słowa bez końca.

- Nie pamiętam, kiedy ją znalazłam. Nie pamiętam, jak pociągnęłam za cyngiel. Pamiętam tylko śmiech Jeffa na jej widok... a potem wystrzał i takie zaskoczenie na jego twarzy...

- Nie było innej rady, Eden.

- Tak, nie było innej rady - przytaknęła nieznacznym ruchem głowy. - Kula trafiła go w pierś. Nie zginął od razu, ale potrzebował pomocy, i to szybko! Staralam się zatamować krwotok.

Eden spojrzała na dłonie, przypominając sobie, jak płynął po nich gorący strumień jego krwi. Czowała wyraźnie jej zapach i ten przejmujący strach, że życie dosłownie wycieka z Jeffa, że nie uratują go żadne jej starania. Odetchnęła spazmatycznie.

- Jakoś udało mi się wepchnąć go do wozu. Najlepszy dowód, że pod wpływem strachu człowiek może zrobić to, na co normalnie nie starczyłoby mu sił. Do miasta było zbyt daleko, ale na Spur Ranch tylko dziesięć kilometrów. To były najdłuższe kilometry w całym moim życiu...

Ukazały się zabudowania rancza: wyraźny, czarny kontur tuż za zasięgiem reflektorów. Dom tonął w ciemności. Nie świeciło się w żadnym oknie. Przełykając łyżę ulgi, Eden z całej siły nacisnęła klakson: rozległ się przeciągły sygnał. Teraz zaczęła uderzać raz po raz, powodując serię urywanych dźwięków, przypominających wołanie „ratunku!”

W domu zapłonęły światła. Zwolniła i wreszcie ostrożnie zatrzymała wóz koło werandy. Jeszcze raz nacisnęła klakson i zgasiła silnik; reflektory paliły się nadal. Rzuciła niespokojne spojrzenie na Jeffa, który leżał zupełnie bez ruchu na siedzeniu wozu, wyskoczyła z pikapa i pobiegła do domu.

Gdy dotarła do schodków werandy, dziadek wyszedł z domu; pospiesznie zapinał szelki na podkoszulku, jego siwiejące włosy sterczały na wszystkie strony.

- Co tu się dzieje, u diabła? - Zmarszczył brwi na widok Eden. - A ty skąd się tu wzięłaś? Myślałem, że śpisz w swoim pokoju.

Nie odpowiedziała na żadne z pytań.

- Musisz sprowadzić doktora, dziadku, i ambulans! On jest ranny...

- Kto taki? Vince? - Jed odepchnął ją i ruszył pędem do pikapa.

- To nie Vince! - Eden pobiegła za nim i dogoniła w chwili, gdy otwierał drzwi i zaglądał do

wnętrza wozu. Lampka u góry wyraźnie oświetlała śmiertelnie bladą twarz Jeffa i ciemne plamy krwi, pokrywające cały przód koszuli. - To...

- Chłopak DePardów. Braciszek Duke'a. - Dziadek obrzucił Eden szybkim spojrzeniem. Jego krzaczaste brwi zbiegły się w grubą krechę. Potem schylił się i zajrzał w głąb do kabiny.

- Strasznie krwawi - powiedziała Eden, gdy Jed pochylił się nad Jeffem. - Próbowałam zatamować, ale...

Jed wycofał się z wozu i odwrócił ku niej. Na jego twarzy malowało się najwyższe zdumienie i beznadziejność.

- Nie żyje.

- Nie! - Eden potrząsała w osłupieniu głową, jakby nie mogła znieść tej myśli. - Mylisz się! Na pewno się mylisz! On żyje! Mówię ci, że żyje!

Jak szalona, próbowała wtargnąć znów do środka, ale dziadek odciągnął ją i zmusił, by odwróciła się od wozu.

- On nie żyje, Eden - powtórzył.

- Nie! - Głos dziewczyny załamał się i przeszedł w płacz.

- Zupełnie wtedy oszalałam - wyznała Eden. - Zaczęłam jęczeć i krzyczeć. Jed, mój dziadek, uderzył mnie dwa razy w twarz. To pomaga przy ataku hysterii - powiedziała, chcąc usprawiedliwić jego postępek.

- A ktoś zobaczył, jak on cię bije. - Kincade potrząsnął głową. Zrozumiał, w jaki sposób rozsądne działanie mogło zostać poczytane za przejaw przemocy. - I tak powstała wersja, że twój dziadek pobił cię, chcąc upozorować rzekomy gwałt.

- Tak - przytaknęła Eden. - Gdy tylko oprzytomniałam, Jed spytał mnie, co się wydarzyło i powiedziałam mu, że Jeff usiłował mnie zgwałcić. Dziadek chciał wiedzieć, jak doszło do spotkania z Jeffem... Wtedy właśnie z domu wyszedł Vince. Jed kazał mu wprowadzić mnie do środka.

- Więc twój brat był już w domu?

Eden zawahała się przez sekundę, a potem skinęła głową.

- Tak, Vince wrócił kilka minut przede mną. Pokłócił się z Rebeką, więc odwiózł ją prosto do domu i zaraz wrócił na Spur Ranch. Potem zjawił się szeryf i jego pomocnicy... i pogotowie. Lot Williams zaczął mnie przesłuchiwać...

- Był już wtedy szeryfem?

- Tak. Kazał mi powtarzać wszystko od początku nie wiem ile razy... - Eden potrząsnęła głową, przypominając sobie, jak szeryf próbował przekreślać każde jej słowo, żeby świadczyło przeciwko niej, jak twierdził, że to ona skusiła Jeffa, że tylko o tym marzyła.

- Nie miałaś przy sobie adwokata? Czy szeryf poinformował cię, jakie prawa ci przysługują?

- Owszem, nie przypuszczałam jednak, że potrzebna mi będzie pomoc prawnika. Jed kazał mi odpowiedzieć na pytania szeryfa, więc odpowiadałam. To nie było przecież morderstwo! Nie rozumiem, jak mógł mnie o to oskarżyć!

- Ale cię oskarżył.

- Wszyscy mnie oskarżali. Już DePard się o to postarał!

- Nie wszyscy. Ława przysięgłych uwierzyła w twoją niewinność.

- To prawda. - Uśmiech Eden był ironiczny.

- To już przeszłość, Eden.

- Nie! - odparła z westchnieniem. - DePard nie pozwoli, by o tym zapomniano. Przysiągł sobie, że będę za ten czyn pokutować bez końca. - Powiodła dłonią po ramieniu okrytym prześcieradłem. Skóra jej cierpła na wspomnienie dotyku rąk Jeffa. Poczwała się znów zhańbiona i zbrukana, jak owej

nocy. - Muszę wziąć prysznic. - Przeszła do sąsiadującej z sypialnią łazienki.

- Ani mnie - odparł Rusty. - Tak czy owak, mam zamiar zjawić się wieczorem w „Nugget”, tak na wszelki wypadek: a nuż Vince przylezie z rym Maksem?

- Spotkamy się tam.

- Lepiej nie. Vince będzie wypatrywał ciebie, ale na mnie nie zwróci uwagi. Pomyślałem sobie, że jeśli sam się nie pokaże, może pociągnę zajętyjzego kumpla. Dowiem się, gdzie nasz Vince się przytulił, i to tak, żeby koleś niczego nie podejrzewał.

Kincade przyznał niechętnie:

- To będzie chyba najlepszy sposób.

- Też tak myślę. Trzymaj się tylko w pobliżu hotelu, żeby cię mógł zawiadomić, gdyby wypadło coś nagłego.

- Zgoda.

- Teraz się zdrzemnę na jakieś dwie godzinki - oświadczył Rusty i podał przyjacielowi swój telefon w motelu. - Pogadamy później. Uważaj na siebie.

- Ty też. - Kincade odłożył słuchawkę.

- Dzwonił twój partner, prawda?

Odwrócił się. W drzwiach swojego pokoju stała Eden z wilgotnymi włosami, owinięta płaszczem kąpielowym frotte, które dostarczała gościom dyrekcja hotelu. Twarz dziewczyny lśniła czystością po niedawnym myciu.

- Tak, to był Rusty. - Kincade oddał zapisaną kartkę od bloczku i schował do kieszeni koszuli.

- Znalazł Vince'a? - Eden stała bez ruchu, ale napięcie aż z niej promieniowało. Kincade pojął, że ona również była przeświadczona, iż brat jest nadal w Reno.

- Jeszcze nie. - Rzucił jej przeciągłe, uważne spojrzenie. - Czy mówi ci coś imię Max?

- Max? - powtórzyła, jakby chciała się upewnić, że dobrze usłyszała. - Właśnie: Max.

- Nie, nic mi to nie mówi. Czy sądzisz, że Vince go zna? - Przechyliła głowę na bok.

Kincade uśmiechnął się.

- Wolałbym nie grać z tobą w pokera, Eden. Czasem masz zupełnie nieprzeniknioną twarz. - Jednak sam fakt, że tak się pilnowała, był nieco podejrzany. Jeśli nie знаła tego Maksa, po co miałyby się z tym kryć?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. - Naprawdę? - Uniósł z rozbawieniem jedną brew.

- Naprawdę. Ja... - Przerwało jej stukanie do drzwi.

- Obsługa hotelowa - poinformowano ich dyskretnym półgłosem.

- Zamówiłem dla nas śniadanie. Pomyślałem, że pewnie jesteś głodna. - Kincade podszedł do drzwi.

Kelner w białej marynarce wtoczył do apartamentu stół na kółkach.

- Witamy, panie Harris! Jak to miło, że znów nas pan odwiedził. Zamówiliśmy specjalnie dla pana wspaniałą pogodę. - Dostrzegł stojącą w drzwiach sypialni Eden i uśmiechnął się szeroko. - Dzień dobry, łaskawa pani. - Skinęła głową i zebrała przód kąpielowego płaszcza, zasłaniając dekolt. - Gdzie mam postawić stolik, panie Harris?

- Tu będzie w sam raz. - Kincade wskazał wolną przestrzeń koło biureczka.

- Już się robi - skinął głową kelner i ustawił stół na kółkach na wskazanym miejscu. Wprawnym ruchem rozłożył składany blat, nakrył go, rozmieścił porcelanę i sztucce i wydobyl gorące dania z podgrzewaczy na dolnej półce. Cały salonik napelniał się smakowitym zapachem przysmażonego bekonu, dopiero co zaparzonej kawy i świeżutkiego pieczywa. - Czy życzą sobie państwo, żebym nalał kawę?

- Sami się tym zajmiemy. - Kincade złożył podpis na rachunku i wręczył go kelnerowi. - Dzięki.

- Służę uprzejmie. Proszę tylko zadzwonić, kiedy państwo zjedzą i można będzie to uprzątnąć. -

Podszedł do drzwi. - Życzę smacznego.

Kincade zamknął za nim drzwi i wrócił do stolika. Eden nadal stała w drzwiach swojego pokoju.

- Chodź jeść, zanim wystygnie. - Kincade przysunął sobie krzesło i usiadł. Eden podeszła i zajęła swoje miejsce. Od razu zauważyła, jak elegancko był nakryty stolik: śnieżnobiały obrus, kielichy na wysokich nóżkach, maleńkie naczynka zawierające pieprz i sól oraz kryształowy flakon z jednym różanym pączkiem i gałązką gip sówki.

- Czy zawsze tak się starają, gdy ktoś zamawia posiłek do pokoju? - spytała dotykając aksamitnego płotka róży.

- W lepszych hotelach tak. - Kincade obrzucił wzrokiem stół, starając się zobaczyć go oczyma Eden. On sam spędził zbyt wiele lat w rozjazdach i hotelowych pokojach. Dawno mu spowszedniały podobne luksusy.

- To takie miłe. - Eden rozłożyła serwetkę w kolorze bzu kładąc ją sobie na kolanach.

- Owszem. - Kincade przekroił swój omlet. Poczul bijącą z niego gorącą, pikantną woń przypraw. Danie wydało mu się symbolem Eden; pod kuszącą, gładką powierzchnią tajił się żar i rozmaite niespodzianki. - Jak ci smakuje omlet? - spytał, gdy także spróbowała.

- Pyszny! Miałaś rację: jestem głodna jak wilk!

- Przeczuwałem, że tak będzie. Prawdę mówiąc, byłem tego pewny. - Eden odpowiedziała mu tylko skinieniem głowy. Kincade w milczeniu zajął się śniadaniem, póki nie zaspokoił pierwszego głodu.

- Chcesz opowiedzieć mi, co było dalej?

- Dalej? - zdumiona tym pytaniem Eden spojrzała na niego.

- Oczywiście. Z tego, co mi opowiedziałaś, wyraźnie wynika, że nie było wystarczających podstaw do oskarżenia cię o morderstwo. Same podejrzenia nie wystarczą. Musiało być coś jeszcze. - Kincade posmarował truskawkową konfiturą grzankę z razowego chleba i podał ją Eden.

- Rebeka Saunders - powiedziała. Po chwili wyjaśniła dokładniej: - Jeden z zastępców szeryfa widział ją z Jeffem tego samego wieczora. Rebeka potrafiła wmówić wszystkim, włącznie z własnym ojcem, że jej partnerem był tej nocy Jeff, a nie Vince. To właśnie zeznała szeryfowi. Kiedy się dowiedziała, że Jeff nie żyje, ułożyła bajeczkę o tym, jak to przyłączyliśmy się do nich z Vince'em bez zaproszenia, a ja urządziłam scenę zazdrości, gdy przekonałam się, że Jeff umówił się z inną. Rebeka utrzymywała, że Jeff nalegał, by Vince ją odprowadził, bo sam chciał jakoś mnie ułagodzić.

- A kiedy Vince złożył odmienne zeznania, szeryf uznał, że brat kłamie, żeby cię ratować - domyślił się Kincade.

- Rebeka świetnie to zagrała. - Eden odłamała kawałek grzanki, ale nie podniosła go do ust. - Poza tym wszyscy chcieli jej uwierzyć.

- I co się dalej wydarzyło? Czyżby Rebeka zmieniła swoje zeznania?

- Kpisz, czy co? - W głosie Eden po raz pierwszy zabrzmiała gorycz. - Przekonała się, że nieźle jej się opłaci, jeśli będzie trwać przy swojej wersji.

Kincade zmarszczył czoło.

- Co masz na myśli?

- W jakiś miesiąc po śmierci Jeffa ojciec Rebeki przeszedł operację wszczepienia bypassów, która była niezbędna dla jego zdrowia. Zapłacił za nią DePard. Trochę później dom Saundersów został wyremontowany i odmalowany, dzieci dostały nowiutkie ubrania, a Rebeka nowy, duży samochód, którym wozila ojca na wizyty kontrolne i terapię - wszystko dzięki szczodrości DeParda. Odkryła po prostu żyłę złota i wydobyła z niej wszystko, co się dało. - Eden gmerała w jajecznicy widelcem. - Gdyby nawet chciała, nie mogłaby już wyznać prawdy. Sprawy zaszły za daleko. - Eden potrząsnęła głową, jakby odganiając natrętne wspomnienie, i lekko zadrżała. - Gdyby Rebeka zeznawała przeciwko mnie na procesie, siedziałabym pewnie teraz w więzieniu.

- A nie zeznawała?

- Nie. Zginęła w wypadku samochodowym dwa miesiące wcześniej.

- A jak wyglądała twoja rozmowa oko w oko z DePardem? Widelec wysliznął się z palców Eden i upadł z brzękiem na talerz.

- Skąd wiesz o tej rozmowie?

- Po prostu logicznie rozumię. - Kincade podniósł dzbanek i nalał im obojgu kawy. - Wiem, że gdybym był na miejscu DeParda, a ciebie oskarżono by o zabicie mojego brata, i w dodatku szeryf by był moim kuzynem, domagałbym się rozmowy z tobą w cztery oczy.

- Zrobił to - przyznała Eden. - Następnego ranka po śmierci Jeffa, kiedy byłam jeszcze w areszcie...

Niczym nie osłonięta żarówka w drucianej klatce rzucała ostre światło na wnętrze małej celi. Eden przemierzała nieustannie tę ograniczoną przestrzeń od chwili, gdy ją zamknięto... i doprowadzało ją to do szaleństwa. Wreszcie usiadła po turecku na środku pryczy, krzyżując ręce na piersi.

Kobieta w sąsiedniej celi głośno jęczała; nie przerywała tych jęków przez całą noc, chyba tylko po to, by wymiotować albo wykrzykiwać bezeceństwa pod adresem dyżurnego oficera. Ostatnie torsje miała kilka godzin temu, ale smród wymiocin nadal wisiał w powietrzu.

Warunki więzienne, hałasy i poprzednie koszmarne przeżycia, w wyniku których Eden trafiła do aresztu, sprawiały, że sen nie przychodził. Eden była skrajnie wyczerpana i przerażona, nerwy miała napięte do ostatnich granic. Teraz - po raz pierwszy - do oczu napłynęły jej łzy. Próbowwała je powstrzymać.

Rygle zazgrzytały i odsunęły się z łoskotem. Ten hałas podziałał na Eden jak prąd wysokiego napięcia. Z nadzieją i strachem spojrzała na ciężkie zakratowane drzwi, oddzielające cele od reszty pomieszczeń więziennych. Teraz się otworzyły i wkroczył przez nie Lot Williams. Gdy szedł ku jej celi, jego kroki dudniły złowróżbnym echem. Bez słowa włożył klucz do zamka.

Eden natychmiast zerwała się z pryczy.

- Już mnie wypuszczacie? Mogę wrócić do domu?

- Odsuń się! - warknął i dziewczyna natychmiast znieruchomiała, zmrożona jego brutalnością.

Wyraźnie zadowolony z tego Williams otworzył drzwi celi i skinął na Eden, by podeszła. - Ktoś chce się z tobą widzieć.

Na jej twarzy zajaśniał uśmiech ulgi.

- To mój dziadek, prawda? Przyjechał, żeby mnie zabrać do domu. Szeryf uciszył ją lodowatym spojrzeniem.

- Idziemy! - Schwycił Eden za ramię tuż nad łokciem i popchnął przed sobą. Gdy zamknęły się za nimi następne drzwi, Williams pociągnął dziewczynę płataniną korytarzy, wreszcie szarpnięciem zatrzymał ją przed jakimiś nie oznakowanymi drzwiami. Trzymając w dalszym ciągu mocno za ramię, nacisnął klamkę i drzwi otworzyły się do wewnątrz.

- Włóż - zakomenderował i wepchnął ją do środka.

Pokój był zalany słońcem. Po wielu godzinach spędzonych w mrocznej celi blask ją zupełnie oślepił. Eden odwróciła się od światła i próbowała osłonić oczy ręką, dojrzała jednak zarys wielkiego drewnianego biurka i stojącego za nim służbowego fotela, w którym nikt nie siedział.

- Zaczekam na zewnątrz. Zawołaj mnie, gdy skończysz - powiedział szeryf. Eden obejrzała się, gdy zamykał za sobą drzwi; zdawało jej się, że Williams mówi do niej. Potem poczuła zapach luksusowej wody kolońskiej i odwróciła się znów w stronę biurka. Z osłupieniem ujrzała przed sobą Duke'a DeParda.

On również wpatrywał się w nią z twarzą jakby napiętnowaną bólem. Oczy, poczerwiałe od cierpienia, ciskały gromy. Eden czuła bijącą od niego wrogość.

- Proszę usiąść, panno Rossiter. - DePard wyciągniętą ręką wskazał jej twarde drewniane krzesło.

Eden nie chciała na niego patrzeć. Pragnęła odwrócić się i wybiec, podeszła jednak jak automat do krzesła i usiadła na nim, składając splecione ręce na podołku.

Świadoma bólu DeParda po śmierci Jeffa, Eden czuła, że powinna coś powiedzieć.

- Tak... tak mi przykro... - zaczęła.

- Będzie ci znacznie bardziej przykro! Przekonasz się! - warknął Duke. Zrodzona z bólu wściekłość doszła do głosu. Z wysiłkiem zdławił ją i spojrzał na leżące na biurku papiery.

- Szeryf Williams dał mi do wglądu pani... sensacyjne zeznanie na temat wydarzeń ostatniej nocy. - Spojrzał na trzymane w ręku notatki, a potem na Eden.

Eden pragnęła stać się bardzo mała, tak mała, by zaszyć się w jakimś kąciку, aż się to wszystko skończy. „Błagam Cię, Boże! Nie pozwól, żeby znów zaczęło się przesłuchiwanie!”

DePard podniósł notatki, zwracając na nie jej uwagę.

- Z pewnością był to dla pani szok. Bardzo łatwo w wielkim strachu, w panice, przekreślić różne fakty. Poinformowano mnie już, panno Rossiter, że mija się pani z prawdą.

Trwoga ścisnęła ją za gardło.

- Co pan mówi? Kto panu coś takiego powiedział?

- Szeryf przesłuchał Rebeke Saunders. To ona miała randkę z Jeffem ubiegłej nocy, nie pani.

- Ależ skąd! Była umówiona z moim bratem. Prawda, że Jeff ją podwiózł, ale...

- Proszę nie przerywać. Panna Saunders nie ma powodu kłamać, ale ty - tak. Dlatego wymyśliłaś tę brudną historyjkę, jak to mój brat rzekomo chciał cię zgwałcić!

- Ależ tak było naprawdę! - zapewniała Eden. - Uderzył mnie, powalił i próbował...

- To cholerne łgarstwo! - Duke aż trząśł się z gniewu, jego ogromne ręce zacisnęły się w pięści. - Jeff nigdy by nie skrzywdził kobiety! Wszyscy o tym wiedzą! - Znów z trudem opanował swą wściekłość. - Mówiąc brutalnie: każda baba chętnie by się z nim przespała i Jeff o tym wiedział. Nie musiał posuwać się do gwałtu!

- Ale tak właśnie było! - Eden czuła się całkowicie bezbronna; zmagła się ze łzami, płacz wzbierał w jej gardle. - Czy pan nie rozumie? Nie chciałam wcale, żeby umarł! Staralam się go ratować!

- Bez powodzenia. Jeff nie żyje - stwierdził DePard ostro i twardo. - Żadne wyrzuty sumienia nie przywrócą go do życia. Jeśli jednak naprawdę żałujesz swojego czynu, nie będziesz zniesławiać jego pamięci swymi łgarstwami!

- To nie są łgarstwa!

- Owszem, są. Mogę to udowodnić. Jeśli będziesz się upierać przy tej szkodliwej bzdurze, tylko ty na tym ucierpisz. Zrozumiano?!



Eden była tak zaszokowana, że umilkła. Nie sprawiły tego pogroźki DeParda, ale wrogość emanująca z jego twarzy i jadowity ton głosu.

- Na szczęście - mówił dalej DePard nieco spokojniej - nikt prócz mnie i szeryfa Williamsa nie zna pani oszczerczych zeznań. Może pani jeszcze je odwołać.

- Odwołać?! - Eden otarła ślady łez z twarzy i uraziła się przy tym w zasiniony, opuchnięty od uderzenia Jeffa policzek.

- Właśnie. - DePard rzucił papiery na biurko i zasiadł znów w fotelu. - Wszyscy wiedzą, że Jeff był zapalonym strzelcem. Przepadał za polowaniem i strzelaniem do celu. Bardzo prawdopodobne, że minionej nocy pochwalił się nową strzelbą, którą dostał na Gwiazdkę. Może nawet ustawił kilka puszek po piwie i popisывał się przed panią swojaćelnością. A kto wie, czy nie próbował nauczyć pani, jak się z niej strzela... i wówczas nastąpił tragiczny wypadek. Może nie wiedziała pani, że broń jest nabita i odbezpieczona, i wystrzeliła z niej przypadkowo?

Eden spojrzała na niego.

- Chce pan, żebym zeznała, że to był nieszczęśliwy wypadek? DePard skinął głową.

- Straszny, tragiczny w skutkach wypadek... jeden z tych, które tak często się zdarzają, gdy ktoś niedoświadczony bierze do ręki broń. Jestem zupełnie pewien, że gdy szeryf Williams zakończy śledztwo, śmierć Jeffa zostanie uznana za przypadkową i nikt pani nie będzie o nic oskarżał. Ale przedtem, oczywiście, musi podać pani szeryfowi właściwą wersję wydarzeń.

- A co z Rebeką i jej zeznaniami?

- Jestem pewien, że uda się skłonić pannę Saunders do współpracy - oświadczył DePard. - Więc zmieni pani zeznania, czy nie?

- Ja... sama nie wiem. - Zmęczona i dezorientowana Eden chciała porozmawiać z dziadkiem, z Vince'em, z kimś, kto by jej poradził, co ma robić. - Muszę się zastanowić.

- Nie ma czasu na namysły! - DePard podniósł się z fotela. Był zniecierpliwiony i urażony, i nie krył tego. - Musisz zdecydować się natychmiast. Na zewnątrz czekają już reporterzy z każdej stanowej gazety i stacji telewizyjnej. Domagają się szczegółów, chcą koniecznie poznać okoliczności śmierci najlepszego ćwierćbeka Nevady. Nie da się utrzymać dłużej tej sprawy w tajemnicy. Więc się decyduj, i to zaraz!

Eden wyraźnie się wahała. DePard ostrzegł ją:

- Nie radzę grać na zwłokę. Przysięgam, że gdy do tych pismaków dotrze choć słówko o jakimś napastowaniu, cała umowa na nic! - Dłoń DeParda przecięła powietrze kategoriycznym gestem. Jakby uzupełniając ów ostateczny cios, Duke wymierzył oskarżycielskim gestem palec w Eden. - A może do tego właśnie zmierzasz? Chcesz im sprzedać swoją historyjkę?

Eden z oburzeniem zaprzeczyła.

- Więc skończ te komedie! - DePard ruszył w jej stronę. - Ile chcesz? Dziesięć tysięcy? Dwadzieścia?

- Nie chcę żadnych pieniędzy! - zaprotestowała Eden, oburzona jego posądzeniem.

Nagle stanął nad nią, przerażająco wielki.

- Pięćdziesiąt tysięcy to moje ostatnie słowo! - uprzedził ją. - Bierzesz i odwołujesz swoje zeznania, albo gorzko tego pożałujesz, przysięgam na wszystkie świętości! Nikt nie stanie po twojej stronie. A ja doprowadzę do tego, że skażą cię i zgnijesz w więzieniu!

Eden przestała wpatrywać się niewidzącym wzrokiem w przestrzeń i spojrzała na Kincade'a, a potem nagle spuściła oczy.

- Krzyczał coraz głośniejsze i coraz bardziej się zaperzał. Oskarżenia, wyzwiska, groźby po tym wszystkim, co przesłał, przepełniły ostatecznie miarę. Zaczęłam także wrzeszczeć, że choć jest taki

bogaty i potężny, nie uda mu się przekupić mnie ani zastraszyć. Nagadałam mu znacznie więcej w tym stylu - wyznała Eden. - Byłam tylko przerażoną siedemnastolatka, w dodatku nieprawdopodobnie naiwną. Wierzyłam, że prawda musi wyjść na jaw.

- W idealnym świecie tak właśnie by się stało - zauważył Kincade znad filizanki.

- Ale nie żyjemy w idealnym świecie, prawda? - odcięła się Eden z ironią i westchnęła. - Tak czy owak, szeryf zaciągnął mnie z powrotem do celi. Byłam w takim stanie, że płakałam bez końca, aż wreszcie usnęłam z wyczerpania. Kiedy zbudziłam się po kilku godzinach, cała sprawa była już ogólnie znana.

- Nie muszę chyba pytać, czy DePard wycofał swoją ofertę.

- Oczywiście. Gdy teraz o tym myślę, uważam, że należało przyjąć jego propozycję. Gdybym to zrobiła, uniknęłabym zniewag i upokarzającego procesu. Mogłabym prowadzić normalne życie, bez ciągłych prześladowań ze strony DeParda. A teraz... - Nie dokończyła zdania.

- Coś mi się jednak zdaje, że w głębi duszy nie żałujesz, że nie poszłaś z DePardem na ugodę.

- Pewnie masz rację... Nie tak łatwo żyć wiecznie w cieniu kłamstwa. - Odłożyła serwetkę na stół. - Śniadanie było bardzo smaczne. Przepraszam, ale muszę wysuszyć włosy i ubrać się.

Kincade wstał równocześnie z nią. Stał bez ruchu, czekając, aż zniknie w swojej sypialni; potem podszedł do krzesła, wziął torbę z zakupami, którą na nim zostawił, i skierował się do pokoju Eden.

Otworzyła drzwi w tym samym momencie, gdy do nich podszedł.

- Gdzie moje ubranie?!

- Było tak brudne, że odesłałem je do pralni. Zwrócę je dziś o szóstej wieczór. Na razie możesz ubrać się w to - podał jej torbę. - Bawiłem się w zgaduj-zgadulę, jeśli chodzi o rozmiary, ale mam wrażenie, że trafiłem nie najgorzej. Gdyby coś nie pasowało, zawsze można wymienić.

- Kupiłeś mi ubranie? - Eden była zaskoczona.

- Pomyślałem, że to żadna frajda przesiedzieć całe popołudnie w szlafroku - odparł z szelmowskim uśmiechem. - No, do dzieła! Przymierz wszystko, sprawdź, czy pasuje.

Po kwadransie Eden wyłoniła się z łazienki. Wyglądała jak uosobienie kobiecości. Szafirowa sukienka wybrana przez Kincade'a, ze zwykłego bawełnianego trykotu, miała bufiaste rękawy i szeroką, kloszową spódnicę.

- I jak? - spytała Eden stając przed nim.

Kincade ocenił rezultat zachwyconym okiem.

- Sukienka wygląda sztywnie, a ty przepięknie. Jak się w niej czujesz?

- Dziwnie. - Eden rzeczywiście czuła się nietypowo jak na nią: krucho i kobieco. Chyba nie była z tego zadowolona. - Prawdę mówiąc, nie miałam na sobie sukni ani pantofli na obcasach od... - Urwała z rozmysłem.

- Od procesu, prawda? - domyślił się Kincade.

- Tak. - Wygładziła przód sukienki. - Dlaczego mi ją kupiłeś, a nie jakieś spodnie i bluzkę?

- Po pierwsze kupując sukienkę nie musiałem martwić się o rozmiar; pasek załatwi sprawę, gdyby okazała się za szeroka. Drugi powód jest bardzo egoistyczny - wyznał. - Kiedy kobieta ma takie piękne nogi jak ty, po prostu grzech chować je pod dzinsami.

Gdyby Eden była skłonna do rumieńców, pewnie w tej chwili stałaby się purpurowa. Minę miała jednak niepewną i niespokojną. Kincade wziął do ręki kapelusz.

- Idziemy?

Eden podeszła do niego.

- Pewnie znów będziemy łączyć z kasyna do kasyna w poszukiwaniu Vince'a?

- Wziął to na siebie Rusty. Twój brat będzie miał się przede mną na baczności, ale na niego nie

zwróci uwagi - wyjaśnił. - Myślałem, że zaczerpnemy po prostu świeżego powietrza.

Wyszli z hotelu prosto na szalejący wiatr. Podmuch dał nurka pod spódnicę Eden; cienka tkanina uniosła się do góry. Eden zaczęła zmagać się z fruującą spódnicą, usiłując ściągnąć ją na właściwe miejsce. Wiatr odleciał, urażony, że nie poznano się na jego żartach.

Eden rzuciła Kincade'owi przelotne spojrzenie i dostrzegła przekorny błysk w jego oku.

- Coś podobnego nigdy by się nie zdarzyło, gdybym miała na sobie dzinsy! - stwierdziła, nastawiona krytycznie do kupionej przez niego garderoby.

- Wiele byśmy stracili - mruknął i otworzył przed nią drzwi pikapa.

Eden roześmiała się na to, ku własnemu zaskoczeniu. Nie przypuszczała, że będzie czuła się tak swobodnie w towarzystwie Kincade'a. Od niepamiętnych czasów nie przekomarzała się w ten sposób z nikim prócz Vince'a. W tym momencie Eden nie miała ochoty zastanawiać się nad tym, czemu z Kincade'em czuje się tak dobrze. Ta przyjemność nie mogła długo trwać, postanowiła więc nie myśleć o niczym i radować się każdą chwilą.

Kincade zawiózł ich do parku miejskiego, położonego niedaleko centrum Reno, i skierował się prosto na teren zabaw dziecięcych. Z biletami w garści podprowadził Eden do karuzeli.

Najlepszym dowodem zmian, jakie pod jego wpływem zaszły w Eden, był fakt, że nie protestowała, gdy podsadził ją na wznoszącego się i opadającego konika. Jeździli w kółko przy wtórze pogodnych dźwięków organów.

Potem zajadali się watą cukrową, rozbawieni klejącymi się do twarzy i rąk różowymi obłoczkami słodczy. Obserwowali reakcje dzieci; zainteresował ich zwłaszcza pewien malec, który spoglądał okrągłymi z zachwyty oczami podczas pierwszej przejażdżki na miniaturowym diabelskim młyńcu. Potem z wielkimi torbami prażonej kukurydzy powędrowali nad staw karmić kaczki.

Kincade nie mógł oderwać oczu od Eden. Kaczki, stłoczone wokół niej, trzepotały skrzydłami i żarłocznie kwacząc domagały się nieustannego karmienia. Rozśmieszona ich łakomstwem Eden rzucała im kukurydzę tak, by nie pominąć bardziej lękliwych, wyczekujących z tyłu, podczas gdy odważniejsze skłaniała do jedzenia z jej ręki.

Kincade widział uśmiech na wargach Eden i beztroski wyraz jej twarzy. To było jego dzieło. Czuł, jak wzbierają w nim różnorodne uczucia: duma, tkliwość, pożądanie...

Eden sypnęła kaczkom resztę kukurydzy ze swojej torby, zmusiła Kincade'a do sprawdzenia, czy u niego przypadkiem coś nie zostało.

- Bardzo nam przykro, kaczuszki, ale więcej nie mamy. - Eden wyprostowała się i zmięła pustą torbę. - Musicie poszukać sobie innego hojnego ofiarodawcy. - Kaczki natychmiast zaczęły szukać w trawie jakichś przeoczonych okruchów. Eden zwróciła się do Kincade'a; oświetlały ją od tyłu promienie słońca odbite od powierzchni wody. - Cóż to za żarłoczne ptaszyska!

- I hałaśliwe - zauważył Kincade, gdy stado kaczek z wielkim kwakaniem potoczyło się pędem w stronę czteroletniego blondaska z torbą prażonej kukurydzy.

- Jeszcze jak! - przytaknęła Eden. - Ale fajnie było!

- A jakże. - Jednak Kincade miał całkiem inny powód do radości niż ona. Kiedy odchodzili znad sadzawki, obcas pantofla Eden ugrzązł w miękkiej ziemi.

O mało sienie przewróciła. Zanim odzyskała równowagę, Kincade pochwycił ją i przytulił do siebie.

Bezpieczna w jego ramionach, Eden spojrzała w górę i żartobliwa uwaga zamarła jej na ustach, gdy dostrzegła wyraz oczu mężczyzny. Usłyszała nagły, gwałtowny łomot własnego serca. Usta Kincade'a musnęły delikatnie brzeżek jej warg, a ręce objęły plecy. Eden odwróciła głowę tak, że wargi Kincade'a spoczęły na policzku. Wezbrało w niej nagłe pragnienie, aż bolesne od lęku i

namiętności.

- Masz smak cukrowej waty - szepnął z wargami tuż przy jej uchu; poczuł, że zadrżała i wpiła palce w jego koszulę. - Eden...

Zmusiła się do tego, by spojrzeć mu w oczy. To był jej sposób na życie: spoglądać niebezpieczeństwu prosto w twarz, nie uciekać przed nim. Za nimi rozlegał się dziecięcy śmiech, ale ten dźwięk wydał się Eden dziwnie daleki.

Ręka Kincade'a sunęła wzdłuż jej pleców.

- To nic złego, kochanie.

Uśmiechnął się do niej i Eden zupełnie się zatraciła; serce jej waliło, oddech zamarł, gdy Kincade nakrył jej usta swoimi. Czowała smak cukru, dymu i nagłe gorąco, gdy delikatnie i czule skłonił ją do rozchylenia warg. Ten absolutny brak brutalności i natarczywości z jego strony powinien był ją uspokoić - a tymczasem dosłownie kipiała od rosnącego w niej z każdą sekundą napięcia i pożądania, które usiłowała okiełznać.

Kincade trzymał swoje namiętności na wodzy. Skoro Eden pragnęła czegoś więcej niż zwykłe pożądanie, on musi jej to ofiarować. Drażnił jej dolną wargę i sunął dłonią po plecach, wywołując wspaniałe doznania.

Sam hamował się ostatkiem woli. Odsunął się z nerwami napiętymi jak struny, gdy ujrzał błysk ognia w jej spojrzeniu.

- Idziemy?

Zupełnie zbита z tropu Eden zamrugowała oczami.

- Co takiego?

Złożył delikatny pocałunek na jej wargach i powiedział lekkim tonem:

- Myślałem, że pora wynieść się stąd: na pewno chętnie obejrzysz coś innego.

- Och! - Eden czuła się jak po narkotyku. Bardzo silnym narkotyku. - Jasne, jeśli chcesz.

- Fajnie. - Kincade cofnął się krok, wziął ją za rękę i zaprowadził z powrotem do samochodu.

Słońce powoli sunęło ku szczytowi góry Peavine. Kincade skręcił w boczną drogę, wijącą się leniwie wśród wzgórz. Postanowił, że Eden będzie miała dzień pełen wrażeń, by tragiczne wspomnienia, zbudzone rankiem, zatarły się w jej pamięci. Nie bronił się już przed czułością, która kazała mu opiekować się dziewczyną i pocieszać ją. Vince Rossiter w tej chwili w ogóle dla niego nie istniał.

Droga zawiodła ich do innego parku na obrzeżach Reno; podziwiali tam zapierającą dech w piersiach panoramę miasta. Pozostawili pikapa na parkingu i zeszli parę kroków w dół po zboczach. Kincade rozpostarł na ziemi starą indiańską derkę, a potem wyciągnął się na niej obok Eden; zerwał trawkę i zaczął ją żuć.

- Co za widok! - Eden wpatrywała się w miasto rozłożone na pagórkach.

- Masz Reno u stóp.

Korzystając z chwili milczenia Eden odważyła się uważnie przyjrzeć swemu towarzyszowi. Półleżał wsparty na łokciu, wyciągnął przed siebie długie nogi. Od ciemnej opalenizny wyraźnie odcinała się biaława szrama na skroni: ślad dawnej rany.

Patrzył na leżące w dole miasto ze spokojną koncentracją, którą Eden często u niego widywała. Czasami miała wrażenie, że tkwi w nim dwóch zupełnie różnych ludzi. Raz był delikatny i czule się z nią przekomarzał, a zaraz potem stawał się zimny i twardy jak żelazo. Zdała sobie sprawę, że pragnie dowiedzieć się o nim jak najwięcej. Była to niebezpieczna ciekawość, ale nie potrafiła się jej oprzeć.

- Gdzie jest twój dom, Kincade?

- W Teksasie. - Przerzucił trawkę w drugi kącik ust. Uśmiechnęła się słysząc tę wymijającą odpowiedź.

- A konkretnie gdzie?

- Miałem co najmniej pół tuzina domów. Pewnie naliczylibym więcej, gdyby mi się chciało potrudzić. - Uśmiechnął się lekko. - Urodziłem się w Waco, do przedszkola chodziłem w Amarillo. Potem przenieśliśmy się chyba do Sweetwater. Mój tata pracował u różnych ranczerów, czasem jako zwykły kowboj, czasem jako nadzorca ludzi albo bydła. Porzucał pracę, kiedy oferowano mu inną, lepiej płatną; z tej znowu rezygnował, bo gdzie indziej były dogodniejsze godziny pracy albo jakieś dodatkowe korzyści. Nie zrozum mnie źle - powiedział obrzucając Eden szybkim spojrzeniem - nie miałem nic przeciw tym przeprowadzkom. Prawdę mówiąc, cieszyłem się, że będę miał nowe konie pod siodło, nową okolicę do zwiedzania, nowych kumpli do zabawy. Odkąd skończyliśmy podstawówkę, tata zawsze starał się o taką pracę, żebyśmy nie musieli zmieniać szkoły średniej. Zrobił to zresztą przede wszystkim dla Marcie.

- To twoja siostra? - domyśliła się Eden. - Założę się, że brała udział w biegach dookoła beczek! Czy jeździła razem z tobą w objazdy?

- Marcie nigdy nie lubiła koni. - Kincade wyjął trawkę z zębów i usiadł prosto; potem zgiął kolana i oparł na nich ramiona. Szarpał na kawałki żdźbło trawy i rozsiewał wokół strzępki. - Zawsze bała się koni, nawet gdy była całkiem mała. Kiedy tylko mogła, jeździła na rowerze albo szła na piechotę. Do koni nie podchodziła, zwłaszcza po... - Kincade zamknął nagle usta, a twarz przybrała ponury wyraz.

- Po czym?

Spojrzał na nią twardo, odwrócił się i odrzucił resztki trawki.

- Jako ośmiolatka miała ciężki wypadek i kulą od tamtej pory na lewą nogę. Z mojej winy.

- Jak to się stało?

Kincade długo zwlekał z odpowiedzią.

- Mieszkaliśmy wtedy w pobliżu miejscowości Big Springs, w starym domu na ranczu Bar Six, gdzie tata pracował. To był gorący wrześniey dzień, jakich wiele w Teksasie. Po szkole pojechaliśmy z Marcie nad rzeczkę, z kilometr od domu, żeby się popluskać i ochłodzić. Ona zabrała rower, a ja gniadego wałacha: nadzorca pozwolił mi na nim jeździć. Koń nazywał się Rocky. No więc bawiliśmy się i wygłupialiśmy, i całkiem zapomnieliśmy o czasie. I nagle był już zachód słońca. Zawsze musieliśmy wracać do domu przed zmrokiem. Rodzice surowo tego wymagali. Oboje wiedzieliśmy, że źle się to dla nas skończy, jeśli nie zdążymy na czas. Nigdy jeszcze nie widziałaś dzieciaków wskakujących w ubrania i buty w takim tempie! I wtedy przekonaliśmy się, że w rowerze nawaliła guma. Marcie chciała wrócić do domu piechotą, pchając uszkodzony rower, a ja namawiałem, żebyśmy pojechali razem na wałachu. Zaczęliśmy się kłócić: wyzywałem ją od tchórzy, bo się bała koni. To oczywiście pogorszyło tylko sprawę. Marcie przekonywała mnie, żebym jechał sam, ale wiedziałem, że jeszcze bardziej oberwę, jeśli zostawię ją samą po ciemku. W końcu namówiłem Marcie, by wsiadła na konia razem ze mną, ale musiałem jej obiecać, że nie będę szybko jechał.

- Obiecałem, że nie będę szybko jechał - powtórzył Kincade głosem pełnym goryczy i wstydu. - I wtedy obudził się we mnie diabeł. - Usta Kincade'a wygięły się w bolesnym uśmiechu. - Dlaczego starsze dzieciaki tak lubią znęcać się nad młodszym rodzeństwem?

- Nie wiem, ale rzeczywiście tak jest. - Eden mówiła to z własnego doświadczenia. Vince bardzo rzadko bywał idealnym bratem. - To dla nich rodzaj zabawy. Nie są okrutne, po prostu bezmyślne.

Kincade skinął głową.

- Chciałem tylko troszkę nastraszyć Marcie, nic więcej. Kiedy zaczęła krzyczeć, żebym się zatrzymał, popędziłem Rocky'ego jeszcze szybciej. Nigdy nie myślałem, że Marcie zdobędzie się na to, by puścić lęk siodła i złapać za cugle. Niestety, chwyciła tylko jeden rzemień i pociągnęła konia za szyję tak gwałtownie, że stracił równowagę, zanim zdałem sobie sprawę z tego, co ona wyrabia! Mnie udało się zeskoczyć, zanim Rocky upadł, ale Marcie runęła razem z nim. -1 wtedy uszkodziła sobie nogę.

- Roztrzaskała ją dosłownie na kawałki. - Kincade wodził palcem po piasku obok koca. - Większość rancza była piaszczysta. Piasek ustąpiłby pod ciężarem, osłabił jej upadek. Ale wywróciliśmy się akurat na jednym z kamienistych miejsc. Noga Marcie znalazła się między ważącym pół tony koniem a litą skałą.

Zacisnął kurczowo w dłoni garść piasku. Spojrzał prosto w niebo szklistymi od łez oczami.

- Nigdy przedtem nie wiedziałem, co to strach... taki prawdziwy, przenikający na wskroś, paniczny strach. Kiedy oprzytomniałem po upadku, zawróciłem, żeby się przekonać, czy Marcie też nic się nie stało. Koń już się podniósł, ale Marcie nadal leżała bez ruchu. Spojrzałem na jej nogę i dostałem torsji. Twardziel ze mnie, co? - powiedział z pogardą.

- Kincade... - Eden położyła mu dłoń na ramieniu pragnąc go pocieszyć, ulżyć choć trochę w bólu.

- Wiedziałem, że Marcie potrzebna jest natychmiastowa pomoc, ale nie mogłem zostawić siostry samej. Byłem podrapany i miałem skórę zdartą w kilku miejscach. Wyjąłem więc chustkę i pomazałem ją krwią, a potem przywiązałem do kuli siodła i klepnałem z całych sił Rocky'ego, żeby wracał do domu.

- To było bardzo pomysłowe!

Kincade zbył jej uwagę niecierpliwym wzruszeniem ramion.

- Było już ciemno, kiedy nas znaleźli. Nie pamiętam, ile czasu trwało, zanim przyjechało pogotowie, ani ile w końcu operacji musiała znieść Marcie. Przez następne trzy lata prawie nie wychodziła ze szpitala. Podobno miała dużo szczęścia; skończyło się na silnym utykaniu.

- Byłeś małym chłopcem.

- Jasne, to wszystko usprawiedliwia! - Kincade cisnął piachem o ziemię i otrzepał ręce, potem zerwał się na nogi i pomógł wstać Eden. - Co powiesz na obiad? Ta wata cukrowa nie na długo mi wystarczyła.

- Chętnie!

Dał jej wyraźnie do zrozumienia, że nie zamierza więcej mówić o swojej siostrze. Ani teraz, ani potem.

W lokalu przywodzącym na myśl dawne San Francisco - masywne boazerie, iskrzące się żyrandole, zapewniające intymność stoliki - Eden i Kincade jedli steki przy dźwiękach nastrojowej muzyki. Rozmawiali o wszystkim i o niczym, unikając poważniejszych i drażliwych tematów - na przykład wzmianki o Vince'ie.

Wreszcie uprzątnięto talerze. Kelner podszedł, podniósł prawie opróżnioną butelkę wina i spojrzał pytająco na Eden.

- Ja już dziękuję - odparła zasłaniając dłonią kieliszek, do połowy jeszcze napełniony rabinowym trunkiem.

Kelner nalał resztę wina Kincade'owi.

- Czy podać szanownemu panu coś jeszcze? Może koniak? Kincade potrząsnął głową.

- Poproszę o rachunek.

- W tej chwili. - Kelner oddalił się z lekkim ukłonem, zabierając pustą butelkę. Kincade wyjął z

kieszeni cygaro, zawahał się i spojrzął na Eden.

- Pozwolisz?

- Bardzo proszę. - Uśmiechnęła się na znak aprobaty i uniosła swój kieliszek. Kincade włożył cygaro do ust, zapalił zapałkę i przytrzymał płomyk przy samym jego koniuszku, aż się rozżarzył. Smuga wonnego dymu uniosła się w powietrze. Kincade wpatrywał się w Eden, świadom, że narasta między nimi milczenie.

Migotliwe światło świec padało na jej twarz, podkreślając lekkie wklęsnięcia policzków. Eden trzymała kieliszek w obu dłoniach i wpatrywała się w niego jak zahipnotyzowana.

- Tak nagle zamilkłaś - zauważył Kincade. - Czy coś się stało? Spojrzała na niego zaskoczona i potrząsnęła głową, zmuszając się do uśmiechu.

- Po prostu się zamyśliłam.

- Nad czym?

- Wczoraj miałam spotkać się z moimi ludźmi przy Big Timber Canyon. Pewnie się głowią, gdzie też się podziałam. - A przecież zniknęła nie tylko ona, ale również Vince i Kincade, ale Eden umyślnie nie wspomniała o tym. - Zastanawiałam się, jak ich zawiadomić, że nie stało się nic złego.

Kincade już miał nakońcu języka przypomnienie, że wcale nie musiała z nim jechać, ale nie chciał wspominać Vince'a nawet pośrednio. Spytał zamiast tego:

- Znalazłaś jakiś sposób, żeby przechytrzyć DeParda?

- O czym mówisz? - spytała sztywniejac nagle. Kincade uśmiechnął się.

- Jestem pewien, że wiesz!

- Mylisz się. Nie rozumiem, co masz na myśli.

- Mapy! Nie nosiłaś ich w kieszeni spodni bez potrzeby. No, powiedz mi, co to za pomysł? - Gdy Eden zawahała się, pojął przyczynę jej nieufności. - Nie bój się, nie powtórzę nic DePardowi, Eden! To twojemu bratu zależy, żeby bydło ze Spur Ranch nie trafiło na rynek, a nie mnie! Vince sądzi, że jeśli ci się to nie uda, będziesz musiała sprzedać ranczo. A jeśli Vince'owi na tym zależy, to możesz być pewna, że zrobię co tylko w mojej mocy, żeby do tego nie doszło!

- Rozumiem. - Wahala się jeszcze przez chwilę, potem przyznała: - Miałam pewien plan. - Z naciskiem użyła czasu przeszłego. - Teraz jednak, bez ciebie i bez Vince'a, nie będę w stanie go zrealizować, chyba że zdobędę więcej rąk do pracy.

- Co to za plan? - Zbudziła się w nim ciekawość.

Eden przesunęła palcem po brzegu kieliszka, w kącikach jej ust pojawił się uśmiech.

- Postanowiłam sama dostarczyć bydło na rynek.

- Skąd byś wzięła ciężarówkę?

- Obeszłoby się bez nich. - Eden pochyliła się ku niemu, a jej oczy zajaśniały w blasku świec. - Chciałam popędzić stado aż na targi bydłace do Oregonu.

- Popędzić! - Kincade wyjął z ust cygaro. Pojął, co miała na myśli. - Mapy! Znaczyłaś na nich trasę!

- Najważniejsza była woda. Musiałam się upewnić, że dotrzemy do niej pod koniec każdego dnia. To jest możliwe!

- Dlaczego do Oregonu? Winnemucca leży bliżej.

- Ale musiałabym wtedy wejść na teren Diamond D. DePard nigdy by do tego nie dopuścił.

Wyeliminowałam Lovelock, Reno i tereny aukcyjne w Kalifornii z podobnych przyczyn: zbyt duże ryzyko, że wieść dotrze do DeParda, a on jakoś mi to uniemożliwi. Droga na północ prowadzi jednak przez tereny puste, praktycznie nie zaludnione: żadnych miast, tylko dwa rancza. W dodatku nie zapędzimy się bliżej niż piętnaście kilometrów od centrum każdego z nich. Jeśli pójdziemy

wytyczoną przeze mnie trasą, będziemy musieli przejechać tylko jedną szosę, kilka kilometrów przed granicą stanu; nie ma zresztą na niej prawie żadnego ruchu. Stałam tam godzinę i zobaczyłam jednego jedyne pikapa. Jeśli ktoś nas dostrzeże, to tylko przypadkiem!

Kincade skinął głową.

- To mogłoby się udać.

- Ja też tak myślę. - Eden westchnęła i skrzywiła się. - Potrzeba do tego sześciu jeźdźców. Teraz mam tylko czterech, wliczając w to siebie. W tych warunkach nie da się tego zrobić.

- Chyba nie tak trudno wynająć kilku ludzi?

- Miejmy nadzieję, że się uda.

- Jak długo by to trwało? - spytał Kincade, gdy kelner wrócił z rachunkiem.

- Mniej więcej dziesięć dni.

- DePard mógłby coś zwąchać, nie widząc tak długo ani ciebie, ani twoich ludzi. - Kincade sprawdził rachunek i włożył kilka banknotów do oprawnego w skórę menu.

- Niczego by nie zauważył. Na tym polega cały dowcip! Jesienny obchód rancza trwa zazwyczaj sześć tygodni - wyjaśniła Eden. - Tym razem postanowiłam zrobić to po łebkach: sprawdzić dokładnie te miejsca, gdzie jest dużo trawy i woda, bo tam zbiera się najwięcej bydła, a darować sobie całą resztę. Stracimy pewnie w ten sposób jakieś sto sztuk bydła, ale taki obchód można przeprowadzić w trzy tygodnie. Jeśli postanowimy spędzić bydło do Sayer's Well na skraju Black Rock Desert, odpoczniemy tam cały dzień i ruszymy przez pustynię w nocy. Dzięki temu nikt nie dostrzeże tumanu kurzu, a my odbędziemy pierwszy etap podróży na północ.

- Dokładnie to sobie przemyślałaś. - Kincade strząsnął popiół z cygara, wstał, okrążył stolik i szarmancko podał ramię Eden.

- Staralam się jak mogłam. - Eden też wstała i pozwoliła się poprowadzić w stronę wyjścia. - Gdyby wszystko poszło tak, jak zaplanowałam, wrócilibyśmy, zanim DePard by spostrzegł, że nas nie ma. Boże, jak ja bym chciała zobaczyć jego minę, kiedy się dowie, czego dokonałam!

- Zemsta bywa słodka, prawda? - uśmiechnął się do niej Kincade. Eden potrząsnęła głową.

- Jak zemsta może być słodka, skoro zamienia w kamień serce mściciela? Rzucił jej pytające spojrzenie.

- Czyżby Szekspir?

- Nie. Eden Rossiter. - Spodziewała się uśmiechu lub zabawnego komentarza, odpowiedziało jej jednak milczenie. Przyczyna mogła być tylko jedna: Vince.

W, drodze powrotnej do hotelu Kincade bawił Eden opowiastkami z czasów, gdy brał udział w rodeo. Chwila w restauracji, kiedy tak nagle zamilkł i spochmurniał, minęła bezpowrotnie. Teraz wokół nich świeciły światła i połyskiwały neony; żadne cienie zemsty nie wyzierały z zakamarków, by zakłócać rozmowę.

Eden była zupełnie odprężona. Kincade otworzył drzwi ich apartamentu, a potem cofnął się, by ją przepuścić przodem. Wchodząc do środka poczuła żal, że urocze chwile, tak niewinnie z nim spędzane, zbliżają się ku końcowi. Wiedziała, że już wkrótce znowu staną się przeciwnikami - z powodu Vince'a.

Na klamce drzwi do jej sypialni wisały dwa druciane wieszaki, a na nich świeżo wyprana koszula i wyprasowane na kant dżinsy. Eden, gdy to ujrzała, pogładziła miękki materiał sukienki, którą kupił dla niej Kincade. Odwróciła się do niego, gdy zamknął drzwi wejściowe.

- I obiad, i całe popołudnie były bardzo miłe, naprawdę. - Uśmiech Eden wyraźnie świadczył tymjak dobrze się bawiła, jak chłoneła radość każdej chwili, tym bardziej że świadoma była jej przemijalności.



Kincade rzucił klucz na stół i zwrócił się twarzą do Eden.

- Bardzo się cieszę, bo i ja świetnie się bawiłem. - Zanim Eden zdążyła cofnąć się poza jego zasięg, położył ręce na jej ramionach i pogładził je z nieopisaną czułością. Potem w sposób całkiem naturalny splótł palce z jej palcami.

- Chyba powinieneś sprawdzić, czy nie ma jakichś wiadomości na sekretarce.

- Szkoda fatygi: nie pali się światelko, nie ma wieści. - Uniósł jedną dłoń Eden, pocałował, potem to samo uczynił z drugą.

Nagły żar objął całe jej ciało. Eden przekonała się, jak wielka jest różnica między ignorowaniem czegoś, na czym - jak sobie wmówiła - wcale jej nie zależało, a opieraniem się temu, czego się bardzo pragnie.

- Może sygnał świetlny nie działa.

- Działa. Sprawdziłem. - Nie wypuszczając jej dłoni, Kincade odgarnął do tyłu włosy Eden, które opadły jej na ramiona; opuszkami palców musnął przy tym skórę. Poczul przy tym krótkim kontakcie jakby zwarcie elektryczne - nie wiedział jednak, czy to tylko jego wrażenie, czy także reakcja Eden.

- Nie chcę!

- Czego? - Otoczył palcami jej szyję; zeszywniała pod jego dotknięciem. Nie zrażony tym Kincade wpatrywał się w wargi Eden: drżące, rozchylone, miękkie, pełne i kuszące. Nawet gdyby nie był tak bardzo spragniony, nie oparłby się pokusie.

Kiedy jego usta szeptały coś tuż przy jej ustach, serce podskoczyło Eden do gardła. Wiedziała, że to wszystko nie ma sensu i postanowiła z tym skończyć.

- Nie jestem taka jak inne kobiety, Kincade.

- Z pewnością. - Odruchowo przesunął palcem po jej szyi, uspokajając ją tym gestem i dodając odwagi; jego usta tymczasem wprawiały zmysły Eden w szaleńczy taniec.

- Powinieneś już wiedzieć, że nie mogę dać ci tego, czego pragniesz - ostrzegła.

- Wystarczy mi to, co sama zechcesz ofiarować.

Gdy pocałunek stał się jeszcze gorętszy. Eden westchnęła: była w tym westchnieniu i bezradność, i zachwyt. Przez sekundę, nie dłużej, poddała mu się: ciało przytuliło się do niego, wargi rozchyliły. Zaraz jednak wyrwała się i odwróciła.

- Nie mogę! To wszystko na nic.

- Z powodu Jeffa? - Kincade objął jej ramiona. - Zrozumiałem to już dawno.

- Eden znowu odwróciła się ku niemu; Kincade przeczuwał, że tak się stanie. - Nie potrafię żadnymi zaklęciami zatrzeć w tobie pamięci tamtych wydarzeń, Eden. Ani uwolnić cię od strachu, który w tobie drzemie. Wiedz jednak, że między mężczyzną i kobietą wcale nie musi być tak jak wtedy - zapewnił ją i dodał po chwili:

- Nigdy nie powinno być tak, jak było wówczas.

Pogładził ją po twarzy i przytulił dłoń do policzka. Eden przymknęła oczy i napawała się dotykiem jego palców na swojej skórze - jakież zamęt uczuć i pragnień wywołał w niej ten gest!

- Boję się - wyznała.

- Ja też.

Otworzyła szeroko oczy.

- Czemu ty miałbyś się bać?

- Bo jesteś dla mnie ogromnie ważna. - Zanurzył palce w jej włosach. - I to się dla mnie liczy. - Przytulił ją mocniej, ale starał się, by to był łagodny uścisk. Zmuszał się do tego, by pamiętać o kruchości Eden, nie o jej sile. - Myślę, że to było nam sądzone... od pierwszej chwili, gdy ujrzałem cię na ulicy.

Może to było rzeczywiście przesądzone od samego początku? Przez całe lata Eden wmawiała w siebie, że nie brak jej niczego, że nie chce mieć do czynienia z żadnym mężczyzną. Było tak, póki nie zjawił się Kincade i nie rozbudził w niej uspiionych uczuć. Pragnęła tej chwili, choćby na niej wszystko miało się skończyć.

Usta Kincade'a musnęły jej wargi: leciuteńki dotyk, jak cień pocałunku, i ucieczka - powtarzało się to raz po raz. Kincade widział, że dziewczyna sama już nie nad nią, Eden nie czuła wcale strachu. Nie było w tym nic z przemocy, a przecież dotykał jej tak, jak nigdy dotąd nie pozwoliła się dotknąć żadnemu mężczyźnie.

Wkrótce doznania stały się czymś więcej niż radością zmysłów. Zrodziło się napięcie, przypominające przenikliwy ból. Skórę miała tak rozpaloną, że nawet chłodny podmuch wentylatorów nie przynosił ulgi. Żar narastał w niej, ciężki jak kamień.

Tak, to był ból, ale niepodobny do żadnego innego. Czuła się bezbronna - choć przysięgała, że nigdy do tego nie dopuści, a już na pewno nie z powodu mężczyzny! Przeciwstawiała się temu doznaniu, ale tylko je potęgowała.

Palce Eden wpiły się w pościel. Kincade powoli sunął dłonią w góręj jej uda, dostrzegając, jak dygoce każdy mięsień. Eden była gorąca i wilgotna - wiedział, że tak się stanie. Jej opór trwał zaledwie sekundę. Kincade wpatrywał się w twarz dziewczyny: widział na niej ból i napięcie, a potem już tylko rozkosz.

Gdy wszedł w nią, było to jak uderzenie gromu. Później wszystko roztopiło się we wzajemnym pożądaniu, a Eden przyłgnęła do niego całym ciałem.

Leżała bez ruchu w jego ramionach, zanurzona wciąż w dopiero co przeżytej rozkoszy. Ciało jej pulsowało, przypominając o tym, na co się odważyła. Czuła jeszcze ból, ostry, lecz dziwnie słodki. Kincade sprawił, że uczestniczyła w misterium, które - jak dawniej sądziła - nie mogło sprawiać żadnej przyjemności. Miała ochotę śmiać się i gratulować sobie nowo odkrytej mądrości. Było jej ciepło i dobrze.

Choć jednak przepelniała ją wielka tkliwość, ostrzegała się w duchu, by nie przywiązywać do tego zbyt dużej wagi. To, co ich ze sobą połączyło, było tylko naturalnym odruchem. Byłaby głupia, gdyby dopatrywała się w tym czegoś więcej - gdyby pofolgowała uczuciom.

Kincade zastanawiał się, czy Eden uświadamia sobie, jak w tej chwili wygląda. Leżała zupełnie naga jedną nogą na jego biodrze. Skóra jej po prostu promieniała: niezawodny objaw miłosnego zaspokojenia. Włosy rozsypały się po poduszce. Oparty na łokciu Kincade wpatrywał się w twarz dziewczyny.

Pragnął poznać jej myśli, jej uczucia, spytał jednak tylko:

- Czy sprawiłem ci ból?

- Nie, oczywiście, że nie! - gwałtowność odpowiedzi zdradzała, jak bardzo Eden czuła się zażenowana.

Kincade dostrzegł jej rosnącą niepewność. Nie mógł pozwolić, by jego osoba budziła w niej skrepowanie. Opadł z powrotem na poduszkę, a Eden natychmiast się odsunęła.

- Nic z tego! - Kincade przygarnął ją znów do siebie i ucałował we włosy. - To jest ta chwila, gdy mężczyzna i kobieta leżą w łóżku, przepelnieni najwyższym zadowoleniem, a ona mówi mu, jakim był cudownym kochankiem. - Eden nadal milczała. Kincade odwrócił głowę i popatrzył na nią. - Usłyszę to wreszcie? - domagał się z uśmiechem.

Dostrzegła szelmowskie błyski w jego oczach i zorientowała się, że Kincade stara się przełamać jej skrepowanie. Duma pomagała jej wyjść zwycięsko z trudniejszych sytuacji, więc Eden przywołała ją na pomoc także i teraz.

- Byłeś wspaniałym kochankiem - odparła z przesadną uprzejmością, mając nadzieję, że zamaskuje w ten sposób nienaturalny ton głosu.

Kincade roześmiał się i przewrócił na bok, by spojrzeć Eden prosto w twarz.

- Nie nazwałbym tego entuzjastyczną pochwałą! - Z uśmiechem ujął kosmyk jej włosów i odgarnął za ucho, a potem koniuszkami palców delikatnie obrysował kontur jej policzka. Zatrzymał się przy brodzie i kciukiem potarł dolną wargę Eden. Uśmiech zniknął z jego ust, a spojrzenie nabrało intensywności. - Byłaś cudowną kochanką. Eden - szepnął. Serce jej się ścisnęło, gdy zdała sobie sprawę, jak rozpaczliwie pragnie mu wierzyć. - Podniecającą, nieustraszoną, żarliwą i piękną. Niewiarygodnie piękną.

Dziwne: była znacznie mniej skrępowana, gdy sobie z niej pokpiwał. Wołała, żeby powrócił ten ton.

- Powinam pewnie pogłaskać cię za to po główce?

- Niekoniecznie po główce. - Uśmiechnął się szeroko i przysunął bliżej, muskając jej wargi. - To wprost niewiarygodne! - szepnął z ustami przy jej ustach - Znowu cię pragnę.

- Ja też - odpowiedziała również szeptem, czując, że coś znów się w niej budzi.

- Miłość nie zawsze bywa łagodna, Eden.

Mimo tego ostrzeżenia zaskoczyła ją gwałtowność jego pocałunku. Nie był brutalny ani natarczywy, tylko dziki, żarliwy i nieskończenie zmysłowy. Zagarnęła Eden ta gorąca fala, a po niej ręce Kincade'a. Oddała się bez reszty i jemu, i własnej namiętności.

Leżeli teraz spleceni w jedno ciało. Kincade czuł, że gdy ma ją przy sobie, tworzą doskonałą jedność. To doznanie, bardzo wyraźne i głębokie, przepełniało go ciepłą radością, niczym złoty blask lampy w oknie domu, do którego powraca się w burzliwą noc. Kincade nigdy nie szukał takiej przystani. Nie był nawet pewny, czyjej pragnie.

Wiedział natomiast, że chce, by ta chwila nigdy się nie skończyła. Zdawał sobie jednak sprawę, że to niemożliwe.

- Miałem bardzo wiele kobiet, Eden. - Pogłaskał ją po głowie. - Powinnaś jednak wiedzieć, że z żadną nie było mi tak cudownie jak z tobą. Z żadną.

- Nie musisz mi mówić takich rzeczy. - Eden leżała zupełnie bez ruchu w jego ramionach.

- Pewnie, że nie muszę, kochanie moje. Pragnę tego, nie rozumiesz? - Ocierał się brodą o czubek jej głowy. - Nie chcę, żebyś myślała, że to dla mnie po prostu miła przygoda, jak wiele innych.

- Czy w ten sposób osładzasz wszystkim swoim dziewczynom chwilę rozstania? - spytała szyderczo Eden. Chciała sprawić mu ból; po co w ogóle o tym mówił? Byłoby o wiele łatwiej, gdyby nie mieszał do tego uczuć!

W następnej sekundzie znalazła się znów na plecach, a silne ręce przygwoździły ją do materaca. Kincade pochylał się nad nią z twarzą pociemniałą od gniewu i zniecierpliwienia.

- Do jasnej cholery! Mówiłem prawdę!

Zadzwoił telefon. Kincade zaklął jeszcze raz, ciszej, lecz z większą furią. Puścił Eden i odsunął się od niej. Usiadł na brzegu łóżka zwieszając nogi. Zanim jeszcze podniósł słuchawkę, wiedział, że tego właśnie telefonu podświadomie się lękał.

Eden czuła to samo. Wpatrywała się w plecy Kincade'a, w sprężyste, gładkie mięśnie. Jakaś cząstka jej istoty pragnęła ich dotykać, sięgnąć szerokich ramion, przytulić się do Kincade'a i objąć go.

- Chwileczkę - powiedział Kincade do słuchawki i zapalił lampkę przy łóżku. - Muszę znaleźć coś do pisania. - Eden ześliznęła się z łóżka po drugiej stronie i powędrowała na bosaka do łazienki. - Już mam. Możesz mówić.

Eden szybko się umyła, narzuciła płaszcz kąpielowy, który wisiał na drzwiach, i wyszła z łazienki.

- Wolniej, Rusty. Nie mogę nadążyć.

Czuła na sobie wzrok Kincade'a, gdy opuszczała jego sypialnię, by wrócić do swojego pokoju. Duma kazała jej trzymać głowę wyżej niż zwykle. Serce rwało się na strzępy na myśl o tym, co nie mogło się ziścić - takie głupie marzenia...

Zebrała wszystkie części garderoby i pospiesznie się ubrała. Naciągając buty, usłyszała, że Kincade chodzi po pokoju. Wyprostowała się, spróbowała bez skutku rozczesać potargane włosy i wbiła na głowę kapelusz.

Weszła z powrotem do saloniku. Czuła, jak sztywny drelich drażni jej skórę. Wystarczyło jedno popołudnie w sukience, a niebieskie dzinsy jakoś dziwnie jej zawadzały. Z trudem opanowała chęć dreptania w niej scu. Czekwała ze wzrastającym napięciem, aż Kincade wyjdzie ze swojego pokoju.

Wreszcie wyszedł, wpychając koszulę za pasek lewisów. Zatrzymał się na widok Eden; obejrzał białą koszulę i zaprasowane spodnie z taką samą skrupulatnością, z jaką niedawno badał palcami każdy centymetr jej skóry.

- Wiesz już, gdzie jest Vince, prawda? - Spojrzała mu prosto w oczy. Czy ośmieli się zaprzeczyć?

Twarz Kincade'a przybrała twarde wyraz. Nie było w niej już śladu łagodności i ciepła.

- Tak. - Zmierzył Eden przeciągłym spojrzeniem. - Czy mówi ci coś nazwisko Axel Sparks?

- Owszem. - W duchu przeklinała Vince'a, wściekła, że pętał się nadal po Reno. Dawno już powinien był stąd wyjechać!

- Cholera jasna! - wybuchnął Kincade. - Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś, do stu diabłów! Oszczędziłabyś nam obojgu... - Urwał i odwrócił się od niej.

Czegóż to by im oszczędziła? - zastanawiała się Eden. Bólu? Zgodziła się jednak z Kincade'em, że lepiej nie kończyć tego zdania.

- Vince jest moim bratem, Kincade. Rzucił jej jeszcze jedno wściekłe spojrzenie.

- Myślisz, że mnie to nie boli? - Złapał kapelusz i wcisnął go na głowę. Wyciągnął z kieszeni kluczyki od wozu i ruszył ku drzwiom.

Eden dogoniła go, zanim do nich dotarł, i zatrzymała, kładąc rękę na ramieniu.

- Nie ścigaj go, Kincade! - Zabrzmiało to jak rozkaz; zebrać nie chciała.

- Muszę. - Starał się nie widzieć milczącego błagania w jej oczach. Ona była lojalna wobec brata, a on winien jest to samo swojej siostrze. Tylko to jeszcze mógł zrobić dla Marcie.

- Wcale nie musisz! - przekonywała go Eden. - Możesz zostawić go w spokoju. Po prostu zapomnij o tym, co ci złego zrobił. Powiedz sobie, że to się nigdy nie wydarzyło, i odejdz!

- Nie.

To jedno słówko zapiekło mocniej niż gniewne krzyki i przekleństwa. - Gdyby to, co ze sobą przeżyliśmy, miało dla ciebie jakieś znaczenie... Gdyby ci choć trochę na mnie zależało... nie zrobiłbyś tego! Pozwoliłbyś mu odejść!

- Czy dlatego właśnie to zrobiłaś? - rzucił gwałtowne oskarżenie. - Dlatego poszłaś ze mną do łóżka? Żeby mieć na mnie bicz?

Trzasnęła go w twarz. Uderzenie zabrzmiało w ciszy pokoju niczym wystrzał. Kipiąc z wściekłości, z oczyma piekącymi od łez Eden gwałtownie odwróciła się od Kincade'a.

- Nie! - Kincade chwycił ją za ramię i przyciągnął z powrotem. Objął ją i trzymał, mocno. Eden wyrywała się, ale nic na tym nie zyskała: spadł jej tylko kapelusz. Kincade natychmiast zanurzył palce w jej włosach i zmusił, by oparła głowę o jego ramię.

- To, co razem przeżyliśmy, było czymś wyjątkowym - powiedział głosem, w którym wciąż drżał

gniew. - Nic nie zdoła tego zniszczyć. Nawet ty czyja.

- Ależ oczywiście, po co psuć sobie miłe wspomnienia! - W głosie Eden dźwięczał sarkazm, razem z bolesną urazą i gniewem.

Palce Kincade'a wpiły się w jej ramiona. Odsunął ją od siebie na odległość wyciągniętych rąk.

- Kochaliśmy się dziś. Nie możesz nazwać tego inaczej. - Ujrzał wahanie i ból w oczach Eden. - Żadnemu z nas nie jest łatwo wykrztusić to słowo. Ale to nie zmienia oczywistego faktu, Eden.

- Niczego innego także nie zmienia.

- Istotnie. - Chwył Kincade'a osłabł. - Muszę znaleźć twojego brata, Eden, a ty sądzisz, że powinnaś go bronić. Nie przeszkadzaj mi, to i ja nie będę przeszkadzał tobie, dobrze? - Uwolnił ją i wyciągnął ku niej rękę. - Zgoda?

Eden zawahała się.

- Jadę z tobą.

- Nie zabronię ci tego.

- Zgoda! - Potrząsnęła jego ręką, ale nie odwzajemniła uśmiechu. Kincade zawrócił do wyjścia. Eden wzięła kapelusz i poszła za nim. Ich rozejm nie potrwa długo, była tego pewna. Musi dojść do starcia, a gdy to nastąpi, wszystkie górnolotne słowa Kincade 'a i wzmianki o miłości rozwieją się jak dym.

Dym. Tak, to było odpowiednie określenie: zasłona dymna, mająca ją zmylić, nagiąć do jego woli. Choć czuła do Kincade'a coś więcej niż do innych mężczyzn, nie kochała go. Nie mogłaby go pokochać!

Mężczyźni to egoiści. Zależy im tylko na zaspokojeniu własnych zachcianek, pasji, ambicji. Oczekują, że kobieta będzie im we wszystkim ustępować, poświęcając własną osobowość. Póki jej pragnienia i oczekiwania są zgodne z planami mężczyzny, wszystko pięknie się układa. A jeśli nie - wybucha wojna. Kobieta nigdy w niej nie wygrywa, przynajmniej nie na dłuższą metę.

Eden powtarzała sobie to wszystko, starając się ignorować bolesny ucisk w gardle, gdy Kincade, zwrócony do niej profilem, prowadził wóz ulicami Reno. Przejechali roziskrzone światłami centrum; Kincade sprawdził kierunek jazdy z informacją pospiesznie nabazgraną na kartce z hotelowego bloczku. Dwie przecznice dalej skręcił w boczną uliczkę i podjechał pod wielki blok mieszkaniowy.

Samotna latarnia oświetlała parking koło budynku. Kincade dostrzegł na nim wóz Vince'a. Pikap Rusty'ego stał tuż obok. Kincade wjechał na sąsiednie wolne miejsce i wysiadł z szoferki.

Z cienia wyszedł mu na spotkanie Rusty. Znów miał gładko wygoloną twarz, na której widniały setki piegów, starannie zakrytych przedtem brodą.

- Mieszkanie na pierwszym piętrze, trzecie okno z lewej. Jest tam. Widziałem go w oknie kilka minut temu.

Eden wyszła zza pikapa. Zdążyła usłyszeć ostatnie słowa. Rusty poznał ją i zdumiony zwrócił pytające spojrzenie na Kincade'a. Ten nie kwapił się z wyjaśnieniem.

- Eden, to mój przyjaciel, Rusty Walker. A to Eden Rossiter - przedstawił.

- Witam panią. - Rusty przelotnie dotknął róna kapelusza. Eden skinęła głową. Po chwili Rusty zwrócił się do Kincade'a. - Co chcesz zrobić? Zastukasz do drzwi?

- Czy jest inne wyjście z budynku?

- Nawet dwa. Ale jeśli się wymknie, nie na wiele mu się to przyda: pomajstrowałem przy jego wozie.

- Zuch chłopak! - uśmiechnął się Kincade od ucha do ucha. Spojrzał na górę; w mieszkaniu zgasło światło. - Wygląda na to, że Rossiter zaraz się do nas przyłączy. - Przyjrzał się otwartej przestrzeni parkingu i podwórkom za nim, potem omiół wzrokiem krzewy rosnące przy wejściu. - Żaden z nas

nie ma butów do biegu na długi dystans. Powitajmy go lepiej u drzwi.

- Chyba masz rację. Kincade zwrócił się do Eden:

- Idziesz?

- Oczywiście. - Ruszyła krok w krok z nim. Uwagę jej zwróciło boczne wyjście z budynku.

Zastanawiała się, jak by tu ostrzec w porę Vince'a.

Dwie latarenki osadzone w ceglany murze po obu stronach drzwi oświetlały teren przed wejściem. Wyłożona kamiennymi płytami dróżka od drzwi wejściowych do oświetlonego parkingu tonęła w mroku.

Gdy do niej dotarli, Eden ujrzała wyraźnie jasny korytarz za szklanymi drzwiami. Ukazał się w nim Vince; zmierzał w ich stronę. Natychmiast rzuciła się ku drzwiom, ale Kincade złapał ją i odciągnął w cień. Równocześnie polecił Rusty'emu stanąć z drugiej strony.

- Miałeś mi podobno nie przeszkadzać! - Eden manewrowała ramieniem, usiłując wyrwać się Kincade'owi.

- Możesz go sobie bronić, ale nie pozwolę ci go ostrzec!

- Jak mam go bronić, jeśli nie mogę go ostrzec?! - warknęła, a jej oczy miały gromy.

- To już twój problem. - Kincade nie odrywał wzroku od drzwi. Rozwścieczona Eden odwróciła się i właśnie w tej chwili Vince wyszedł dziarskim krokiem, pogwizdując fałszywie jakąś melodyjkę.

- Vince, uważaj! - krzyknęła.

Zatrzymał się raptownie i jego spojrzenie padło na Kincade'a.

- Wybierasz się gdzieś, Rossiter? - Kincade wynurzył się z cienia, wlokąc za sobą Eden i odciągając uwagę Vince'a, podczas gdy Rusty wysliznął się zza wysokiego krzaka i stanął między Vince'em a wejściem do budynku.

Vince ruszył z powrotem do drzwi, ale zobaczył, że ma odcięty odwrót. Zwrócił się do Eden i spojrzał na nią wściekłym wzrokiem:

- Powiedziałaś mi, gdzie mnie szukać? Jak mogłaś?!

- Ja nie... Wtrącił się Kincade:

- Daruj sobie wymówki, Rossiter. Twoja siostra nic nam nie powiedziała. Nie musiała. Nie tak znów trudno cię wytropić, czyżbyś o tym nie wiedział?

- Czemu wplątałaś w to moją siostrę? - zaatakował Vince. - Jeśli wyrządzisz jej krzywdę, przysięgam na wszystkie świętości, że cię zabiję!

- Już raz ci się to nie udało. Zapomniałeś?

- Co to ma znaczyć? - Eden od razu pojęła, że od Kincade'a nie doczeka się odpowiedzi. - Vince, o czym on mówi?

- O niczym. Zgrywa się tylko na twardziela - rzucił drwiąco Vince. - A więc znalazłeś mnie! I co teraz, nadczłowieku?

- Teraz? Czeka cię przejażdżka.

- Dokąd?

- Oczywiście tam, gdzie najbardziej lubisz przebywać. - Uśmiech Kincade'a był wymuszony i zimny.

- Gdzie mianowicie? - Vince zmarszczył niecierpliwie czoło i potrząsnął głową. - Nigdzie się stąd nie ruszę, dopóki się nie dowiem, dokąd mamy jechać.

- Pojedziesz tam, dokąd ci każę. - Kincade wymówił te słowa prawie szeptem, przez co zabrzmiały jeszcze groźniej.

- Jesteś pewien? - na górnej wardze Vince'a pojawiły się kropelki potu.

- A jakże. Zresztą, to żaden sekret. Wiem, jak przepadasz za Spur Ranch. - Kincade zdawał się nie dostrzegać zdumionego spojrzenia Eden.

- Na ranczo? - Vince zaśmiał się ironicznie. - Kpisz sobie! Nie znoszę tej dziury... A więc na tym polega twoja gra? - Skinął w zamyśleniu głową. - Chcesz zamienić mi życie w piekło?

- Do piekła mamy jeszcze bardzo daleką drogę, Rossiter. Wierz mi, nie wywiniesz się byle czym. Twoja siostra chce za wszelką cenę ocalić ranczo, a ty będziesz jej w tym pomagał i tyrał do siódmych potów. Doszło do ciebie?

- Doszło - burknął Vince.

- Rusty! - zawołał Kincade nie spuszczać oka z Rossitera.

- Hej!

- Potrzebna mi druga para oczu do pilnowania tego obiboka. Wiem też, że Eden przyda się jeszcze jeden pomocnik. Może byś tak popracował przy bydle?

- Czemu nie? Akurat nie mam nic lepszego do roboty.

- Masz coś przeciwko zatrudnieniu Rusty'ego? - Kincade rzucił Eden jedno krótkie spojrzenie.

- Nie. - Niczego nie pojmowała.

- W porządku. - Kincade sięgnął do kieszeni. - Trafisz sama do hotelu?

- Chyba tak - Eden zmarszczyła brwi. - Czemu pytasz?

- Weźmiesz mój wóz i zabierzesz stamtąd nasze rzeczy. - Wręczył jej kluczyki. -

Wymeldowaniem zajmie się Kirk.

- A ty co będziesz robił?

- Pomożemy z Rustym twojemu bratu spakować manatki. - Eden nie ruszyła się z miejsca.

Kincade dodał: - Nie bój się. Jeśli twój brat nie zacznie żadnych sztuczek, to nie oberwie. A ponieważ jest nas dwóch, chyba nie będzie próbował.

- Jaką mam gwarancję, że was tu zastanę po powrocie?

- Masz mój wóz. - Kincade podszedł do Rossitera, ujął go za ramię i obrócił ku drzwiom. -

Chodźmy pakować manele, chłoptasiu. Przed nami długa droga.

- Precz z łapami! - Vince wyszarpnął rękę, ale Kincade zdążył go przedtem popchnąć we właściwym kierunku. Rusty otworzył drzwi. Z drwiącym ukłonem zaprosił Vince'a gestem ręki, by wszedł pierwszy.

Eden obserwowała ich, jak szli korytarzem, potem spojrzała na trzymane w ręku kluczyki. Po sekundzie wahania odwróciła się i podeszła do pikapa Kincade'a.

Mieszkanie na piętrze było typową kawalerką, zastawioną zbieraniną niedobrych mebli. Na ścianach wisiało tylko kilka tanich sztychów w ramkach. Na stoliku naprzeciw telewizora leżał pusty karton po pizzy i puszki po piwie. Pod krzesłami i po kątach pełno było kłaków kurzu. Kincade nie zwracał na to wszystko uwagi. Rozglądał się po pokoju szukając telefonu. Znalazł wreszcie aparat, częściowo zasłonięty egzemplarzem „Sports Illustrated”.

- Moje ubrania i rzeczy są w pokoju gościnnym - Vince skierował się w stronę korytarza biegnącego obok niewielkiego saloniku.

- Nie pali się. Czeka cię przedtem rozmowa telefoniczna. - Kincade podszedł do aparatu i zrzucił przykrywające go czasopismo.

- Mam zadzwonić? - Vince odwrócił się naburmuszony. - Do kogo?

- Do DeParda. Nie stawiłeś się na randkę z Sheehanem, pamiętasz? Teraz pewnie DePard zastanawia się, czemuś dotąd się z nim nie skontaktował. - Kincade podniósł słuchawkę i podsunął Rossiterowi.

- O tej porze na pewno śpi! - protestował Vince.

- To go obudzisz. - I co mu powiem?

- Prawdę. Że twoja siostra nadal nie znalazła nikogo, kto chciałby przewieźć jej bydło na rynek. Że z powodu objazdu rancza nie będziesz mógł kontaktować się z nim regularnie, ale znajdziesz na pewno jakiś sposób, żeby go zawiadomić, gdyby zaszło coś ważnego. Powiesz mu tylko to i nic więcej.

- A jeśli spyta, czemu nie spotkałem się wtedy z Sheehanem?

- Coś skłamiesz. Jesteś w tym całkiem dobry. - Kincade popchnął telefon w jego stronę. - No, dzwoni już!

Vince z ociąganiem wziął słuchawkę i nakręcił numer.

Duke DePard siedział na brzegu łóżka ubrany, zgodnie ze swoim zwyczajem, tylko w spodnie od piżamy. Trzymał jeszcze słuchawkę czarnego telefonu, który stał na nocnym stoliku. Duke pochylił głowę i zadumał się głęboko. Siwe włosy na jego piersi połyskiwały srebrzyście w świetle lampy.

Nie znosił telefonów wyrywających go ze snu. Zawsze przywodziły mu na myśl tę noc, gdy zginął Jeff.

Po chwili zadzwonił na kwaterę Sheehana. Nadzorca odezwał się po trzecim sygnale bardzo zaszpanym głosem.

- Mówi DePard - wyjaśnił Duke. - Przed chwilą zadzwonił do mnie Vince Rossiter.

- Rossiter? - Nastąpiła krótka przerwa, potem zaskoczony Sheehan spytał: - Boże święty, czemu dzwonił o tej porze?! W środku nocy?

- Właśnie.

- Czego chciał?

- Twierdził, że dopiero teraz udało mu się wymknąć. Ten cały Kincade ciągle następuje mu na pięty; podejrzewa, że Vince donosi nam o wszystkich sprawach siostry. Rossiter boi się, że siostra dowie się o tym i przestanie zwierzać mu się ze swoich planów.

- Pewnie by tak było.

- Vince chce się na jakiś czas przytulić. Mamy się nie przejmować, jeśli nie da o sobie znać. Obiecał, że się skontaktuje, gdyby zaszło coś ważnego. - Duke palcami przygładził szorstkie siwe kosmyki, zmierzwiłone podczas snu.

- Wierzy mu pan, szefie? - spytał Sheehan.

- To, co mówił, trzyma się kupy - przyznał DePard ponurym tonem. - Ale coś mi w tym śmierdzi.

- Co mianowicie?

- Sam nie wiem. Czuję to, ale nie umiem powiedzieć, co tu nie gra.

- Więc co mamy robić?

- Poczekamy, zobaczymy. Trzeba tylko mieć oczy i uszy otwarte. Podzwoni jutro tu i ówdzie, może się czegoś dowiesz.

- Załatwione, szefie - zapewnił go Sheehan i DePard odłożył słuchawkę.

Kincade i Vince stali za samochodem Rossitera, gdy Eden wjechała na parking. Maskę wozu Vince'a była podniesiona, a Rusty Walker z głową w środku majstrował coś przy silniku. Eden zaparkowała obok, wyłączyła zapłon i wysiadła.

- Twoje rzeczy leżą z tyłu - poinformowała Kincade'a.

- W porządku.

Rusty opuścił z trzaskiem maskę, upewnił się, że jest zamknięta, i podszedł do nich wycierając zabrudzone ręce w szmatę.

- Wszystko już gra.

Kincade skinął głową i spojrzał na Vince'a.



- Pojedziesz za mną, tylko nie próbuj żadnych sztuczek. Rusty będzie ci siedział na ogonie przez całą drogę.

- Myślisz, że ten jego gruchot to wytrzyma? - Vince rzucił pogardliwe spojrzenie na pikapa Rusty'ego.

- Nie sądź po pozorach, Rossiter - poradził mu Kincade. - Ten wóz ma pod maską supernowoczesny silnik. Może cię przegonić bez trudu. - Wskazał Eden gestem swojego pikapa. - Wsiadaj, nie marudź!

- Chwileczkę - zaprotestował Vince. - Dlaczego ona ma jechać z tobą?

- Bo ja tak mówię.

Dwadzieścia minut później trzy pikapy mknęły już międzystanową szosą na wschód. Światła Reno płonęły za ich plecami. Od momentu gdy wyruszyli w drogę, Eden i Kincade nie zamienili ze sobą ani słowa.

- Dlaczego to robisz? - odezwała się w końcu. - Niby co?

- Zmuszasz Vince'a do powrotu na Spur Ranch - wyjaśniła.

- Sam przecież powiedział: nie znosi rancza. To dla niego całkiem jak więzienie.

- I to wszystko? - Starła się ukryć zawód.

- Bardzo bym chciał, żeby to było wszystko - mruknął Kincade, zły na samego siebie. -

Chciałbym uczciwie stwierdzić, że nie grasz w tym żadnej roli. Ale wcale tak nie jest! Nie mogę twojemu bratu puścić płazem tego, co zrobił, ale nie chcę skrzywdzić ciebie.

Na tym polegał cały problem: Kincade nie czuł już dawnej żywiołowej nienawiści. Nie był już nieugięty ani bezlitosny. Gdy patrzył teraz na Vince'a, myślał o Eden, nie o Marcie. Napełniało go to poczuciem winy.

- Cholernie się wszystko pogmatwało! - westchnął. - Będę wściekły na siebie, jeśli coś mu zrobię... A jeżeli nie zrobię, też sobie tego nie wybaczę!

Bez zastanowienia odwrócił się ku Eden i wziął ją za rękę, a ich palce się splotły. Światła reflektorów przebijały przed nimi mrok nocy: złączyły się w jedną plamę jaśniejącą wśród bezkresnych ciemności.

Następnego dnia tuż przed południem wszyscy czworo wjechali konno do obozu przy Big Timber Canyon. Dziki Jack przyczłapał ku nim na swoich krzywych nogach; długie siwe kosmyki podrygiwały na ramionach przy każdym kroku.

- Najwyższa pora, cholera, żebyś się tu zjawiała! - Spojrzał spode łba na Eden i przytrzymał jej konia za uzdę, gdy zeskakiwała z siodła. - Wszyscy już myśleli, że cię więcej nie zobaczą, bo DePard cię załatwił.

- Uda mu się to, jak krowy zaczną latać. - Eden zaczepiła strzemień o łąk siodła i poluzowała popręg, by ulżyć nieco koniowi.

- Już widziałem latające krowy. Cztery sztuki - oświadczył Dziki Jack. - Na własne oczy.

- A ile przedtem wypiłeś? - zadrwił Vince. Urażony kucharz naburmuszył się.

- Ani kropelki! Byłem trzeźwy jak nowo narodzone dziecko... tego dnia, kiedy ładowali cztery krowy - medalistki do samolotu. Sam widziałem, jak wzbił się w powietrze. No i poleciały.

- A to cię załatwił, Rossiter! - roześmiał się Rusty.

- W życiu! Przecież to samolot leciał, nie krowy!

- A co z krowami? - obstawał przy swoim Dziki Jack. - Nie stały przecież na ziemi. Samolot leciał. Krowy były w samolocie. Znaczą, że krowy też leciały - zakonkludował i uśmiechnął się szeroko, pewien swojej racji. Potem spojrzał na Rusty'ego i zmarszczył brwi. - Co to za jeden?

- To Rusty Walker, nasz nowy pracownik. Właśnie go zatrudniłam. - Eden odebrała staremu

cugle. - A to nasz kucharz. Wszyscy nazywają go Dziki Jack.

- Cześć! - Rusty uprzejmie dotknął kapelusza.

Kucharz groźnie chrząknął, zgrywając się jak zawsze na groźnego dzikusa, i wpatrzył się w piegi pokrywające twarz Rusty'ego.

- Indianie pewnie nadaliby ci imię Milion Cętek.

- Nie mam na razie żadnego indiańskiego imienia. - Rusty odpowiedział na natrętny wzrok Dzikiego Jacka sceptycznym uniesieniem brwi.

- Teraz już masz - stwierdził kucharz. Odwrócił się do Eden i zmierzył ją ponurym wzrokiem. - Przywiozłaś zapasy?

- Są w jukach - wskazała na obładowanego konia, którego wiódł Kincade. Kucharz wyrwał mu linkę z ręki i mocno za nią pociągnął, przemawiając czule do konia. Zwierzę z początku próbowało się opierać, ale potem poczłapało za nim. Kucharz podprowadził konia do Eden, zatrzymał go i zaczął obmacywać ręką owiniętą w brezent pakunki.

- Przywiozłaś wanilię? - Rzucił jej niespokojne spojrzenie. - Już nam się kończy. Eden uśmiechnęła się.

- Bez obawy! Masz jej teraz pod dostatkiem.

- Cholernie się cieszę - odparł i przyjrzał się jej uważnie. - Jakoś inaczej wyglądasz.

- Pewnie widać, że jestem zmęczona.

- Nie zmęczona. Inna. Długo cienie było. Zmieniłaś się. Rzuciła niecierpliwe spojrzenie na kucharza, potem na Kincade'a. Ten przestał się uśmiechać; zwarł usta w stanowczą linię.

- Wzrok cię już zawodzi, stary. - Eden odwróciła się i prowadząc konia skierowała się do wozu kucharza.

- Mam oczy orła! Widzą z daleka. Widzą z bliska. Widzą wszystko! - Dziki Jack podreptał za nią, ciągnąc jucznego konia. - Te oczy dostrzegły kurz, który wzbijał się za wami, kiedy byliście jeszcze po przeciwnej stronie doliny.

- Dość tego! - huknęła na niego Eden. - Zabierz to wszystko do swojego wozu i rozpakuj!

Kucharz oddalił się sarkając:

- Żadnego szacunku dla starszych. Cholerny wstyd! Vince dogonił go.

- Masz te czarne, gorzkie pomyje, które nazywasz kawą? Trochę bym tego wypił.

Kincade prowadząc swojego konia podszedł do Eden. Patrzył za oddalającym się kucharzem.

- Wiesz chyba, że on źłapie esencję waniliową.

- Nigdy jeszcze nie mieliśmy kucharza, który by nie chlał. Jak ma wanilię, to japije i wtedy gotuje aż miło. Kiedy mu jej zabraknie, leci na poszukiwanie whisky i nie ma go parę tygodni.

Nadjechał Bob Waters.

- Gdzieście się spodziewali?! Zastanawialiśmy się, co się z wami stało. Nigdy bym nie pomyślał, że szefowa spotka się z Kincade'em i Vince'em. Czemu tak długo nie wracaliście?

- Przepraszam, ale nie mogłam was zawiadomić, że coś nas zatrzymało. Wynajęłam nowego wranglera. Nazywa się Rusty Walker. - Eden ruchem głowy wskazała rudzielca. - A to nadzorca bydła, Bob Waters. Będziesz mu podlegał.

- Czy on wie, jak stoją sprawy z DePardem? - spytał Bob. Eden przytaknęła ruchem głowy.

- Mamy zamiar napić się kawy, zanim znów wskoczymy w siodło. Chodź z nami, powiesz, których sektorów jeszcze nie sprawdziliście. Objadę je razem z tobą. Mamy wiele ważnych spraw do omówienia.

Eden była znów szefową w każdym calu. Nie istniało dla niej nic prócz rancza - zauważył Kincade. Kobieta, która śmiała się z jego żarcików, jeździła na karuzeli, zlizywała z palców cukrowa

wagę, z zachwytem karmiła kaczkę i kochała się z nim jak szalona - ukryła się gdzieś głęboko.

Nie minęło nawet pół godziny, a siedzieli już w siodle i poszukiwali bydła wśród wzgórz. Przywrócono niezmienny rozkład zajęć. Zrywali się z łóżka, gdy na ciemnym niebie migotały jeszcze gwiazdy. Wlekli się do wozu kucharza po wodę do mycia - i golenia, jeśli ktoś miał dość energii - i po pierwszy kubek życiodajnej kawy.

Pokrzepieni solidnym śniadaniem siodłali konie w perłowym blasku przedświt i wyjeżdżali z obozu, nim słońce ukazało się na horyzoncie. Przez cały dzień szukali bydła, przeczesując wzgórze, zapuszczając się na dno kanionów, galopując po równinie porosłej bylicą. Późnym popołudniem spędzali znalezione sztuki do obozu. Gdy wszystkie schwytane zwierzęta zostały już posortowane i rozdzielone, cieliczki obrączkowano i piętnowano, małe byczki kastrowano, poranione sztuki opatrywano, a stare krowy obmacywano, by sprawdzić, czy są cielne.

Potem każdy wybierał spośród luzaków wierzchowca na następny dzień, sprawdzał, czy nie ma odparzyn lub skaleczeń, albo podkuwał go w razie potrzeby. Po szesnastu godzinach wyczerpującej harówki ledwo się wlekli do namiotu na posiłek. Przeważnie byli tak zmęczeni, że gdyby gorące jedzenie nie czekało na nich, nie byłiby w stanie sami go przygotować. Jedynym urozmaiceniem monotonnej harówki było to, że co trzy-cztery dni przenosili obóz w inne miejsce.

Uskarżał się jednak tylko Vince, a i on się hamował, zwłaszcza gdy w pobliżu znajdował się Kincade. Ilekroć Rossiter spoglądał na niego, miał w oczach gorycz i wrogość. Nie sprawiał jednak kłopotów wiedząc, że Kincade i Rusty mają go na oku. Prawdę mówiąc, Kincade'a niewiele to już teraz obchodziło.

W miarę upływu dni dochodził do wniosku, że coraz mniej myśli o Vince'ie, a coraz więcej o Eden. Odkąd powróciła do skóry „szefowej”, nigdy z niej nie wychodziła, ani na sekundę. Nie tylko wydawała rozkazy, ale świeciła przykładem.

Zmuszała ich do ciężkiej harówki, by zakończyć obchód rancza w rekordowym czasie; od siebie samej wymagała jeszcze więcej. Pierwsza wstawała co rano, pierwsza zjawiała się w namiocie kucharza, pierwsza była przy koniach i w siodle; jako ostatnia wracała do obozu, zsiadała z konia, wybierała wierzchowca na następny dzień, jadła wieczorny posiłek i ostatnia kładła się spać.

Kincade nieraz widział, jak Eden zatacza się z wyczerpania, opanowuje się siłą woli, by nie dać niczego po sobie poznać, i zabiera do następnej pracy. W takich warunkach nikt z załogi nie mógł być gorszy.

Kincade podziwiałby ją za to, gdyby nie irytował go coraz bardziej jej stosunek do niego. Nic w spojrzeniu Eden, tonie głosu albo w słowach nie świadczyło o tym, że był dla niej - teraz czy przedtem - kimkolwiek innym niż najemnym parobkiem. Traktowała go tak samo jak pozostałych. Nie lepiej i nie gorzej.

Kincade wmawiał sobie, że tak jest lepiej. Można powiedzieć: optymalne rozwiązanie w tych warunkach. Im dłużej jednak to trwało, tym bardziej bolało. Po upływie dwóch tygodni czuł, że dłużej tego nie wytrzyma.

Jutrenka jeszcze zmagala się z mrokiem, gdy Kincade osiodłał swojego kasztana. Z pewnej odległości dobiegło skrzywienie innego siodła, w którym sadowił się jeździec. Kincade zerknął w tamtą stronę i ujrzał Eden oddalającą się od ogrodzenia, do którego jej koń był przedtem przywiązany.

Kincade sięgnął pod brzuch kasztana, chwycił rzemień i wyprostował, by przeciągnąć go przez kółko popręgu. Wykonując automatycznie wszystkie niezbędne czynności, obserwował Eden. Podjechała do Boba Watersa, żeby się z nim jeszcze raz naradzić. Stary owczarek biegł obok jej wierzchowca.

Eden włożyła krótką drelichową kurtkę, mającą chronić ją przed porannym chłodem. Spod ronda kapelusza widać było pasma ciemnych włosów; związanych na karku w koński ogon. Siedziała pewnie w siodle, smukła i wyprostowana; promieniował z niej wdzięk, siła i autorytet.

Kincade znał jednak kryjącą się za tą rzeczową fasadą pełną temperamentu kobietę, która potrafi bawić się, kochać i złościć z równym zapamiętaniem. Znał okrągłości niewidoczne pod bezkształtnym męskim ubiorem. I nie miał zamiaru pozwolić Eden, by to wszystko ignorowała. Umocował strzemień na swoim miejscu, złapał wodze i dosiadł konia.

Obok Al Bender wspiął się z pewnym trudem na siodło i popędził konia, by dogonić Eden. Kincade wskoczył na kasztana i zrównał się bez trudu z Alem.

- Dzisiaj ja pojedę z Eden - oświadczył Kincade.

Bender spojrział na niego oczami podkrążonymi z braku snu.

- Ona tak powiedziała? - spytał, nie dowierzając własnej pamięci.

- Nie, ja ci to mówię. Al wzruszył ramionami.

- Całkiem mi to dogadza. Chętnie zwolnię tempo. Szefowa daje człowiekowi szkołę, jak się z nią jeździ.

Eden zauważyła wymianę zdań pomiędzy nimi. Gdy Kincade podjechał do niej, dostrzegła też uparty zarys jego szczęki i przenikliwe spojrzenie. Tego ranka zaciał się w policzek przy goleniu. Czula niemal zapach mydła na jego skórze. Ogarnęły ją równocześnie pożądanie, irytacja, radość i żal. Z trudem zdławiła te uczucia.

- Ja dziś pojedę z tobą - oświadczył jej Kincade. - Al zabierze się z Rustym i Vince'em.

Najwyraźniej oczekiwał sprzeciwu z jej strony, ale nie da mu tej satysfakcji.

- W porządku. Jeśli jesteś gotów, jedziemy!

Eden wyjechała na otwartą przestrzeń i puściła konia płynnym klusem. Pies pędził obok niej. Skrzywienie siodła dowodziło, że Kincade znajduje się tuż za nią. Wyjechali z obozu prosto w złocisty pożar słońca wschodzącego nad Nevadą.

- U podnóża Cobbler's Peak jest szeroki wąwóz, a w nim naturalny zbiornik wodny. Nawet o tej porze roku przeważnie jest tam woda. Wczoraj widziałam sporo śladów wiodących w tamtym kierunku - powiedziała Eden, gdy przejechali już spory kawałek drogi. - Najpierw sprawdzimy to miejsce.

- W porządku - odparł Kincade i znów zapadło milczenie. Po jakimś czasie spytał: - No i co chcesz zrobić z tą sprawą?

- Z jaką sprawą?

- Z nami.

- Nie ma żadnych „nas”. - Eden była zdumiewająco opanowana.

- Czyżby? - Kincade wziął się mocno w garść. Zorientował się, że lada chwila poniesie go wściekłość. - A zatem chwile, które spędziliśmy razem w Reno... i łóżko, w którym obok siebie leżeliśmy... nigdy nie istniały?

- Oczywiście że istniały - odparła Eden siląc się na lekki ton. - To był bardzo miły epizod. Ale już się skończył.

- Epizod? A więc tak postanowiłaś to nazwać?

- Przecież to był epizod. Nic więcej. - Spojrzała na niego z pobłażliwym wyrzutem i w duchu pogratulowała sobie, zręcznego pokierowania tą rozmową. - A może czujesz się rozczarowany, że nie śnię o tobie po nocach i nie rzucam tęsknych spojrzeń za dnia? Oczekujesz przeprosin?

- Nie fatyguj się. Powinienem był domyślić się, że jesteś tchórzem. Eden ściągnęła wodze.

- Nie jestem!

Popędził konia i zrównał się z nią. Byli teraz tak blisko, że ich kolana ocierały się o siebie. Kincade chwycił wodze Eden.

- Jesteś żalonym, trzęsącym się ze strachu tchórzem! Eden zaprzeczyła gwałtownie:  
- To kłamstwo! Ordynarne kłamstwo! - Drżała z gniewu. Zacisnęła rękę w pięść, usiłując pohamować wściekłość. - Przyznaję, że opowiedziałam ci więcej niż komukolwiek innemu o moim życiu. - Nawet Vince tyle o niej nie wiedział. - Ale to nie daje ci prawa do osądzania mnie! A fakt, że się z tobą przespałam, nie upoważnia cię do zniewag! Nie mam najmniejszej ochoty uwikłać się w romans z tobą ani z innym mężczyzną. Czy to cię właśnie uraziło? Że to ja zerwałam, a nie ty?

- Nie. - Pochylił się bliżej; czuła teraz bardzo wyraźnie jego obecność i jego gniew. - Uraziło mnie to, że sprowadziłaś wszystko, co było między nami, do taniej podrywki na jedną noc!

Eden zbladła, ale krew zaraz napłynęła z powrotem gorącą falą; czuła jak pieką ją policzki.

- Jakie to ma znaczenie, czy była to jedna noc, dwie czy cały tuzin? - warknęła chcąc ukryć wstyd, który ją ogarnął, gdy usłyszała prawdę.

- Do jasnej cholery! - Kincade zeskoczył z siodła i ściągnął ją na ziemię, zanim zdołała się obronić. Stare psisko przyglądało się im z uwagą.

Konie odskoczyły spłoszone od zmagającej się ze sobą pary. Eden usiłowała wyrwać się z miażdżącego uścisku; walczyła pięściami, łokciami i kolanami. I przez cały ten czas czuła, że ogarnia ją płomień. Potęgujący się żar sprawiał, że broniła się z jeszcze większą zawziętością.

Czubkiem buta tak walnęła Kincade'a w goleń, że aż zaklął. W następnej sekundzie oboje turlali się po ziemi. Zanim zdążyła się wyswobodzić, Kincade leżał już na niej, przygniatając własnym ciężarem. Przygwoździł jej ręce do boków.

- To było znacznie więcej niż podrywka na jedną noc, dobrze o tym wiesz! - Oddychał z trudem, tak samo jak ona. - I nie chodziło tylko o seks. To nie był gwałt, a ja nie jestem Jeffem! - Na te słowa Eden zamarła; po chwili rzuciła gwałtownie głową w bok, aż zadrapała sobie policzek o ostry kamyk. - Ale tobie nie chodzi tylko o Jeffa, prawda? - z rozmysłem ciągnął Kincade. - Za każdym razem, gdy jakiś mężczyzna zbliżył się do ciebie, gdy czułaś pokusę, wracałaś myślami nie tylko do Jeffa! Chodziło o każdego mężczyznę w twoim życiu: od ojca, który pozbył się ciebie i nigdy już nie powrócił, aż po brata-nicponia, zjawiającego się tylko po forszę. No i jeszcze ta zbieranina parobków, którzy popracują miesiąc-dwa i szukają łatwiejszego chleba.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Naprawdę? - Jego twarz była tuż przy jej twarzy; widział wyraźnie, jak bardzo Eden jest spięta, jak chciałaby zarzucić mu kłamstwo, jak cierpi. - Masz prawo ich nienawidzić, Eden. Bóg widzi, że masz! Ale nie pozwolę, żebyś mierzyła mnie jedną miarką z nimi czy z kimkolwiek innym!

- Nawet z DePardem? Kincade spochmurniał.

- Vince! To było twoje wyjście awaryjne, prawda? Doszłaś do wniosku, że nie musisz się starać, by sprawy między nami ułożyły się jak należy, bo mój zatarg z Vince'em wkrótce położy temu kres!

- A nie będzie tak? - zawołała wyzywająco, walcząc ze łzami.

- Tylko wtedy, gdy na to pozwolimy.

- Jesteś głupcem!

- A ty tchórzem. Boisz się sprawdzić, czy mam rację, czy nie!

- Nie boję się! - Popęłniła błąd: odwróciła się i spojrzała na niego.

- Udowodnij mi to! - Jego usta były już na jej ustach, nie łagodne i żarliwe jak przedtem, ale brutalne i zgłodniałe.

Eden nie opierała się, ale pozostała bierna, nie zareagowała na pocałunek. Zamknęła oczy próbując w ten sposób ukryć, jak bardzo rozplómił jej krew. Gdy Kincade gniewnie oderwał się

od jej ust, pomyślała, że jej pozorna obojętność poskutkowała.

- A więc wszystko skończone. Czy nie tak powiedziałaś? - spytał drwiąco.

- Skończone. - W jej głosie zabrzmiała nuta desperacji.

- O nie, do końca jeszcze bardzo daleko, moja słodka! - Wargi Kincade'a wygięły się w uśmiechu, ale wpatrywał się w nią nadal przenikliwie i intensywnie. - Czy myślisz, że twoje serce rozszalało się tak tylko z gniewu? Czy wierzysz, że dwoje ludzi może przeżyć to, co myśmy razem przeżyli, a potem rozejść się i zapomnieć? - Puścił rękę Eden i zanurzył palce w jej włosach. - Cholera, ja nie mogę! I ty też nie!

Jego wargi, twarde i zgłodniałe, przywarły do jej ust. Eden poprzysięgła sobie, że nie ulegnie ani jemu, ani sobie samej. Jej determinacja jednak słabła pod tą upajającą przemocą. Oddech Eden stał się szybszy, wargi zmiękły i rozchyliły się. Kincade rozwarł je mocniej; jego język kusił, dotyk zębów podniecał.

Kincade nie uwodził tym razem. Zniewalał i rzucał wyzwanie. Odpowiadając na jego pieszczoty Eden przyznała się do porażki, ale to mu nie wystarczało.

Sunął rękoma wzdłuż jej pleców. Ściągnął z niej kurtkę i rozpiął koszulę do pasa; była teraz naga i swobodna. Nie zapoznawał się już z jej ciałem, tylko czerpał z niego rozkosz. Ujął w dłonie jej piersi, ściskając je, drażniąc i ssąc brodawki, póki nie stwardniały. Rozgorączkowana i drżąca Eden wiała się pod nim.

W jasnym porannym słońcu ogarnęła ich ciemność jak czarna aksamitna kotara. Powietrze stało się lepkie i nieruchome. Ilekroć próbowała wciągnąć je w płuca, zatrzymywało się w gardle i wydobywało się stamtąd z jękiem.

Nie umiejąc już - podobnie jak on - dłużej znieść tej udręki i pokusy, Eden szarpnęła za koszulę Kincade'a. Między jednym a drugim zgłodniałym pocałunkiem, rozgorączkowani, zrzucili z siebie ubranie i usłali sobie z niego łoże.

Poprzednim razem Eden przekonała się, że rozkosz może wzbudzić w jej ciele tysiące doznań i pragnień. Teraz agresja języka Kincade'a sprawiła, że odkryła graniczące z bólem, rozdzierające ciało upojenie. Doprowadzona do szaleństwa wczepiła się w Kincade'a.

A potem był nieskończenie blisko, głęboko w nią zanurzony, z ustami na jej ustach. Ciało Eden wygięło się łukiem ku niemu. Pot wystąpił obojgu na skórę; Eden czuła jego słony smak, gdy wodziła ustami po ciele mężczyzny. Dotarła do niej woń namiętności, ostra, drażniąca i podniecająca jak zapach tratowanej i miazdzonej ich ciałami bylicy.

Kincade czuł, jak jego mięśnie zwierają się i preżają. Biodra leżącej pod nim Eden poruszały się z szybkością błyskawicy; wychodziła mu naprzeciw. Jego zmysły wyostrzyły się nieprawdopodobnie. Widział promienie słońca padające na twarz Eden, słyszał szelest gniecionych ubrań, czuł bijący od niej żar. Rzeczywistość zmalała do rozmiarów punktu w nieskończoności, a potem eksplodowała w tej wstrząsającej sekundzie, gdy stopili się ze sobą w rozkoszy.

W uszach zabrzmiał mu jęk Eden, przypominający ptasi trel. Kincade objął ją ramionami i przytulił do siebie. Z bezwiedną czułością błędził ręką po talii i biodrach dziewczyny, czekając aż uspokoi się jego serce, a oddech wróci do normy.

Eden poruszyła się. Kincade odruchowo zacisnął ramiona, by utrzymać ją przy sobie, ona jednak nie próbowała nawet odsunąć się od niego. Wczepiła się palcami w kędzierzawe włosy na jego piersi, które lśniły złociście w słońcu.

- Chyba zacznę i ja grać w tę twoją grę - odezwała się cicho, przerywając panujące między nimi milczenie.

- Co masz na myśli?

- Lubisz, jak widzę, „grzechy dawne spełniać w nowy sposób”.\*[ \* Szekspir, Henryk W, część II, akt IV, sc. 5, przekł. Macieja Słomczyńskiego.] Kincade zachichotał słysząc ten cytat.

- Nieraz już wykorzystałem ten fragment z Henryka IV.

- Naprawdę? - Eden odchyliła głowę do tyłu.

- Naprawdę. Zdziwiłabyś się, ile facet może uzyskać od dziewczyny dobrze dobranym cytatem z Szekspira - poinformował ją z miną eksperta. - Ten zawsze osiągał pożądany efekt. Ale jest jeszcze jeden, który bardzo mi się przydawał.

- Jaki?

- „Pozwól, niech ci parę guzików odepnę.”\*\*[ \*\* Stracone zachody miłości, akt V, sc. 2, przekł. Leona Ulricha. Tekst dosłownie brzmi: „Pozwól, panie, niech ci parę guzików odepnę” (przyp. tłum.)] - Kincade uniósł brwi robiąc lubieżną minę.

Eden roześmiała się, zachwycona tym zdaniem.

- A to z jakiej sztuki?

- Nie uwierzysz mi - zastrzegł się.

Eden oparła się na łokciu, pozwalając fali włosów opaść na ramię. - No, z jakiej?

- Stracone zachody miłości.

- Kpisz sobie ze mnie! - zawołała i wybuchnęła śmiechem, a potem znów opadła do tyłu, opierając głowę na jego piersi.

- Bardzo mi tego brakowało. - Kincade leniwie wodził dłonią po ramieniu Eden, w górę i w dół.

- Nie cenimy zbyt tego, co łatwo zdobyć.

- Czyżbyś zapomniał o moim bracie? - W jej głosie zabrzmiała nutka goryczy.

- Nie zapomniałem i nie zapomnę - odparł Kincade. - Ale dlaczego nie brać życia, jakim jest?

Dzień po dniu, krok za krokiem.

- Widzę, że dalej nie rozumiesz! - Eden podniosła kapelusz z ziemi i energicznie otrzepała go z kurzu, wyładowując swój bezsilny gniew. - To moje życie. I sama wiem najlepiej, że nie ma w nim miejsca dla ciebie!

- Za późno. - Kincade uniósł palcem jej brodę i musnął brzeżek ust, kusząc do pocałunku. - Za mocno w nie wrosłem. Nawet twój brat mi w tym nie przeszkodził.

Eden czuła gorący dotyk jego warg, ich miękkość i tklivość. Czuła je nawet wówczas, gdy Kincade odsunął się.

- Będziesz nalegał bez końca, prawda? Nie popuścisz, aż ustąpię. Nie mam czasu na utarczki z tobą. - Nie mogła go nawet zwolnić, bo potrzebowała jego pomocy, jeśli plan miał się udać. Kincade także o tym wiedział. - Niech będzie na razie po twojemu.

- Moja grzeczna dziewczynka! - powiedział Kincade z uśmiechem, gdy Eden skierowała się w stronę koni.

Odwróciła się gwałtownie, zionąc oburzeniem.

- Nie jestem twoją dziewczynką! I wyjaśnijmy sobie coś raz na zawsze: nie pozwolę ci się przechwalać przed innymi! Nie życzę sobie drwiących komentarzy i uśmieszków za moimi plecami! Zrozumiano?

Usiłowała pokryć gniewem zażenowanie, a co więcej - utratę szacunku do siebie samej. Kincade to rozumiał.

- Nigdy nie przechwalałam się moimi podbojami, Eden.

- Pamiętaj! Bo przysięgam, że związę cię jak wieprza i wykastruję, zanim się połapiesz, co się stało!

- Chyba bym się jednak połapał! - Dołki w kącikach ust pogłębiły się, gdy próbował ukryć

uśmiech.

- Przy ludziach nie waż się mnie tknąć ani łązić za mną! - ostrzegła go Eden. Kincade zrobił zawiedzioną minę.

- Nie będę mógł odwiedzić cię w namiocie? - Nie!

- Żadnych spacerów przy księżycu? - Żadnych!

- I nie pozwolisz mi posyłać całusów przez ognisko?

- Boże święty! - wykręciła się na pięcie, wyrzuciła ramiona ku niebu i odmaszerowała do koni. Kincade śmiejąc się podążył za nią.

Choć Eden za nic by się do tego nie przyznała, wkrótce przekonała się, o ile łatwiejsza wydaje się praca i szybciej mija czas w towarzystwie Kincade'a. Kiedy ostatecznie późnym popołudniem skierowali się z powrotem do obozu, pędząc przed sobą jakieś dwa tuziny bydła, wszystkie mięśnie bolały ją z wyczerpania, ale zdała sobie sprawę, że cieszyła ją każda minuta wspólnej pracy.

Było to uczucie, jakiego nigdy dotąd nie doświadczyła, nawet w towarzystwie brata. W odróżnieniu od Vince'a, Kincade pracował bez szemrania, nie narzekał na monotonne zajęcie i nie zrywał się na upał i kurz. W pewnej chwili puścił się w pogoń za roczniakiem. Kiedy wrócił pół godziny później na zmydlonym i zziąjanym koniu, pędząc przed sobą byczka, był mimo zmęczenia uśmiechnięty, a w jego oczach płonęła radość z powodu tego maleńkiego zwycięstwa. Nie powiedział ani słowa, zapędził tylko uciekiniera do reszty bydła i wrócił na dawne miejsce obok Eden.

Kiedy indziej wspiął się na szczyt wzgórza, by podziwiać roztaczający się stamtąd widok. Popatrzył na nią i zauważył:

- To ci dopiero kraj! - Ton jego głosu wyraźniej od słów powiedział Eden, że Kincade tak jak ona dostrzega bujne piękno tej ziemi. Dla Vince'a było to zawsze cholerne pustkowie: nie zwrócił nigdy uwagi na jego bogactwo, ogrom ani dzikie piękno.

Obóz był już w zasięgu wzroku, a słońce świeciło im prosto w twarz. Eden schyliła głowę i obserwowała kołyszący ruch końskiego łba. Tak bardzo cieszyła się godzinami spędzonymi z Kincade'em - i to był błąd.

- Nie możemy wyjeżdżać razem zbyt często - uprzedziła go.

- No pewnie. - To, że zgodził się od razu, zaskoczyło ją: spodziewała się sprzeczeki. Spojrzał na nią kpiąco z ukosa i udowodnił, że potrafi na różne sposoby dowodzić swojej słuszności.

- Jeszcze by komuś przyszło do głowy, że coś nas łączy! Na to przecież nie możemy sobie pozwolić, prawda?

- Prawda.

Kincade uśmiechnął się szeroko.

- Jakby powiedział Dzikie Jack: cholerna szkoda! - Spiał konia do galopu i zapędził jakąś zbłąkaną sztukę do stada.

Cień uśmiechu nadal czaił się w kącikach ust Kincade'a, gdy dołączali swoją dzisiejszą zdobycz do reszty bydła w obozie. Eden natychmiast ruszyła na poszukiwanie nadzorca. Kincade patrzył za nią. Zjawił się Rusty i podjechał do niego.

Kincade spojrzał na przyjaciela, potem błyskawicznie obiegnął wzrokiem pozostałych jeźdźców.

- Gdzie się podział Vince?

- Natura ma swoje prawa. - Rusty wskazał ruchem głowy krzaki rosnące w pewnej odległości od namiotów.

- Miałeś z nim kłopoty?

- Był zbyt zmachany, żeby próbować jakiś sztuczek. Ale z tobą chyba jest całkiem inaczej - zauważył Rusty, mierzając przyjaciela wzrokiem.



- Prawdę mówiąc, czuję się całkiem, całkiem. Rusty przyglądał mu się w dalszym ciągu.

- Może nie mam takich bystrych oczu jak kucharz, ale wyglądasz mi jakoś dziwnie. Mówiąc szczerze, wydajesz się cholernie zadowolony z siebie.

- Czyżby? - Kincade uśmiechnął się i obejrzał na Eden.

Wzrok Rusty'ego powędrował w tym samym kierunku. Oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia.

- Takie buty!

- Dokładnie - przyznał Kincade.

- Widziałem, że coś cię ostatnio gryzie. Byłeś taki nastroszony i ponury, ale myślałem, że chodzi o Vince'a. - Rusty zdjął kapelusz, podrapał się w głowę, potem włożył go znowu i uśmiechnął się od ucha do ucha. - No, no, kto by pomyślał?! Kincade Harris się zakochał! - Rusty rozpoznawał teraz wszystkie objawy, znane mu z własnego doświadczenia. Potem uświadomił sobie pewien szkopuł. - A co zrobisz z Vince'em?

- Dokładnie to, co zamierzałem. - No to ją stracisz.

- Nie, jeśli to będzie ode mnie zależało - stwierdził Kincade, ale jego uśmiech zgasł.

Przed laty teren zwany Sayer's Well stanowił działkę poszukiwacza złota, na której stała jego chata. Nie pozostało już po niej ani śladu, zachowała się natomiast studnia. Odkąd ją wykopano, nie brakowało nigdy czystej wody pitnej. Wokół studni rosła bujna trawa; chociaż spłowiła od letniego żaru, stanowiła jednak nadal pożywną paszę.

Właśnie tu, przy Sayer's Well, gdzie w cieniu kamiennego palca - górskiego szczytu Black Rock - rozpoczynała się pustynia Black Rock Desert, dokonano ostatecznej selekcji spędzonego bydła. Dla tych sztuk, które przeznaczono na rynek, przygotowano na noc legowisko.

Po kolacji Eden nalała sobie jeszcze jeden kubek kawy i podeszła do ognia, przy którym zebrała się zmordowana załoga. W pewnej odległości od opasującego ognisko kręgu stał stary pień. Eden usiadła na nim, zdjęła kapelusz i potrząsnęła ze znużeniem głową. Włosy rozsypały się na ramiona.

Kincade siedział naprzeciw niej, po drugiej stronie ogniska, wsparty na łokciu; wyciągnął długie nogi, jedną zgiął w kolanie. Eden poczuła na sobie jego przelotne spojrzenie. Tylko jeden rzut oka, nic więcej, ale w ciągu ostatniego tygodnia przekonała się, jak wiele potrafił zakomunikować jej w ten sposób.

Al Bender mieszał kawę w kubku.

- Fajnie będzie wrócić na rancho, wziąć porządny prysznic i wskoczyć w czyste ciuchy. Mam na sobie chyba ze trzydzieści funtów nevadzkiego piachu!

- A ile nevadzkiego smrodu! - zakpił Dekę.

Kincade rzucił znów Eden spojrzenie pełne wyczekiwania. Ona jednak nie spieszyła się z informacją, że nie wrócą rano na rancho.

Bob Waters postukał kijem w płonące szczapy. Blask ognia odbił się w wypukłych soczewkach jego okularów.

- Cały obchód zajął nam tylko trzy tygodnie i dwa dni. Niezłe tempo!

- Jeszcze jakie! - stwierdził Al. - Oblecieliśmy przez ten czas cholerny szmat ziemi.

- Sporo miejsc pominęliśmy. - Bob spojrzał na Eden, aby jej to uzmysłowić.

- Nie sądzę, byśmy znaleźli dużo bydła w tamtych miej scach. - Eden powtórzyła poprzednie argumenty za ich pominięciem. - Dotrzemy tam na wiosnę.

- Jesień, wiosna... co za różnica? - stwierdził Vince. - Tak czy owak to tylko strata czasu. Co nam przyjdzie ze spędzenia bydła, jeśli nie mamy, cholera, żadnej możliwości dostarczenia go na rynek? Tyraliśmy jak dzikie osły zupełnie bez sensu.

Eden nie zamierzała usprawiedliwiać swoich decyzji. Wokół ogniska zapadło głucho milczenie.

W końcu Bob Waters wstał i wytrząsnął do ognia fusy z kubka. Rozległ się syk, a nadzorca rzucił Vince'owi lodowate spojrzenie.

- Kincade poznał się na tobie od razu, Rossiter. Gadasz za dużo i niepotrzebnie. - Skierował się w stronę wozu kucharza, ostrogi pobrzękiwały przy każdym kroku. - Zostało trochę tej kawy?

- Ja chyba też się jeszcze napiję. - Al Bender podniósł się i poszedł za Bobem.

- Najlepsze teraz byłoby piwo - odezwał się Vince odrobinę za głośno, by pokazać, że nie przejął się uwagą nadzorcy. - Taka okazja wymaga kufelka zimnego piwa z pianką. A jeszcze lepiej kilku skrzynek.

- Nie. - Kincade podniósł się bez pośpiechu. - Taka okazja wymaga muzyki!

- Jeśli masz na myśli tranzystor Dzikiego Jacka - poinformował go Vince - muszę cię rozczarować. Na tym terenie usłyszysz najwyżej trzaski w eterze.

- Nie myślałem o radiu - odparł Kincade i spojrzał na swój ego przyjaciela. - Masz przy sobie organki, Rusty?

- Są dla mnie jak karta kredytowa - uśmiechnął się rudzielec. - Nigdzie się bez nich nie ruszam.

- No to zrób z nich użytek. Mam ochotę na fokstrota. - Kincade podszedł do miejsca, które Al i Bob właśnie opuścili. - Zmykaj stąd, Dekę, siedzisz na samym środku parkietu.

- Już mnie nie ma! - Wysoki i chudy kowboj pospiesznie zajął miejsce obok Rusty'ego.

Kincade zwrócił się do Eden, a ona westchnęła:

- Pewnie ja też ci zawadzam?

- Skądże! - Kincade schylił się, wyjął dziewczynie z rąk kubek i podniósł ją na nogi, zanim pojęła, co się święci. - Zgodzisz się być moją partnerką? Jakoś głupio tańczyć fokstrota w pojedynkę.

- Źle trafiłeś. Nie umiem tańczyć fokstrota - odparła Eden, gdy Kincade stawiał jej kubek na pniaku.

- A chodzić umiesz? - spytał. Rusty wydobywał z organków jakieś próbne tony.

- Oczywiście, ale...

- Wobec tego nauczysz się i fokstrota. To bardzo proste.

- Nie sądzę. - Eden cofnęła się.

- No, szefowo, na pewno ci się uda! - wtrącił się Bob Waters wracając z kubkiem kawy. Za nim szedł Al. - Kincade ma rację: to nic trudnego.

- Jasne, szefowo! Poradzisz sobie! - Dekę zachęcająco klasnął w dłonie.

- Ale ja... - zawahała się Eden.

- Tylko spróbuj - namawiał Kincade. - Dwa kroki wolno, dwa szybko, i tyle. Pokażę ci, zanim Rusty przypomni sobie melodię.

Rozległy się okrzyki zachęty i Eden zrozumiała, że jej załoga nie oczekuje od niej teraz demonstracji autorytetu, lecz dowodu zwykłego koleżeństwa. Jeśli odmówi, wiele straci w ich oczach.

- Niechbędzie. Spróbuję.

- Stań naprzeciwko mnie. - Kincade pomógł jej zająć odpowiednią pozycję, otoczył ją ramieniem i ujął za prawą rękę. - Zaczynasz prawą nogą, robimy jeden wolny krok, potem drugi, a po nich dwa szybkie. Zapamiętałaś?

- Chyba tak.

- No to zaczynamy. - Po kilku próbach, które wypadły pomyślnie, Kincade zatrzymał się. - A teraz spróbujemy przy muzyce. Gotów, Rusty?

W odpowiedzi w powietrzu rozległy się żywe tony organków Kincade przez chwilę wywijał ręką Eden w takt muzyki, żeby złapała rytm, a potem wystartowali.

Kraźyli po miniaturowym „parkiecie” przy wtórze pochwalnych gwizdów i okrzyków kowbojów. Stopniowo rytm „wolno-wolno, szybko-szybko” stał się dla Eden czymś naturalnym. Przestała liczyć kroki i poddała się radości tańca.

Ręka Kincade’a swobodnie spoczywała dobrze znanym ciężarem na jej ramieniu. Przylegając ściśle do partnera Eden czuła ciepło jego ciała; jej ramię ocierało się o jego klatkę piersiową, a biodro przy każdym kroku dotykało muskularnego uda Kincade’a. Była to cudowna bliskość, naturalna zażyłość, do której Eden tęskniła przez cały tydzień.

- Jakoś mi idzie, prawda? - Uniosła ku niemu twarz, zadowolona z jego aprobaty i czegoś więcej, co wyczytała w oczach Kincade’a.

- Świetnie ci idzie! Spróbujemy obrotów?

- Czemu nie? - W tej chwili odważyłaby się na wszystko.

- Zuch dziewczyna! - uśmiechnął się szeroko. - W porządku. Kiedy dojdziemy do „szybko-szybko”, obrócisz się - wyjaśnił i dodał: - Nic się nie martw, jakoś cię wykieruję!

Kątem oka Eden widziała dłonie złożone do oklasków i zakurzone buciska wybijające rytm żywej melodii. Płomienie ogniska rzucały migotliwe światło na twarze siedzących przy nim mężczyzn. Nad górami wznosił się wielki księżyc.

- Gotowa? - zachęcił ją Kincade. W odpowiedzi na jej niepewne skinienie uśmiechnął się. - No, jazda! Wolno-wolno... Obrót!

Nadał jej właściwy kierunek, lecz Eden spóźniła się o pół taktu. Nagle wszystko się poplątało; rytm, kroki, melodia. By ją dogonić, Eden potknęła się o własne nogi i jęknęła z rozczarowania, wpadając na Kincade’a. Zatoczyli się, a jej partner wybuchnął śmiechem. Eden mu zawtórowała.

Podniosła na niego oczy. Spojrzenia obojga zwały się ze sobą tak mocno, jakby spięła ich stalowa kłama. Twarz Kincade’a była tak blisko, że aż sprawiało jej to ból, a usta... Eden wczepiła palce w jego koszulę: była tak bardzo stęskniona, taka spragniona... Kincade pochylił głowę - troszkę niżej... I wtedy ktoś głośno zakaszał.

Nagła cisza poraziła jajak cios. Rozwiały się tony muzyki, słychać było tylko trzask płonących szczap. Zmieszana Eden odsunęła się od partnera i spojrzała na twarze wokół ogniska. Wszystkie były roześmiane - z wyjątkiem Vince’a. Gapił się na nich prawie z nienawiścią, ręce zacisnął w pięści.

- Chyba już dość! - Eden zmusiła się do lekkiego tonu, jakby nic się nie stało. Wiedziała, że nikogo tym nie oszuka. Mimo to duma kazała jej ciągnąć dalej: - Po całodziennej pracy nie mam już na to energii. Prawdę mówiąc, zaraz się kropnę spać.

Policzki jej pały. Musi uciec od tych domyślnych spojrzeń! Nie przeszła nawet dwóch kroków w stronę namiotu, gdy Vince znalazł się u jej boku i złapał ją za łokieć.

- Odprowadzę cię.

Wcale nie miała na to ochoty, ale wolała to niż ostrą sprzeczkę. Vince był w nastroju do kłótni: nawet chwyt palców zdradzał kipiącą w nim furję. Tuż przed jej namiotem, z dala od innych, Vince zatrzymał siostrę.

- Nie zadawaj się z tym facetem! - Nie było to ostrzeżenie ani życzliwa braterska rada, ale rozkaz.

- Co takiego?!

- Nie udawaj niewiniątka! Przystawiał się do ciebie, a ty leciałaś na niego. Widziałem, jak się gapiłaś; jakbyś chciała zaraz wskoczyć z nim do łóżka. Wszyscy widzieli!

- Nieprawda! - zaprotestowała zdławionym głosem.

Vince spojrzał na siostrę; na jego twarzy odbił się gniew i żal.

- Przystawiał się do ciebie przez cały czas, co? Cholera! Że też od razu na to nie wpadłem!

- O czym ty mówisz?

- Boże święty, Eden! Jemu wcale na tobie nie zależy! Tylko się tobą posłużył. Chce cię uwieść, żeby się odegrać na mnie!

- Co ty pleciesz? - Eden czuła ucisk w piersi, mocny i bolesny.

- Był taki współczujący, co? - mówił szyderczo Vince. - Udawał, że ci wierzy, ubolewał nad twoim podłym losem. Bardzo subtelnie, rzecz jasna! Żadnej tam kawy na łąwę. Zbyt jest na to sprytny. - Spojrzał na siostrę zmrużonymi oczami. - A o mnie co ci naopowiadał? Jakie łgarstwa wymyślił? Nie mówił przypadkiem, że jego porachunki ze mną nie mają z tobą nic wspólnego? Że nie powinnaś się martwić, bo wszystko jakoś się ułoży? - Eden nie była w stanie odpowiedzieć, okazało się to jednak niepotrzebne. Samiej wygląd powiedział Vince'owi wszystko. - Niech go szlag trafi! Niech go piekło pochłonie!

- Dlaczego tak mówisz? O co tu właściwie chodzi? Po co miałby to robić?

- Nie rozumiesz? Jemu się zdaje, że wyrówna w ten sposób rachunki.

- Jakie rachunki? Co ty mu zrobiłeś, Vince?

- Nic. Przecież ci już mówiłem!

Eden nie dała się jednak zbyć tą wymijającą odpowiedzią.

- Musiałeś go jakoś skrzywdzić, inaczej nie zależałoby mu na „wyrównaniu rachunków”. No więc, co to było? - Domagała się prawdy. - Powiedz mi, Vince!

- Nic mu nie zrobiłem! Musisz mi uwierzyć. Jestem tym razem absolutnie niewinny! - Vince chciał odejść.

Eden złapała go za ramię.

- To mi nie wystarczy, Vince! Tym razem nie uwierzę ci na słowo. Muszę wiedzieć, co się wydarzyło. Dlaczego miałby mnie skrzywdzić dla wyrównania rachunków?

- Bo jego siostra się zabiła! Teraz już wiesz? - warknął.

Dłoń Eden zsunęła się z ramienia brata. Cofnęła się, przerażona jego słowami.

- Marcie... - szepnęła czując nagle w sobie mdlącą pustkę. Opanowała się z trudem i spojrzała na Vince'a. - Dlaczego? Dlaczego popełniła samobójstwo? Miało to jakiś związek z tobą, prawda? - Vince odwrócił wzrok, ale Eden dostrzegła błysk niepokoju w jego oczach. - O Boże! - oddech jej przeszedł w łkanie. Gwałtownie odwróciła się od niego.

- Siostrzyczko! Siostrzyczko! Wcale nie było tak jak myślisz! Umówiłem się z nią tylko raz czy drugi, gdy byłem w Oklahomie.

Położył dłonie na ramionach Eden. Strząsnęła je.

- Nie kłam, Vince.

- W porządku: często się z nią umawiałem.

- Po co? - Spojrzała mu prosto w oczy. - Przecież była kaleką! To całkiem nie w twoim stylu! - Własny ból sprawił, że i jego chciała zranić.

- Skąd wiesz? - Spojrzał na nią ze zdumieniem i niepokojem. - Nieważne. Odpowiedz na moje pytanie: po co to robiłeś? Unikał jej wzroku.

- W Remington Park były wyścigi konne. Miałem kilka pewniaków, ale ostatecznie się nie sprawdziły. Zadłużyłem się u kilku bukmacherów. Jeden z nich wziął się na mnie, bo nie mogłem mu zapłacić, i zaczął się odgrażać, że to się dla mnie smutno skończy. Ona akurat przy tym była.

- Dała ci pieniądze, żebyś go spłacił, prawda?

- Przecież nie mogłem zwrócić się do ciebie: przysiągłem ci, że koniec z hazardem! I wcale nie prosiłem jej o pieniądze.

- Ty nigdy nie prosisz! Tylko ciągle jęczysz o swoich kłopotach, aż ktoś cię wreszcie z nich wyratuje. - Eden z obrzydzeniem przypominała sobie, jak często brat stosował ten chwyt wobec niej.

- Nawet kiedy mi je zaproponowała, nie chciałem wziąć. Pomyślałem, że wyniosę się po prostu z miasta. Nie miałem pojęcia, że ten gość kazał mnie śledzić. I nagle dwa draby zaczęły się dobijać do naszego pokoju w motelu. Ona miała przy sobie pieniądze, więc im dała.

- Jeśli zamierzałeś uciec z miasta, po co zabierałeś ją ze sobą? Czemu nie zostawiłeś jej w spokoju? - Eden zauważyła, że odpowiedź przychodzi Vince'owi z trudem.

- Sama chciała ze mną jechać. Niczego jej nie obiecywałem.

- I uważasz, że jesteś w porządku? - spytała szyderczo Eden. Drżała na całym ciele i z trudem hamowała łzy. - O Boże, Vince! Czy ty nie rozumiesz, że pragnęła, byś ją pokochał? Myślała, że jeśli zapłaci twoje długi, będziesz jej przynajmniej wdzięczny!

- Do diabła, na nic sienie skarżyła, kiedy się z nią żegnałem. Powiedziała, że mnie rozumie. Była żywa i zdrowa! Skąd mogłem przewidzieć, że zażyje te pigułki?! - dopytywał się gniewnie.

- Nie, tego nie mogłeś przewidzieć. Ale to niczego nie zmienia, prawda? Marcie nie ożyje. - Jak ogłuszona Eden odwróciła się i poszła do swojego namiotu.

- Siostrzyczko!... - Chciał za nią biec.

- Dobranoc, Vince.

Eden wśliznęła się do namiotu, wyciągnęła na kocu i dała upust łzom. Płakała cicho, rozpaczliwie. Opłakiwała los Marcie, Kincade'a, Vince'a - i swój własny.

Ponieważ obchód rancza był już zakończony, wszyscy spali do brzasku. Eden zaczekała, aż cała załoga zgromadziła się przy śniadaniu, a potem oznamiła im, że popędzą bydło na rynek.

- Dzisiejszy dzień wykorzystamy na odpoczynek, sprawdzenie ekwipunku, niezbędne naprawy - wyjaśniła nie zwracając uwagi na zdumione twarze wszystkich swoich ludzi (z wyjątkiem Kincade'a). - W nocy wyruszymy i przeprawimy się przez Black Rock Desert. Jest pełnia księżyca, więc światła nam nie zabraknie. Przy odrobinie szczęścia dotrzemy do Oregonu z początkiem przyszedłego tygodnia. Bob, po śniadaniu musimy razem dokładnie omówić trasę.

Jej decyzja nie podlegała dyskusji. Żeby to jeszcze podkreślić, Eden zabrała kawę i odeszła, wmawiając sobie, że nie ucieka w ten sposób od spotkania oko w oko z Kincade'em. Nie miała na to dość siły po tym, czego się dowiedziała. To było zbyt świeże, zbyt bolesne.

Pobiegł za nią nie Kincade, lecz Vince. Dogonił siostrę i zatrzymał.

- Nie mówiłaś tego poważnie, prawda? - spytał natarczywie. Nie mógł w to uwierzyć i był na nią zły.

- Całkiem poważnie.

- Przecież nie możesz wędrować po kraju ze stadem bydła, wkraczać na cudzą ziemię albo na grunta stanowe! - protestował. - To sprzeczne z prawem! Na coś takiego trzeba mieć specjalne zezwolenie.

- Pewnie masz rację. Nie sprawdzałam - przyznała. - Dzięki temu będę mogła uczciwie zapewnić: nie wiedziałam, że łamię prawo, jeśli okaże się, że naprawdę tak było.

- To szczyt głupoty!

- Nie, desperacji. DePard ma zbyt wielu przyjaciół. Gdybym zadała nieostrożne pytanie jakiemuś urzędnikowi, DePard dowiedziałby się o wszystkim. Nie mogę pozwolić, by poznał moje plany. Jeśli zostanę ukarana grzywną, to ją zapłacę. Ale przedtem dostarczę bydło na rynek.

- Nie łudź się! DePard i tak się dowie o twoich zamiarach.

- Nie od ciebie - odparował Kincade podchodząc do nich. - Tym razem nie będziesz mógł kablować.

Vince poczerwieniał, naburmuszył się i rzucił Eden oskarżycielskie spojrzenie.

- On wiedział już o tym wcześniej, prawda? Wtajemniczyłaś go w swoje plany! - Spojrzał wilkiem na Kincade'a. - Dlatego zmusiłeś mnie, żebym zadzwonił do DeParda!

Kincade uśmiechnął się zimno i ironicznie.

- Nie chciałem, żeby DePard nabrał jakichś podejrzeń i zaczął sprawdzać na własną rękę, jaki jest powód twojego milczenia. Teraz po prostu pomyśli, że nadal jesteś uwiązany przy obchodzie rancza. - Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy. - Zapowiedziałem ci, że pomożesz Eden w utrzymaniu Spur Ranch.

Vince zacisnął usta i odmaszerował, piniąc się na myśl, że tak dał się podejść. Eden została sama na sam z Kincade'em. Bynajmniej tego nie pragnęła.

Szukała na oślep tematu do rozmowy.

- Przypuszczam, że inni też uważają całe przedsięwzięcie za wariactwo.

- Raczej tak. - Uśmiechnął się ciepło. - Wydaje mi się jednak, że potraktują to jako przygodę. Nie powinnaś mieć z nimi problemów.

- To dobrze. Tylko tego by mi brakowało. - Odsunęła się od niego. - Przepraszam, ale mam masę roboty.

Schylając głowę weszła do namiotu i zaczęła grzebać w swoich rzeczach, udając że szuka map. Gdy usłyszała, że Kincade odchodzi, przykucnęła i kilka razy głęboko odetchnęła, by uspokoić rozdygotane nerwy.

Księżyc w pełni górował nad wschodnią częścią nieba, przyćmiewając blask otaczających go gwiazd. Ogromna jałowa przestrzeń Black Rock Desert białała w mroku, połyskując w księżycowej poświacie.

Letnia spiekota wysysała całą wilgoć z szerokiej, błotnistej równiny, wydobywając na wierzch sól i wykwity alkaliczne. Stwardniała, popękana jasna powierzchnia przypominała marmurową mozaikę. Noc rozbrzmiewała tupotem kopyt na ubitym gruncie; towarzyszyło temu niespokojne porykiwanie bydła i skrzypienie skórzanych siodeł.

Eden jechała równolegle ze stadem, płynącym teraz falą ciemnorudych cielisk. Tłum młodych byczków i starych krów przeszedł już z początkowego niespokojnego klusa w równomierny chód. Eden dbała, by rytm ten nie uległ zakłóceniu. Od czasu do czasu, gdy jakaś sztuka zwracała łeb w stronę pustyni z wyraźnym zamiarem ucieczki, stary owczarek przywoływał ją do porządku.

Tuż za Eden jedna z krów postanowiła wracać do domu. Eden zawróciła, by za nią popędzić, ale pies pognął pierwszy i zagonił uciekinierkę do stada. Gdy Eden wróciła na dawne miejsce, Kincade znalazł się obok niej.

- Zaczęło się! - powiedział. - Nerwy cię ponoszą?

- Trochę. - Napięcie, które odczuwała w tej chwili, miało całkiem inne podłoże i nie wiązało się wcale z początkiem wyprawy. Eden utkwiała wzrok w oświetlonej księżycem przestrzeni i wypaliła bez ogródek: - Wiem już wszystko o Marcie.

Po kilku sekundach milczenia Kincade spytał sceptycznie:

- Czyżby?

- Popęłniła samobójstwo. Dała Vince'owi pieniądze na spłacenie hazardowych długów. Kiedy mimo to odszedł, nie potrafiła tego znieść i odebrała sobie życie. A ty zrzucasz całą winę na Vince'a.

- Pozbawił ją nie tylko pieniędzy. Odebrał jej wolę życia. - Słowa wydobywały się z trudem przez zaciśnięte zęby.

Eden usłyszała w nich gniew, pod którym czaił się ból, widoczny także na twarzy Kincade'a.

- A teraz posłużyłeś się mną, by odpłacić Vince'owi za krzywdę, którą wyrządził twojej siostrze.

Odwrócił gwałtownie głowę słysząc to oskarżenie. Złapał wodze konia Eden i zmusił ją do zatrzymania się.

- Mówiłem ci już, żebyś nie przypisywała mi motywów innych mężczyzn, z którymi miałaś do czynienia. Nie jestem twoim bratem. Nie wykorzystuję kobiet!

- Mówisz z wielkim przekonaniem... - Czują ból, ale właśnie dlatego uniosła brodę jeszcze wyżej. - ...Ale chyba nie liczysz na to, że ci uwierzę?

- To prawda, do cholery!

- To już niestety nie ma znaczenia. - Odetchnęła głęboko, chcąc zmniejszyć ucisk w piersiach. - Vince postąpił podle, ale to nie znaczy, że jest odpowiedzialny za śmierć twojej siostry. Ona sama postanowiła się zabić - i zrobiła to. To była jej decyzja, jej czyn. Nie możesz zwałać winy na niego.

- Nie mogę?! Roześmiała się cicho i smutno.

- Naprawdę łudziłam się, że różnisz się od innych. Ale jesteś taki sam jak DePard. Oskarża mnie o śmierć Jeffa, jakbym była winna temu, że mnie zaatakował, jakbym go do tego w jakiś sposób sprowokowała czy zachęciła. Vince nie dał twojej siostrze tych pigułek; nie wetknął jej ich w rękę. Zrobiła to z własnej woli, ale ty nie potrafisz się z tym pogodzić! Musisz koniecznie kogoś za to ukarać. Łudzisz się, że w ten sposób wymażesz jej postępek.

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz, do jasnej cholery! - warknął wściekle.

- Naprawdę? - wybuchnęła Eden. - A może spytasz siebie, czemu tak ci zależy na wymierzeniu kary Vince'owi? Czy może samemu sobie?... Może to poczucie własnej winy nie daje ci spokoju? Nie chcesz się do tego przyznać, więc przrzucasz ją na kogoś innego. I czujesz się dzięki temu taki szlachetny!

- To bzdura!

- Czyżby? Marcie została kaleką w wypadku. Pewnie bardzo dawno wybaczyła ci, że się do tego przyczyniłeś. Ale ty nigdy nie mogłeś sobie tego wybaczyć. Teraz chcesz, żeby Vince zapłacił za twoją winę. To wcale nie jest szlachetne. To jest chorobliwe! - Ponagliła konia do galopu uderzając po zadzie pejczem i zostawiła Kincade'a daleko w tyle. Nie przelane łzy piekły ją w oczy.

O świcie widmowa przestrzeń Black Rock Desert pozostała poza nimi. Bydło rozproszyło się grupkami na murawie, która wyrosła w bardziej wilgotnych miejscach. Zwierzęta pasły się z pyskami przy ziemi, leniwie wyszczypując kępki pożółkłej trawy. Z wozu kucharza dolatywał zapach bekonu, naleśników i mocnej kawy. Kincade nabrał jedzenia na talerz i odszedł w cień, by zjeść w samotności, z dala od innych. Zbliżył się Rusty i usiadł obok niego. Kincade nie zdradził słowem ani spojrzeniem, że dostrzega jego obecność.

Rusty wyskrobał talerz do czysta, odstawił go i bez pośpiechu wypił kilka łyków kawy.

- Zdumiewające, jak głos rozchodzi się w nocy na pustyni - zauważył wpatrując się w porośnięte krzakami bylicy wzgórza. - Zupełnie jakby się płynęło w łodzi pośrodku jeziora i słyszało ludzi rozmawiających na brzegu, i to tak wyraźnie, jakby stali obok.

Kincade pił kawę i milczał. Rusty uśmiechnął się.

- Wygarnęła ci, aż miło!

- Nie ma o niczym pojęcia, a mądrzy się! - odparł Kincade zwięźle i z irytacją.

- Bo ja wiem... - Rusty przekrzywił głowę, podniósł talerz i wstał. - Myślę, że Marcie nie wyraziłaby tego lepiej.

Odszedł zostawiając przyjaciela, żeby to sobie przemyślał. Rusty wiedział, że nie przyjdzie mu to łatwo i od razu. Prawda rzadko bywa przyjemna.

Pozwolili bydłu wypoczywać i paść się przez cały ranek. Wczesnym popołudniem popędzili je kilka kilometrów dalej, gdzie było więcej wody; tam też zatrzymali się na noc.

Nazajutrz ustalili porządek dnia, który obowiązywał do końca podróży: pobudka przed świtem, wszyscy w siodle, zanim słońce ukaże się na horyzoncie, przygotowanie stada do porannego marszu. W południe dwugodzinny postój, żeby było pojadło trochę trawy i nie straciło na wadze. Potem znów w drogę - aż do zachodu słońca.

Drugiego dnia wieczorem Kincade przydybał Eden, gdy szła do obozu taszcząc siodło. Stał przed nią z zimnym, nieugiętym wyrazem twarzy.

- Pomogę ci zagnać bydło na rynek - oświadczył. - A potem koniec naszej znajomości.

- Jeśli chodzi o mnie, nigdy nie liczyłam na dalszy ciąg - odparła Eden równie zimnym i twardym tonem.

Po sześciu dniach spędzonych na szlaku okazało się, że przebyli dotychczasową trasę dzień wcześniej, niż planowali. Wkrótce po pierwszej ruszyli z południowego postoju, zostawiając - jak zwykle - Dzikiego Jacka, by załadował resztę ekwipunku na wóz i zaprzągnął do niego konie.

Kincade zamykał pochód wraz z Rustym. Nie mieli trudnego zadania, bo bydło szło różnie, jakby ciesząc się, że znów jest w ruchu. Teren, który przemierzali, był lekko falisty, nakryty olbrzymią błękitną kopułą nieba. Kilkanaście widłorogich antylop obserwowało przemarsz bydła z typową dla nich ciekawością, machając zawzięcie krótkimi ogonkami.

Gdy byli już w drodze ponad godzinę, Bob Waters wycofał się ze swojego stanowiska na czele pochodu i podjechał do jadących z tyłu. Ściągnął wodze i jadąc obok Kincade'a zaczął:

- Szefowa pyta, czy nie widzieliście Dzikiego Jacka. - Bob odwrócił się w siodle i spojrzał za siebie.

- Nie. - Kincade również obejrzał się do tyłu. - Do tej pory powinien już nas dogonić.

- Też mi się tak wydaje. Lepiej zawrócę i zobaczę, co go zatrzymało. Może potrzebuje pomocy.

- Jadę z tobą - oświadczył Kincade i zawołał do Rusty'ego: - Wracamy sprawdzić, co z wozem kucharza! Uważaj na Rossitera!

Rusty machnął ręką na znak, że zrozumiał. Nadzorca i Kincade odłączyli się od pędzonego stada i pojechali z powrotem. Dotarli już prawie do miejsca, gdzie obozowali w południe, gdy ujrzeli wóz kucharza z jednym tylko koniem. Drugi gdzieś zniknął. Szybko odkryli, że kucharz przepadł również.

Kincade zeskoczył na ziemię. Najpierw obejrzał konia przy wozie, żeby przekonać się, czy nie okulał, potem podszedł do wozu sprawdzić, co się stało. Bob Waters przyglądał się śladom pozostawionym przez Dzikiego Jacka.

- Lichy ze mnie tropiciel... - Bob wyprostował się i spojrzał ze zmarszczonym czołem ku zachodowi - ...wygląda jednak na to, że Dziki wyprzągnął jednego konia i odjechał na nim w kierunku zachodnim.

- Chyba już wiem, dlaczego to zrobił. - Kincade wpatrywał się w potrząskane butelki ekstraktu waniliowego, rozsypane na ziemi za wozem. Gdy nadzorca podszedł do niego, Kincade pokazał mu szafkę w tyle wozu: jej drzwiczki były szeroko otwarte. - Pewnie zamek się zepsuł i cały jego zapas wanilii diabli wzięli, gdy jechał po pochyłości.

- Założę się o co chcesz, że pogalopował do baru w Gerlach czy jakiejś innej speluny, gdzie można się zalać bez ograniczeń. - Bob Waters zaklął cicho, ale treściwie. - Zabiał konia razem z uprzężą a nie mamy zapasowej dla koni pociągowych. Stary Dandy jest silny - wskazał ręką na konia, który nadal stał w zaprzęgu - ale sam nie uciągnie wozu. Musimy go tu zostawić i zabrać tyle żywności, ile się tylko da.

- Na tyłach wozu są juki - przypomniał sobie Kincade. - Będziemy w Oregonie za dwa dni, najwyżej za trzy. Możemy załadować na konia dosyć zapasów, żeby nam starczyło do końca.

- No to bierzmy się od razu do roboty - powiedział nadzorca i westchnął z niesmakiem. - Mam



nadzieję, że ten cholerny kucharz przywiezie mi na przeprosiny ze dwie butelki whisky!

Kiedy w końcu wrócili do stada, Bob Waters wyjaśnił Eden sytuację i zakończył:

- Zostawiłem przypiętą do wozu kartkę z informacją, czyja to własność, i że zabierzemy go w drodze powrotnej. Nie chciałem, żeby jakiś ranczer natknął się na niego i uznał, że jest bezpieczny.

- Jeśli szczęście nam dopisze, nikt wozu nie zauważy. - Eden w duchu miała nadzieję, że tak się właśnie stanie. Nie chciała wzbudzać niczyjej ciekawości - zwłaszcza teraz, kiedy byli tak blisko celu.

Tego wieczoru Rusty przejął obowiązki kucharza. Nie miał jednak do dyspozycji kuchni propanowej, która została na wozie. Musiał gotować na ognisku.

- Co to ma być, do diabła? - Vince z obrzydzeniem wziął do ręki podpłomyk, z wierzchu przypalony i surowy w środku. - Tego się nie da zjeść!

Wojowniczo nastawiony Rusty od razu się nastroszył:

- Potrafisz lepiej? Spróbuj! Zmęczona i rozdrażniona Eden warknęła:

- Zamknij się, Vince, i jedz! Nikt z nas nie poradziłby sobie z tym lepiej, a narzekanie nic nie pomoże!

Mamrocząc coś pod nosem Vince nabrał na talerz fasoli. Podobnie jak podpłomyki, była przypalona i niedogotowana. Nikt nie zgłosił się po dokładkę.

Następnego dnia tuż przed południem dotarli do szosy na północnym krańcu stanu. Eden pojechała przodem i uważnie rozejrzała się w obie strony. W odległości wielu kilometrów nie było widać żadnego pojazdu. Zauważyła tylko przy szosie - mniej więcej w odległości półtora kilometra - osłonięty płócienną markizą budynek, połączenie stacji benzynowej i sklepu.

Podjechał do niej Bob Waters; stado szło tuż za nim. Gdy nadzorca zrównał się z Eden, powiedziała mu, co robić:

- Droga wolna. Ustawimy na szosie dwóch jeźdźców, po jednym z każdej strony stada, na wypadek, gdyby zjawił się jakiś samochód. Chcę przepędzić bydło na drugą stronę jak najszybciej. Mniej więcej o kilometr stąd na północ jest spora kotlina. Tam zatrzymamy się na południowy postój.

- Zrobione. - Bob Waters natychmiast zawrócił do pozostałych, by wydać im bardziej szczegółowe instrukcje. - Przepędzimy zaraz bydło przez szosę. Szefowa pojedzie pierwsza i poprowadzi stado. Al, Kincade, wy pogonicie pierwsze sztuki. Jak tylko znajdą się po drugiej stronie, zabieracie się stamtąd i stajecie na szosie. Reszta jedzie na końcu. Żadnego marudzenia. Mają być równym kłusem. - Bob przerwał. - Jakies pytania? - Nikt się nie odezwał. Waters skinął głową. - W porządku, ruszamy.

Idące na czele roczniaki przyglądały się podejrzliwie nawierzchni szosy, ale potem pokłusowały przez nią bez oporów. Kincade zatoczył koniem duże półkole i zajął pozycję kilka metrów od stada, obserwując przebiegające szosę bydło, poganiane przez jadących za nim kowbojów.

Słońce stało prosto nad ich głowami, a upał coraz bardziej zagęszczał się nad równiną. Od rozprężonej ziemi ulatywały ku górze rozedrgane warstwy gorącego powietrza, powodując załamanie światła. Sylwetka Ala, stojącego po drugiej stronie stada, wydawała się niewyraźna i zniekształcona.

Pogwizdując hałaśliwie przez zęby Vince wjechał na szosę i zatoczywszy szeroki łuk znalazł się obok Bendera.

- Al, masz przy sobie trochę forsy?

- Może i mam, a bo co? - Al spojrzał na niego nieufnie.

- Tam przy szosie jest sklep. Można w nim kupić pizzę. Nie wiem jak ty, ale ja po tych podeszwach, które Walker podał nam na śniadanie jako naleśniki, chętnie zjadłbym w południe coś porządnego. Mam przy sobie tylko tyle forsy, że starczy na dwie pizze. To stanowczo za mało dla

wszystkich, jeśli są tak głodni jak ja. Chcesz kawalek czy nie?

Al pogrzebał w kieszeni i wyjął dwa zwinięte banknoty. Podał je Vince'owi.

- Tylko bez tej cholerne papryki. Zawsze mi się odbija.

- Dzięki! - Vince zjechał na pobocze szosy i popędził konia.

Stojący po przeciwnej stronie stada Kincade uniósł się w strzemionach na widok odjeżdżającego Vince'a. - Dokąd się wybrał Rossiter? - zawołał do Ala.

- Po pizzę! - odwrzasnął Bender.

Kincade zaklął i pohamował się z trudem, by nie pogonić za nim. Nagle usłyszał, że z tyłu coś nadjeżdża. Obejrzał się. Wóz z przyczepą kampingową podjechał wolniutko i wreszcie stanął.

Z bocznego okna wychylił głowę dziesięciolatek.

- Spójrz, tato! Taki prawdziwy spęd bydła, z kowbojami i w ogóle! Zniecierpliwiony Kincade wśród jadących na końcu wranglerów odszukał wzrokiem Rusty'ego. Zaczął wołać do niego i machać ręką, aż w końcu Rusty również uniósł dłoń.

- Rossiter! - wrzasnął Kincade i wskazał jeźdźca galopującego w stronę odległego sklepu. - Goń go!

Rusty natychmiast zawrócił i pospiesznie przejechał na drugą stronę, po czym puścił się pędem za Vince'em. Wreszcie ostatnie roczniaki przeszły przez szosę i Kincade podążył za nimi, pewny, że Rusty nie pozwoli Rossiterowi zwiać.

W obozie, który rozbili koło południa, stado rozeszło się po porosłej trawą ziemnej niecce, a załoga zebrała się w luźną gromadkę. Kincade wpatrywał się w krawędź kotliny, z każdą minutą bardziej spięty. Wreszcie usłyszał tętent kopyt. Zaraz potem na brzegu niecki ukazał się Vince: trzymał w górze cztery kartony pizzy, związane sznurkiem. Za nim pojawił się Rusty; wiózł przed sobą na siodle zabezpieczoną styropianem chłodziarkę.

- Pizza i zimne piwo! To jest dopiero porządna wyżerka! - Vince zsiadł z konia.

Dekę podszedł do Rusty'ego i odebrał od niego pojemnik z piwem. Nie tracąc czasu zdjął wieko i wyjął sześć puszek, które spoczywały wśród kostek lodu.

- Miałeś jakieś kłopoty? - spytał Kincade przy pierwszej okazji, gdy znalazł się z Rustym sam na sam.

- Żadnych. Był już w sklepie, kiedy tam dojechałem.

Kincade zdjął kapelusz i przesunął dłonią po włosach. Jego spojrzenie powędrowało w stronę Rossitera. Instynkt podpowiadał mu, że temu człowiekowi nie należy ufać. Obok brata stała Eden w kapeluszu zsuniętym na tył głowy; ze śmiechem próbowała uporać się z kleistymi nitkami sera, które ciągnęły się od trzymanego w ręku kawałka pizzy.

- Myślisz, że mógł stamtąd zatelefonować? Rusty zastanowił się.

- Zdażył już zamówić pizzę, zanim wszedłem. Może i zadzwonił, ale musiał bardzo się z tym spieszyć. - Spojrzał na Kincade'a. - Myślisz, że zatelefonował do DeParda i powiedział mu, gdzie jesteśmy?

- To w jego stylu - stwierdził ponuro Kincade. - Tym razem zrobił to tylko mnie na złość.

- Jak myślisz, co możemy na to poradzić?

- Musimy mieć oko na DeParda. Nic więcej nie da się zrobić. - Kincade klepnął Rusty'ego po ramieniu. - Chodźmy na tę pizzę i piwo, póki jeszcze coś zostało!

Złocisty cadillac mknął po porosłej bylicą równinie, chmura pyłu powiewała za nim jak proporzec. DePard siedział pochylony nad kierownicą, ze wzrokiem utkwionym w zagrody przed sobą. Zwolnił podjeżdżając do nich i nacisnął klakson. Donośny, przerywany sygnał przebił się przez ryk bydła i ostre pokrzykiwanie wranglerów.

Sheehan siedział na grzbiecie swojego wielkiego gniadosza. Jedną nogę zgiął w kolanie i oparł o siodło; nadzorował pracę w zagrodach. Na dźwięk klaksonu natychmiast uniósł głowę. Poznał cadillaca szefa. W jednej chwili usiadł okrakiem w siodle i skierował konia w stronę samochodu, który właśnie się zatrzymał.

DePard opuścił szybę. Do wnętrza wozu wtargnął upał i kurz.

- Starr przekazała mi przed chwilą wiadomość. - W jego głosie dźwięczał bezsilny gniew. - Eden Rossiter sama pędzi bydło na rynek. Zbliża się już do granicy Oregonu.

Sheehan na chwilę zamarł, potem zeskoczył z siodła.

- Frazier! - polecił jednemu z kowbojów pracujących w zagrodzie. - Zajmij się moim koniem! - Sam wsiadł do samochodu i zatrzasnął drzwi.

W kilku słowach DePard powtórzył mu wiadomość przekazaną przez Starr.

- Można się było domyślić, że wpadnie na taki desperacki pomysł!

- Sama pędzi bydło - powtórzył Sheehan, nadal nie mogąc w to uwierzyć. - Jak daleko ma do granicy?

- Starr powiedziała tylko, że jest w pobliżu. Może to oznaczać równie dobrze cztery kilometry jak czterdzieści. - DePard zawrócił wóz i zwiększając szybkość skierował się w stronę głównych zabudowań Diamond D. - Złap Pete'a przez radio - polecił zwięźle. - Niech przygotuje samolot, zatankuje paliwo i sprawdzi silnik. Będziemy tam - spojrzał na zegarek - za dwadzieścia minut.

Cień dwusilnikowego beechcrafta sunął przez matowobiałą, piaszczystą równinę Black Rock Desert. Wspiął się na zębate pasmo granitowych skał za pustynią, a następnie pomknął ku szerokiej i długiej dolinie. Siedzący przy sterach Duke DePard zniżył lot; nieustannie wypatrywał w dole pędzonego stada i pilnujących go jeźdźców. Przyciemnione gogle chroniły jego oczy od ostrego blasku słońca.

Sheehan siedział po prawej. On również ze swojego miejsca przeczesywał wzrokiem teren.

- Zbliżamy się do szosy.

- Mam ją - odparł zwięźle DePard.

- Widzi pan coś?

- Znajdziemy ich. Nie da się ukryć takiej masy bydła na otwartej przestrzeni - odparł DePard. Przelecieli szybko nad szosą i zostawili ją w tyle.

- Może obrali inną trasę - zauważył Sheehan.

- Sprawdźmy najpierw tę. Jeśli ich nie znajdziemy, zatoczmy szersze koło, przepatrzymy uważniej górskie ścieżki - oświadczył Duke. - Ale nadal jestem zdania, że idą właśnie tędy. Tutaj można wziąć lepsze tempo, a jej zależy na czasie. Ma nadzieję, że zdąży wrócić, zanim zauważę, co się święci. - Pochylił się do przodu: dostrzegł długie ciemne pasmo, odcinające się od płowego złota wyżynnych traw. - Chwileczkę! Co to takiego?

- Gdzie? - Sheehan wyciągnął szyję, usiłując coś dojrzeć.

- Między dziesiątą a jedenastą - DePard określił pozycję jak na tarczy zegara. - Zejdę trochę niżej. - Skierował samolot dziobem w dół i zanurkował.

- Widzę! - Sheehan przykleił twarz do szyby, w jego głosie brzmiało podniecenie. - Mamy ich!

- Upewnijmy się, że to nie jakiś inny ranczer ze swym stadem. - DePard nachylił skrzydło, by mieć lepszy widok; przemknęli nad stadem na wysokości najwyższej trzystu metrów. Sheehan wycelował w jeźdźców swoją lornetę.

- To z pewnością bydło ze Spur Ranch! - zapewnił nadzorca. - Widzę Ala Bendera, a on nadal tam pracuje.

- Teraz już wiemy, gdzie ta Rossiter jest, ale dokąd się wybiera? Według mnie ma dwie

możliwości: tereny targowe na Eastern Plains, albo...

- Moim zdaniem zmierza do Ike'a Bedforda - powiedział Sheehan i wskazał palcem: - To po drugiej stronie tamtej grani. Jeśli przeprawi się przez przełęcz, jutro przed wieczorem już tam będzie.

DePard wznosił maszynę wyżej. Przeleciał nad zębatą górską granią i nad położonymi dziesięć kilometrów od niej zabudowaniami wokół zagród; z tej wysokości wyglądały jak pudełka zapalek. Zataczając koło DePard przyjrzał się uważnie z góry terenowi i przyznał Sheehanowi rację:

- Masz słuszność. Pędzi bydło do Bedforda.

- Ma japa w garści, szefie. - Sheehan opadł na siedzenie z bardzo zadowoloną miną. - Można przekonać Bedforda, żeby nie wystawiał na sprzedaż jej bydła. No i utknie tutaj, a nikt się nie zgodzi, żeby jej bydło pasło się tu bez końca. Teraz ją pan ostatecznie zniszczy.

- Wiem. - DePard wykonał jeszcze jedno okrążenie i poleciał nad trasą, po której Eden Rossiter popędzi niebawem bydło. Zbliżając się do górskiego pasma zniżył lot i dokładnie obejrzał przełęcz w skalistej grani oraz dwa łagodne podejścia Vince patrzył na siostrę z osłupieniem.

- Zwariowałaś?!

- Według mnie to nasza jedyna szansa. - Eden doszła do wniosku, że Vince zaraz zacznie się z nią kłócić, a nie miała na to najmniejszej ochoty. - Ty i Kincade pomożecie Deke'owi przy koniach. - Skinieniem głowy wskazała luzaki, które kłębiły się niespokojnie w odległości niespełna pół kilometra od bydła.

- Słyszałeś, co mówi szefowa! - pogonił go Kincade, gdy Vince nadal się ociągał. Rossiter rzucił mu wściekłe spojrzenie i oddalił się od grupy puszczając konia klusem. Kincade podążył za nim.

- Chyba zrobię obchód bydła. - Bob Waters ruszył stępą równoległe do stada.

Rusty zwrócił piegowatą twarz ku Eden i uśmiechnął się lekko.

- Pozbyłaś się wszystkich innych. Pewnie teraz kolej na mnie. Trafił w dziesiątkę. Zbita z tropu Eden udawała, że Rusty nie ma racji.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Kincade zawsze twierdzi, że przychodzą mi do głowy różne głupstwa. - Zauważył, że Eden zacięła usta. - Jesteś zła, że o nim wspomniałem, co? - Zanim zdołała zaprzeczyć, ciągnął dalej: - Miałem nadzieję, że wszystko między wami się ułoży.

- O czym ty mówisz?

- Myślę, że wiesz. - Rudzielec uśmiechnął się. - Miałaś na niego dobry wpływ, wiesz? Kiedy Marcie umarła, z Kincade'a uszło całe ciepło i dobroć. Ale widziałem znów jedno i drugie w jego oczach, gdy patrzył na ciebie.

To nie był bezpieczny temat. A jednak Eden nie odjeżdżała i nie przerywała rozmowy.

- Znałeś jego siostrę?

- Kochałem się w niej od szkoły średniej. Ale Marcie nigdy nie zwróciła na mnie uwagi w ten sposób: zawsze uważała mnie za drugiego brata.

Eden wsłuchiwała się, czy nie ma w jego głosie goryczy, ale usłyszała tylko smutek.

- Więc i ty pewnie nienawidzisz Vince'a. Równie mocno jak Kincade.

- Nie... Przez krótki czas wmawiałem w siebie tę nienawiść. Raz czy drugi prawie mi się to udało - przyznał Rusty. - Ale nie masz pojęcia, jaka Marcie była przy nim szczęśliwa! Jak mogłem nienawidzić kogoś, kto dawał jej tyle szczęścia? Można by pomyśleć, że ofiarował jej cały świat! - Rusty uśmiechnął się na to wspomnienie; w jego uśmiechu nie było nic prócz czułości.

- Ale... - Eden nic już nie rozumiała. - Pomyśl, jak bardzo ją zranił, kiedy odszedł!

- Wiem. - Rusty skinął głową. - Wiem także i to, że gdyby Marcie żyła, nie znienawidziłaby go. Byłaby bardzo nieszczęśliwa, ale nie chciałaby się mścić.

- Taki jesteś tego pewny?

- Przecież znałem Marcie... i znam Kincade'a. Powiedziałaś mu różne rzeczy, które trudno przełknąć. Dlatego teraz się na ciebie boczy. Ale jak sobie wszystko przemyśli, to mu przejdzie.

- Chcę tylko, żeby Kincade zostawił mego brata w spokoju! Poza tym wcale mnie on nie obchodzi! - Nie życzyła sobie, by jego przyjaciel opacznie sobie wszystko tłumaczył.

- Może jest, jak mówisz. - Rusty zapatrzył się w przestrzeń. - Niesamowite, ile różnych myśli dręczy człowieka, kiedy umiera ktoś, kogo kochał! Tylu rzeczy mu żal, tylu się wstydzi... Bez przerwy się zastanawia, czy nie powinien był czegoś zrobić albo powiedzieć, żeby zapobiec nieszczęściu... - mówił w zadumie. - Marcie była zawsze cichutka i nieśmiała. Niełatwo zawierała znajomości, nawet przed swoim wypadkiem. A potem... kiedy kuląca, czuła się jeszcze bardziej skrepowana w towarzystwie obcych. Chyba obaj z Kincade'em zanadto ją przed wszystkim osłaniałiśmy.

- To całkiem zrozumiałe!

- Kiedy spotkała twojego brata, rozkwitła jak róża w blasku słońca. Miłość zawiodła ją na niebezpieczne wyżyny, a gdy ją utraciła, runęła w straszną przepaść. Powiniennem był wtedy stać przy niej. - Spojrzał na Eden. Głos z trudem wydobywał mu się z gardła, oczy pociemniały od bólu. - Gdyby tylko dała mi znak, zjawiłbym się natychmiast. Chyba tego najbardziej żałuję: nie mogła zdobyć się na to, by wyciągnąć do mnie rękę. Była zbyt przerażona. Zraniono ją tak bardzo, że obawiała się zwrócić do kogoś innego. A to właśnie należy uczynić, gdy przyjdzie najgorsza chwila. Pamiętaj o tym. Marcie tego niestety nie zrobiła.

Rusty spuścił głowę i wolno odjechał, zataczając wielkie koło wokół stada. Eden patrzyła za nim czując ból w piersi.

Bydło jak ciemna fala przyptywu wznosiło się po pustym górskim stoku. Oprócz głuchego stukotu kopyt rozlegał się od czasu do czasu zgrzyt racic o skałę. Na niebie widniał wąski sierp księżyca; noc była ciemna, a lodowaty wiatr wiejący od przełęczy niósł w sobie zapowiedź niedalekiej zimy.

Eden jechała tuż za czołem pochodu. Przed nią, na samym przedzie, w poświacie gwiazd wyraźnie odcinała się czarna sylwetka Boba Watersa. Gdy Eden ujrzała go tak przed sobą na tle nieba, zmęczenie jakby z niej opadło. Pierwsze sztuki bydła były już na szczycie, obok przełęczy.

Grunt pod nogami jej wierzchowca stał się równiejszy; idące obok bydło przyspieszyło kroku, jakby czuło, że żmudna wspinaczka ma się ku końcowi. Koń Eden, równie podniecony, targnął wędzidłem. Eden z uśmiechem spojrzała w górę i dostrzegła gwiazdę, która zakreśliła łuk na niebie i zniknęła za krzywizną przełęczy.

Nagle Bob Waters zawrócił gwałtownie konia i wznosząc ramię krzyknął:

- Uważaj!

Zaskoczona Eden ściągnęła cugle. W tej samej chwili rozległ się ogłuszający huk i zatrzęsa się ziemia. Obok przełęczy wystrzeliła w niebo czarna fontanna kamieni i piachu.

Koń Eden natychmiast stanął dęba i uskoczył przed wybuchem. Ziemią i powietrzem wstrząsnęła seria eksplozji. Wyleciały w niebo następne kamienie. Przerażona Eden przyłgnęła do końskiego grzbietu, starając się na nim utrzymać, bo wierzchowiec znów zaczął skakać i stawać dęba. Spłoszone bydło odcięło mu drogę ucieczki. Niektóre krowy wpadały na konia z boku. Gdzieś zaczął szczekać pies.

Kincade znajdował się na drugim końcu pochodu. Mignęła mu poblądła twarz Eden w chwili, gdy jej wierzchowiec stanął dęba, a potem zwałił się i zniknął w powodzi skłębionych czarnych kształtów. Koń upadł. Eden upadła! Strach schwycił Kincade'a za gardło i już go nie opuścił.

Z trudem panował nad swoim wierzchowcem, którego wpędził w tłum przerażonego bydła. Wzrok miał nadal wlepiony w miejsce, gdzie nagle znikła Eden. Jakaś cząsteczką mózgu Kincade

nadał wierzył, że zaraz znów jąurzy, wyprostowaną, przeciwstawiającą się pracy na nią fali, wymachującąpejczem, wyrabującą sobie wysepkę bezpieczeństwa wśród czarnej powodzi. Sen jednak się nie ziścił - i z każdą sekundą przerażenie Kincade'a rośnie.

Desperacko usiłując przedrzeć się do niej, pędził przez rzadniejąca już falę bydła, nie żałując bicia, ostróg ani przekleństw. Gdy był w połowie drogi, ujrzał wierzchowca Eden, który kłusował bez jeźdźca. Kincade nie zauważył nawet, że wybuchy ustały, a w ciszy głośno i złowroźnie zabrzmiał stukot kopyt i szelest ocierających się o siebie cielsk. Dalej na zboczu zaszczekał pies; rozległy się krzyki i przenikliwe gwizdy jadących z tyłu kowbojów, którzy starali się zawrócić gnające na oślep stado.

W polu widzenia Kincade'a ukazał się jeździec, galopujący górską ścieżką wzdłuż krzywizny przełęczy. Zjechał stamtąd pędem i zeskoczył z siodła, zanim jeszcze koń się zatrzymał. Eden leżała bez ruchu na ziemi, twarz jej szarzała w mroku. Kincade dotarł tam sekundę po tym, jak pierwszy jeździec ukląkł przy niej.

Kincade zeskoczył z konia w biegu, jego serce waliło na alarm.

- Eden!

Chciał także rzucić się obok niej na kolana, ale Vince powstrzymał go dzikim spojrzeniem.

- Nie waż się podejść! - Przytulił siostrę, ostrożnie unosząc ją do pozycji siedzącej.

- Czy ona... - Dalsze słowa nie przeszły Kincade'owi przez gardło. Niemógł nawet pomyśleć, jaka będzie odpowiedź.

- Nie żyje? - Vince cisnął w niego te słowa jak kamienie. - Nic z tego! - warknął z szyderczym grymasem. Potem spojrzał na twarz siostry i głos mu złagodniał. - Nie, straciła tylko przytomność... - Ujrzał krew na dłoni, którą podtrzymywał głowę Eden. - Zraniła się podczas upadku. Serce bije mocno. - Podniósł oczy i znów popatrzył na Kincade'a. - Żyje, ale to na pewno nie twoja zasługa!

Kincade stał bez ruchu, choć tak bardzo pragnął jej dotknąć, wziąć na ręce, przekonać się samemu, że nie jest ciężko ranna.

- To ty do tego doprowadziłeś! - oskarżał go z goryczą Vince. - Ty ją namówiłeś na tę wyprawę! Gdyby cię tu nie było, wybiłbym jej to szaleństwo z głowy! Uchroniłbym ją! Cholera jasna, wiedziałem przecież, że DePard do tego nie dopuści! To on tam był! - Gwałtownym ruchem głowy wskazał przełęcz. - On i jego ludzie. Rzucali dynamitem. To szalenie! Jak myślisz, czemu staram się zabrać stąd Eden? Bojemu niebawem nie wystarczy już to, że jąstraszy! Z rozmysłem ją zrani albo zabije! Oszalał z nienawiści!

Podjechał do nich Bob Waters, zobaczył Eden i natychmiast zeskoczył z konia.

- Co z szefową?

- Wyzdrowieje. - Vince wstał z siostrą na rękach. - Muszę zawieźć ją do doktora. Złap mojego konia.

- Weź tego - Bob Waters podprowadził swojego wierzchowca i pomógł Vince'owi unieść Eden na siodło.

- Pozwól, że ja... - Kincade zrobił krok ku nim.

- Nie! - warknął Vince, odpychając go spojrzeniem. - Pojadę sam. Zostańcie z bydłem i postarajcie się dostarczyć je do zagród... jeśli wam się to uda. Kincade patrzył za nim, gdy odjeżdżał z Eden w ramionach.

- Chodźmy! - Bob Waters położył mu rękę na ramieniu i odciągnął go. - Zawróćmy to bydlę gdzie trzeba!

a 'd szklanych drzwi kliniki, przyjmującej ofiary nagłych wypadków, odbijało się poranne słońce i rzucało oślepiające blaski na twarz Kincade'a. Bardzo spięty, oczekując ze strachem trudnego

spotkania pchnął drzwi. Rusty szedł krok za nim. Pulchna, różowolica pielęgniarka spojrziała na wchodzących:

- W czym mogę pomóc? - Powiedziała to miłym, choć dość oficjalnym tonem, który niezbyt pasował do jej funkcji „anioła opiekuńczego”.

- Nazywam się Kincade Harris. Przyszedłem zobaczyć się z Eden Rossiter. Podobno jest w tej klinice.

- A więc to jest ów tajemniczy Kincade! - powiedziała siostra z wesołym błyskiem w oczach. - Pacjentka wyszeptała pana imię kilka razy, gdy wracała do przytomności. Jej brat chyba nie miał pojęcia, o kogo chodzi.

- Eden jest tu nadal?

- Tak, w tej chwili badają lekarz. Kincade poczuł dreszcz strachu.

- Czy to coś poważnego?

- Ależ nie, nie! - Siostra cicho się zaśmiała. - Nie licząc paskudnego guza na głowie, lekkiego wstrząsu mózgu i kilku siniaków, wszystko jest w porządku. Doktor chce jeszcze raz przebadać pacjentkę, zanim wypuści ją do domu. Musi ją zresztą zwolnić, choćby nie chciał: uparła się, że stąd odejdzie. Ciągle tylko mówi o swoim stadzie bydła. Proszę za mną, zaprowadzę pana. Jestem pewna, że doktor nie weźmie mi tego za złe.

Wyszła zza stolika i ruszyła żwawo szerokim korytarzem do jednego z pokoiów na samym jego końcu. Uchyliła drzwi i zajrzała do środka. Ponad głową pielęgniarki Kincade zobaczył górną część szpitalnego łóżka i lekarza w białym kitlu ze stetoskopem na szyi. Nie dostrzegł jednak Eden.

- ...i paskudne bóle głowy przez kilka dni - mówił doktor. - Lekarstwo, które pani zapisałem, powinno pomóc. Proszę się tylko zbytnio nie forsować. Poza tym wszystko jest w porządku.

- Dziękuję - odezwał się głos Eden, całkiem silny. Na jego dźwięk Kincade'a przebiegło dziwne drżenie, którego wolał nie analizować. - A teraz mogę już wyjść?

Doktor zachichotał.

- Siłą pani nie zatrzymamy, prawda?

- Bardzo przepraszam, panie doktorze - wtrąciła się pielęgniarka - ale pańska pacjentka ma gościa.

Lekarz odwrócił się z uśmiechem w stronę drzwi.

- To już nie jest moja pacjentka! Teraz odpowiada sama za siebie. Pielęgniarka otworzyła szerzej drzwi i Kincade wszedł do pokoju, mijając się z wychodzącym lekarzem. Eden siedziała na brzegu łóżka. Na jej widok Kincade poczuł, jakby ogarnął go potężny wichur, uniósł w górę, przewiał na wskroś, budząc w nim tysiączne pragnienia i tęsknoty. Eden wydawała się silna i pełna życia, chociaż oczy miała podkrążone ze zmęczenia.

Wytrącony z równowagi zamęt uczuć Kincade zawahał się w progu. Ujrzał Vince'a. Oczy Rossitera zapadły w głąb czaszki z wyczerpania. Twarz miał ściągniętą wymizerowaną; trzymał się jedynie siłą woli.

- Czy bydło już w zagrodzie? - przerwała milczenie Eden.

- Nie. DePard wcześniej dogadał się z przedsiębiorcą.

- A nie mówiłem? - odezwał się szyderczym tonem Vince. Kincade udał, że go nie słyszy.

- Bedford odmawia wystawienia na sprzedaż bydła będącego twoją własnością. - Odchylił poły drelichowej kurtki i wydobyl z wewnętrznej kieszeni plik dokumentów. - Kupuję twoje stado. Tu masz czek i akt kupna-sprzedaży. Musisz podpisać.

Eden wzięła od niego papiery, spojrziała na czek i na dowód sprzedaży.

- Chyba nie będziesz tak naiwna, żeby to podpisać? - zaperzył się Vince. - Skąd wiesz, że nie jest

to czek bez pokrycia?

- Może zasięgnąć informacji w banku. Potwierdzą, że mam wystarczające fundusze na jego pokrycie. - Kincade wpatrywał się w Eden i nie spuścił oczu, gdy podniosła wzrok. - Wyniosłem z rodeo jeszcze coś oprócz połamanych kości.

- Dajcie mi coś do pisania - powiedziała.

- Bardzo proszę - Rusty wysunął się do przodu i podał jej długopis. Uśmiechał się z aprobatą od ucha do ucha.

- Nie możesz tego podpisać! - zaprotestował Vince.

- Przychodzi czasem taki moment, że trzeba okazać zaufanie. - Eden szczęknęła długopisem i złożyła podpis we właściwym miejscu, a następnie wręczyła akt sprzedaży Kincade'owi.

Kincade wsadził dokument z powrotem do kieszeni. Bał się wyciągnąć pochopne wnioski z jej słów. Chciał powiedzieć Eden tak wiele, ale nie potrafił tego wyrazić.

- Wiesz, że to się nie może udać! - upierał się Vince.

- Musi się udać. Bydło nie należy już do Eden. Jest moje. Bedford nie ma podstaw, by odmówić wystawienia go na sprzedaż. Nawet DePard musiałby to przyznać.

- DePard! - Dźwięk tego nazwiska sprawił, że Vince zapomniał o sprzedaży bydła. Odwrócił się i przeganiał ręką ciemne włosy, zmierzwiłone od wielu podobnych operacji. - Ile razy przypomnę sobie ten wybuch i upadek twojego konia... DePard powinien pójść za to do więzienia! Mógł cię przecież zabić!

- Ale nie zabił - przypomniała mu Eden. - Nic mi się nie stało, Vince!

- Tym razem - odparł ponuro i zwrócił się w stronę wyjścia.

- Dokąd idziesz?

Zatrzymał się przy drzwiach i spojrzał na siostrę oczyma pełnymi bólu i wstydu. - Muszę z nim pomówić, żeby zrozumiał, że tego już za wiele! Nie jest Panem Bogiem!

- Nie usłucha cię, Vince!

- Już ja go do tego zmuszę! - Wybiegł z pokoju.

- Nie!... - Eden zerwała się zbyt raptownie. Głowiej przeszył nagły ból, a pokój zawirował.

Chciała złapać się ramy łóżka, ale jej palce zacisnęły się na ramieniu Kincade'a.

- Spokojnie. - Objął ją, podtrzymał i spróbował położyć z powrotem na łóżku.

Eden opierała się.

- Nie! Muszę dogonić Vince'a! Powstrzymać go!

- Jest już dorosły, Eden. Wie co robi.

- Nic nie rozumiesz! - Eden odepchnęła jego ręce. Wzrok jej pobiegł ku drzwiom, potem znów spojrzała na Kincade'a. - Jak się tu dostałeś?

- Pożyczyłem pikapa od Bedforda. Bo co?

- Daj mi kluczyki! - Wyciągnęła rękę i pstryknęła niecierpliwie palcami. - Nie.

- Muszę jechać za Vince'em!

- Nie jesteś w stanie prowadzić wozu.

- To ty mnie zawieź. Wszystko mi jedno!

- Znadto się tym przejmujesz - próbował ją uspokoić Kincade.

- A tak, przejmuję się! DePardowi nie można przemówić do rozumu! Vince dobrze o tym wie.

Boję się... - Urwała nagle. - Jeśli nie chcesz mnie zawieźć, daj mi wóz!

- Czego się tak boisz? DePard nie ma nic przeciw twemu bratu. A Vince z pewnością nie życzy sobie, żebyś występowała w jego obronie!

- To mój brat! Jeśli nie chcesz pomóc, zejź mi z drogi!



Kincade był o krok od wybuchu. Upór Eden spowodował, że stracił panowanie nad sobą.

- Do cholery, miałaś przecież wypadek! Nie wolno ci się tak szarpać! Jeśli sama nie masz dość rozumu, by to pojąć, mnie przynajmniej go nie brakuje! - Eden zaczęła się spierać, ale Kincade wrzasnął na nią: - Twój brat, twój brat, wiecznie tylko o nim słyszę! Obojgu nam zmarnował życie! Mnie przez to, że tak podle postąpił z Marcie. A ciebie wykańcza karcianymi długami, łgarstwami i różnymi brudnymi sprawkami! Pewnie, że cię po swój emu kocha, ale to niczego nie zmienia!

- Tak jak nic nie zmieni faktu, że jest moim bratem. Nie pozwolę mu na to szaleństwo! Mógłby przecież... - Eden znów urwała w pół zdania.

- Co mógłby zrobić? Narazić się na jakąś przykrość? No to niech się narazi! Najwyższy czas, żeby się przekonał, jak to boli - skrzywdził już tyle osób! Czy ty jesteś ślepa, że... - Tym razem on nie dokończył zdania. Przez myśl przebiegło mu wiele szczegółów, na które nie zwrócił uwagi. Kawałki łamigłówek nagle ułożyły się we właściwy wzór, zupełnie zaskakujący. - ... A może to wszyscy inni byli ślepi? Ze mną włącznie!

- Nie wiem, o czym mówisz - szepnęła Eden, spięta i wystraszona.

- Jakiego postępu Vince'a tak się obawiasz? Próby zabicia DeParda? Skąd ci przyszło do głowy, że byłby do tego zdolny? - Kincade bacznie obserwował Eden, dostrzegając każde niespokojne drgnienie rysów czy zmianę wyrazu twarzy.

- Nie byłby do tego zdolny.

- Czyżby? - Kincade zbyt dobrze pamiętał, jak Vince usiłował zabić go z zasadzki. Chwycił Eden za ramiona, popchnął ją w stronę Rusty'ego i wyciągnął z kieszeni akt sprzedaży. - Zaopiekuj się tym! - podał mu dokument i wskazał na Eden. - A ona ma tu zostać!

Wybiegł z pokoju i pędził już korytarzem, zanim Eden oprzytomniała i wyrwała się Rusty'emu. Zagroził jej drogę do drzwi.

- Jadę za nimi! - oświadczyła. - Z tobą albo bez ciebie!

- Tak też sobie myślałem. Uspokój się. Zawiozę cię, ale najpierw trzeba zorganizować jakieś cztery kółka.

Tumany kurzu, wzbite kołami wozu Vince'a, unosiły się jeszcze w powietrzu, kiedy Kincade dotarł do Friendly. Dostrzegł złotego cadillaca el dorado zaparkowanego obok pikapa z Diamond D, więc gwałtownie zahamował. Stary gruchot, tak bezceremonialnie potraktowany, zaczął dygotać i zatrzymał się ze zgrzytem. Obok cadillaca stało kombi z Oregonu. Kincade zajął sąsiednie stanowisko i wysiadł z wozu.

Zanim jeszcze otworzył drzwi lokalu Starr, dotarł do niego donośny, gniewny głos Rossitera. Kincade wszedł do środka i ogarnął wzrokiem całą scenę. Za barem stał Roy, mniej znudzony niż zwykle. Starr znajdowała się znacznie bliżej głównych aktorów.

DePard siedział przy stole pośrodku sali. Sheehan odsunął krzesło i stanął po prawej ręce szefa. Z głową lekko odchyloną do tyłu Duke wpatrywał się w stojącego przed nim rozwścieczonego Vince'a, nie tracąc spokoju ani swobody.

- Sam powiedziałaś, że nic jej się nie stało - stwierdził z zimną krwią DePard. - Nie rozumiem, o co tyle szumu.

- Do cholery, przecież to moja siostra! - zapienił się Vince, uderzając pięściami o blat stołu. - Nie pozwolę jej skrzywdzić! - Stał tyłem do drzwi i nie zauważył wejścia Kincade'a.

- Jeśli naprawdę tak ci zależy na bezpieczeństwie Eden, czemu nie powiesz DePardowi, kto naprawdę zabił Jeffa? - strzelił na oślep Kincade.

Vince gwałtownie odwrócił się ku niemu z twarzą równie białą jak koszula DeParda. Jego reakcja potwierdziła podejrzenia Kincade'a.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz! - zapewnił Vince. - Nawet mnie przy tym nie było!

- I dlatego tak zzieleniałeś? Może się odwrócisz, żeby DePard mógł spojrzeć na twoją gębę!

Vince oblizął zaschnięte wargi. Rzucił szybkie spojrzenie na DeParda i usiłował się roześmiać.

- To jakaś bzdura! Ten gość nie wie, o czym mówi!

- Czyżby? Więc dlaczego wyglądasz jak uosobienie winy? - odparł Kincade.

- To cholerne łgarstwo!

- Naprawdę? Co zdarzyło się tamtej nocy, Vince? Wpadłeś w panikę, gdy zrozumiałeś, że Jeff nie żyje, prawda? Czy przyszło ci do głowy, że Eden łatwiej się z tego wygrzebie, jeśli pomyśla, że to ona zabiła go w obronie własnej, a nie ty? Bałeś się, że sędziowie przysięgli mniej będą mieli względów dla ciebie niż dla niej? Że zapuszczając na jakiś czas?

- Zamknij się, do cholery! - Vince skoczył do niego z pięściami. Kincade przewidział ten cios i zrobił unik. Pięść ześliznęła się nieszkodliwie po ramieniu. Kincade odpowiedział szybkim uderzeniem w żebra. Vince zatoczył się, odzyskał równowagę i rzucił się na Kincade'a jak szalenciec.

Wszyscy z takim napięciem wpatrywali się w walczących, że nikt nie zauważył wejścia Rusty'ego i Eden. Mocny prawy prosty w szczękę odrzucił Vince'a z hukiem na mahoniowy bar. Kapelusz spadł Rossiterowi z głowy i wylądował u stóp Starr. Eden wydała zduszony okrzyk i rzuciła się ku bratu. Rusty powstrzymał ją.

- Już po wszystkim - oznajmił, gdy pod Vince'em ugięły się nogi, ale zdołał jednym ramieniem ucześć się baru.

Kincade złapał go za przód koszuli, oderwał od tej podpory i popchnął na krzesło. Pochylił się nad Vince'em; oparł obie ręce na poręczach krzesła i przysunął twarz do samej twarzy Rossitera.

- Będziesz teraz gadał, Vince? - Kincade oddychał z trudem po krótkiej, lecz gwałtownej bójce.

Eden rzuciła ukradkowe spojrzenie na DeParda. Duke stał z tyłu, by dać walczącym więcej miejsca. W jego oczach była niecierpliwość i najżywsze zainteresowanie.

- No, dalej, Vince! - Z kącika ust Kincade'a sączyła się krew. Otarł ją grzbietem dłoni. - Gadaj!

- Niech cię szlag trafi! - wymamrotał Vince. Był o włos od płaczu.

- Trafia mnie już od dłuższego czasu. No, gadaj! Byłeś tam wtedy, prawda? Wróciłeś do żmudia, jak tylko podrzuciłeś Rebeke do domu, może nie?

- Wróciłem. - Był to ledwie dosłyszalny szept.

- Głośniej, Vince! - zakomenderował Kincade. - DePard cię nie słyszy!

- Tak, do cholery, tak! - Vince wykrzyknął te słowa ze spóźnioną odwagą. Kincade odsunął się od niego i stał teraz wyprostowany. - Jeff wywlókł Eden z pikapa - pospiesznie wyjaśniał Vince. -

Miała podartą bluzkę. Była... usiłowała wyrwać się Jeffowi. Obmacywał ją i zmuszał, by położyła się na kocu. Krzyknąłem, żeby ją puścił. Ale... on się zaczął śmiać. Wtedy zobaczyłem strzelby w wozie. Chciałem go tylko nastraszyć - zapewniał. - Myślałem, że jak zobaczy broń, to puści Eden.

Ale Jeff ruszył prosto na mnie, drwiąc i śmiejąc się Kincade odwrócił się i Vince ujrzał DeParda.

Rossiter zwrócił się ku niemu z błagalnym gestem:

- Nie było tak jak myślisz, DePard! Nie chciałem zastrzelić Jeffa! Drwił sobie ze mnie... a potem rzucił się i chciał wyrwać mi strzelbę. Sam nie wiem, czy pociągnąłem za cyngiel... Strzelba wypaliła. Po prostu wypaliła. Musisz mi uwierzyć! To był wypadek!

- Kłamiesz, ścierwo! - DePard ruszył ku niemu. Kincade powstrzymał go gestem ręki.

- Kiedy postanowiłeś zrzucić winę na Eden?

- Nawet by mi to nie przyszło do głowy, ale stary... to znaczy dziadek... był taki pewny, że to ona go zastrzeliła... więc pomyślałem sobie... - Vince podniósł głowę i natychmiast znów spuścił wzrok.

- Nie chciałem iść do więzienia.

- Więc skazałeś na nie własną siostrę - powiedział Kincade z pogardą. - DePard został jej strażnikiem, a ranczo izolatką.

Vince zwiesił głowę jeszcze niżej.

- Wiedziałem, że z początku będzie jej trudno, ale myślałem, że z czasem wszyscy o tym zapomną.

- Ale tak się nie stało, prawda? Było coraz gorzej. Vince skinął głową i znów podniósł wzrok.

- Jakim cudem się tego domyśliłeś? Nikt nie miał pojęcia... Kincade roześmiał się gorzko.

- Może znałem kogoś obarczonego podobnym brzemieniem winy? Sam nie wiem.

- Co teraz będzie? - Vince rozejrzał się niespokojnie.

- To już zależy od DeParda, nie ode mnie. - Kincade odwrócił się i spojrzał na Eden. Podszedł bliżej, położył jej rękę na ramieniu i pociągnął ją do przodu. - Chyba wszystko zależy od tego, czy DePard ma jakieś resztki sumienia, czy nie. Eden była zawsze tylko ofiarą. - Spojrzał DePardowi prosto w oczy, zmuszając, by to przyznał. - Najpierw ofiarą twojego brata, potem twoją i wszystkich okolicznych mieszkańców. Niełatwo uznać swój błąd. Gdyby jednak nie zjawił się wówczas Vince, gdyby twój brat został przy życiu, byłby winien gwałtu. Wydaje mi się, że taką hańbę byłoby ci jeszcze trudniej znieść niż żałobę. Dlatego robiłeś wszystko, żeby sprawę zatuszować, prawda? Ale im głośniej krzyczałeś o niewinności brata, tym cięższa była twoja własna wina.

- Jak śmiesz mówić w ten sposób do pana DeParda! - zerwał się Sheehan.

- Zostaw go - uciszył go Duke. Kincade uważnie go obserwował.

- Coś mi się zdaje, że nie poczynisz żadnych kroków w tej sprawie. Pozwolisz Vince'owi odejść bezkarnie, żeby cały skandal nie dostał się znów na pierwsze strony gazet.

DePard zmierzył go wściekłym spojrzeniem, ale zaraz odwrócił wzrok: zdał sobie sprawę, że tym razem nie wygra.

Vince ostrożnie podniósł się z krzesła. Obiegł spojrzeniem zebranych, jakby nie był całkiem pewny, czy pozwolą mu spokojnie odejść. Zrobił jeden krok, potem drugi. Gdy zmierzał w stronę drzwi, Starr podniosła jego kapelusz i zatrzymała na chwilę Vince'a.

- Tym razem już nie wrócisz? - powiedziała tak cicho, by nikt nie usłyszał. - Nie. - Vince odebrał od niej kapelusz. - Twój dzieciak powinien mieć ojca, z którego mógłby być dumny. A ze mnie nieudacznik. Zawsze nim byłem.

Odwrócił się i skierował ze spuszczoną głową ku drzwiom. Na widok Eden przystanął i odezwał się niepewnym głosem:

- Bardzo mi przykro, siostrzyczko, ale muszę odejść.

- Wiem. - Eden zdała sobie sprawę, że Vince nie potrafi znieść ludzkich spojrzeń, plotek, niesławy, która by do niego przylgnęła.

- Dasz sobie radę - powiedział, jakby chciał przekonać samego siebie.

- Oczywiście.

Rzucił ostatnie, krótkie spojrzenie przez ramię i drzwi się za nim zamknęły. Po jego wyjściu uwaga wszystkich skupiła się na osobie DeParda. Czując to Duke wyprostował szerokie ramiona i obrzucił twarze gapiów wyzywającym spojrzeniem. Zaciśnął usta pod gęstym wąsem.

- Wyjdźmy stąd wreszcie, do cholery - mruknął i sztywno ruszył ku drzwiom, pewien, że Sheehan pójdzie za nim. Nie pomylił się.

Mijając Eden DePard zwolnił kroku, wreszcie zatrzymał się i podniósł głowę. Z jego twarzy bił chłód i odpychająca duma.

- Zdaje się, że popełniłem błąd. - Widać było, jak trudno mu wypowiedzieć te słowa, jak bardzo żałuje, że musi to uczynić.

- Istotnie - przytaknęła Eden z równą dumą. - Niech pan jednak nie zmusza się do przeprosin, bo

nie przejdą panu przez gardło.

Twarz DeParda stężała, jakby niewidzialna ręka wymierzyła mu policzek.

- To chyba nie jest właściwe podejście.

- Cóż... w tej chwili przeprasza mnie pan wyłącznie dla zachowania pozorów. Jeśli kiedykolwiek naprawdę pożałuje pan tego, co zrobił, przyjmę pańskie przeprosiny.

W oczach DeParda błysnęła uraza. Przez moment wpatrywał się w Eden, dygocząc z ledwie hamowanej wściekłości; w końcu wyszedł.

- Wielu ludzi będzie się przez jakiś czas czuło niezręcznie w twojej obecności - uprzedził ją Kincade.

- Wiem. - Eden westchnęła, ramiona jej opadły. Uniosła dłonie i przycisnęła je do pulsujących bólem skroni.

Rusty natychmiast podprowadził ją do krzesła.

- Lepiej posiedzieć przez chwilę.

Sam fakt, że Eden nie protestowała, świadczył o tym, jak źle się czuła. Usiedli więc we trójkę przy stoliku. Podeszła do nich Starr.

- Napijcie się czegoś? Piwa, kawy? Na koszt firmy.

- Kawy - oświadczył Kincade, a Eden i Rusty zgodnie kiwnęli głowami. Starr odeszła i zostali sami. Rusty usadowił się wygodnie na krześle i wlepił wzrok w Kincade'a.

- Vince się zmył - przypomniał przyjacielowi. - Chcesz, żebym ruszył jego tropem?

Kincade potrząsnął głową.

- Niech sobie idzie. Skończyłem z tą sprawą. - Spojrzał na Eden. - Musiałem to zrobić. To kłamstwo pętało was zbyt długo.

- Chyba dobrze się stało, że prawda wyszła na jaw - przytaknęła.

- Dlaczego to zrobiłaś, Eden? Czemu powiedziałaś, że to ty zastrześliłaś Jeffa? - Kincade sądził, że zna jej motyw, ale chciał to usłyszeć z jej własnych ust.

- Sama nie wiem. - Eden wzruszyła lekko ramionami. - Vince zabił w mojej obronie człowieka. Wzięcie na siebie winy wydawało mi się niewielkim dowodem wdzięczności. Żadne z nas nie przewidywało, co z tego wyniknie.

- Oczywiście, że nie. - Zaległa cisza. Kincade wpatrywał się w Eden, usiłując dostrzec jakąś oznakę uczucia, ale uparcie odwracała od niego wzrok. - Kiedy Vince odszedł, nie mam już żadnego powodu, by tu zostać... z wyjątkiem ciebie.

Eden podniosła głowę. Patrzyła na niego bez wyrazu.

- Co mogę na to powiedzieć?

- Na przykład, że chcesz, żebym został... jeśli to prawda.

- Musimy jeszcze sprowadzić z powrotem konie i zabrać porzucony wóz. Poza tym na ranczo nigdy nie brakuje roboty.

- Nie to miałem na myśli, dobrze o tym wiesz. Jeśli zostanę, będę przy tobie, kiedy tylko zechcę. Będę cię obejmował i całował, choćby wszyscy się na nas gapili. I nie będzie już żadnego „tak, szefowo” i „nie, szefowo”.

Eden zacisnęła ręce, starając się pohamować ogarniającą ją falę nagłej radości.

- Nie przywykłam, by ktoś staczał za mnie moje walki.

- Jak ja dzisiaj? - domyślił się Kincade. - Nie walczyłem zamiast ciebie, walczyłem u twojego boku, a to różnica! Chcesz, żebym został?

Spojrzała na niego.

- Nie chcę, żebyś odjechał.

- To mi na razie wystarczy. - Kincade uśmiechnął się dostrzegając radość w jej oczach i poczuł, że to samo uczucie rozsadza mu pierś.

Rusty położył rękę na oparciu krzesła i obdarzył oboje promiennym uśmiechem.

- Czy to nie Szekspir powiedział: „Wszystko dobre, co się dobrze kończy”? Eden zerknęła na Kincade’a z błyskiem rozbawienia w oczach i oboje wybuchnęli śmiechem. Rusty spoglądał to na jedno, to na drugie i marszczył czoło, zupełnie zdezorientowany. To ich jeszcze bardziej rozśmieszyło.

- Co w tym zabawnego? No, co ja takiego powiedziałem? Odpowiedział mu nowy wybuch śmiechu.